

OLEG DIWOW

NAJLEPSZA ZAŁOGA SŁONECZNEGO

TOM 2



fabryka słów
www.fabrykaslow.pl

DIWOW OLEG

Najlepsza zaloga slonecznego

tom 2

OLEG DIWOW

Z języka rosyjskiego przełożył

Eugeniusz Dębski

2007

Łrident

Nie pasowali ani do miejsca, ani do przestrzeni. No to kim mieli zostać, jak nie bohaterami?

księżniczka Lea

CZĘŚĆ druga

Poza Ziemią

Latarnia na Cerberze wbrew swojej nazwie nie spełniała funkcji nawigacyjnych. Służyła tylko jako głośny korek czy może raczej zatyczka sygnałowa. Na oblodzonym kawałku żelastwa, jakim był dziesiąty glob Układu Słonecznego, trzymała się sensorowymi mackami jedynej wartościowej rzeczy, jaka tam się znajdowała – kontrolowała żyłę uranu. I gdyby jakiś idiota (bo jedynie idiota leciałby po uran taki kawał drogi) tylko przysunął się do żyły, latarnia zamiast dyżurnego OK wysłałaby w przestrzeń alarmujący wrzask.

To niezawodne i praktycznie wieczne ustrojstwo zamontowali kiedyś na Cerberze marsjańscy geolodzy. Red City było w tych czasach jeszcze lojalne, pławiło się w ziemskich inwestycjach, o niezależności nawet nie myślało i nie korzystało z usług przemytników. Grupy badawcze Marsjan szwendały się po Słonecznym za pieniądze Ziemiaków i wszędzie upychały latarnie i czujniki. Jak się potem okazało, wysyłane na Błękitną Planetę informacje o odkrytych złożach ujmowały jedynie połowę stanu faktycznego. Wszystko to, co Red City przemilczało i zachowało dla siebie, było bogatsze, zasobniejsze, a do tego znajdowało się w ciemnych kątach wewnątrz Pasa, które koloniści zbadali porządnie, a Ziemiaków wcale. Tak więc kiedy Mars ogłosił się republiką, a Ziemia zastosowała twardą blokadę, właśnie w tych ukrytych punktach rebelianci rozmieścili bazy przemysłu wydobywczego. Zamaskowanych kosmodromów na powierzchni Czerwonej Planety było wystarczająco dużo, by towar jakoś przesączał się na glob i docierał do klienta.

Oczywiście aneksję złożył na Cerberze Marsjanie znieśli bez słowa protestu, ponieważ i tak mieli tam za daleko. Ziemski remontowiec przestroił latarnię i od tego momentu nie pisnęła ani razu niczego poza *OK, OK, OK*. Co dowodziło, że choć wśród przemytników można było natknąć się na durnia, to sensowni ekonomiści należeli do większości.

Tak więc latarnia pełniła służbę, wojsko zatrzymywało podejrzane ciężarówki, policjanci węszyli w Pasie, a Red City uparcie zaprzeczało, jakoby nielegalne wydobywanie było finansowane na poziomie rządowym. Czasem Marsjanie aresztowali jakiegoś przesadnie

gamonioatego handlarza i urządzali sądową pokazówkę. Po czym przestępca, z powodu braku na Czerwonej Planecie więzień, udawał się do aresztu domowego, skąd prowadził nadal swoją nielegalną działalność, potrzebną jak woda gospodarce nowej republiki. Na jej własnym globie zasobów było mało, a Wenus, nieposiadająca – oficjalnie – własnej floty, za każdy gram wzbogaconego uranu płaciła żywą gotówką. Inna sprawa, że pieniądze, tak czy inaczej, szły z Ziemi, której z kolei Wenus raz na jakiś czas podrzucała do banków zarodków swoje w odróżnieniu od ziemskich zdrowe jajeczka. Głupia sytuacja, wszyscy się z tym zgadzali i tylko ambicje ziemskich menadżerów nie pozwalały dojść do zgody z byłymi koloniami. Alians jednakże wykluwał się sam. Ziemi szło zbyt kiepsko, musiała przyznać, że metody siłowe nie zdają egzaminu i należy negocjować z separatystami. Nadchodzące Zebranie Akcjonariuszy zamierzało rozwiązać ten problem raz na zawsze, a jednym ze skutków przejścia od zimnej wojny do prawdziwego pokoju miało być demonstracyjne rozwiązanie floty wojennej.

Mądry Wujek Gunnar przewidział tę sytuację już podczas drugiej kampanii marsjańskiej. Admirał floty długo i usilnie myślał, aż uznał, że uratować go od honorowego przejścia do rezerwy może tylko wykrycie przeciwnika zewnętrznego, jednakowo niebezpiecznego dla wszystkich planet. Wezwał więc do siebie szefa wywiadu i kazał sobie streścić posiadane dane o Obcych. Ale choć informacji było sporo, to żadna nie wydała mu się przekonująca, a mówiąc szczerze – temat Alienów cuchnął lekką schizofrenią. Tym niemniej Wujek Gunnar zorganizował przeciek pewnych danych do Sieci i czekał, co się wykluje.

Odzew nadszedł nie tylko od strony drobnych Akcjonariuszy, ale też od Rady Dyrektorów. Ludzie pohłasowali trochę i jakby się uspokoili. Za to zarząd globu wezwał Königa na rozmowę, z której ten wyszedł blady. Od tej pory każde gadanie o Obcych w murach admiralicji wywoływało konsekwencje służbowe, a sam Wujek Gunnar wpadał w depresję. Wcześniej też zdarzało mu się występować w charakterze usłużnej marionetki, jednak teraz już się nie szczypał i ślepo realizował linię władzy cywilnej. Dokładniej, pogonił Grupę F na Marsa, chociaż mocno powątpiewał w sens wysyłania elitarniej brygady na operację wybitnie typu policyjnego.

Nie zdając sobie z tego sprawy, König osiągnął to, co zaplanował. Myśl o tym, że kosmos może być wrogi, nie wywołała co prawda natychmiastowego odzewu w umysłach Ziemiaków, ale została gdzieś tam w podświadomości. Socjologowie odnotowali, że wynik głosowania nad likwidacją floty wcale nie musi być taki jednoznaczny. Niestety, za decyzją o przerobieniu okrętów wojennych na transportowce kryły się pieniądze, jakich Wujek Gunnar nawet nie podejrzewał, poza tym zarówno Mars, jak i Wenus uzależniały rozwój kontaktów handlowych od likwidacji ziemskich środków nacisku, czyli floty. Ekonomia i polityka zawisły nad wojskowymi astronautami i miały ich zmiażdżyć.

Oczywiście w świetle takich problemów nikogo nie obchodziło, że Uspienski, chcąc zaspokoić swoją ciekawość, za służbowe pieniądze wysłał na skraj świata jakiegoś Abrahama

Feina. Zwłaszcza że dowódca Grupy F do polityki się nie pchał, wszystkie swe ambicje w zakresie intryg zaspokajał, gryząc się z admiralicją. Poza tym admirał Raszyn zachowywał się jak uczciwy służbista. Nikt go więc na razie nie ruszał. Także drobne przepuszczanie pieniędzy nie sprawiało wrażenia przestępstwa, które zasmarowałyby nieskalaną reputację sławnego astronauty. Flota miała aż nadto dowódców z reputacją krwawych potworów – przy nich Uspienski wyglądał jak rycerz bez skazy, na kozła ofiarnego w ogóle się nie nadawał.

Dlatego Grupa F ruszyła na Marsa, i to nie zwyczajnie, a na boosterach. Zaś w Sieci niemal codziennie pojawiały się materiały przypominające Akcjonariuszom o bestialstwie wojskowych, przez których zginęło znacznie więcej cywilnej ludności, niż mogła sobie na to pozwolić wycieńczona z powodu genetycznego deficytu Ziemia.

A scout „Ripley” wolno zbliżał się do strefy aktywnych poszukiwań. Abraham Fein uważnie kontrolował pracę załogi i szeptał w duchu nieumiejętnie złożone modlitwy. Religijność uważana była na Ziemi za coś w rodzaju choroby psychicznej, ale Fein teraz miał to w nosie. Przekonany o istnieniu Alienów potrzebował co najmniej wsparcia Bożego.

Modlił się więc, żeby zamiast Obcych odkryć jedynie piratów.

*** * ***

Dobre pół wieku przed Północą, w epoce rozkwitu nauki i przemysłu, kiedy surowców oraz produktów było jeszcze w bród, piractwo na handlowych szlakach Słonecznego kwitło i uważano je za dochodowy interes. Moralność społeczeństwa upadła, tak więc wiele kompanii posiadających własną flotę zabawiało się przechwytywaniem ładunków konkurencji. Dlatego holowniki latały w towarzystwie zbrojnej eskorty, która zawsze mogła odskoczyć w bok, w kierunku widniejącego na

ekranie radaru kuszącego stateczka. Wróciwszy ze zdobyczą, eskorta nieraz odkrywała, że jej własny podopieczny leci z opróżnionymi ładowniami, zaś kapitan, ucieszony, że wszyscy żyją, wali z gwinta schowany na taką okazję bimber.

Wartość towarów z nadwyżką pokrywała ryzyko, stało się więc jasne, że po przestworzach Słonecznego dosłownie nie da się zrobić kroku bez ryzyka abordażu. Z reguły przejęciu ładunku nie towarzyszyła widowiskowa wymiana ognia – mimo wszystko holowników nie buduje się jednego dnia, astronauta też nie rozmnażają się przez pączkowanie. A ktoś przecież musi wozić towary, które zamierzasz capnąć. Tak więc piraci odpinali sekcje ładunkowe, robili pa, pa! i spadali w cholerę. Kapitan Luntz, odbywający rejsy na holowniku „Yankee Fair” i mający szczęśliwie zaliczone osiem grabieży, wyrósł na postać legendarną i tak pięknie opowiadał na dole o swoich przygodach, że się w końcu rozpił.

Potem eksplodowała Północ, zmiotła całe narody z powierzchni Ziemi, sprowokowała długotrwałą zimę postjądrową i zniszczyła tyle zasobów, że część ludzi nie miała czym rozpaść ogniska. Ekonomia, polityka, religia i kultura – wszystko poszło w diabły. Koszmarna Kotłowanina poprzedzająca Północ o trzy wieki nie nauczyła ludzkości bycia

elastyczną. Dopiero Północ ustawiła wszystko na właściwych miejscach, udowodniwszy, że jeśli człowiek dwa razy włazi na te same grabie, to mądrzej będzie podnieść je i wyrzucić. Resztki ludności, zwłaszcza ocalali żołnierze, żądały radykalnych zmian. Jednocześnie obok pozytywnej idei wszyscy łaknęli prądu i chcieli jeść, cokolwiek. A do zjedzenia nawet śmierdzącej chlorelli potrzebny był prąd. I czysta woda. Czyli znowu energia. Zatem podskoczyły ceny uranu. Powstał potężny czarny rynek. Tam, gdzie wcześniej miał miejsce konflikt interesów konkurencyjnych firm, gryzły się teraz zajęte troską o przeżycie swoich obywateli rządy.

Piraci przesiedzieli rzeź w kolonialnych dokach, a teraz zaczęli nielegalnie wydobywać pożyteczne kopaliny. Wymagało to floty ciężarowej, zatem coraz częściej ginęły statki wraz z załogami. Od biegunowej czapy Marsa ktoś oderwał ogromny kawał lodu i opchnął go, jak później wyszło na jaw, Amerykanom. W ruinach starych ziemskich miast zaczął się podejrzany ruch i wkrótce policyjne scouty wykryły trzy dobrze umocnione pirackie bazy, które zdołano opanować dopiero po intensywnym bombardowaniu.

Jakość wyposażenia w podziemnych fabrykach zadziwiała, a broń piraci mieli często lepszą niż polujące na nich wojsko. Ale dopiero kiedy zaczajona w zgliszczach Pekinu żydowska banda, otoczona i bez perspektyw na ucieczkę, wysadziła się w powietrze przy pomocy ładunków jądrowych o sile pięciu kiloton, Ziemianie stracili cierpliwość. Wybuchł ostry globalny kryzys, w wyniku którego radykalnie zmieniono formę rządów oraz stopień uczestnictwa obywateli w podejmowaniu decyzji. Grupa

młodych, ambitnych polityków, opierając się na socjologicznych wykładniach, uważanych do tej chwili za abstrakcyjne i utopijne, cisnęła masom ideę dyktatury kapitału prywatnego, takiego *ludowego kapitalizmu*, i się nie przeliczyła. Ziemię przekształcono w jedno wielkie przedsiębiorstwo holdingowe, gdzie każdy obywatel otrzymał pakiet bazowy akcji i prawo głosu podczas Zebrania Akcjonariuszy. Suwerenne państwa stały się kompaniami. Zaskakujące, ale nagle wszystko wróciło do normy. Okazało się po raz kolejny, że punkt siedzenia może całkowicie zmienić punkt widzenia.

Większa część ludności, sama tego nie podejrzewając, żyła na kredyt. Zamiast politycznych sporów między ziemskimi rządami powstały wprawdzie spory na innym gruncie, ale udało się nasycić rynek towarami i Ziemianie przestali umierać z głodu, więc nikt za bardzo nie myślał o buntach. Przeciętny człowiek stawał się coraz mniej wypłacalny, za to struktury państwowe krzepły. Do tego stopnia, że nieprawne wydobywanie zostało przy pomocy okrutnych czasem metod szybko zlikwidowane. Przy okazji zatrzymano degradację biosfery, choć jej parametrów już nie udało się poprawić. Stąd przyjście na świat zdrowego dziecka ciągle uważano za fart. A kiedy zaświtał konflikt z koloniami, na bazie eskadry policyjnej zaczęto budować wartościową armię.

Już po stu latach zjednoczona jak nigdy dotąd Ziemia zbombardowała Marsa i mocno przywaliła Wenus, która na swoje nieszczęście miała czelność odezwać się w niezbyt dla

siebie dogodnym momencie. Wybuchła ciężka i krwawa wojna. Wkrótce po jej zakończeniu piractwo się odrodziło, tyle że w bardziej wyrafinowanej postaci. Ekonomiczna blokada Marsa i częściowe embargo na kontrakty handlowe z Wenus zmusiły separatystów do sięgnięcia po sposób stary i wypróbowany na ziemskich morzach i oceanach – kaperstwo. No bo co jeszcze można zrobić, jeśli złoża kontroluje przeciwnik i pozwala na wydobywanie w takiej tylko ilości, jaka pozwala ledwo przeżyć populacji? Bardzo szybko na poły legalni przemytnicy i wolni myśliwi Wenus i Marsa urządzili w Słonecznym zamieszanie na tyle duże, że od czasu do czasu na polowanie ruszała niemal cała ziemska armia. Oczywiście do schwytanych piratów i korsarzy nikt się nie przyznawał, a sam przestępca zazwyczaj w ostatniej chwili strzelał sobie w łeb, truł się albo skakał w otwarty kosmos. To byli ludzie zdeterminowani, prawdziwi fanatycy w przeszłości walczący z Ziemią o niezależność swoich planet, a często i tak już zaocznie skazani na śmierć. Rzadko udawało się schwytać którego żywcem, zaś wyników przesłuchań pod hipnozą w międzyplanetarnej praktyce sądowej nikt nie respektował.

Dopóki przemytnicy sprawnie zaopatrywali oblężone planety w paliwo, materiały budowlane i inne takie – w ilości przekraczającej ustanowione przez Ziemian normy – interes szedł jak po maśle. Ale kiedy Akcjonariusze Błękitnej Planety popuścili i sami zaczęli rozmowy o partnerstwie, z całą tą hordą kosmicznych poszukiwaczy trzeba

było coś zrobić. Kryzys pogłębiał również fakt, że wyroki śmierci nie zostały anulowane. Oblężone globy z troską drapały się po głowach – uzbrojeni po zęby rycerze lewych dostaw pokazali, do czego są zdolni. Być może wymarliby sami niczym dinozaury w zmienionych warunkach środowiska, gdyby nie pewien drobiazg – czarny rynek był po prostu potrzebny. Nadal wielu chętnie kupowało po dumpingowych cenach rzadkie towary – i to nie tylko w ekskoloniach, ale i w byłej metropolii. Poza tym w Pasie działały dobrze wyposażone laboratoria wytwarzające medykamenty i aparaturę precyzyjną, na które również istniało stałe zapotrzebowanie. Interpol ganiał z wywieszonym językiem, kosmiczna policja zdzierła podeszwy, a przemyt kwitł.

Na tym tle informacja, że jakieś bezczelne bydło otworzyło zamkniętą kopalnię na marsjańskiej powierzchni, nikogo nie zdziwiła. Grupa F pędziła do roboty bez szczególnego zachwytu, ale przecież ktoś to musiał zrobić. Co nad Czerwoną Planetą czekało wzmocnioną brygadę Attack Force, nie trapiło admirała Uspińskiego.

Przejmował się natomiast tym, co zobaczy Abraham Fein na Cerberze. Latarnia nie mogła zamilknąć z przyczyn naturalnych. Nawet gdyby Cerber rozpadł się na kawałki, zdążyłaby pisnąć alarmowo. Żaden okręt zbudowany w granicach Słonecznego nie miał takiej siły ognia, żeby załatwić ją jednym impulsem.

Dlatego Raszyn, zbliżając się do Marsa, był coraz bardziej zdenerwowany. Nawet wiadomość z Ziemi, że został dziadkiem całkowicie zdrowej dziewczynki, nie wprawiła go w dobry humor. Inna rzecz, że wiadomość miała oficjalny, oschły charakter. Igor Uspiński nie

kochał ojca. Nie potrafił mu wybaczyć zawodu astronauty wojskowego, zimnego i wyrachowanego zabójcy Marsjan, wśród których syn admirała miał wielu przyjaciół.

Takich niewinnych winnych było na „Skoczku” bez liku. Fox stracił na Marsie wuja, co spowodowało, że na zawsze odsunęła się od niego matka. Siostra Candy nie rozmawiała z nią z powodów zasadniczych. Nieco zbzikowany brat Lindy, naoglądawszy się w Sieci newsów z marsjańskiego frontu, poczekał, aż siostra pojawi się na dole, i niemal ją udusił. Technik Di Lanza, lubiący wpadać do pizzerii nieopodal bazy Orly, dwa razy oberwał po pysku od swoich impulsywnych rodaków.

To wszystko robili ludzie, którzy odprowadzali astronautów na wojnę jak bohaterów. Normalni ludzie, dobrzy ludzie. W czasie, jaki astronauta spędzili daleko od domu, świadomość tych, co zostali na Ziemi, mocno się zmieniła. Załogi Grupy F nie były na taki zwrot przygotowane. Wykonywały swoją pracę, sądząc, że działają w imieniu wszystkich Ziemiaków, takich samych jak i oni szeregowych posiadaczy Akcji.

A w praktyce okazało się, że jest inaczej.

Zatwierdzony przez admirała floty plan operacji *oczyszczenia* powierzchni globu spadł na Raszyna niespodziewanie, tak że zaskoczony nawet nie zdołał porządnie się wykląć. Grupie F zostało pół godziny do rozpoczęcia hamowania, gdy terminal zgłosił otrzymanie kodowanej wiadomości o najwyższym priorytecie. Admirał włączył deszyfrator i odnotował z niezadowoleniem, że nowe dane wyjściowe – a co do tego, że to nowe rozkazy, nie miał wątpliwości – będą gotowe do odczytania na kilka minut przed rozpoczęciem manewru.

Pośpiesznie wywołał szefa sztabu.

–Dostałeś? – zapytał.

–Taaa – mruknął Essex.

–I co zrobisz?

–Jak to co? Rozkoduję, co jeszcze...

–Słuchaj, co to może być?

–Jakieś świństwo – bez cienia wątpliwości oszacował Tylek. – Bo po co by w innym przypadku wysyłali na oba adresy?

Raszyn zastanawiał się przez sekundę.

–Racjonalne – skinął głową. – Łapiesz, Phil.

–Jak się do tego ustosunkujemy? – ostrożnie zapytał Essex.

–Najpierw przeczytamy – westchnął admirał. Strasznie nie chciało mu się wdawać w rozmowy, na szczęście Tylek rozumiał go już niemal bez słów. Też wiedział, że sprawa cuchnie na kilometr. Rozkazy admiralicji zawsze przychodzą ściśle według regulaminu – do dowódcy, a dopiero ten rozprowadza je między podwładnych.

Ale dziś szef sztabu otrzymał kopię dokumentu. Oczywiście domyślał się, że nie poprzedzi jej formułka typu: *Jeśli dowódca Grupy zignoruje poniższe rozkazy albo przekaze je w zniekształconej postaci, należy go aresztować i zagwarantować pełne wykonanie poniższych*. To nie jest potrzebne, wystarczyło, że Essex miał przed oczami kopię dyspozycji i chcąc nie chcąc musiał patrzeć przełożonemu na ręce. Admiralicja uważała to za kapitalny pomysł, zwłaszcza wtedy, gdy między dowódcą i szefem sztabu istniały różnice zdań. A Tylek i Raszyn byli według niej jedną wielką chodzącą obstrukcją.

–Hamujemy? – zapytał kontradmirał.

–Przecież powiedziałem, że najpierw poczytamy! – warknął Uspienski, po czym rozłączył się, opadł na oparcie fotela i zamknął oczy.

–Stanowisko Dowodzenia Okrętem! – ryknął głośnik. – Gotowość do hamownia za piętnaście minut!

–SDO, czekać na rozkazy – powiedział zmęczonym tonem Raszyn.

–Przepraszam, sir? Tak jest, sir! SDO, czekać na rozkazy... Panie admirale, proszę o pozwolenie zwrócenia się. Mamy przeliczyć hamowanie czy jak?

–Co to znaczy: czy jak?. – wycedził dowódca. – Gdzie jesteśmy, astronauto? Czekać! Kutas!

–Aye-aye, sir!

–Bydlak... – mruknął Raszyn. Poczul się zawstydzony. Sam rozpuścił ludzi, zaszczepiwszy im ciągoty do własnej inicjatywy, a teraz gotów był wyładować kiepski humor na podwładnym, który nie powiedział niczego tak obraźliwego. Ale właśnie teraz admirał wolałby, żeby przy pulpicie kapitana siedział jakiś profesjonalista ze starej szkoły, który potrafił niczemu się nie dziwić, ponieważ w latach jego kursanckiej młodości przesadne dziwienie się szalonym rozkazom wybijano ludziom z głowy już na uczelni. I to nie odgórnymi szykanami, ale rękoma mniej niezależnych kolegów z roku. Przy tym o ile w męskiej uczelni tylko bito, w żeńskiej mogło się człowiekowi przydarzyć coś gorszego.

Cel był szlachetny – wykonywać polecenia bez namysłu. Stanąć w szyku i utrzymać pozycję. Ale kursantowi Uspienskiemu, którego i tak ciągle dziobano za to, że był Rosjaninem, wymiary mordobicia wydawały się przesadne. Zresztą w ogóle nie pochwalał tego rodzaju praktyk. Zostawszy oficerem i zdobywszy już autorytet, stracił wiele sił, by stosunki na uczelni stały się bardziej liberalne. A teraz czasem tego żałował. Jeszcze jako porucznik Uspienski, żeby przeżyć, potrzebował podwładnych-przyjaciół. Będąc jednak admirałem Raszynem, do tego samego potrzebował tylko śrubek i nakrętek.

Nie to, żeby sam się zmienił przez te lata. Zmienił się za to charakter jego zadań.

–Tu Borowski, sir. Mamy problem?

–Czekać – powtórzył nie wiadomo który raz Raszyn. Tym razem z wdzięcznością. Sądził, że starszy oficer ustawi wzburzonego kapitana.

–Rozumiesz?! – admirał usłyszał z głośnika, jak spełniają się jego domysły. – Lepiej

przelicz wszystko, w dupę. Po pierwsze, policz zwrot do Ziemi. I na wszelki wypadek wyjdźcie do Pasa. I na wszelki przeciwpożarowy wyjdźcie na Marsa po stycznej z przelotem nad punktem. Kapujesz? I wyluzuj się. Sam sobie napytałeś. Mogłeś samodzielnie o wszystkim zdecydować, nie zadając głupich pytań.

–Chciałbym wiedzieć, co się stało – zauważył odzyskujący rezon kapitan, wprowadzając zadania do procesora marszowego.

–Co ci za różnica?! – jęknął Borowski. – Dowiesz się wszystkiego we właściwym czasie.

–Ciekawe, od kiedy to dowiadujemy się wszystkiego? – zapytał złośliwie nawigator.

–Ciekawe, kiedy ostatni raz byłeś porucznikiem? – niezbyt zrozumiale, ale z wyraźną groźbą w głosie rzucił zamiast odpowiedzi ZDO.

Kapitan zerknął na niego zaskoczony i natychmiast skapitulował.

Raszyn w swojej kajucie wpił się wzrokiem w monitor.

–Ja cię! – zdołał wykrztusić.

Rozkaz odwoływał zamówioną przez admiralicję operację *oczyszczenia* powierzchni. Pełne zadumy strzelanie z bezpiecznej odległości przestało być aktualne. Ni z tego, ni z owego Wujek Gunnar zażądał od Grupy F błyskawicznego ataku. W starożytności nazywało się to *szarżę kawaleryjską*.

Wykaz figur pilotażu podstawowego określał ten manewr *szturmówką*. Każdy kadet musiał umieć wyrecytować w nocy o północy: *Szturmówka to przelot nad powierzchnię na stycznej o minimalnej możliwej wysokości z maksymalną możliwą do prowadzenia celnego ognia prędkością, sir!* A także powinien wiedzieć, że zazwyczaj takie manewry wykonuje się, gdy na dole czekają na atakującego silne umocnienia przeciwlotnicze. Pojawiasz się niespodziewanie, dajesz salwę, a ci, co ocaleją, nie mają już do czego strzelać. Ty bowiem jesteś już po drugiej stronie i spokojnie odlatujesz załatwiać inne sprawy. To prawie niemożliwe trafić w idący do szturmowania cruiser lub megadestroyer.

Najważniejsze to lecieć możliwie nisko, by lasery obrony przeciwlotniczej nie nadązały za tobą. Mocne naziemne działo z łatwością przedziurawi poszycie, ale odwrócenie go o duży kąt trwa kilkadziesiąt sekund. A ty przelatujesz górną sferę w ciągu kilku. I póki ta dupa na dole kręci się jak żółw, który chce zobaczyć własny ogon, drugi taki sam zdeteminowany jak ty zachodzi ją z boku. Trzeci już z reguły nie jest potrzebny.

Wszystko pod warunkiem, że nie zahaczysz brzuchem o powierzchnię i nie walniesz

prosto w obóz wroga. Wydech silników prawie zawsze jest nieco niestabilny, statek trochę się wierci. W przestrzeni nie ma to znaczenia, ale tuż nad powierzchnią odchylenie o dziesięć metrów może oznaczać katastrofę. Na małych wysokościach siada również awionika. Krótko mówiąc, akcja szturmowa to zabawa dla asów, którzy prowadzą dobrze wyskalowane okręty.

Oczywiście, w gęstych atmosferach Ziemi czy Wenus takie numery w ogóle nie mają szans realizacji – każdy obiekt poruszający się nazbyt szybko spłonie. Z kolei gdy rozsądnie

zwiększysz wysokość, zauważą cię z daleka, wyliczą trajektorię i na pewno przywalą choćby w oddalającą się rufę. Nad planetami z atmosferą znacznie bardziej skuteczny jest niewidzialny zwis i ostrzał z jakichś pięciuset kilo. Strzał – odskok. Znowu strzał. Niech ich kompy zatrą sobie mózgi, usiłując przewidzieć, gdzie odskoczysz. Tę taktykę Ziemiańskie stosowali nad Wenus i tam się bardzo sprawdziła.

Ale marsjańskie quasi-powietrze pozwala na podejście szturmowe, atmosfera jest tam rozrzedzona i według ziemskiej skali ma nikczemną wysokość. Raszyn wykonywał podobne rajdy nad Czerwoną Planetą niejednokrotnie, zarówno sam, jak i w składzie eskadry – choćby wtedy, gdy atakował umocnienia Red City. Straty ograniczyły się do destroyera, który i tak zdołał z rozpędu umknąć na orbitę, chociaż rufę miał jak rzeszoto. Ale w zamian odstrzelony z niego reaktor z uszkodzonym chłodzeniem spadł na głowy separatystów i mówiło się potem, że to zaimprovizowane bombardowanie atomowe odegrało w szturmie na marsjańską stolicę niebagatelną rolę. Co prawda reaktor nie wybuchł, ale to też zapisano Grupie F na plus – nie zniszczyła zdobytego miasta.

Tyle że teraz problem stwarzały nie baterie obrony przeciwlotniczej. Problemem był czas.

Sądząc z komunikatu admiralicji, Marsjanie nagle stanęli okoniem, zrezygnowali z usług desantowca i postanowili przejąć bazę przemytników własnymi siłami. Widać przypomnieli sobie, że taki ziemski desant prowadzi do ogromnych zniszczeń, ludzie giną na prawo i lewo. W każdym razie tak to argumentowali. Grupa F miała tylko wykonać przygotowanie artyleryjskie, resztę Marsjanie chcieli zrobić sami.

–Ciekawe – wymamrotał Raszyn. Niemal wcale nie interesowało go, kogóż tak cennego mogli schwytać albo zabić Ziemiańskie. Ani co też tak cennego kryło się przed ich wzrokiem w podziemnym mieście dokoła kopalni. W admiralicji musieli to rozumieć, ale zapewne otrzymali polecenie od Dyrektorów, żeby nie wtrącać się do spraw suwerennego globu. Skoro zaś Marsjanie już w pośpiechu podciągali wojsko pod bazę, Grupa F musiała teraz gnać, a nie tylko się śpieszyć.

Raszyn otrzymał również rozkaz niezwłocznego odesłania do domu megadestroyera

„Stark”, desantowca „Dekard-2” i wszystkich swoich czterech battleshipów wraz z eskortą, a z całą resztą kontynuować rozpędzanie. Przechodząc po skraju atmosfery, miał ostrzelać wyznaczoną powierzchnię, po czym szerokim łukiem wrócić do Pasa w celu połączenia się z policyjnymi siłami Rabinowicza i oczekiwać dalszych rozkazów.

Pod koniec komunikatu admiralicja przypominała, że Uspienski ma zachować ciszę radiową i nie nawiązywać kontaktu z Siecią. Do wejścia w nią grupa dostała wydzielony kanał, na którym wisiał fałszywy użytkownik udający rutynową wymianę danych. Miało to sprawiać wrażenie, że okręty Raszyna ciągle znajdują się w okolicach Ziemi – standardowa osłona tajnej operacji. Tyle że wraz z oddalaniem się grupy od naziemnych stacji informacyjnych zmieniała się charakterystyka sygnału i nawet kiepsko wyedukowany operator mógł zrozumieć, że okręty idą w przestrzeń, a nawet w przybliżeniu obliczyć ich

prędkość. Po drugie, w trakcie akcji flota tradycyjnie już była odcinana od informacji, żeby opinia publiczna nie wpływała na charakter działań. Argumentując taką politykę, admiralicja zawsze przytaczała casus kapitana Reeza, który nacytawszy się przed walką pacyfistycznych bzdur, nabrał kompleksu winy i zniweczył ważną operację desantową.

Ostatnim kategorycznym poleceniem było żądanie powrotnego zakodowania rozkazu. Raszyn z westchnieniem jeszcze raz przeczytał dokument i przywrócił mu postać bezsensownego ciągu znaków. Nie zdążył wywołać Esseksa, gdy ten pojawił się na monitorze we własnej osobie.

–No? – zapytał szef sztabu.

–Jak ci się to podoba?

–Nie wiem. Niby logiczne. Battleshipów szkoda. Zanim wrócimy, już zrobią z nich ciężarówki. A „Stark”? Taka maszyna! Jakoś to się jednocześnie wszystko zważyło... W Grupie F zostanie ledwie dwadzieścia aktywnych jednostek.

–Jakby celowo wszystko opracowali tak, żebyśmy wrócili cisi i pokorni. Żebyśmy znali swoje miejsce w szeregu.

–Dokładnie! – poparł go Tylek. – Nie pozwolili nam przemyśleć sytuacji, tylko popędzili do walki. Teraz odgryźli pół brygady. Klasyczny spisek przeciwko Grupie F, wspomnisz moje słowa, Aleks. Nie przypadkiem po ataku nie wracamy na Ziemię, tylko oddajemy się w łapy policjantów. Boją się nas, bardzo się boją...

–No, z tym oddawaniem w łapy policjantów to przesadziłeś. Nawet bez liniowców usmażymy całą policję w pięć minut. Nie panikuj. Policja nie będzie się z nami tłukła, nigdy w życiu. Znasz ich, to zawodowcy. Ale że się nas boją, to się zgadzam. No to

co, Phil? Kończy się nasza flota? Czujesz to?

–Nie sądziłem, że to nabierze takiego przyspieszenia – przyznał Essex.

–Nie dali nam czasu na przygotowania – westchnął Raszyn. – Dobra. Przed Zebraniem Akcjonariuszy i tak nie zdążymy wrócić, paliwa do boosterów już nie dostaniemy. Może pozwolą nam dalej latać, choćby nawet w obciążonym składzie?

–Optymista! – rzucił Tylek, ale zabrzmiało to jak przekleństwo.

–A ty to nie? Dobra, co dalej? My wychodzimy na Marsa bardzo wygodnie, akurat na stycznią do przewidywanego punktu ostrzału. Ale ty będziesz musiał trochę nadłożyć.

Essex zacisnął zęby. Jego sztab na „Gordonie” powinien był korygować wyjście grupy na cel i kierować ogniem. Tak więc w zmienionej sytuacji „Gordon”, żeby *trochę nadłożyć*, musiał wykonać manewr na największych w grupie przyspieszeniach, zaraz potem na największym hamowaniu i na dodatek jeszcze raz się rozpędzić. Żyłasty Tylek przyspieszania się nie bał. Po prostu wiedział, jakim obciążeniami poddany zostanie napęd, i już się denerwował, że niewiele z niego zostanie.

–Czyli wszyscy ci zbędni niech się zwijają i walą z powrotem – podsumował admirał. – Nie będzie uroczystego pożegnania. Ani nie ma co ich denerwować, ani rozkaz nie jest jawny. A pozostali... Sam wiesz, cała naprzód.

–Zaraz policzę – skinął głową Essex.

–Poczekaj chwilę. Założymy się, że moje stado już policzyło wszystkie możliwe manewry? Łącznie z podejściem szturmowym?

–Za cholerę nie będę się zakładał. Mnie to pasuje, mniej roboty.

–I nie świruj, Phil.

–Pilnuj siebie.

–Wyślij ludzi do domu.

–Domyśliłem się, panie admirale, sir...

Dowódca odciągnął kołnierzyk i pokręcił głową.

–Proszę cię, Phil, nie przejmuj się tak... – poprosił.

Tylek mruknął coś krnąbrnie i przerwał połączenie.

Raszyn wstał i nagle musiał złapać się oparcia fotela, bo zniosło go w bok. Jeśli ktoś nie był przygotowany na to, że niespodziewanie odgryzą mu połowę grupy, to był nim właśnie jej commander. Co innego wrócić zwycięsko na Ziemię, zebrać całą siłę woli w garść i za jednym zamachem pozbyć się dowodzenia – to mógłby zrobić, ale tracić wszystko po kropli... Nagła utrata najmocniejszych okrętów i całej mrówczej floty mocno uderzyła w jego miłość własną. Poniżyła go jak nic dotąd w życiu. Widocznie w admiralicji naprawdę chcieli zrobić wszystko, co możliwe, byle Raszyn wrócił do domu – jak sam powiedział – cichy i potulny, znający swoje miejsce w szeregu.

A im więcej czuł poniżenia, tym bardziej rosła w nim złość.

Rosyjski chłopak Oleg Uspienski od dzieciństwa przyzwyczajony był do dyskryminacji, pogróżek i innych metod plucia w duszę. Dlatego zanim skończył dwadzieścia lat, nikt nie potrafił go zastraszyć, zmusić do posłuszeństwa, złamać czy choćby nagiąć. On sam zaś – zamiast nauczyć się straszyć, zmuszać i naginać, nabył rzadkiej umiejętności werbowania zwolenników oraz przekonywania przeciwników. Dostał się na świecznik wyłącznie dzięki oszałamiającej uczciwości i szczerości. Wierzyli mu nawet najwięksi łgarze gotowi wszystkich posądzać o kłamstwo.

Za każdym razem, stykając się z podłością i intrygami, Raszyn chwycił się jednak za głowę, nie chcąc jej stracić.

Przeczuwał już, że połączenie Grupy F z siłami policyjnymi wymyślono z jakimś nie najlepszym zamiarem, nie wiedział tylko, na czym to świństwo miało polegać. Admiralicja sądziła, że kiedy się dowie, ruszy na Ziemię szukać sprawiedliwości, a wtedy policja weźmie „Skoczka” abordażem i pojmie zbuntowanego dowódcę. A Essex grzecznie odprowadzi Grupę F do stoczni na rekonstrukcję. Bardzo racjonalny plan.

Tyle że Raszyn mógł wyrzucić nad Marsem jednego scouta i zmusić go do przesłuchiwania eteru, żeby – o ile się uda – złapał kontakt z Siecią. Czyli uczestnicząca w tajnej akcji Grupa F, odzyskawszy uszy, szybko się dowie, co przeciwko niej wymyślono. A to była sprawa niezwykle istotna, uwzględniając wybuchowe nastroje szeregowych astronautów, którzy gotowi byli raczej ostrzelać Ziemię, niż lądować na niej.

Oraz bardzo preceniając chęć policjantów do boksowania się z elitarną brygadą szturmową dowodzoną przez człowieka, u którego całe życie uczyli się sztuki walki. Może wyjątkiem był policyjny wiceadmirał, który pobierał nauki razem z Raszynem.

Został tylko jeden problemik: jak, wiedząc to wszystko, wytrzymać napięcie

najbliższych dni? Ustrzec się udręki rozmyślań, kto i jak cię wystawił? Zachować opanowanie, kiedy stanie się coś niedobrego? Nie wpaść w histerię, z zimną krwią znaleźć wyjście?

Najlepsze wyjście. Może jedyne.

Raszyn namacał dźwignię interkomu.

–ZDO commander Borowski! – powiedział. – Do mnie!

*** * ***

W muszli klozetowej właśnie coś cicho mrucało i pluskało, gdy scout „Ripley” ostrożnie wysunął się z cienia, obmacując powierzchnię Cerbera skanerami optycznymi.

–Oto jest nasza latarenka... – zagruchał Fein, wpatrując się w monitor. – Caluteńka. Dlaczego, zaraz, milczysz? Dobra. Chłopy, a to co?

–W zakresie radarowym go nie widać. W podczerwieni nie widać. Szefie, można wysoką częstotliwością?

–Nawet nie próbuj. No, chłopcy, patrzymy, pókiśmy żywi.

Na powierzchni po obu stronach latarni znajdowały się dwie dziwne maszyny – pogięte zakrzywiałyki nieludzkiego kształtu, przypominające bardziej uschnięte konary drzew niż mechanizm. Zero symetrii. Żadnego maskowania, do jakiego przywykło ziemskie oko. Srebrzyste, miękko świecące pokrycie. Od czasu do czasu przez korpusy pojazdów przebiegało ledwo widoczne drżenie.

–Bardzo duże – zauważył drugi nawigator. – Co najmniej jak battleship. Aż nie do wiary...

Fein odpiął się od ściany i podciągnął do siebie terminal dalekiej łączności. Wybrał polecenie, ale jego ręka zawisła na chwilę nad pulpitem kontaktowym. Jeden ruch i informacja o tym, że wykryto Alienów, pójdzie w głąb Słonecznego, gdzie zostanie przechwycona przez anteny „Gordona”. Ale wysyłając sygnał, „Ripley” się zdemaskuje. Teraz wyskanowanie scouta, przynajmniej znanymi na Ziemi metodami, byłoby niezwykle trudne. Sądząc po indyferentnym zachowaniu Obcych, oni też jeszcze nie zauważyli małego statku zwiadowczego.

Tylko sterowany promień mógłby wymacać „Ripley”, ale trzeba by się było domyślić, że ta metalowa pchła leci nie od strony systemu planetarnego, a z zewnątrz. Jednak i tak – promień jest wąski, a scout mały...

Ale zaraz „Ripley” da głos. Choć tylko jeden jedyny impuls, i tak strasznie...

Dowódca zwiadu pchnął terminal za plecy, na rufę, gdzie siedział i mdlał ze strachu młody technik.

–Hej, mały! – zawołał Fein, nie odwracając się. – Na mój rozkaz wyślesz sygnał. Przygotujcie się, zaraz będzie pełny ciąg i fikołek. Johny, sterowanie przekazaj mnie. Tatuś Abe ma ochotę sobie pokierować.

–Przynajmniej powiedz, coś wymyślił, szefie – poprosił drugi nawigator.

–Chcę uratować wasze sprytne tyłki, jak zwykle. Mały, gotów?

–Tak, sir – wykrztusił technik.

–Zuch! Panowie, zaraz odwrócimy się i pokażemy im rufę. Polecimy w cień, na ile to tylko możliwe, potem staniemy do tych fiutów dziobem i pełny ciąg. Jasne?

Załoga milczała. Dowódca nie proponował niczego rewolucyjnego, po prostu w razie pościgu Obcych zamierzał wypróbować na nich standardową ziemską taktykę.

Wszystkie okręty bojowe made in Słoneczny miały jeden demaskujący feler – wydech. Dlatego podczas walki starały się trzymać do nieprzyjaciela bokiem albo dziobem, byle nie rufą. Jeśli ktoś wlaź ci na ogon, to jeszcze nie znaczy, że jesteś skazany – przecież między zwierciadłami znajdują się mocne lasery. Zaczyna się wtedy artyleryjski pojedynek. Ale przeciwnik ciebie świetnie widzi, a ty jego tak sobie.

Jeszcze gorzej, gdy lecisz scoutem, który w ogóle nie ma broni, poza etatowym pistoletem dowódcy przeznaczonym do rozwiązywania potencjalnych konfliktów na pokładzie. Dlatego zwiadowca raczej popędzi w kierunku wroga, niż się od niego odwróci. Przeskoczy w bezpiecznej odległości, kopnie w ciąg i odleci miniaturowy i niewidoczny. Jeśli w pobliżu znajdują się planety, to scout wykorzysta na dodatek ich pola grawitacyjne tak, żeby wykreślić jakiś ciekawy łuk i zwać w kierunku nieprzewidzianym przez kompy przeciwnika.

–Może nie zafiksują... – rzucił Johny.

–To się zaraz zobaczy, co?

–Ale historia: Obcy – wymamrotał technik, jakby dopiero teraz się obudził.

–Ciśnij przycisk, mały – powiedział z uśmiechem Fein. – I niech Śmoc będzie z tobą.

Młody astronauta nie docenił żartu, westchnął i stuknął palcem w pulpit.

Kilka sekund minęło w kompletnej ciszy i znieruchomieniu. Potem ktoś nerwowo zgrzytnął zębami.

I jakby słysząc ten zgrzyt, Obcy poruszyli się. Przez poszycia ich statków przeszły fale drobnej wibracji. A potem obie zaschnięte gałęzie z nieoczekiwaną lekkością odkleiły się od powierzchni i niespiesznie wzniosły w górę. Jakim sposobem mogły tak manewrować?

–Mały, ciśnij znowu! – ryknął Fein.

Technik posłusznie wdusił kontakt i drugi impuls ruszył do domu, przekazując informację o sposobie poruszania się Alienów.

–Gotowe! – zameldował chłopak.

–W pytę! – wrzasnął commander, po czym cisnął scouta w niewyobrażalny przewrót przez dziób.

Obcy nagle przyspieszyli i rzucili się w pościg.

–Idioci! – warknął Abraham Fein. – Od razu widać, że nie Żydzi. Po co obaj?

–Zara jak palną... – zauważył Johny.

–Nie-e – pokręcił głową dowódca. – Oni potrzebują języka.

Skorygował nieco ruch silnikami manewrowymi, zbliżając trajektorię ku Cerberowi. Obcy odsunęli się od siebie, wyraźnie zamierzając przycisnąć scouta do powierzchni globu.

–Marsjanie, jako żywo – powiedział drugi nawigator. – Durnie. Szefie, reaktor gotów do pełnego ciągu. Wszystkie systemy OK.

Fein usunął energię ze zwierciadła i jednosteczka szła dalej tylko dzięki rozpędowi. Alieni nagle zaczęli się miotać na wszystkie strony.

–Nie widzą... – szepnął Johny. – Nie może być... Ale jesteśmy cwani!

I w tym momencie korpus „Ripley” drgnął, a potem zawibrował jak po trafieniu. Mdlące drżenie spowodowało, że przed oczami astronautów wszystko popłynęło. Wydawało się, że ludzie i aparatura zaraz popękają na kawałki. Ktoś z załogi głośno jęknął.

–Trzymajcie się! – krzyknął commander.

Scout wykonał kolejny ryzykowny przechył, celując dziobem w przestrzeń między

Obcymi. Drgnął tym razem z własnej woli i jak pocisk armatni wystrzelił przed siebie.

Dygotanie ustało, widocznie zwrotny okręt minął granicę wycelowanego weń pola Obcych. Przemknął między Alienami, runął pionowo ku powierzchni Cerbera i muskając go nieledwie skrzydłami jak rasowy myśliwiec, przemknął dokoła planetki, zwinnie manewrując między spiczastymi skałami. Po drugiej, oświetlonej stronie odskoczył pełnym ciągiem od niebezpieczeństwa i poleciał tyłem do przodu, na trajektorii inercyjnej, w kierunku wnętrza Układu.

Obcy wolno wysunęli się zza Cerbera i przystanęli jakby niezdecydowani.

Fein pomrugał, strząsając wodę z rzęs. Z trudem udało mu się dojrzeć indyktor czasu wśród innych danych rzucanych na wewnętrzną stronę hełmu. Od początku manewru minęło dwadzieścia pięć minut. Mimo wściekłego wysiłku systemu przedmuchu i odwadniania wewnątrz skafandra można było utonąć we własnym pocie. Takie bączki jak dzisiejszy commander rzadko wykręcał nawet podczas wojny. Ludziom można było zwiać, korzystając ze znacznie mniejszych przeciążeń, ale Alienom? Choć wyglądało na to, że strach ma wielkie oczy. Obcy wcale nie byli aż tak zręczni ani tak cwani.

Dowódca odpiął pasy i ostrożnie, żeby nie ulecieć w powietrze, przeciągnął się całym ciałem.

–Jeśli damy radę zwiać – powiedział – trzeba będzie jakoś zatrzymać ten kretyński remontowiec. Bo jak nie, to go złapią i wypreparują. Pewne jak dwa razy dwa. Jak tylko otrzymamy potwierdzenie od Tyłka...

Nie zdołał dokończyć. Obraz Obcych powiększony na ekranie zadrżał, najwyraźniej przez przyrządy przemknęło drobne falowanie. Po czym nagle rozsypały się.

Eksplodowały oślepiającym białym, ciepłym światłem.

Fein odruchowo zamknął oczy. I zaraz poczuł, że nie ma siły się poruszyć. Jakby ktoś go chwycił za skórę i podniósł w powietrze, i teraz wisiał tak bezsilny i żaloszny.

Uchylił jedną powiekę. Dokoła wszystko zalewało pulsujące białe światło. Nie dało się zobaczyć niczego w najbliższym otoczeniu – otulała je szczelna jasna mgła.

Nagle poczuł przyspieszenie, niewielkie, ale wyraźne. Obcy w jakiś sposób podciągali „Ripley” do siebie. Bezwolnie zwisająca ręka Feina odzyskała nagle wagę, opadła obok pulpitu kontaktowego. Commander ze smutkiem skonstatował, że została im jedna szansa – wystarczy nacisnąć kontakt i reaktor da ciąg, płynnie zwiększając prędkość do maksimum. Scout skoczy na spotkanie Alienom i być może nie uda im się go schwytać. Ale może... Tylko jak? Możliwość jakiegokolwiek ruchu została całkowicie zablokowana. Napłynęła fala strachu. Paraliżując ciało, Obcy

usiłowali na dodatek stłamsić również wolę, wykorzystując w tym celu naturalne reakcje ludzkiego mózgu. *Strach zabija myśl*. Kto to powiedział? Niemające podłoża przerażenie rodziło się gdzieś w piersi i wypełniało całą duszę.

Niewyraźne jęki w słuchawkach tylko potęgowały przerażenie. Fein znowu zamknął oczy, usiłując znaleźć jakieś wyjście z szalonej sytuacji, i pojął, że sam nic nie rozumie. Chciał tylko, żeby ta męczarnia się wreszcie skończyła. Skończyła się... Skończyła... Jak zmusić Obcych, żeby przestali go torturować? A niby dlaczego ich? Może należy zmusić siebie, żeby się wyłączyć? A wtedy będzie miał w nosie wszystko, co się dzieje. A wtedy...

Nawet nie miał siły wykrzesać odrobiny radości z tego odkrycia. Za bardzo się bał. Potwornym wysiłkiem woli zmusił gardło do przełknięcia wypełniającej usta śliny, żeby się potem nie zakrztusić. Zrobił mocny wydech.

I nie robił wdechu.

Ten numer nie był dla Feina niczym nowym. Abe często chlał, w pijanym widzie tracił ludzkie oblicze, znów chlał łapczywie, oblewając się alkoholem i zachłystując, by potem walczyć z udręką czkawki. Stosował wtedy prosty sposób – wstrzymywał oddech aż do omdlenia. Najważniejsze było oszukać samego siebie, zmusić organizm, by uwierzył, że bez powietrza jest mu lepiej.

Gardło zdusił bolesny spazm. Przed oczami popłynęły kręgi. Jeszcze trochę musi wytrzymać. Jeszcze. I wszystko będzie OK. I wszystko się u... nor... mu...

Fein stracił przytomność. Jego ciało uwolnione z pasów wychyliło się do przodu. Ciężki hełm uderzył w oczekujący na dyspozycje pulpit.

Łup!

Reaktor posłusznie charknął energią w zwierciadło. W punkcie zapłonu plazmy rozjarzyło się małe słońce. „Ripley” jak użądlna skoczyła do przodu. Przyspieszyła. Potem przygazowała, sypiąc pełnym ciągiem.

I zrobiło się ciemno.

* * *

Jak wiele innych wynalazków, jakie otrzymał ród ludzki w spadku po utalentowanym, ale specyficznym plemieniu Rosjan – typu soczyste przekleństwa, pierożki i tańce z prysiudami – daleka łączność wyróżniała się prostotą pomysłu i ograniczonymi możliwościami zastosowania. Kwanty promieniowania elektromagnetycznego w zakresie optycznym niosły informację z prędkością światła, nie ulegając zniekształceniom i zanikowi sygnału. Nawet słaby nadajnik „Ripley”

pozwalając na wysłanie bez problemu czułego powitania choćby nawet do mgławicy Andromedy. Ale choć nadanie sygnału to była betka, jednak komplikacje przy deszyfrowaniu niwelowały wiele zalet tego rodzaju wynalazku. Poza tym radio kosztowało znacznie mniej, więc daleka łączność zgodnie ze swą nazwą miała sens tylko na rzeczywiście dużych odległościach, kiedy najważniejsza była niezawodność i precyzja przekazu.

Dlatego boja nasłuchowa Grupy F, przewidująco wyrzucona zupełnie gdzie indziej, niż spodziewała się ciekawska admiralicja, otrzymała z „Ripley” dobrej jakości obraz. Abraham Fein, poleciwszy technikowi wduszać przycisk wysyłania informacji, mógł pozwolić sobie na – jak sam lubił mawiać – *luksus kopnięcia w kalendarz z siłą, przyjemnością i z czystym sumieniem.*

A resztki eskadr uderzeniowych Grupy F w postaci cruiserów i czterech destroyerów przeformowały się w szyk atakujący.

Wysunięty daleko do przodu na „Gordonie” Essex wyhamowywał nad strefą rażenia i olewając instrukcje admiralicji, przygotowywał się do wyrzucenia scoutów. Dodany do grupy remontowiec kuśtykał w bezpiecznym oddaleniu, po uszy pogrążony w autoremoncie. Na „Skoczku” na całego bzycały nieszczęsne uszczelki. Na „von Reyu-3” – niebezpiecznie grzał się reaktor. „Rocannon-2” w ogóle, jak się okazało, nie był zdolny do prowadzenia ognia z powodu awarii aparatury telemetrycznej, ale załoga nie mogła nikogo o tym powiadomić, ponieważ w przestrzeni panowała nakazana odgórnie cisza radiowa.

Pierwszy naruszył ją Essex, kiedy czarne cienie ziemskich jednostek wychodziły już do szturmu. I zakłócił ją nie byle jak, a otwartym kanałem głosowym. Powiedział dwa słowa na awaryjnej fali międzyplanetarnej.

–*Foxtrot Whisky!* – zaskrzypiał w głośnikach jego słynny w całym Słonecznym głos, który spowodował, że marsjańscy łącznościowcy na dole najpierw znieruchomieli, a potem się posikali.

FW – to oznaczało ostrzeżenie dla Grupy F.

Potem chwalono Tyłka za ten czyn cechujący się tak zwanym wysokim humanizmem. Nazywano go szlachetnym rycerzem i tak dalej.

A on tylko otrzymał ze scoutów brakujące dane, przyjrzał się uważnie pełnemu, panoramicznemu obrazowi powierzchni i zauważył, że coś tam nie gra. Szybko przeliczył warianty i podjął heroiczną decyzję: *tak na wszelki wypadek, by uniknąć nieprzyjemności, lepiej będzie narobić szumu.*

Stanowisko Dowodzenia Okrętem cruisera serii 100 kończy się półokrągłym ekranem, przed którym są rozmieszczone niczym fotele w teatrze stanowiska

oficerów. Z przodu i na dole, skierowane na pole ekranu, znajdują się pulpity starszego nawigatora i kanoniera, którzy mają za plecami stanowisko kontrolne dowódcy. Potem są dwaj łącznościowcy. Jest tu też para rezerwowych pulpitów uniwersalnych na wypadek, gdyby trzeba było posadzić w nich pośrednika albo jakieś wysokie dowództwo, które – jak wiadomo – jeśli już idzie do teatru, to nie siada nigdzie indziej jak w łoży. Ale zazwyczaj na SDO pracuje piątka ludzi. Cały pozostały personel rozlokowany jest na pokładach na pierwszy rzut oka bez sensu. Wielu podwładnych podczas walki w ogóle nie wie, co robi, no i bardzo dobrze, bo nadmiar informacji skłania człowieka raczej do refleksji niż szybkiego wykonania rozkazów.

W czasie ataku wszystko, co dzieje się dokoła jednostki, można podziwiać tylko z SDO. Dobry widok zapewniają monitory grupy ogniowej, siedzącej dokładnie w geometrycznym środku okrętu. Niezły przegląd sytuacji ma też rezerwa – młodzi nawigatorzy, zajmujący podczas walki rezerwowe stanowisko dowodzenia. W sumie bezpośredni uczestnicy wydarzeń to maksimum pięćdziesięciu ludzi. Wachta wypoczywająca leży w kajutach z opuszczonymi maskami speckostiumów i dusi komara. Jeśli trzeba będzie kogoś zmienić czy w ogóle opuścić uszkodzoną jednostkę, zostaną obudzeni.

Zasada *mniej wiesz - lepiej śpisz* nie dotyczy podczas boju tylko dowódcy, jego zastępcy i brygady techników. Ci są niezastąpieni. I tak Raszyn czuwa na SDO, Borowski na Stanowisku Ogniowym Okrętu (które teoretycznie powinno mieć równie zwięzły skrót SOO, ale nawet w admiralicji ktoś zrozumiał, że może to budzić nieco niewłaściwe skojarzenia z małpami w klatkach), a Werner z drużyną czeka przy osłonie sekcji reaktora. Poza nimi na idącym do walki „Skoczku” powinien czuwać doktor Epstein i asystująca mu w ciężkich przypadkach Linda. Ale ta para zawsze działała wbrew regulaminowi – skoro w marszu mają roboty powyżej łokci, właśnie podczas walki korzystali z okazji, żeby się wyspać. Wtedy jakoś nikt nie skręcał sobie nogi ani nie wpadał w depresję, gdyby zaś – co na cruiserach rzadko się zdarza – okręt zaliczył dziurkę w strefie roboczej, umarli na śmierć raczej nie wymagają terapii.

Do chwili zakłócenia przez kontradmirała Esseksa ciszy radiowej życie na cruiserze „Paul Atrydes” toczyło się zwyczajnym trybem. Okręt flagowy idealnie utrzymywał pozycję w centrum atakującej grupy i, basowo pomrukując zasobnikiem, opadał na Marsa. Lecząca w awangardzie grupka destroyerów już musnęła wierzchnie warstwy atmosfery.

–Na dole mamy niewielką turbulencję – powiedziała Ive. – Może nas na podejściu lekko trząchnąć. Wszyscy zapięli pasy, mam nadzieję?

Raszyn, którego funkcje admiralskie w tym momencie już się zakończyły i sprowadzały wyłącznie do konsumpcji informacji z monitora, powiedział: *Hm.*

–Dwie minuty do otwarcia ognia – zameldował Fox.

–Tak. Hej, co tam w eterze? Klient się nie rusza?

–Nie, sir. Wyłapujemy niewielkie tło radiowe, ale to tylko ich radiostacje przenośne.

„Skoczek” nagle szarpnął się i odbił w lewo. Niewielka turbulencja wyglądała raczej na poważną burzę. Po krótkim majknięciu okręt wrócił na kurs.

–Burza – mruknęła Candy. – Tornado. Proszę popatrzeć, sir, na dole mamy prawdziwe tornado. Idzie na nasz cel.

–Dlatego się nie ruszają – podsumował Raszyn. Oznaczające położenie okrętów gwiazdki na jego monitorze pokazywały, że grupa znakomicie trzyma szyk. – Dobrze idziemy. Dokładnie według rozpiski. Nawet...

W tym momencie Essex wypowiedział swoje słynne dwa słowa.

Astronauci twierdzili potem, że kiedy rozległo się owo demaskujące Grupę F FW, mieli wrażenie, jakby to świętokradztwo wprawiło w osłupienie cały zamieszpany kosmos.

–Idiota! – ryknął na stanowisku ogniowym Raszyn i wywołał Esseksa na kodowanym zakresie.

–Mamy zafiksowany cel – beznamiętnym tonem zameldował Fox.

Idący do ataku cruiser brzęczał jak napięta cięciwa.

Admirał głośno powiedział po rosyjsku coś, czego nikt nie zrozumiał. Na „Skoczku” podstawowy słownik admirała był raczej znany, ale w tym momencie dowódca użył czegoś nowego.

Jednak szef sztabu nie dał mu okazji do długiej wiąchy.

–Duże nagromadzenie sprzętu w strefie rażenia – powiedział szybko, pojawiwszy się na ekranie. – I żadnych ludzi.

–Coś ty narobił, skurwielu?! Zwieją!

–Nie zdążą. Powtarzam: nie ma tam nikogo w promieniu co najmniej stu mil.

–No to co, pieprzony admirale?!

–Kontradmirał. Według regulaminu armie sojusznicze powinny tu już być w odległości trzydziestu mil i czekać, aż damy salwę.

–Jaki znowu regulamin, durniu! Przecież to Marsjanie!

–Tak, ale to nasi uzgadniali operację. Czyli powinniśmy się orientować na ziemski regulamin walki. W przeciwnym przypadku zostalibyśmy powiadomieni.

–Rzeczywiście Tylek z ciebie – rzucił Raszyn i rozłączył się.

Essex wykonał gest, jakby umywał ręce. Gapiło się na niego kilka par zdumionych oczu – nikt z podwładnych siedzących na SDO „Gordona” nie był najwyraźniej biegły w gestach biblijnych.

Na dole pojawiły się żółte błyski eksplozji – ktoś na chybił trafił młócił niebiosy laserem. Nie miało to żadnego sensu, Grupa F i tak przecież wybrała do przeprowadzenia ataku maksymalnie szaloną trasę.

Admirał, mamrocąc pod nosem rosyjskie słowa, odwrócił się do ekranu przeglądownego.

–Marsjańską falę natychmiast – poleciał. – Łączność głosową!

–Minuta do otwarcia ognia – przypomniał Fox.

–Wiem! – ryknął Raszyn. – Dajcie mi łączność! Znajdźcie ich!

Ive, naprowadzająca kiwającego się na boki „Skoczka” na cel, nie mogła wprawdzie odwrócić wzroku, ale świetnie wyobrażała sobie, jakie wściekle oczy ma dowódca. Takiego czegoś, co działo się w tym momencie, jeszcze nie widziała w życiu. Do głowy jej nie przychodziło, że kilka chwil przed atakiem można szukać kontaktu z wrogiem.

Bezładna strzelanina z dołu ustała. Odżyły głośniki.

–Powierzchnia wzywa admirała Esseksa! – krzyknął obcy głos. – Ną Boga, admirale!

–Kontradmirała Esseksa – tym razem to Raszyn poprawił upierdliwie. – Co za fiut nadaje?

–Nie można zidentyfikować – pośpiesznie zameldował łącznościowiec. W kartotece głosowej „Skoczka” znajdowały się dane wszystkich czynnych marsjańskich dowódców. Czasem dzięki temu szło rozszyfrować obcy podstęp wojenny.

–Tu Essex – rozległo się w eterze. – Kim jesteś?

–Pułkownik Ton, samoobrona Republiki! Gdzie pan jest, admirale? Co się dzieje?!

–Dlaczego zaatakowaliście, nie czekając na nas?

–Ale... jak to... Co znaczy: *nie czekając na nas*⁷.

–Mamy rozkaz o wspólnej operacji. My ostrzelujemy powierzchnię, wy przejmujecie.

–Kogo przejmujemy? – zdziwił się Marsjanin.

Potem zapanowała grobowa cisza. Zapewne szefa sztabu ogarnęły wątpliwości albo już żałował okazanej szlachetności i szacował, jak oberwie od Raszyna.

–Do otwarcia ognia trzydzieści – powiedział Fox.

–Żadnego pułkownika Tona – zameldował łącznościowiec – nie było i nie ma, sprawdziłem.

–Tak myślałem – skinął głową Raszyn. – Kiwają nas. Och, niech tylko stąd ujdziemy z życiem, Tyłek pożałuje... Zaduszę tego panikarza.

–Tu są tylko kopalnie... – wymamrotał Marsjanin. – A my ochramiamy... Tylko nie strzelajcie, na Boga...

–Niestety, Boga nie ma – powiedział Essex ze smutkiem w głosie. – Hej, Aleks! – zawołał. – Wybacz mi, kretynowi.

–Bóg niech ci wybaczy – syknął zjadliwie dowódca Grupy F. Lipny pułkownik ostatecznie się zdradził. Marsjanie nie byli religijni. A piraci i przemytnicy, ludzie przesądni z samej definicji złodziejskiego fachu – tak.

–Admirale Uspienski! – rozległy się wrzaski z dołu. – Nie róbcie tego! Jesteśmy swoi!

–Czas! – sapnął Fox.

Marsjańską bazę znowu rozjaśniły błyski. Kolejne pudło!

–Zezwalam – cicho powiedział Raszyn.

Kanonier delikatnym ruchem przejechał po pulpicie kontaktowym. „Skoczek” drgnął całym potężnym ciałem, skalisty płaskowyż na dole zasnuła bura chmura. Po ułamku sekundy Grupa F, spluwając ogniem, przemknęła nad celem i zniknęła. Do ziemskich okrętów nie został oddany ani jeden wystrzał. Najprawdopodobniej już nie miał kto strzelać. Obrabiany fragment powierzchni przesłoniła szczelna powłoka pyłu, przez który słabo przeświecał wolno puchnący malinowy grzyb.

–Cel zdławiony – zameldował Fox.

–Jak tam z nami? – zapytał admirał.

–„Rocannon” nie strzelał. Awaria systemu, blokada głównej lufy. Reszta w porządku.

–Odwołanie stanu gotowości. – Raszyn wyprowadził na ekran obraz pozostawionej już daleko za sobą powierzchni Marsa. – Ta-a-ak... Trochę im zepsuliśmy bazę... Kapitanie-poruczniku Kendall!

–Słucham, sir! – ochryple odezwała się Ive. Utrzymanie „Skoczka” w locie koszącym kosztowało ją sporo trudu.

–Dalej działamy według planu. Zuch dziewczynka!

–Tak jest, sir.

–A teraz Tyłek do mnie, na rozszarpanie! – niemal wesoło rzucił dowódca,

*** * ***

Abraham Fein ocknął się i odkrył ze zdziwieniem, że wcale nie jest nagi i nie leży w łóżku żony, w którym właśnie pokazał, co to znaczy prawdziwy astronauta. W rzeczywistości zwiadowca był zapakowany w skafander bojowy i bezwolnie zwiślał z fotela na pokładzie „Ripley”. Wyprostował się z trudem. Przez pewien czas, chcąc dość do siebie, siedział nieruchomo, często mrugając. Potem poruszył głowę, chwycił zębami ustnik i wypił kilka łyków energizera. Napój przyniósł mu ulgę. Mógł się już rozejrzeć.

Namierniki pokazywały, że z dwudziestu ostatnich godzin blisko trzydzieści minut commander przebywał w głębokim omdleniu, a przez resztę czasu spał. Inni członkowie

załogi byli nieprzytomni godzinę albo dwie, potem zapadli w sen, nie do końca zdrowy, pełen koszmarów, ale mimo wszystko regenerujący.

Scout oddalał się od Słońca z przyspieszeniem bliskim granicznego. Obraz mapy nieba nie wywoływał zachwytu. Fein wyprowadził na monitor dane optyki obserwującej, szybko przewinął zapis i skamieniał.

Alieni dwukrotnie doganiali „Ripley” podczas niesterowanego lotu. Po dwóch godzinach od omdlenia dowódcy i po kolejnej półtorej. Dwa połyskujące wykrętasy nieoczekiwanie wyskakiwały przed dziób jednostki, usiłując oddziaływać na nią przy pomocy jakiegoś pola grawitacyjnego. Za każdym razem malutki scout szczęśliwie przeskakiwał między prześladowcami i gdy oddalał się na jakąś setkę mil, Obcy znikali. Pojawianie się i znikanie Alienów było wręcz magiczne – z niczego gęstniał

szary obłok, a w nim statek wroga. Wisiał chwilę, drżał, otulał się mgłą i tajał.

Fein jęknął zachwycony. Legendarny zero-transport, który Ziemianie usiłowali opanować na prototypie „Gorbowskiego” i w który – jak się wydawało – nie wierzyli nawet projektanci statku, istniał naprawdę. Abraham przypomniał sobie przypadek „Skywalkera”, oszacował, jakie zalety da Obcym zero-T w prawdziwej walce, i jęknął ponownie.

Dlaczego nas puścili? – pomyślał. – To raczej nieprawdopodobne, że u nich, jak u nas, i broń, i napęd są zasilane z jednego źródła. Na pewno nie. Przecież generowali swoje tajemnicze promienie od razu po wynurzeniu się z podprzestrzeni czy jak jej tam. Czyli mogli również wystrzelić nam w rufę. Znaczy, że wypuścili nas z premedytacją. A może mam o nich zbyt wysokie mniemanie... Ze strachu.

Mocno zacisnął powieki. Potem drążącą ręką dotknął kontaktów na podłokietniku fotela i zaczął pracować. Po kilku minutach zakończył obliczenia i wprowadził do kompa nowy kurs.

„Ripley” płynnie zmieniła kierunek. Powoli zaczęła odchodzić w górę, opuszczając płaszczyznę ekliptyki. W tym momencie Fein był gotów nawet przez miesiąc kręcić się nie wiadomo gdzie, żeby tylko nie spotykać znowu Obcych. Zwyczajne nawigacyjne sztuczki nie dawały takiej gwarancji. A obszerna półpętla wyrzucała scouta ze strefy zainteresowań Alienów.

Należało zameldować dowództwu o ostatnich obserwacjach, ale commander nie odważył się na to w tym momencie. Był za bardzo wykończony i stłamszony. Nie zamierzał wysłać meldunku, zanim nie wróci do Układu Słonecznego wysoko nad płaszczyznę, po której poruszały się planety i statki.

Żałoga spała. Fein westchnął. Budzić ludzi nie było sensu, ich psychika wyraźnie nie otrząsnęła się jeszcze z szoku. Przyjdzie czas – sami się ockną. A może by tak...

Usunął niemal całą energię ze zwierciadła, przyspieszenie spadło do jeden G. Commander sprawdził stan powietrza w pomieszczeniu, uznał go za dobry, podniósł więc pokrywę hełmu, odpiął maskę antyprzeciążeniową i zaczął spazmatycznie kasłać, uwalniając

płuca z mieszanki oddechowej. Potem odpiął pasy, by ostrożnie stanąć na nogi. Kiwnął się, ale ustał. I wolno, chwytając się wszystkiego, czego tylko mógł, ruszył na rufę.

Z szafki nad sedesem wyjął hermetycznie zamkniętą plastikową kolbę. Przerzucił kilka przełączników na panelu i uważnie wsłuchał się w syk wymyślnej konstrukcji. Pokiwał z zadowoleniem głową, następnie podniósł pokrywę z groźnym napisem NIE SRAĆ! Wsunął w trzewia muszli wielką z powodu wzmacniającej rękawicy, ale

wystarczająco zręczną dłoń. Chwycił i wyciągnął przewód z kranikiem na końcu, podłączył go do kolby. Przekręcił wentyl. Kosmiczny węzeł sanitarny chrumknął, by wypluć porcję brunatnej cieczy.

Na pokładzie innego scouta Grupy F tego typu działania oznaczałyby, że odznaczany wielokrotnie commander Fein oszalał ostatecznie. Ale nie na „Ripley”. Werner, były podwładny Abrahama, zaczął eksperymenty z kibelem, jeszcze latając na „din Alcie”. Konstrukcja urządzenia była zbyt zaawansowana, żeby się do niego po prostu wypróżniać. Byłoby to uwłaczające dla ziemskiej myśli technicznej.

Fein zahermetyzował ponownie muszlę, po czym wrócił na swoje miejsce. Połączył się z fonoteką i nastawił cichą muzykę. Odkorkował kolbę, przysunął do szyjki nos, powąchał.

–Do-obraze – powiedział zadowolony. – Do przyjęcia.

Rozejrzawszy się jak przestępca, uniósł naczynie w błazeńskim toaście, zrobił konieczny w takim wypadku wydech i łyknął. Z trudem złapał oddech. Błysnął oczami.

–Matko kochana! – zawołał. – No, chłopaki, żebym zawsze takie coś miał, a wy żebyście się obudzili!

I łąpczywie łyknął znowu.

* * *

Szef sztabu polecił zwolnić. Grupa F odpięła maski i przebrała się ze speckostiumów w lekkie robocze mundury. Astronauci radośnie poszli pod prysznic, a potem łąpczywie pochłaniali zwykłe, ludzkie jedzenie. Ale normalnego upojenia z powodu ziemskiej grawitacji nikt nie odczuwał. Na grupę zwałił się taki problem, przed jakim jeszcze nie stała w ciągu całej historii bojowej.

Oleg Igoriewicz Uspienski, trzygwiazdkowy admirał floty kosmicznej, kawaler wielu orderów i medali, niemłody i śmiertelnie już zmęczony mężczyzna, leżał w swojej kajucie, odwróciwszy się twarzą do ściany. Leżał bezwładnie jak szmaciana lalka. Na środku stojącego na biurku monitora tliła się gasnąca czerwona kropka – pozostawiony za rufą Mars.

To była demonstracja. Ktokolwiek by wszedł do kajuty, a tym razem admirał nie zamknął drzwi, zobaczyłby właśnie to, przeklętą Czerwoną Planetę na monitorze. Tym sposobem Raszyn okazywał, że nie ma ochoty na szczerą rozmowę.

Minęła doba od chwili, kiedy odsunął się od pełnienia służby i leżał w milczeniu i nieruchomo, odmawiając jedzenia i nie odpowiadając na próby wciągnięcia go do

rozmowy. Chwilami wydawało się, że po prostu śpi.

Pozbawiona dowództwa Grupa F nadal leciała w kierunku Pasa. Zgodnie z rozkazami okręty zachowywały ciszę radiową i nie usiłowały połączyć się z ziemską Siecią.

Ale samotnemu scoutowi, kryjącemu się w meteorytowym kraterze na Fobosie, nikt nie bronił podłączenia się do prywatnej marsjańskiej boi i ściągnięcia z niej newsów z trzech planet.

Gdy tylko zaczął przekazywać dane, Raszyn chciwie pożerał oczami monitor. A potem, nie mówiąc ani słowa, dał na ekran widok Marsa, ułożył się w łóżku i odwrócił nosem do ściany.

Formalnie nie przekazał nikomu pełnomocnictw dowódcy. Oszołomiona zaś wiadomościami załoga Grupy F nie miała pretensji do Raszyna. Ale on sam wycofał się z gry.

Tak jak oczekiwał – wykiwano go.

* * *

Zdrada była bardzo wyrafinowana.

Grupa F wykonała postawione przed nią przez admiralicję zadanie wyśmienicie. Po marsjańskiej kopalni i całym jej cywilnym personelu nie pozostał nawet ślad. Zlikwidowane zostały również strzegące obiektu oddziały – siły republikańskiej samoobrony na czele z pułkownikiem Tonem.

Nie było tam nigdy żadnej pirackiej bazy.

Był natomiast z całą pewnością splot finansowych interesów. Komuś ta cholerna kopalnia stała kością w gardle. I ten ktoś był gotów na wszystko, byle zaniechano wydobywania. Może konkurencja? A może cała Rada Dyrektorów chciała zwiększyć kontyngent uranowego eksportu na Marsa?

Może też ktoś chciał skomplikować stosunki między Red City i mocno zależną od marsjańskiej rudy Wenus?

Gdy na Ziemi Akcjonariusze rozważali rozwiązanie floty, jak na zamówienie znaleźli się ktoś cyniczny i bezlitosny, kto połączył dwie sprawy w jedną.

Kontradmirała Esseksa przy głównej śluzie powitał Borowski. Tym razem Tylek przybył na „Skoczka” bez ochrony i wyglądał na nieco zmiętolonego. Od szefa sztabu na kilometr jechało harą.

–Panie kontradmirał... – zaczął ZDO, ale Essex zamknął mu usta niedbałym ruchem ręki.

–Przestań! – rzucił. – Nie czas na formułki. Już nie jesteśmy armią. Jesteśmy piratami. Kryminalistami.

Borowski skrzywił się niechętnie, ale nic nie powiedział.

–Masz jakieś pomysły? – zapytał Essex. – Co robimy?

–Pomysły są – burknął zachmurzony pierwszy oficer. – Rzecz jasna, to nie moja sprawa, ale gdyby mnie ktoś zapytał, powiedziałbym, że powinniśmy wracać na Ziemię.

–Ha! – Tyłek rozejrzał się nerwowo, jakby rozmowę mógł ktoś podsłuchać.

–Na Ziemię – powtórzył Borowski. – Albo na Marsa. Albo i na Wenus, czemu nie. Ale nie uciekać.

–A my wcale nie uciekamy. Tylko policja na nas czeka, doczekać się nie może.

–Czy to prawda, że rozkazy wsadziliśmy w dupę?

–Yhy. To znaczy nie całkiem w dupę. Mamy teraz inny rozkaz. Ultimatum. Żądanie, żeby Aleks zaniechał samowolnych działań, przekazał grupę mnie i wracał.

–Biedny Raszyn! – westchnął Borowski.

–Nie pęka, jak myślisz?

–Po prostu jest zmęczony – powiedział twardo ZDO. – Przecież pan wie, Philipie, że on jest nie do złamania. Ma lekką depresyjkę. Minie.

–Kto to mówi? Wasza psycholog, ta, jak jej tam?...

–Linda. Tak, ona też.

Essex w zamyśleniu podrapał się po szczecinie na brodzie.

–Dobra – powiedział. – Spróbujmy go reanimować. Musimy w końcu coś postanowić.

–Chodźmy – zgodził się Borowski. Ruszyli pustym korytarzem. Pierwszy oficer maszerował w milczeniu, gapił się pod nogi, a Tyłek hymkał i sapał, coś obracając w głowie.

–Nigdy nie podobał mi się tutejszy zastępca do spraw liniowych – powiedział w końcu. – A tobie jak?

–Nijak – mruknął Borowski.

–Chcesz przejść na jego miejsce?

–A on? – z niedowierzaniem popatrzył na kontradmirała ZDO.

–A on się zastrzelił – rzucił niedbale Essex.

–Poważnie? –

–Godzinę temu. Ósme samobójstwo w ciągu doby. Krwawym sadystom wysiadają nerwy. Jak tam jeszcze prasa o nas pisze, zapomniałem?

–Pana to rusza?

–Nieszczególnie – przyznał Tyłek. – Po prostu wkurza mnie, że flota została pochowana naszymi własnymi rękami. No to jak, wracasz na stanowisko?

–Jeśli Raszyn tak zdecyduje...

–A jeśli już o niczym nie zdecyduje? – podstępnie zapytał Essex.

Zamiast odpowiedzi Borowski nagle zatrzymał się, mocno chwycił kontradmirała za kłapy kurtki i cisnął o ścianę.

–Tyłek... – syknął z uczuciem. – Żebym więcej takich tekstów... Jasne, panie kontradmirałe, sir?! Tyś tego nie powiedział, ja tego nie słyszałem!

–Zgłupiałeś?! – nie podnosząc głosu, zainteresował się Essex. – Znowu mózg ci popuszcza? Weź te łapy!

–Nie ruszaj mojego Ruskiego, rozumiesz?! – ryknął ZDO. – Nie jesteś wart jego małego palca! Dupa sztabowa! Łeb urwę i nafaszeruję gównem!

–Psychopata. – Tyłek oderwał od swoich kłap wczepione weń dłonie Borowskiego i odsunął się o krok. – Kto go rusza?! Ja tylko tak, na wszelki wypadek...

–Ja ci dam wypadek... – Pierwszy oficer nagle się uspokoił. – Twoi ludzie walą sobie w łeb na prawo i lewo, a ty chlejesz samogon. Ty to się ze wstydu nie zastrzelisz, co, Phil?

–Commander Borowski! Proszę skończyć z tą histerią!

–Nie mam zamiaru!

–No to pocałuj mnie w dupę! – Essex odwrócił się plecami i pomaszerował dalej.

ZDO kilka razy kopnął ścianę, ale ruszył za nim.

–Nie miałem nic złego na myśli – rzucił przez ramię Tyłek, gdy Borowski go dogonił.

– Po prostu jestem zaniepokojony. Co będzie, jeśli Aleks postanowi leżeć sobie tak dalej jeszcze z tydzień? A poza tym wcale nie jest żadnym twoim Ruskiem. On jest naszym Ruskiem. I ty, nawiasem mówiąc, też jakoś nie śpieszysz się ze strzelaniem sobie w łeb.

–A idź ty... – mruknął skonfundowany Borowski na znak zakończenia awantury.

–No i dobrze – skinął głową szef sztabu, zatrzymując się przy admiralskich drzwiach i wduszając przycisk przywołania.

Gdy wszedł, skonstatował z satysfakcją, że w zachowaniu Raszyra wystąpiła zmiana – leżał z zamkniętymi oczami, ale już nosem do góry.

–Cześć, Aleks – powiedział Essex, siadając na łóżku obok admirała. – Jak się czujesz?

Ten nie odpowiedział, zacisnął tylko mocniej powieki.

Borowski ustawił się za fotelem, oparł łokciami i zwiesił głowę.

–Czyli tak, Aleks – zaczął Tyłek – możesz sobie milczeć, a ja ci po prostu wyłuszczę warianty proponowane przez sztab. A ty zdecyduj. Tak? Hej, chłopie, śpisz?

–Nie śpi – mruknął ZDO. – Proszę mówić, Philipie, proszę mówić. Jak przyjdzie czas, to on powie swoje.

–Mam nadzieję! – prychnął kpiąco Essex. – Dobrze by było, żeby się odezwał, zanim cały personel wystrzela nam się w dupę. Dobra, Aleks, układ jest taki: piłować dalej tym samym kursem nie ma sensu. Musimy wyprzedzić przeciwnika, a nie pchać się na rożen. Flota jest załatwiona. Grupa F – kaplica. Ale warto powalczyć przynajmniej o nasze głowy. Czyli musimy hamować, zawracać na Marsa.

Borowski podniósł głowę i popatrzył z niezadowoleniem na szefa sztabu. Opanowało go przeświadczenie, że jeszcze kilka minut temu w głowie Tyłka nie mieściły się żadne pozytywne warianty i kiedy ZDO robił z siebie na korytarzu histerycznego durnia, kontradmirał beczelnie rąbnął mu jego pomysł. Za każdym razem w takiej sytuacji Borowski przypominał sobie, że gdyby nie problemy ze zdrowiem, też mógłby nosić teraz na piersi wielką admiralską gwiazdę. I zaczynał się

wtedy złościć.

–Wylądujemy przy Red City – ciągnął Essex. – Nie pozwolimy im ochłonać. Wyślemy parlamentarzystę i powiemy: *Stało się, chłopaki, tak i tak, możecie nas sądzić, ale to nie nasza wina*. Niech sami wyczują, komu przeszkadzała ta nieszczęsna kopalnia. A wtedy natychmiast wypłynie całe gówno. Wybuchnie wielki skandal, a my będziemy zrehabilitowani. Najważniejsze, by zrobić to jak najszybciej. Im dalej odlatujemy od Marsa, tym bardziej przypominamy wariatów i przestępców.

Raszyn cicho westchnął i obrócił się na bok, twarzą do ściany.

–Nie wariuj, Aleks – poprosił szef sztabu. – Przecież to nasza jedyna szansa. Co, chcesz się bić z policją? Przypuśćmy, że ich załatwimy. Ale jaki to ma sens? Tylko jeszcze raz udowodnimy, że jesteśmy winni.

Admirał wzruszył ramionami.

–Szczepnie mówiąc, wcale mi się to nie podoba – wtrącił Borowski. – Gdyby mnie ktoś pytał...

–No? – ponaglił go Essex.

–Walmy na Ziemię! – zaproponował ZDO. – Zawieśniemy nad Paryżem. Ogłosimy ultimatum, niech w ciągu dwudziestu czterech godzin przywloką za fraki tego, kto to wszystko wymyślił. Bo jak nie, to bombniemy. Założmy się, że to wyjdzie?

–Ekstremista z ciebie – pokręcił głową Tylek.

–A poddawanie się Marsjanom to zdrada – odparował Borowski. – W każdym razie tak to zinterpretują. Na kij nam arbitrzy i pośrednicy? Po co wynosić śmieci z domu? Trzeba wyjaśnić co należy w swoim gronie. Jak nasi niemal poczują na dupie bombardowanie, to od razu gruchną na plecki i łapki do góry.

–Tak czy siak, myśl, Aleks – powiedział Essex. – A my poczekamy. Jeszcze jest trochę czasu. Idziemy, Jean Paul, nie przeszkadzajmy mu.

–Powodzenia, *driver* – powiedział Borowski do pleców Raszyna.

–Po coś się wziął z tym bombardowaniem? – zapytał Tylek zastępcę dowódcy, gdy znaleźli się na korytarzu. – Co to za numery? *Zawieśniemy nad Paryżem!* Tak przy okazji: to jego rodzinne miasto.

–No to co?! – plasnął w dłonie Borowski.

–I tak nie mamy czym bombardować – uświadomił mu Essex. – Wszystkie rakiety

zostały na „Starku”. A Wujek Gunnar świetnie o tym wie.

–No, jak nie bombniemy, to palniemy.

–Słuchaj, przestań pieprzyć jak potłuczony!

–Przewrót wojskowy! – drapieźnie oznajmił ZDO. – Pucz. Przejęcie władzy! W dupę całą tę resztę!

–Maniak – postawił diagnozę Tyłek.

–Mam już dość tego burdelu na Ziemi – wyjaśnił Borowski. – Ty nie? Bo ja od dawna.

–Może na razie zajmijmy się sprawami organizacyjnymi – ugodowo zaproponował Essex. – Jak rozruszać Aleksa?

–Idziemy do Lindy – zdecydował ZDO. – To inteligentna kobieta.

–I jakie bufory! – przytaknął Essex. – Jeśli proporcjonalne do rozumu, to ho-ho!

Kapitan Stanfield powitała gości niezbyt przyjaźnie.

–Czego? – zapytała napastliwie, nie udając nawet, że na widok przełożonych zamierza wstać. Ci w rewanżu, nie przywitawszy się nawet, od razu przystąpili do rzeczy.

–Ile jeszcze Raszyn może się boczyć? – zapytał kontradmirał, siadając na brzegu biurka.

–Ile się da – odparowała Linda. – I nie proście mnie o nic, nie będę się nim zajmować.

–Dlaczego? – zdziwił się szef sztabu. – Wydawało mi się, że to jest pani obowiązek, że tak powiem.

–Byle nie z nim.

–Ale dlaczego?

–Nie będę i już.

–Lindo, droga moja – powiedział czule Borowski – może Philowi to się wydaje dziwne, ale ja cię dobrze rozumiem. Słuchaj, nie prosimy cię na razie o nic takiego. Tylko podpowiedz nam, jak go postawić na nogi?

–A po co? Niech sobie poleży. Odsapnie, to sam wstanie.

–Mamy mało czasu. Musimy podjąć pewne decyzje.

–Zaproponowaliście mu już coś?

–No.

–Domyślam się – burknęła lekceważąco Stanfield. – Poradziliście mu udowodnienie, że to my mamy rację, a Ziemia nas wykiwała. Udowodnienie przy pomocy siły, tak?

–A pani kapitan – wycedził Essex – ma inne pomysły?

–Ależ nie, panie kontradmirał. Tylko nie jestem pewna, czy nasz szef jest już gotowy do takich siłowych działań. Nie rozumiecie, że on ma dość walenia głową

. w ścianę? Przecież nie robi nic innego od dwudziestu lat. Ciągle bez rezultatu.

–Proszę posłuchać, Lindo – zaczął Tylek – pani uwagi... Wszystko to piękne. Ale jakoś nie słyszę tu głosu profesjonalisty. Może jednak by się pani skoncentrowała i zabrała do roboty? Do czego Aleks jest gotów, a do czego nie, to nie ma teraz znaczenia. Grupa potrzebuje, żeby był gotów na wszystko. Niech pani idzie i coś z tym zrobi.

Na początek Linda zrobiła taką minę, jakby miała się rozplakać. Essex popatrzył na nią zdziwiony, przeniósł spojrzenie na Borowskiego. ZDO odwrócił wzrok.

–Nawet pan nie wie, skąd on mnie wyciągnął – wychrypiała Stanfield. – Jest dla mnie jak ojciec. Kocham go, rozumiecie?

–Jak ja mam dość tych waszych problemów osobistych! – syknął Essex. – Proszę zrozumieć, Lindo, teraz nie czas na smarkanie w rękaw! Chodzi o być albo nie być całej naszej grupy. Okrętów już nie uratujemy, ale musimy przynajmniej zatroszczyć się o ludzi...

A od tego, czy Aleks będzie z nami, czy będzie się wylegiwał w kajucie, zależy niemal wszystko. Rozumie pani? Aleks musi się podnieść. Inaczej będzie miał na sumieniu półtora tysiąca ludzi. Pani też będzie ich miała na sumieniu, jeśli zaraz się pani nie opanuje i nie poskromi swoich emocji.

–Jeśli uda mi się go ruszyć, zabierze mnie pan na „Gordona” – odpowiedziała beznamiętnie. – Ja już tu potem nie zostanę. Albo on mnie przepędzi. On jest taki... On wszystko rozumie.

–Dobrze – zgodził się Tylek. – Jeśli Aleks wstanie i zacznie działać, może pani

pakować swoje rzeczy. A teraz proszę iść, pani kapitan. To rozkaz.

Linda podniosła się wolno, ominęła Borowskiego, zaglądając mu przy tym w oczy. ZDO odwrócił głowę. – Musimy – westchnął. – Wybacz, siostrzyczko. Stanfield wsadziła ręce do kieszeni, trąciła nogą kontakt na drzwiach i wyszła.

–Dom wariatów! – skonstatował zdumiony Essex.

–Nie – zaproponował ponuro Borowski. – Wcale nie. W domu wariatów jest cicho i spokojnie. Nic się nie dzieje. Żadnych problemów. Jak w raju.

Na korytarzu oparta o ścianę Linda kilka razy głęboko odetchnęła. Odwróciła się w stronę admiralskiej kajuty, ale nagle stanęła jak wryta. Potem niemal biegiem ruszyła w przeciwnym kierunku.

*** * ***

Ive z rozkoszą ułożyła się na łóżku i cicho podśpiewywała pod nosem jakąś prostą melodyjkę. Andrew siedział w jej fotelu i wertował ziemskie komunikaty z Sieci. Na monitorze widniał wybór danych o admirale Uspienskim. Analizując historię jego życia, dziennikarz bardzo przekonująco udowadniał, że Raszyn nie miał innej drogi poza szaleństwem. Z materiału wynikało, że chory na umyśle Rosjanin postanowił zemścić się na całym świecie i atak na Marsa jest tylko pierwszą akcją, za którą pójdą kolejne, jeszcze silniejsze uderzenia, tym razem w Ziemię. Przewidywał także, że Uspienski albo aresztował, albo wymordował wszystkich wiernych przysiędze oficerów. W tym kontekście autor ze szczególną goryczą pisał o kontradmirał Esseksie, którego wysiłki w ostatnich latach pozwalały utrzymać w ryzach wpadającego w szaleństwo Raszyna.

Wnioski były obszerne i niezbyt pochlebne dla admiralicji. Jako ilustrację do materiału przytaczano statystykę chorób psychicznych wśród oficerów floty kosmicznej. Andrew przejrzał wyniki badań bardzo uważnie i uznał liczby za zawyżone. W przeciwnym wypadku trzeba by było przyznać, że po przestrzeni kosmicznej sunie jeden wielki dom wariatów, zatem flotę należy nie rozwiązać, tylko załadować prosto z kosmodromu do karet i rozwiązać po szpitalach.

Oczywiście ziemskie agencje informacyjne nie mogły wyjaśnić wszystkich zachowań Grupy F. Dywagacje obracały się wokół osoby Raszyna i kondycji psychicznej oraz moralnej

na powierzonych mu jednostkach. Na admiralicję jako taką nikt szczególnie nie napierał, co najwyżej oskarżano Wujka Gunnara o niedbalstwo i utratę kontroli nad wojskiem. Admirał floty König w odpowiedzi podał się do dymisji, uczynił głośny, publiczny rachunek sumienia z powodu swojej haniebnej ślepoty i zwał odpowiedzialność na departament służby zdrowia. No bo to przecież podlegli mu psycholodzy i lekarze nie potrafili w porę zdiagnozować rozwijającej się u Raszyna schizofrenii. Medycy z kolei w zawołany sposób narzekali na trudności w pracy z astronautami i przypomnieli sobie, że König również nie tak dawno temu wyłgał się od badań kontrolnych. Wszyscy byli zgodni tylko z tym, że Rosjanie nie powinni przemierzać kosmosu, ponieważ są przesadnie wrażliwi.

Andrew przesunął stronę i zerknął przez ramię na Ive.

–Rozumiesz coś z tego?

–Yhy – wymruczała, przeciągając się. – Wystawili nas. Teraz dopiero się zacznie...

–Co się zacznie? – tępo zapytał Werner.

–Stawianie na uszach – wyjaśniła Candy spokojnie. – Raszyn spuści tym bydłakom wpierdol. Nie będzie pretensji, że za mały.

-Komu *im*⁷

-Cywilom. Kretyni, chcieli staruszka utopić! No to teraz on ich utopi. Ci idioci nawet nie wyobrażają sobie, na kogo się porwali. Raszyna nie wolno obrażać, bo on siedzi cicho, ale jak wybuchnie!...

Technik wziął ze stołu gumkę i zaczął zgarniać włosy w ogon. Ive obróciła się na bok i obserwowała go z rozchylonymi z zadowolenia ustami.

-Po co facetowi takie wspaniałe włosy? – zapytała na głos.

-Żeby robił wrażenie na dziewczynach – uśmiechnął się Andrew.

-A ile ich miałaś?

-Włosów?

-Nie uchylajcie się od odpowiedzi, poruczniku. Kocie jeden... Znamy my takich.

-Nie wszystko ci jedno? – Obrócił się wraz z fotelem, chytrze mrużąc oczy.

-Wszystko jedno. Tylko jestem ciekawa. – Ive przemknęła spojrzeniem po jego ciele i któryś już raz uznała, że mężczyzn zbudowanych lepiej widziała milion, ale takiego kochanego...

-Mało ich było – powiedział Werner – i za każdym razem coraz wyraźniej widziałem, że one wcale mi nie są potrzebne. Znasz może takie uczucie, kiedy myślisz sobie: *No, z tym człowiekiem wszystko będzie dobrze, jest miły i wspaniały. Bęc! Nic bardziej błędnego. Jeszcze jeden epizod niepotrzebny ani sercu, ani rozumowi. Już nawet myślałem, że jestem jakimś wyrodkiem emocjonalnym... Wszystko się odbywało z litości albo tak sobie, na gazie, rozumiesz? Wypijemy, potańczymy i tak dalej, a rano jakby nic się nie wydarzyło. Tylko osad w duszy zostaje, jakbym kogoś okradł albo zajął cudze miejsce...*

-A teraz? – zapytała Candy, kładąc się na brzuch i majtając nogami.

-A teraz jestem szczęśliwy. – Andrew wstał i podszedł do niej.

Kendall wyciągnęła rękę i wolno przejechała dłonią po jego nodze.

-Ooo... Jak ja kocham twój dotyk. Takie czułe dłonie...

-To z miłości... – szepnęła Ive, czując, jak Werner kładzie się na niej miękko i delikatnie, tak że niemal nie czuła jego wagi, jak obejmuje ją za ramiona i całuje w szyję. Wygięła plecy, żeby czuć go całym ciałem. Dłonie Andrew nagle znalazły się

pod nią i objęły jej piersi tak zręcznie i naturalnie, jakby były specjalnie do tego wyhodowane. Pocałunki przeszły w delikatne kąsania i Candy wyobraziła sobie, że jest kotką, sytą i zadowoloną, którą zaraz doświadczony kocur chwyci zębami za kark... I nic nie trzeba robić, nie trzeba o niczym myśleć, bo wszystko pójdzie znakomicie. Tylko trzeba się obrócić na spotkanie tego, co powinno się zdarzyć, tylko wchłonąć swojego mężczyznę w siebie. On jest twój i wszystko, co będzie z tobą robił, jest realizacją twoich marzeń. A to, co podoba się tobie, spodoba się jemu. Nie może być inaczej.

–Nie tak, ty świntuchu! – powiedziała.

–Pardon – umyślnie zduszonym głosem wychrypiął Andrew. – Ale jak się kocha...

Ive mocno zacisnęła pośladki i zaczęła się wrywać.

–Aha! Coś w tym jest! – mruknął Werner.

Jakiś czas minął im w szarpaninie.

–To nieuczciwe – powiedział w końcu Andrew. – Przecież jestem silniejszy.

I od razu znalazł się na plecach.

–A tak? – zapytała drapieźnie Candy. – Albo tak...

–Jesteś cudowna – szepnął, z oddaniem i zachwytem wpatrując się w jej oczy. – Z tobą... jest dobrze... jak zawsze... Bo z tobą... Ooo...

Może już wiedzieli o sobie wszystko albo – stworzeni dla siebie – posiadali tę wiedzę od urodzenia. Już za pierwszym razem osiągnęli szczyt rozkoszy jednocześnie. I teraz też Ive upadła z jękiem nasycenia na pierś Wenera, czując, jak ten w rozkosznej męce pulsuje w jej wnętrzu.

I w tym momencie interkom na drzwiach odezwał się energicznie i bezapelacyjnie.

Głowa master-technika opadła na poduszkę, otworzył usta i przewrócił oczami.

–Dobre i to – westchnął.

Candy z trudem, przez przenikającą ciało falę rozkoszy, roześmiała się.

–Kochana... – szepnął Andrew, mocniej przyciskając ją do siebie.

–A ty mój, mój i mój – odparła, ale zsunęła się z niego, wyciągnęła rękę i wdusiła przycisk na podłokietniku fotela.

–Wy tam, kochane gołąbeczki, ubierać się!– zażądały drzwi głosem Lindy. – Jest robota.

–Znowu wojna? – rzucił ponurym głosem Andrew. – Jeszcze nie macie dosyć, co?

–O czym ty mówisz? – zapytała Linda, obracając się do niego w marszu.

–Wiesz o czym. Najpierw postraszymy policję, potem Ziemię... Będziemy udowadniaли, że nie jesteśmy źli i że nie myśleliśmy o niczym złym. Nam na spotkanie pošlą battleshipy i „Starka”, i tego drobiazgu od cholery... No i stracimy pół grupy. No i rozwalimy kilka eskadr takich samych idiotów jak my. No i zagrozimy ostrzałem...

–Powstrzymaj te ruskie jęki! – rozkazała kapitan Stanfield. – Jak nie rozwalimy my, to rozwalą nas.

–Przecież to nasi, jak do nich strzelać? – mruknął Werner i ciężko westchnął.

–Przestań, Andy – poprosiła Ive. – Myślisz, że tylko ty masz sumienie?

–Nie chodzi o sumienie – odparł. – Po prostu w tym momencie dotarło do mnie, że zachowujemy się jak wojskowi. Usiłujemy rozwiązać problem przy pomocy siły. Niedobrze. Już na trzech globach uznano nas za wrogów. Ciekawe, czy pokochają Grupę F, jeśli nadal będzie strzelała i zastraszala? Rozumiem, że mamy kłopot, ale czy nie da się pokojowo?

–Nie da się – wycedziła Linda przez zęby.

–Dlaczego? Za mało naszych zginęło? – zapytał zjadliwie Andrew.

–Głupiś, poruczniku... Jeśli Grupa F okaże teraz słabość, zacznie się wahać, to będzie najlepszy dowód na to, że Raszyn jest wariatem, a my tylko tańczymy jak nam zagra. Admirał sfiksował, i teraz sami nie wiemy, co robić... O to właśnie idzie, że musimy prowadzić tę samą politykę. Naprawdę zachowywać się jak armia.

–No nie wiem – pokręcił głową Werner. – Nie jestem specjalistą. Ale wydaje mi się, że należy teraz wykonać jakiś ładny spektakularny gest. Nie straszyć. A nawet wręcz przeciwnie: podłożyć się. Naprawdę dość już tych działań bojowych. Ci, co mają rację, powinni przekonywać, a nie ścinać głowy.

–Lubicie, wy, Rosjanie, tak o sobie myśleć! – prychnęła Stanfield. – Wszechogarniające przebaczenie i nieingerencja. Opowiedz to swojemu papciowi Raszynowi. Pogłaszczcie cię po główce i z radości wykręci takiego depresona, że trafi do mnie na oddział. Tfu! Zawsze mówiłam, że flotą powinni dowodzić Amerykanie.

Ive zatrzymała się przed drzwiami kajuty admirała, spojrzała na Wenera i położyła mu rękę na ramieniu.

–Co ci jest? – zapytała cichutko, widząc, że Andrew stoi, patrząc sobie pod nogi.

–Wybacz mi – szepnął, unikając jej wzroku. – Po prostu czuję... Nie wiem. Idź sama. Ze mnie nie będzie teraz pożytku.

–Szlachetny pasożyt – rzuciła Linda i odwróciła się.

–Nie mów tak – powiedziała Candy. – Za to też cię kocham.

–Ja też cię kocham. Wybacz mi, proszę.

Ive szybko pocałowała go w policzek i dotknęła przycisku na ścianie. Drzwi się otworzyły, Kendall przekroczyła próg. Werner wsunął rękę w kieszenie i ruszył korytarzem przed siebie.

–Brawo! – zawołała za nim Stanfield.

Ramiona technika w odpowiedzi uniosły się i opadły. Oparta o ścianę Linda zaczęła wściekle ogryzać paznokcie.

–Dzień dobry, *driver* – tymczasem Candy powiedziała niepewnie. – Ja do pana. Mogę?

–Co się pytasz, skoro weszłaś? – burknął Raszyn. Już nie leżał, a siedział przy biurku, podpierając głowę pięściami.

–W czym imieniu ta delegacja? – zapytał.

–Przepraszam?

–Kto cię przysłał, pytam... Borowski? Czy Linda?

–Ja...

–Linda – domyślił się admirał. – Niepotrzebnie. Już jestem OK. Względnie. Czy ci twoi popierdoleńcy mają jakiś bimber?

–Nie mam pojęcia – zdziwiła się Ive.

–Przed akcją mieli cały kanister – wyjaśnił Raszyn. – Ale co to jest dziesięć litrów dla pięciu, i to na całą dobę?! Tylko gardło przepłukać...

–Skąd pan wie? – wykrztusiła oszołomiona Kendall.

–Ja na tej balii robię za coś jakby dowodzącego – zauważył admirał. – Czy może już nie?

–Proszę posłuchać, *driver*, ja...

–Dzięki, że przyszedłeś – nieoczekiwanie zmienił temat. Spojrzał na Candy, a ta zdumiała się zapadniętymi oczami i sińcami pod nimi. Raszyn wyglądał na chorego. I nieszczęśliwego.

–Mogłaś się przecież nie zgodzić – ciągnął. – Ale jesteś. Żal ci się zrobiło starego durnia. I-dio-ty.

–Niech pan skończy! – Iwe straciła panowanie nad sobą.

–Kończę w nocy i na ścianę! – rzucił admirał z taką złością, że Candy zarumieniła się i wbiła oczy w podłogę. – A na dodatek przychodzą tu gapić się na mnie jak na mumię wodza. Stoją nad moim ciałem i przemawiają. A ja sobie leżę i przewracam się w grobie...

–Mam sobie pójść? – zapytała cicho Kendall.

–W żadnym wypadku – warknął Raszyn. – Jesteś na tej balii jedynym normalnym człowiekiem. Siadaj, siadaj! Komu jeszcze mogę się wyplakać?

–Nic pan jeszcze nie zdecydował – uświadomiła sobie Iwe.

–Tfu! – obruszył się. – Czy ty jesteś pierwszy dzień pod moim dowództwem? Ja mam wszystkie warianty już dawno przekalkulowane.

–I? – zapytała z nadzieją.

–I nie widzę nic dobrego. W każdym wypadku co najmniej jedna trzecia grupy idzie pod nóż. I rozwalimy przy okazji tylu policjantów, że przykro myśleć. I nie zapominaj o naszych battleshipach, na których już pewnie zostały wymienione załogi. I jeszcze ten walony „Stark”... Co za szczęście, że cała reszta armii poszła na złom! – zawołał admirał. – Gdyby mi miesiąc temu powiedzieli, że będę się z tego cieszył... A tak mamy jakąś szansę. Ale na samą

myśl, że na przykład ty i ja ocalejemy, a cała reszta nie... Wszystkie destroyery można już skasować! A jak tak, to czy to jest wojna? O nie, to morderstwo!

Iwe zacisnęła ręce między kolanami i bezradnie patrzyła na dowódcę.

–A ilu naszych już się zastrzeliło? – zapytał Raszyn.

–Proszę posłuchać... – jęknęła Kendall. – Może zawróćmy, co? Polecimy na Marsa.

Poddamy się. No?

–Rozumiesz... – powiedział admirał z szaloną goryczą w głosie. – Poddać się możemy wszędzie, to nie problem. Mnie jest *wsio rowno*, w każdym wypadku zostaną rozstrzelani...

–Jak to?!

–Tak to. Widziałaś rozkaz z dołu? Nie? No, to wszystko wyjaśnia. Rozkaz otrzymaliśmy obaj, ja i Tylek. A po dekodowaniu rozkaz wyparował. Nie mogę niczego udowodnić. Wychodzi więc, że jestem zwyczajnym pieprzniętym oficerem, jakich pełno dokoła, i nic więcej. Jak kapitan Reez z „Gorbowskiego”. Jedyna różnica jest taka, że on spalił własne desantowce, a ja zaatakowałem Marsjan.

–No przecież Essex potwierdzi...

–Ależ on nie może wystąpić jako świadek w sądzie! – ryknął Raszyn. – On od roku nie był na dole! Wariatkowo czeka na niego z otwartymi ramionami, łaknie go jak kania dżdżu! To dzięki mnie udało się go wybronić z ostatniej komisji medycznej. Bo uważam, że jest normalniejszy od nas wszystkich. Ale to ja tak uważam, a jak medycy patrzą na tych, co się boją dołu?! Grupa F została kiwnięta w sposób idiotyczny, ale skuteczny! My jesteśmy astronautami, po nas można się spodziewać wszystkiego... Czekał, co to ja...?

–O tym, że pana rozstrzelają – podpowiedziała Ive i nagle głupio zachichotała. Admirał uśmiechnął się jedną stroną ust, zmrużył oczy i nagle Kendall zobaczyła takiego Raszyna, jakiego znała bardzo dobrze: pewnego siebie, ironicznego, mądrego. Ale ta maska szybko opadła i oto znowu siedział przed nią zmęczony starzec.

–Właśnie – skinął głową. – Ale najgorsze, że ucierpi całe dowództwo. Więzienie gwarantowane. Wszystkim, którzy z jakiegoś powodu byli blisko ze mną, postarają się zamknąć gęby na długo, o ile nie na zawsze. Mogą zwyczajnie izolować. Mogą doprowadzić do szaleństwa. Rozumiesz, że z rozwiązaniem floty wiążą się ogromne pieniądze. Aż wolę nie myśleć, kto z kim się skumał, żeby nas zniszczyć. Gdyby nas tylko skasowali i posłali na dół, to jedno, ale teraz ta kwota może się zwiększyć o cały rząd jednostek.

–Nie rozumiem... – przyznała Candy.

–Wiesz, kto jest w tej chwili najbardziej zainteresowany zatajeniem prawdy? – zapytał Raszyn. – Mars. Red City.

–Ale dlaczego...?

–Kontrybucja, skarbenku. Mogę się założyć, że w tej nieszczęsnej kopalni było uranu tyle co kot napłakał. Ale w obecnej sytuacji handel z Ziemią zacznie się odbywać na innych zasadach i za inne pieniądze. Nasza kochana ojczyzna potrzebuje materiału genetycznego jak

pijak wódki. A republika, zdecydowanie nie chciała się nim z nami dzielić. Teraz też nie będzie chciała, ale postawi jeszcze twardsze warunki.

–Czyli to wszystko nie nasi zainscenizowali?

–A czy u nas bydłaków mało? – uśmiechnął się admirał. – Generalnie to mam w nosie, kto nam podłożył świnię. Interesuje mnie, jak będziemy się z tego wypłatywali. Bo gdziekolwiek spojrzeć, czeka nas jatka. A ja, szczerze mówiąc, mam dość strzelania do swoich. Już podczas drugiej marsjańskiej miałem tego powyżej uszu. I już więcej nie mogę, rozumiesz?

Ive poczuła, że zaraz się rozplacze. Żelazna logika dowódcy wcale jej nie przekonała. Ale że Raszyn więcej nie wyda rozkazu *Do boju!*, to była katastrofa. On – talizman Grupy F, jej szczęśliwa gwiazda i godło. Jeśli przekaże dowództwo, jednostka się rozpadnie. Kendall rozumiała, że to samo wie Essex, Borowski i cała reszta dowódców. W Grupie F służyło wielu znakomitych oficerów, ale Raszyn był jeden.

–Nie mamy żadnych atutów – ciągnął. – Nie mamy z czego zawistować. Tak to jest, mała. Jak mawiał mój dziadek, stary, doświadczony chirurg, kiedy przychodził do niego jakiś nieprzyjemny pacjent: *To jest pizdiec, a pizdieca nie leczymy...* Hej, dziewczyno, chodź do tatusia na kolana, póki się jeszcze nie rozplakałaś.

Candy wolno, jak we śnie, wstała i podeszła do admirała. Raszyn objął ją, posadził sobie na kolanach i wcisnął nos w jej włosy.

–Wybacz mi – szepnął. – Nie miałem się przed kim wyżalić. Tylko nie myśl sobie, że coś ze mną nie tak. Ja się zwyczajnie boję. Po raz pierwszy. Nigdy się wcześniej nie bałem.

–Proszę nas nie opuszczać, *Olegu Igoriewiczu* – poprosiła Ive, tłumiąc szloch. Jej rosyjski zabrzmiał koślawie, ale czule.

–A gdzie bym się bez was podział... – powiedział Raszyn z niezwykłą goryczą w głosie.

Te słowa przyniosły Candy ulgę. Nawet oczy jej wyschły. Usadowiła się wygodnie i przylgnęła policzkiem do piersi admirała. Nie pamiętała swojego ojca, ale mężczyzna na starych zdjęciach pokazywanych jej przez matkę w jakiś nieuchwytny sposób przypominał Raszyna. Być może potrafił równie dobrze osłonić dziecko od każdego

nieszczęścia, sadzając je sobie na kolanach.

–Tylko powiedz mi, jak mam strzelać do Rabinowicza – mruknął Raszyn. – Bo dla mnie to zagadka. Przecież on uzna, że to coś osobistego. Dwadzieścia lat temu odbiłem mu dziewczynę. Co prawda potem i tak do niego wróciła...

Ive się uśmiechnęła. Nie знаła takich szczegółów z życia dowódcy. A wiceadmirał Rabinowicz dowodził policyjną eskadrą czekającą na Grupę F na granicy Pasa. Ive też miała przyjaciół wśród policyjnych nawigatorów.

–Żadna dziewczyna w Vancouver nie chciała wyjść za Rosjanina – poskarżył się jej dowódca. – Nawet za astronautę. Nawet z naszego wydziału...

–Nieprawda! – wypaliła Ive. – Ja chcę! – I nagle zamilkła.

Przyszło jej do głowy, że Raszyn może opacznie zrozumieć ten okrzyk. A co najważniejsze, sama była zdziwiona, jak swobodnie wyrwały jej się te słowa.

–Andy to wspaniały facet. – Admirał zrozumiał zmieszanie Candy. – Jest bardzo subtelny i inteligentny. Aż za bardzo jak na astronautę. Dobrze, że nie przyszedł z tobą. Tu i tak mamy po kolana różowych smarków.

–Wołałam go, ale nie chciał – powiedziała Ive.

–Też cały sfrustrowany? – domyślił się Raszyn.

–To wasza cecha narodowa? – zapytała Kendall.

–Tak mówią. Ale to nieprawda, moim zdaniem. My, Rosjanie, wcale nie jesteśmy jacyś szczególni. Nas jest po prostu mało i każdy, kto tylko chce, dźga w nas palcami i zawiesza metki. *Oto – powiada – odłamki wielkiego narodu. Ach, jaka szkoda!...* A ten wielki naród jedyne, co robił, to dawał siebie siekać na kawałki, wyręczając innych. Byliśmy przecież strefą buforową między Europą a całą resztą świata. Ze sto razy podbijano nas, niewolono, niszczone. Nie wiem, czy istniało państwo, z którym nie walczyliśmy! I Tatarzy jacyś, i Mongołowie, i faszyci różnego kroju... Szkoda, że nie zdążyliśmy z Ameryką. Dalibyśmy wam popalić! Żydzi też za dużo na siebie biorą. Ech... No dobra, złaź. A gdzie jest Tyłek, masz jakieś pojęcie?

–Chyba gdzieś tutaj. – Ive znów usiadła na łóżku.

–Jas-s-sne... – Admirał przysunął do siebie pulpit. – Dobra. Halo?! Moser, gdzie jesteś?

–Melduję się, sir! – radośnie odrzekł adiutant flagowy.

–Słuchaj no... Wachta Kendall miała gdzieś samogon. Wal szybko do nich. Zgłoś się do tego młodego, jak mu tam...

–Christoff Bulion – niechętnie odpowiedziała Ive.

–Nawigator Bulion, nie zapomnisz chyba nazwiska, co? I powiedz mu, że należy dzielić się z dowództwem. Jakby się stawiał, zagroź mu konfiskatą, i żebym tu miał litra za pół godziny!

–Nie za dużo? – zapytał tonem doświadczonego ordynansa Moser.

–Roz-strzelam! – ryknął admirał.

Adiutant flagowy zniknął z ekranu.

–Ciebie – powiedział Raszyn, odwracając się do Ive – będę potrzebował za dwadzieścia godzin mniej więcej. Idź, na razie odpoczywaj, kochaj swojego Ruskiego i powiedz mu, żeby się nie martwił. Jeszcze nigdy tak nie było, żeby jakoś nie było, nie? Potem zawołam cię, będziemy razem myśleć, rysować schemaciki i wykresiki. I dziękuję ci, Kendall.

–Ale tam... – zawstydziała się Ive. – Nie ma za co...

–Jest – zdecydowanym tonem rzucił admirał. – Aha, jak spotkasz Lindę, powiedz jej, że jest suką, ale i tak ją kocham.

–Aye-aye, sir! – zasalutowała Candy i skoczyła do drzwi, chcąc uniknąć kolejnych równie mało przyjemnych wyznań.

Na korytarzu na podłodze siedziała kapitan Stanfield. Miała podpuchnięte oczy.

–No i? – zapytała.

–Walczymy! – radośnie rzuciła Ive.

–No to do dupy – powiedziała psycholog. – Miałam nadzieję urodzić jeszcze kiedyś dziecko. A teraz to już na pewno gównu z tego będzie.

–Coś ty?! – zdziwiła się Candy. – Wszystko będzie OK. Przecież to Raszyn.

–Głuptasie! – westchnęła Linda współczująco. – Tylko byś latała i strzelała. Mało ci jednego Purpurowego Serca, chcesz jeszcze mieć urnę z pokrywką.

–Jak mam to rozumieć? – Kendall chwyciła się pod boki. – A kto mnie podpuszczał, żebym wyciągnęła starego z depresji?

–Myślałam, że jest mądrzejszy i że się poddamy – odparła Stanfield. – Wszystko do tego zmierzało. A ty, koleżanko, jak widać, przeszarżowałaś. Nadgorliwość gorsza od... Powiedz sama, jak my na naszych dwudziestu czajnikach mamy się równać z trzema planetami?

–Może „Skoczek” to czajnik, ale ma najlepszą załogę w Słonecznym – wypaliła Ive. – O resztę też się nie martw. Najpierw musimy przeżyć, potem przywrócimy sprawiedliwość. Wsadź sobie, wiesz gdzie, te swoje defetystyczne humory.

–Sama sobie wsadź – niemrawo burknęła Linda. – Wal się, póki możesz.

Kendall przykucnęła, przyłożyła dłonie do płonących policzków Stanfield i obróciła jej twarz do siebie.

–Coś się wydarzyło? – zapytała delikatnie.

–Nie – westchnęła Linda. – Według mnie w moim życiu nic się już nie wydarzy. Wiesz co, przyjaciółko, już mi się to wszystko przejadło... Od piętnastu lat jestem we flocie i po co?

–Może po to, że wszyscy cię tu kochają. W końcu cały „Skoczek” przeszedł przez twój gabinet i wszystkim przyniosło to ulgę. Myślisz, że ktokolwiek o tym zapomniał?

–On do mnie nie przyszedł – szepnęła Stanfield. – A kiedy potrzebował pomocy, to ja nie potrafiłam do niego przyjść... musiałam cię namawiać...

–Przecież on jest w porządku – zaproponowała Ive, a sama pomyślała: *To ci historia! Ależ ze mnie ślepa dupa...*

–Nawet nie wiesz, jak on tego potrzebował! – słabo uśmiechnęła się Linda. – Żeby przyszła jakaś kobieta i nic nie mówiła. Tylko słuchała. Wszystko zrobiłaś wspaniale. Po prostu...

–Zrobiłabyś to sto razy lepiej ode mnie.

–Wcale nie! – Stanfield odwróciła się do ściany. Jej policzek, jak zauważyła Kendall, drżał z powodu tiku. – Mnie nie wolno, rozumiesz? To znaczy mogłabym, ale... Etyka zawodowa zabrania nam leczenia bliskich osób. Tylko w wyjątkowych, ekstremalnych wypadkach. Ale gdybym to zrobiła, to już nie mogłabym pozostać przy nim. To trudno wytłumaczyć, jednak tak jest.

–Wybacz mi, ale... Nie próbowałaś mu tego powiedzieć? No wiesz, że...

–Kochana Candy, co ty o mnie wiesz... – powiedziała Linda szeptem. – Chociaż teraz to już nieważne. I tak nas wkrótce nie będzie, więc niech ktoś... Zaczynałam

latać jako desantowiec, Candy. Łącznościowiec batalionu desantowo-szturmowego.

–Co? – nie uwierzyła własnym uszom Ive.

–Właśnie przyjechaliśmy z uczelni do bazy w Orły. – Głos kapitan Stanfield nabrał mocy, stał się dźwięczny i suchy. Wymawiała słowa, jakby ich nie słyszała, niczym automat. – Przygotowywaliśmy się do załadunku. Obok, jak wiesz, jest miasto. Chodziliśmy na przepustki. No i ja wdałam się w bójkę z jedną taką z centrali z powodu faceta. Najgorsze, że facet był do dupy... W koszarach zrobiła się z tego afera, ktoś sobie przypomniał, że jestem za mądra, i tak dalej. Szczerze mówiąc, sama sobie to od dawna kroiliłam. Miałam wybitną samoocenę, wy-bit-ną! Mogłam przebić człowiekowi kość na skroni jednym palcem. Ale kiedy przeciwko mnie stanął cały pluton... Krótko mówiąc, zgwałcili mnie na oczach całych koszar. Czekali, aż dojdę do siebie, i znowu... Wiesz, co to znaczy, kiedy robią to kobiety?... Nasza koleżanka Margot dobrze wiedziała. Ostatnio już nie pomagała jej nawet hipnoza. Co noc we śnie widziała, jak odmawia zrobienia loda, a wtedy wsadzają w nią nogę krzesła...

Candy mocno zacisnęła powieki, z całej siły starała się nie wyobrazić sobie, jak to jest.

–Aleks był tej nocy dyżurnym oficerem bazy – ciągnęła Linda. – Robił obchód i zdjął mnie ze sznura. I doprowadził do tego, że cały pluton poleciał na katorgę. Sam przychodził do mnie do szpitala. Rozmawiał ze mną, przemawiał do mnie niczym doświadczony psychoterapeuta. Ma talent, to pewne. Wiesz sama, że teraz ma to w nosie, ale wcześniej rozkochiwał w sobie ludzi w ciągu jednej sekundy, jednym spojrzeniem.

Ive przytaknęła ruchem głowy. Raszyn mocno się zmienił w ostatnich latach, jednak i tak wybaczano mu wszystko, pamiętając, jaki był wcześniej.

–Wiesz – mówiła dalej Stanfield – powinnam była go za to zniechęcić, przecież wiedział, co ze mną wyprawiali... Ale ja patrzyłam na niego jak pies i marzyłam tylko o jednym, żeby mnie pogłaskał. Miał takie oczy... Gdyby nie on, na pewno bym zwariowała. Ale nie zwariowałam, wyciągnął mnie z tego. Zaciągnął tu. Taką, jaka jestem. A teraz wszystko się wali... Zero nadziei. Zabiją nas, Candy! – jęknęła i w końcu się rozryczała.

Dwie kobiety siedziały na podłodze pod ścianą objęte i szlochały rozpaczliwie. Obok nich na palcach przemknął adiutant flagowy Moser, przyciskając do piersi dziesięciolitrowy kanister z bimbrem.

*** * ***

Fotele w salonie admirałskiego kutra były miękkie i głębokie jak na statku

wycieczkowym. Usiadłszy, Raszyn założył nogę na nogę, skrzyżował ręce na piersi i zrobił niedostępną minę. Essex i Borowski za jego plecami rozmawiali o czymś szeptem.

–Czekam na rozkaz startu – zameldował Moser.

–*Pajechali* – rzucił admirał.

Adiutant z wyczuciem doświadczonego pilota plasnął w dechę. Startowe elektromagnesy odepchnęły kuter od węzła cumowniczego, stateczek wyskoczył z głębokiej szczeliny w kadłubie „Skoczka”. Moser włączył ciąg, przeciążenie wzrosło.

–Nie szalej – poprosił Raszyn.

–Tak jest, sir.

–Proszę posłuchać, *driver* – odezwał się Borowski. – Rozumiem, że to nie mój interes, ale gdyby mnie ktoś zapytał...

–Coś się tak zawiesił: *nie moja sprawa, nie moja sprawa?...* O co chodzi?

–Po co nam to referendum? Marnujemy tylko czas.

–Nie referendum, a narada robocza – skorygował Essex.

Admirał wysunął głowę z za wysokiego oparcia i uważnie przyjrzał się podwładnym.

–Bunt na pokładzie? – zapytał niemal z czułością.

–Absolutnie nie, sir! – ryknął pośpiesznie Borowski.

–N-no! – pochwalił go Raszyn.

Za jego plecami ponownie rozległy się szepty. Słysząc było, że ZDO mamrocze coś oburzony, a Tyłek go uspokaja. Przed admirałem komputer rysował już na ekranie kontury „Gordona”. Dowódca patrzył, jak między gwiazdami pojawiają się zarysy zamaskowanego megadestroyera. Nagle przypomniał sobie, jak ćwierć wieku temu na zajęciach z psychologii ogólnej udowodniał, że astronauta winni podświadomie odczuwać walkę jak grę w wirtualnej rzeczywistości. Bardzo trudno jest walczyć z bezcielesnym i niewidocznym przeciwnikiem poważnie. Oczywiście do chwili, kiedy człowiek złapie pierwszą przestrzelinę w korpusie.

Ale – o paradoksie! – jeśli zostałeś postrzelony, a przeżyłeś i mogłeś poddać analizie to, co się wydarzyło, wojna w kosmosie też nie nabiera realniejszych kształtów. Po prostu człowiek zaczyna się jej bać. Jest też oburzony, że za błąd w grze nagle dostał w łeb. A potem są dwie drogi. Albo już zawsze będziesz się bał –

jak Moser na przykład, albo całą resztę walecznego żywota spędzisz ręką w rękę z nerwicami czy na skraju wariactwa.

Raszyn czytał kiedyś w college'u wspomnienia oficerów floty z czasów Kotłowaniny i na zawsze zapamiętał, jak marynarze pisali o odwadze wojsk lądowych. *My pracujemy przy kompach i rozwiązujemy niemal abstrakcyjne problemy – zwierzał się jeden z doświadczonych taktyków. – To nie wymaga żadnych nadzwyczajnych cech osobowości. Ale żeby siedzieć w okopie i z krzykiem „Hura!” rzucić się do ataku – tu potrzebna jest wielka odwaga. To wcale nie przypomina tego, co my odczuwamy. Oczywiście jeśli w przypadku błędu nas trafią... No jasne, konsekwencje mogą być niezbyt przyjemne. Ale i tak, jeśli ktoś wpadnie na pomysł, żeby podczas walki wrzasnąć na stanowisku dowodzenia: „Hura! Do ataku!”, popatrzą na niego jak na świra. Nasza wojna jest pracą, przede wszystkim pracą intelektu, gdzie nie ma miejsca na emocje, które mogą zniekształcić rozwiązanie zadania i w sumie doprowadzić do utraty okrętu.*

Już jako porucznik Uspienski przekonał się o słuszności tych słów na własnej skórze. Ale na morzu było przynajmniej morze, niebezpieczne, jednak zawsze coś, czego można było dotknąć. A kosmos, nie mniej niebezpieczny, wydawał się pusty i bezcielesny. Okręt podwodny można było wykryć na trzy lub cztery proste sposoby. Ale wyszukanie czarnego jak pustka, znakomicie zaekranowanego bojowego statku kosmicznego wymagało użycia dziesiątków skomplikowanych metod. Z rozbitej łodzi podwodnej wypływała na powierzchnię przynajmniej plama oleju, zaś międzyplanetarny jądrowy destroyer z rozwalonym reaktorem ginął bez dźwięku, a po wybuchu nie było nawet czego szukać.

W kosmicznej wojnie zabrakło romantyzmu. Zabrakło też ziemskich realiów, a zadowolenie ze zwycięstwa pomniejszała jego abstrakcyjność. Ludzie zaczęli więc sami sobie modelować rzeczywistość, każdy znajdował coś dla siebie w szalonych wyścigach pośród mroku. Każdy też wiedział, że jeśli po walce nie klepniesz kolegi w ramię, następnym razem on może skiepić. To spowodowało, że wzajemny szacunek, akceptacja, dostrzeganie sukcesów innych ludzi stało się w załogach podstawą wzajemnych stosunków – nieco specyficznych, ale bardzo ciepłych, niemal rodzinnych. Może dlatego wśród astronautów nie było par małżeńskich, a kontakty seksualne podczas przepustek i urlopów na dole nie miały później niemal żadnego znaczenia. Nawigatorzy, kanonierzy, technicy – wszyscy oni spędzali większość swojego czasu w iluzorycznym świecie lotów między planetami, zajmując się oszukiwaniem samych siebie. Stale sobie wmawiali, że ciągła gra ze śmiercią jest prawdziwym życiem. W przeciwnym wypadku zbyt często mylili się i lekceważyli niebezpieczeństwo.

Z drugiej strony – uwierzyć w to, że bezładne kręcenie się na dole jest właśnie prawdziwym życiem, mogło niewielu. Zwłaszcza że w ostatnich latach, szczególnie po nieudanej już w zamyśle drugiej kampanii marsjańskiej, Ziemia odwróciła się od

własnych żołnierzy.

Raszyn pokręcił głową, odpędzając ponure myśli, westchnął, a mamrotanie za plecami natychmiast umilkło. Essex i Borowski jednocześnie pochylili się w kierunku admirała, usiłując zajrzeć mu w oczy. Ciągle jeszcze mieli stracha, że ich commander porzuci dowodzenie.

Kuter zgrabnie zbliżył się do burty „Gordona” i pokręcił dziobem, wyszukując tarczę cumowniczą.

–Wszyscy już są? – zapytał Raszyn.

–Tak – skinął głową Tylek. – W małej sali konferencyjnej.

–Tam jest przecież mały ekran – powiedział z wyrzutem admirał.

–Ale jest przytulnie.

Dowódca cmoknął z niezadowoleniem, ale przypomniał sobie, że szef sztabu cierpi na agorafobię i postanowił, że nie będzie go katował.

–Wszystko się ułoży, Phil – powiedział. – Spoko.

–Siebie przekonujesz? – zapytał Essex.

Borowski dźgnął go łokciem w bok i zrobił straszną minę.

–Bzdura! – powiedział Raszyn. – Po co mam przekonywać siebie? Wręcz przeciwnie, przed nami najciekawsze sprawy. Ocean radości.

–Tak? – zdziwił się Tylek.

–Oczywiście. A tobie nie znudziły się nasze dotychczasowe sposoby walki?

–A jakie to były sposoby? – Essex popatrzył na Borowskiego.

–Teraz już nie jesteśmy armią – wyjaśnił admirał. – Jesteśmy prawdziwą piracką eskadrą. Przynajmniej na jakiś czas. Póki nie udowodnimy, że Ziemia nas kocha i potrzebuje.

–I co? – ostrożnie zapytał Tylek.

Już dawno wyczuł, że w takiej luźnej rozmowie z admirałem lepiej od razu pytać, niż bawić się w domysły. W głowie Raszyna roilo się od zaskakujących pomysłów.

–To, że piraci muszą być elastyczni i wyluzowani. Wiesz, ile mamy do wychłania? Za

chwile cała rada się nawali jak rakiety... Nie od razu, rzecz jasna, ale kiedy już ustalimy, jak mamy dalej żyć. Po pół litra na pysk. Moser się wysilił. A właśnie, bydlę z pana, kapitanie.

–Dlaczego?! – zdziwił się adiutant, nie odwracając głowy. Wprowadzał właśnie kuter do śluzy.

–Przecież ci powiedziałem, żebyś nie konfiskował wszystkiego.

–Pan mnie krzywdzi, sir. Oni mieli dwa kanistry. Jeden sami mi dali. Powiedzieli, że jeśli będzie potrzeba, to jeszcze napędzą.

–Dowiedziałeś się, gdzie mają aparaturę? – natychmiast zapytał służbowo Borowski.

–Pytanie! – Raszyn zarechotał. – Wszystkie aparaty do pędzenia na okrętach mają podwójne przeznaczenie. U mnie na „Rocannonie” lekarz pędził niemal czysty спирт przy pomocy sztucznej nerki. Na desantowcach też robi się niezły zacier. Potrzebny zbiornik na dziesięć litrów i kupa giętych rurek...

–Tu już przeginasz – powiedział niedowierzająco ZDO. – Niby gdzie to jest?

–W transporterach opancerzonych! – wyjaśnił Essex. – Co z ciebie za szef sekcji bojowej?

–Przecież nie widziałem desantowca na oczy – zaczął się wycofywać Borowski. – I w ogóle...

–Jeśli się nie mylę, Abraham miał coś takiego w sraczu. – Raszyn posmutniał nagle.

Wszyscy zamilkli. Fein ciągle nie dał znaku życia. Tymczasem admiralski kuter bez najmniejszego wstrząsu przyssał się do śluzy.

–Jubilerska robota! – pochwalił się Moser. – Aż miło. Sir, ciśnienie wyrównane. Otwieram luki.

–Dobrze prowadzisz małe tonaże – powiedział ponuro dowódca. – Ale Abraham jeszcze lepiej.

–Pamiętam, *Olegu Igoriewiczu* – pokiwał głową Moser. – Proszę nie wyciągać pochopnych wniosków. Stary Abe nie da się tak łatwo wykończyć. I nasi, i Obcy połamią sobie na nim kły.

–Nasi, jak widać, są gorsi – uśmiechnął się Essex, wstając. – To co, Aleks, idziemy?

–Nie ma we Wszechświecie niczego gorszego od Grupy F – twardo rzucił Raszyn. – Zakarbujcie to sobie na nosach. Póki o tym pamiętamy, żyjemy. A jak zapomnimy,

Podniósł się z wysiłkiem i zgarbiony, zmęczony powędrował do wyjścia.

* * *

Megadestroyer „John Gordon” przypominał z zewnątrz latający talerz o średnicy kilometra. Teoretycznie okręty serii 105 projektowane były jako uniwersalne jednostki bojowe. W praktyce zaś, jak każda jednostka wieloprofilowa, „Gordon” wszystkie funkcje realizował tak sobie. Ziemianie zrozumieli to, kiedy zbudowali dziesięć egzemplarzy stopiątek. Kilka monstrów przerobiono na barki desantowe, jeden uroczyście przekazano policji, a dwa wciśnięto Grupie F. Policja przekształciła swój pancernik w mobilną bazę wojenną, z kolei brygada Attack Force na „Gordonie” urządziła ruchomy sztab, a „Stark” latał z nią jako czynnik podnoszący autorytet formacji. „Gordon” robił za magazyn amunicji, w razie czego mógł pełnić funkcję latającej twierdzy, a najlepiej spełniał rolę straszaka na okopanych na dole. Raketowo-bombowe wyposażenie miał całkiem przyzwoite, w wojsku zaś nie ma nic milszego od poczucia, że ktoś tuż za tobą targa jeszcze większą giwerę.

Stopiątki miały też jeszcze jedną niepodważalną zaletę – ludzkości nie udało się zbudować bardziej odpornej jednostki. Niezwykle rezerwy wytrzymałości i moc ognia taka, że za Wielkim Multifunkcyjnym Okrętem mogła się ukryć cała eskadra. Z powierzchni planety nie da się ustrzelić „Gordona”, a pobić go w otwartym kosmosie to czystej wody fantastyka. Trzy reaktory (marszowy, ogniowy i rezerwowy), osiem zwierciadeł, potężne baterie rufowe niezawodnie osłaniające ogon. Wszystko to sprawiało, że megadestroyer był jednostką jednocześnie bezużyteczną i robiącą wrażenie. Obcykany w historii Essex, przesiadłszy się na „Gordona”, często przytaczał odległą w czasie historię niemieckiego morskiego battleshipa, który ani razu nie uczestniczył w boju z powodu swojej potęgi. Wystarczyło, że wysunął się z portu, a cały drobiazg w okolicy wiał gdzie się dało. Niektórzy badacze forsowali nawet tezę, że jednostka ani razu nie wypłynęła z doku – przecież wystarczyło do zapewnienia powodzenia operacji bąknąć o wyjściu potwora w morze. Tyłek wyszperał też informację, że właśnie w porcie kolos został zlikwidowany przez lotnictwo. No, ale jego battleshipa takie niebezpieczeństwo nie dotyczyło!

I samego Esseksa też nie, bo ledwo zadokowali, ochrona szefa sztabu zgrabnie ustawiła się na korytarzu za służą.

–Spocznij – łaskawie rzucił Raszyn, starając się nie rozeźmiać. Za każdym razem, kiedy widział takie efektowne, paradne szyki, dręczył go niemal niepowstrzymany chichot. To przekonywało admirała, że ciągle jeszcze nie jest prawdziwym wojskowym.

Borowski rzeczowo poszarpał ochroniarzy za zbyt luźne pasy, po czym rzucił

drapieżne spojrzenie ich dowódcy. Ten pokrył się czerwonymi plamami i wytrzeszczył zeszlone oczy. Essex pociągnął Raszyna za sobą. Ochroniarze sprawnie otoczyli starszych dowódców szczelnym murem, ale z tyłu nadbiegł Moser i zręcznie manewrując ciężkim kanistrem, przebił się przez kordon do admirałów.

–A naczynia? – zapytał Tyłka, wyraziście podnosząc swój ładunek.

–Steward zabezpieczy – powiedział szef sztabu, z przyjemnością zerkając na kanister. – Idź pierwszy, uruchomisz go.

–Już lecę – powiedział adiutant i pocwałował przodem.

–Sensowny facet – pochwalił go Essex.

–Nawet za bardzo – rzucił Raszyn. – W ciągu ostatniej doby jakby mu skrzydła urosły. Wiesz, jak on wspaniale wyczuł całą sytuację! Czuł, że jestem pod nożem i już się szykował, żeby wiać na dół. Tylko z powodu młodości bardzo to przeżywał. A teraz nie ma wyboru i rozterek, więc aż podskakuje z radości, że nie okazał się bydlakiem.

–Nie bydlakiem, a umarlakiem – skorygował Borowski. Wstąpiwszy na pokład „Gordona”, nagle stał się zły i poważny. Może dlatego, że przypomniał sobie o szansie powrotu na wilcze stanowisko zastępcy dowódcy do spraw operacyjnych.

Raszyn nie zwrócił uwagi na rymowany wtręt.

–Dziwni jesteśmy – rzekł poważnie Tyłek. – Mam na myśli nas, astronautów.

–Taaa – zgodził się Borowski. – Niechluje jak rzadko, ale dumy tyle, że można by na niej do Milky Way dolecieć.

–*Pozostały tylko postawa i honor* – zanucił Raszyn wers z piosenki Aleksandra Rozenbauma, którego kilka nagrań jakimś cudem uchowało się mimo Kotłowaniny i Północy. – Ale, ale! Nie wiem, czy wiecie, panowie... We wszystkich językach świata Milky Way to Milky Way, znaczy Droga Mleczna. Ale był też taki naród, Ukraińcy, u których mówiło się Słona Droga.

–Czy oni żyli na słonych jeziorach? – zapytał Essex.

–A kto ich tam wie. Nie ma już kogo zapytać.

–Słona droga... – zamyślił się Tyłek.

–Dajcie spokój! – zaproponował Borowski. – Lepiej go zapytaj, dlaczego Moskwa nie wierzy łzom.

–Dlaczego? – natychmiast zapytał Essex.

–Kiedyś tam pojedę – powiedział z rozmarzeniem w głosie Raszyn. – Podobno Moskwa jest już czysta. Co prawda mało zostało po minionej urodzie, ale i tak... To było twarde

miasto, Phil. W samym jego środku było miejsce na publiczne kaźnie, to o jakich łzach mowa?!

–Dzikusy – podsumował szef sztabu.

–A wy, Amerykanie, to co? Lepsi?! Może powiesz, że u was w Londynie nie linczowano Murzynów!

–Sam jesteś Amerykanin – obraził się Essex. – Londyn był i jest stolicą wielkiego imperium. Nawet jeśli Stonehenge jest zburzone, to w sercu każdego prawdziwego Brytyjczyka...

–W skrócie rzecz ujmując, Żydzi was załatwili – przerwał mu Raszyn.

–I słusznie – dodał Borowski.

–Fiuty – mruknął dowódca. – A co do Żydów! Słuchaj no, ty tam, zwycięzca! Na razie za cholere nie potrzebujemy zastępcy do spraw operacyjnych, dlatego ze „Skoczka” nie ruszysz się ani na krok. Rozumiesz?

–Tak jest, sir! – Borowski cały rozpromieniony wyprostował ramiona.

–Dlaczego za cholere nie potrzebujemy? – poderwał się Tylek. – A kto...

–Nie przewidujemy działań bojowych – odciął Raszyn.

Szef sztabu i ZDO „Skoczka” wymienili spojrzenia i zaskoczeni przystanęli na korytarzu. Ochrona, usiłując wykonać powierzone jej obowiązki, zaczęła się miotać, dzielić i przekonfigurowywać. Admirał spokojnie odchodził w głąb okrętu.

–Sir! – Borowski miał głos jak z drewna.

Raszyn uniósł rękę, dźwięcznie strzelił palcami, po czym niedbale pomachał do nich ręką. Szef sztabu i ZDO jeszcze raz popatrzyli na siebie. A później na goryli.

–Biegiem do sali konferencyjnej! – wrzasnął Essex.

Ochrona migiem wyparowała z pola widzenia. Tylek z Borowskim rzucili się za

admirałem i chwycili go pod ramiona.

–Co ci? – jęknął Essex.

–Co z panem, *driver*... – wymamrotał Borowski. – Znaczy, to nie moja sprawa, ale... Dowódca z łatwością ruszył podwładnych z miejsca i pociągnął za sobą.

–Co, zwaliliście się w portki? – zapytał z uśmiechem, zadowolony z efektu. Essex rzucił na ZDO oszalałe spojrzenie. Ten zaserwował mu identyczne.

–Ruskie bydlę! – zawył Tyłek.

Borowski bardzo przekonująco chwycił się za serce.

–Do dupy z takimi jajami, *driver* – powiedział. – Coś mi się wydaje, że nie zasłużyliśmy sobie na takie traktowanie.

–Piracka eskadra. – Raszyn pokręcił ze smutkiem głową. – Zero dyscypliny. Skubani, zbezczelniliście! – wrzasnął nagle z całej siły. – Kto tu dowodzi? Co? Commanderze Borowski, taka wasza mać!

–Jestem!!!-ryknął ZDO.

–Kontradmirał Essex?

–Tak jest! – odparł szef sztabu, jeszcze nie rozumiejąc, jak patetyczną scenę odgrywają.

–Bacz-ność!!!

Starsi oficerowie stanęli w postawie zasadniczej, Essex – uśmiechając się niepewnie, Borowski – z kamiennym obliczem.

Admirał założył ręce za plecami i przespacerował się przed zaimprovizowanym szeregiem.

–Powiem tak – zaczął – wy, cholerne pasożyty, rozpuściliście się, jak widzę. Dwie wojny bez mrugnięcia okiem wisieleście na mojej szyi, a teraz coś wam nie pasuje. Dobra, przypomnę wam, kto jest szefem Attack Force. Zaraz wam wyjaśnię, kto tu decyduje. Kto?

–Pan, panie admirał, sir! – zameldował Borowski.

–A ty jak sądzisz? – zapytał Raszyn, przysuwając się do Essexu.

–Aleks... – zaczął ten łagodnie.

–Nie słyszę odpowiedzi!

–No ty, uspokój się, ty...

–Kto?!

–Tu decyzje podejmuje tylko i wyłącznie pan, panie admirale, sir!

**–Nareszcie – powiedział Raszyn ze sceniczną radością. – Właśnie tak, wyłącz-nie!
A wy, drodzy... Borowski, nie było *spocznij!***

–Przepraszam, sir! – ZDO wciągnął brzuch i wyprostował się.

–No więc, moi kochani towarzysze broni i przyjaciele, taka wasza mać... Możecie to sobie zapamiętać, możecie też zapisać, żeby nie zapomnieć. Dranie! Jeśli nadal uważacie mnie za swojego dowódcę, to zachowujcie się jak należy. Jasne? Prawo głosu, rzecz jasna, jak mieliście, tak macie. Ale to jest prawo do głosu doradczego. Rozumiecie? Nie słyszę odpowiedzi!

–Tak jest, sir – odparli jednocześnie.

–Wasza pierdzielona opinia jest dla mnie bardzo cenna. Ale tylko tyle. I co?!

–Tak jest, sir!

–Czy przynajmniej jest wam wstyd, panowie oficerowie?

–Tak jest, sir!

–Czy może nie bardzo?

–Nie, bardzo, bardzo, panie admirale, sir!

W korytarzu pojawili się Moser i szef łączności „Gordona” z zatroskanymi minami.

–Wynocha! – ryknął Raszyn i obu jakby zdmuchnął wicher.

–Dwie wojny pod rząd robiliście to, co wam kazałem – kontynuował dowódca Grupy F. – Kiedy otrzymywałem od was dobre rady, słuchałem was. Kiedy źle radziliście, nie słuchałem. W sumie żyjemy. Czy wam się to nie podoba? No powiedzcie?

–Podoba, sir! – wrzasnęli pouczeni.

–Czy będziecie mnie słuchali?

–Tak jest, panie admirale, sir!

Raszyn włożył palec do ucha i potrząsnął głową.

–Odzwyczaję się – powiedział ugodowo. – Dobrze drzecie mordy, zarazy. Niemal jak

na placu uczelnianym. Spocznij... buntownicy nieszczęśni.

Nieszczęśni buntownicy nieco się odprężyli, ale tylko nieco.

–Wyciągnę grupę z tarapatów – obiecał Raszyn, wyciągając palec w kierunku nosa Essex. Powiedział to z taką mocą, jakby chciał przy okazji przekonać i siebie. – Sto razy wyciągałem i teraz też wyciągnę. Bez walki, rozumiecie? Nie możemy teraz walczyć. Nie możemy nawet odpierać ataków. Przeklną nas, jeśli będziemy sprawcami choćby jeszcze jednego zgonu, rozumiecie? Przeklną i nie wybaczą. Tak więc póki mamy choćby mizerną szansę przywrócenia grupie dobrego imienia, nie będziemy się bili. Koniec, rzekłem. Wierzycie mi?

–Bez pytań, *driver* – za obu odpowiedział Borowski.

–No to za mną – poleciał admirał. – Hej, Moser, gdzie się tam chowasz?

W kołnierzyku dowódcy dźwięcznie pyknął przełącznik komunikatora. To adiutant, sprytnie niepakujący się szefowi w oczy, uruchomił łączność pokładową.

–Tak? – zapytał Raszyn, przyciskając brodą przełącznik na piersi.

–Otrzymaliśmy komunikat od Feina, sir! – pisnęła słuchawka.

* * *

W małej sali konferencyjnej „Gordona” zebrało się około trzydziestu ludzi – dowódcy jednostek i sztabu. Poniżej kapitana nie było nikogo. Wojskowi wyglądali dość mizernie i niepewnie jak dzieci, którym odebrano ulubione zabawki.

–Jak tam, panowie, może po kielichu? – zaproponował dowódca „Rocannon”, patrząc na kusząco wystający spod stołu kanister. – Gówno nam już to zaszkodzi, młodym piratom. Pewnie nawet trzeba. – Po czym zachichotał nerwowo.

–Nie – usłyszał humorysta. – Trzeba, ale nie wolno. Stary się wkurzy, że bez niego.

–Najpierw napraw swoje armaty – wtrącił ktoś z tyłu. – Później będziesz się popisował. Amator bimbru wstał i poszukał wzrokiem kąśliwego złośliwca.

–Aaa... – westchnął z rozczarowaniem i usiadł.

–Właśnie, *aaa!* – dobił go czyjś głos. – Kto to widział, żeby wypićdzic system

podczas podejścia do szturmu?

–Ja widziałem – powiedział zarumieniony dowódca „Rocannona”. – A ty byłeś na mojej łajbie chociaż raz? – Rozzłościł się nagle. – To wpadnij, zapraszam na wycieczkę... To już nie destroyer, a latająca kupa nieszczęścia.

–U mnie się przegrzewa reaktor – przypomniał commander „von Reya”, który podczas ataku na Marsa musiał poza swoimi celami pokryć również kwadrat wyłączzonego z boju

„Rocannona”. – To może się zamienimy łajbami. Ale, serio, posłuchaj, u mnie jest fajnie. Obszerna strefa robocza, szerokie korytarze. Basen, jak by nie było. Dziewczyny jak malowanie... Chociaż nie, dziewczyn nie oddam.

–Spadaj! – warknął pierwszy po Bogu pechowego destroyera.

–Nie to nie, pożałujesz – nie zamierzał mu darować zjadliwy commander. – Pomyśl tylko, pierdoło, kto ci taki znakomity barter zaproponuje: zamienić twoją wszalnię na porządny cruiser. Znakomicie nadający się do życia. Co prawda są małe problemy z hermetycznością i do terminu przeglądu zostało kilka minut, ale co do reszty... Najważniejsze, żebyś od razu katapultował reaktor, i możesz sobie latać do usmarkanej śmierci.

–A nie da się go wyremontować? – zapytał ktoś z pierwszego rzędu.

–Nie-e. Tylko do wymiany. Koszula mu sparciała. Przecieki w otulinie, podwyższone promieniowanie, przegrzewa się i takie tam... Przynajmniej nie jest z nim nudno. Do sekcji reaktora bez skafandra się nie da. Technicy prawie szcżą wrzątkiem. Nie wiedzą, jak dziękować tym, co robili profilaktykę. Fest jednostka, według papierów niemal nowa...

–A co mówią na naszym wspaniałym remontowcu?

–Udzielili kupy dobrych rad. Na przykład mamy polewać z góry wodą.

–No jak...

–Polewamy z góry wodą.

–Wodą... Tfu! Poważnie pytam!

–A! Jak poważnie, to nie wiem. Słowo honoru.

–Meldowałeś Tyłkowi?

Dowódca „von Reya” prychnął ze złością i powstrzymał się od odpowiedzi.

–Ja meldowałem – poskarżył się ten od „Rocannona”. – A on mi mówi: *naprawiaj*. Niby jak mam podczas lotu *naprawiać*, skoro system mi padł?

–Czyli co, nadal nie możesz strzelać?

–Dlaczego *nie możesz*? Już mogę. Ale niecelnie i niedaleko.

–A wróćmy, panowie, do tematu, kto nas tak wystawił, co? – powiedział z goryczą kapitan z całym blokiem baretek na piersi. – Przed nami stary, dobry Rabinowicz, za nami pieprzona ukochana ojczyzna...

–A po bokach republikanie i neutraliści – przypomniał ktoś.

–I dookoła trybunał – podsumował zasmucony kapitan. – Hej, chłopcy! Dawać ten kanister! Niech któryś poleje. Co to, żałujecie mi? To terapia. Bo nerwy mi siadają, jeszcze chwila i zacznę łamać meble.

–Zamknij się... Neurastenik! – rzucił ktoś. – Nam nerwy nie siadają? Widziałeś, że Moser pognął gdzieś z szefem łączności? No to siedź spokojnie.

–Pewnie ultimatum przyszło – mruknął ktoś z kąta.

–A w dupie ma Raszyn ich ultimatum...

–Wiadomo. Zaraz przyjdzie i naleje wszystkim dla kurażu. Nie możecie chwilę poczekać? Cholerni nałogowcy. Swoją gołdę wychlali, a teraz na krzywkę szybciosem przylecieli...

–A coś ty taki wściekły, don Pedro?

–Nie wściekły! Tylko wy sobie siedzicie i gadacie o pierdołach, a Raszyn sam rozwiązuje problemy!

–No, taka jego praca...

–Właśnie – odciął się Pedro.

* * *

–O wilku mowa...! – zawołał Raszyn.

–Co? Kto? Czyżby Abe? – ucieszył się Essex, włączając swój interkom.

–Dekodowanie w trakcie, obrazek będzie za pół godziny – zameldował Moser. – Ale mamy już wynik wyszukiwania. Tak, to on. Panie admirale, może wstrzymamy się z rozpoczęciem narady? Nie wiadomo, co jest w meldunku.

–Nie – pokręcił głową Raszyn. – Zaczniemy naradę zgodnie z planem. Idziemy. Informację od Feina przekażesz mi natychmiast, jak się zdekoduje.

–Kamień z serca – sapnął Borowski. – Czyżby to przeżył, stara cholera?

–Niekoniecznie – zauważył Tyłek. – Nie słyszałeś? Znalazł ślady Obcych. Co najmniej ślady.

–A co najgorsze – powiedział dowódca – nas to ani ziębi, ani grzeje.

–Bzdury! – nie wytrzymał Essex. – Przecież to zwycięstwo! Skoro mamy Obcych na granicy Słonecznego, to możesz uważać, że wygraliśmy! Nikt nawet paluszką się na nas nie zamachnie, bo kto by bronił tych idiotów? Kto, jak nie my?

–Posłuchaj, Phil – poprosił Raszyn. – Pamiętaj, co mówiłem o twoich pierdolonych opiniach?

–O naszych pierdolonych opiniach, sir – skorygował go Borowski.

–A ty się w ogóle nie odzywaj. Mniej ci się dostanie. Phil, kocham cię. Uwielbiam. Jesteś najlepszym na świecie szefem sztabu i wspaniałym człowiekiem. Ale drugiego takiego kretyna... Posłuchałbyś, co pieprzysz! Rozumiesz przynajmniej, co ty pieprzysz?

–Sekundę! – Tyłek wysunął do przodu dłoń, jakby chciał powstrzymać napór obelg admirała. – Co ja takiego powiedziałem?

–Na czym polega różnica między armią i piratami? – zapytał Raszyn.

–Pytanie retoryczne.

–Ale?,v

–Na czym? – korzystając z dobrego, starego przyzwyczajenia, Essex postanowił od razu otrzymać gotową odpowiedź.

–Póki jesteśmy poza prawem, nikt nam nie uwierzy – wyjaśnił dowódca. – Przypuśćmy nawet, że Fein przysłał fajny obrazek. Możesz nawet wpuścić go do Sieci, a i tak natychmiast powiedzą, że to mistyfikacja, że jesteś gotów na wszystko, byle tylko przekonać Ziemię, że cię potrzebuje. To raz.

–No, z tym się mogę zgodzić – przytaknął Tyłek.

–Przypuśćmy, że dali nam wiarę. Ale! W przypadku zagrożenia zewnętrznego mogą wciągnąć do służby wojskowej piratów. Ale nie żyjemy w piętnastym wieku. Piętna pirata nie zmyje żaden bohaterski czyn. Po pierwsze, byli piraci pójdą jako mięso

armatnie, przecież takich nie szkoda. Po drugie, założmy, że wywalczymy rehabilitację. Przecież i tak znajdzie się ktoś, kto nas potem opluje, i masa takich, co chętnie mu uwierzą. Rozumiesz? Nieważne więc, czy są Obcy, czy ich nie ma. Zanim zaczniemy się nimi zajmować, Grupa F musi odzyskać status legalnej formacji. W innym przypadku nie mamy gwarancji, że poprztykamy się z wrogiem, a Ziemia nas z radości nie powywiesza na rejach. Jasne?

–Zgadzam się – westchnął Essex. – Argument numer trzy?

–Po trzecie, popatrz na siebie. Powiedziałeś: *Kto tych cywili będzie bronił? A siebie to co, nie zamierzasz bronić, Phil? Ciebie nie dotyczy to zagrożenie Obcych?*

–Och, niekoniecznie!

–A ja ci mówię, że spuszczą nam wpierdol. – Raszyn niczym jakiś biblijny prorok wsączył w swoje słowa tyle pewności, że Borowski mógł powiedzieć tylko jedno:

–No tak...

–Tak czy siak... – Admirał uniósł palec wskazujący. – ...musicie się, panowie, wyzbyć odruchów separatystów. Ojczyzna nie lubi was dopiero dobie, a wy już gadacie jak zbójcy. Już stajecie w opozycji do społeczeństwa. O dupę rozwalić takie rozumowanie.

–Słuchaj, filozofie! Ojczyzna nas olała, wysyłając do walki! – obruszył się Tyłek. – Nic jej nie jesteśmy winni. Mamy do niej taki stosunek, jaki ona do nas.

–Masz jeszcze dwadzieścia lat życia, Phil – przypomniał Raszyn. – Gdzie chcesz je spędzić? W kosmosie? Już wkrótce ze względu na stan zdrowia nie będziemy mogli latać nawet na ciężarówkach, co oznacza, że będziemy musieli zjechać na dół. Czy chcesz tam żyć jak człowiek, czy jak wyrzutek?

–W ogóle – wtrącił Borowski – to ja nie pakuję się w tak wysokie materie, ale gdyby mnie ktoś zapytał, to powiedziałbym, że ma pan rację, *driver*. Zachowujemy się nie jak ludzie, a jak mieszkańcy niebios. Tymczasem ja mam żonę i dzieci... Co mamy robić, *driver*?

–Na razie idziemy na naradę – powiedział dowódca. – Odwołujemy chłanie. Zamiast tego musimy wypracować plan operacyjny. Pracujemy, jasne? Znowu działamy. Jak zwykle. Idziemy.

I delikatnie popchnął oficerów w odpowiednim kierunku.

Essex i Borowski, jak dzieci prowadzone za ręce, posłusznie ruszyli przed siebie.

Andrew wisiał na ścianie w odciążonej strefie i smętnie patrzył na blokadę sterowania ogniem centralnej lufy zamontowany przez jego poprzednika, Schacciego. Urządzenie było wyłączone, ale kilka prostych ruchów mogłoby przywrócić je do życia. A wtedy, gdy tylko „Skoczek” zbliży się do Ziemi, przesłany radiem rozkaz wyłączy z użytku główne lasery.

Mniej więcej taki sam blokadę czekał na sygnał w sekcji reaktora, również na razie wyłączony. Ale niezniszczony Werner powiedział admirałowi, że blokady najważniejszych funkcji statku zostały usunięte. Bo tak właściwie było. Chyba że Andrew by uznał, że „Skoczek” powinien z groźnego krążownika zmienić się w bezradną międzyplanetarną barkę.

Ale na razie master-technik wisiał na ścianie i walczył z ambiwalentną chęcią albo rozplakania się, albo wydania z siebie straszliwego wrzasku, albo popełnienia samobójstwa. Werner wpakował się w taką sytuację, że silniejsi od niego mieliby problemy z jej rozeganiem. Rok temu w celi więziennej postanowił, że wykiwa los. Nie przyszło mu wtedy do głowy, że los to kategoria raczej moralna niż jakakolwiek inna. Miał wtedy nadzieję, że złe fatum prześladowe człowieka tylko z powodu zbiegu wielu niesprzyjających okoliczności. Zatem można, zachowując się mądrze i wyrachowanie, pokazać mu wała.

Jednak w praktyce okazało się, że nie sposób uciec przed losem, ponieważ ten siedzi wewnątrz człowieka.

Kiedy znalazł się w celi, nie pękał tylko dlatego, że nie uwierzył w realność tego, co się dzieje. Tylko przywarł mocno do zimnej ściany i zamknął oczy, przekonując siebie, że prędzej czy później zwieje. *Uranowa katorga na Ganimesie, skąd jeszcze nikt nie wrócił, nie dla mnie* – myślał. Dlatego też taki wariant odrzucił od razu jako nierealny i zaczął rozważać inne. Przede wszystkim te, które niosły szansę szybkiej i skutecznej ucieczki.

Trybunał jakoś się nie śpieszył z wyrokiem, czasu na rozmyślenia Werner miał więc dużo. I kiedy już zaczął skłaniać się ku myśli, że ucieczka jest skazana na niepowodzenie, wolno tracąc tym samym panowanie nad sobą, do jego celi zajrzał bezpiecznik z naszywkami majora piechoty.

–Nieźle cię dowódca bazy kiwnął – powiedział major współczująco. – Musiałeś mu nieźle dopiec! No, no, pułkownik własny pysk podstawił, żeby się tylko ciebie pozbyć... Nieźle... Dobra, co się stało, to się nie odstanie. Między nami, masz spore szanse na dwie dychy. Uranowa katorga na Ganimesie. A życie kochasz, poruczniku?

–Jasne! – powiedział Andrew. – Jakich mam się spodziewać propozycji?

–Zuch! – pochwalił go major, otwierając przenośny terminal. – Lubię mieć do czynienia z Ruskimi. Żadnych jęków i stękań, od razu przechodzą do rzeczy. Czują się w pierdłu jak w domu, taka cecha narodowa. Oto, popatrz, taki sobie dokumencik. Typowa zgoda, nic szczególnego. Podpiszesz?

–A co mi to da? – zapytał Werner, już rozumiejąc co.

–Na początek odłożenie wykonania wyroku na czas nieokreślony. Potem zobaczymy, jak będziesz się zachowywał.

–Kapusta ze mnie kiepska – oświecił bezpieczeniaka Andrew.

–Ale dobry technik! – uśmiechnął się major. – Nie szczyj w pory, poruczniku. Nie będziesz kapował. Nie będziesz kłamał... No, kapinkę. Będziesz pracował w swojej specjalności. To ci gwarantuję. Co ja, nie wiem, do kogo przyszedłem? Nie będę rosyjskiego chłopaka werbował w kablarzy. O nie, ja dziękuję, jeszcze mi życie miłe. Przecież zawsze i ciągle jesteś na widoku, fajfusie!

Werner skrzywił się ze złością. Major trafił w dziesiątkę – wielu Rosjan traktowano jak jarmarczne potwory: baby z brodą, karły, olbrzymy i inne takie. Żyło ich tak mało, że naród obrósł w najrozmaitsze bajki. Wystarczyło bąknąć coś o swoim pochodzeniu, a towarzystwo od razu zasypywało człowieka głupimi pytaniami. Nie to, żeby Rosjanie byli znieawidzeni, może nawet na odwrót, ale powszechna litość wymieszana z lekkim obrzydzeniem również nie należała do przyjemności. Każdy radził sobie jak umiał. Oleg Uspienski brzemień pochodzenia niósł dumnie jak herb rycerski i wszędzie podkreślał, że jest Rosjaninem. Andrew w dzieciństwie zachowywał się podobnie – póki za plecami miał powszechnie szanowanych rodziców. Ale zostawszy sierotą, starał się nie wyróżniać, raczej zniknąć w tłumie. Choć wcześniej czy później i tak wytykano mu pochodzenie...

Najgorsze w sytuacji Rosjanina na Ziemi było to, że nikt mu niczego nie zarzucał. Żydowi można było powiedzieć, że jego rodacy urządzili straszliwą Północ, napuściwszy na siebie wszystkie narody globu. Amerykaninowi – że Stany zyskały na tym najwięcej. Francuzowi – że skąpy. Niemcowi – że tępy. Włochowi – że za dużo macha rękami i w ogóle jest makaroniarzem. Etnicznym Brytyjczykom wyrzucano wyniosłość, Skandynawom – oziębłość. A na Rosjan po prostu wszyscy patrzyli krzywo – zupełnie jakby sami siebie eksterminowali, aby wszystkim zrobić na złość. *Ach, jaki to był wielki kraj, ojczyzna wspaniałych poetów i pisarzy, genialnych konstruktorów i znakomitych artystów!* – zdawali się mówić ludzie za plecami. – *Ach, jakże czekaliśmy, że coś nam znowu wielkiego powie, a my staniemy się przez to lepsi, szlachetniejsi, mądrzejsi! Tysiąc lat czekaliśmy! A Rosja, zamiast uczynić z nas jednostki szlachetne i wysoko moralne, włożyła do swoich skarbców miny atomowe i odpaliła je pod stopami chińskich hord... No, czy nie świnię ci Rosjanie, co?*

Andrew siedział w celi i wrogo mrużąc oczy, przetrawiał usłyszaną od majora niemiłą prawdę.

–Co do kabli, mam do dyspozycji furę Amerykanów – ciągnął ten. – Oni kapowanie mają we krwi. A ty będziesz robił to co przedtem: genialnie skręcał te swoje śrubki. To jak, przybite?

Werner w milczeniu wystukał na podsuniętej mu desce swój identyfikator i przyłożył dłoń do skanera odcisków.

–Mądry facet – powiedział bezpiecziak. – Teraz słuchaj uważnie. Niedługo przyjdzie do ciebie kapitan Reez z „Gorbowskiego”. Zaproponuje, byś poleciał z nim w tę podprzestrzeń czy jak ją tam... W skrócie mówiąc, zgódź się.

–Czy pan ochujał, majorze?! – zapytał Andrew.

Bezpiecziak uniósł wzrok do sufitu, jakby głęboko przemyślał: *Ochujalem czy nie? Kurde, może jednak...*

–Aaa! – powiedział w końcu. – Nie, chłopcze, krzywdzisz mnie swoimi podejrzeniami. Problemy osobowościowe ma właśnie kapitan Reez. Przykładowo: naprawdę chce przetestować zero-T, jego zasadę. A nam to nie jest do niczego potrzebne. Bo, rozumiesz, „Gorbowski” jest nieprzetestowaną maszyną. Ale kto go tam wie, może Reezowi uda się zero-transport? Podobno szanse na to, że się zanurzy w podprzestrzeni i z niej z powrotem wynurzy: fifty-fifty. To jest problem. A wymienić tego schizofrenika na bardziej normalnego faceta, takiego, który nie chce umierać, nie można żadnym sposobem. Koncern Heavy Industries wykupił go od wojska razem z flakami. Nawet nie możemy teraz tego psychola zastrzelić, od razu wyskoczą z zarzutem ekonomicznej dywersji.

–Nic nie rozumiem – przyznał Werner. – Od kiedy to Ziemia nie potrzebuje gwiazdolotu zero-T?

–Epoka ekspansji kosmicznej się zakończyła – wyjaśnił major. – Najważniejsze to odrodzenie Ziemi. Zaoranie jej i uprawianie. Zero-T, jeśli okaże się możliwe, może spowodować, że resztki Ziemiaków pomyślą: *Jaki to ubaw skoczyć gdzieś w cholerę, gdzie powietrze jest czyste, a trawa zielona!* W tym aspekcie interesy Rady Dyrektorów nie zgadzają się z interesami monopolu. Kompanie mają dość stanu aktualnego, one łakną nowych światów, żeby tam sobie budować własne państwa według swoich koncepcji. Nasz ludowy kapitalizm zbankrutował, kapujesz? A Rada Dyrektorów pragnie zachować to, co jest. I dopóki zero-T nie działa, jest OK. Rozumiesz?

–Rozumiem – zgodził się Andrew. – Krótko mówiąc, chcecie, żeby „Gorbowski” nie wyleciał poza kosmiczne doki?

–Niech sobie leci, gdzie chce – odparł z wyrozumiałym uśmiechem bezpiecziak. – Ale na zwyczajnym silniku jądrowym. Jak sądzisz, dasz radę?

–Muszę przyjrzeć się budowie.

Major wyjął z kieszeni dysk, władował go do terminala i wyprowadził na ekran wykaz dokumentacji dotyczącej „Gorbowskiego”.

–Badaj sobie – zaproponował, wypinając z terminala kilka chipów. – Wpadnę do ciebie jutro.

Andrew zgłupiał. Albo major nie kapował, z kim tak naprawdę ma do czynienia, albo psychologzy z więziennej komisji nie wyczuli zagadek rosyjskiej duszy i uznali, że więzień jest złamany i gotów do współpracy. Tak czy siak, po dwóch godzinach wściekłego bębnienia w klawisze Werner zdobył soft dużo lepszy niż ten, który major wyniósł w kieszeni. Przed

świttem miał już dostęp do lokalnej sieci więziennej i mógł z czystym sumieniem zgodzić się z własną wcześniejszą diagnozą – ucieczka stąd to robota głupiego. Wtedy zły i zrezygnowany popatrzył na schemat „Gorbowskiego”. Wkrótce już wiedział, że zepsuć to cudo techniki może w pięć minut, i to gołymi rękami.

–Zgoda, majorze – powiedział następnego dnia bezpiecziakowi. – Dawaj tu tego swojego maniaka.

Tydzień później Andrew odbył interesującą rozmowę z kapitanem Reezem, podczas której powstrzymywał się, żeby nie ryknąć śmiechem. Może commander „Gorbowskiego” był maniakiem, ale nie durniem. Kochał życie, w zero-T nie wierzył i jego najważniejszym problemem było znalezienie sposobu na to, aby nie pozwolić wejść jednostce w zero-przestrzeń. Nie mówił tego głośno. Nawet więcej – na głos pieprzył straszliwe głupoty, udowadniając, że jego statek to niezawodna maszyna, i opisując, jak dziarsko będą przemierzać obce światy. Ale ręka kapitana, drżąca jak u prawdziwego psychologa, spoczywała na ramieniu Wenera i wystukiwała długie teksty morsem. Andrew zaś czule trzymał Reeza za kolano, starając się nie słuchać jego werbalnej biegunki. A jednocześnie oponować i upierać się w sposób prawdopodobny, oczekiwany przez ukrytą gdzieś w kącie kamerę.

Kiedy zadowolony kapitan wyszedł, Werner pomyślał nawet, że może warto byłoby zademonstrować majorowi swoje oddanie i zakapować faceta, w końcu Reez niczym szczególnym nie ryzykował. Ale po długim namyśle więzień uznał, że, po pierwsze, dowódcę „Gorbowskiego” mogą uznać za nie aż tak nienormalnego, jak sądzili, i mimo wszystko rozstrzelać za spalony desant i zmarnowaną operację. Po drugie, sztuczka z morsem mogła się jeszcze przydać. Poza tym, choć zacząć karierę tajnego agenta od wartościowego donosu było kuszące, ale też i wstrętne.

Trybunał okazał się hojny i zaserwował porucznikowi Andrew dożywotnią katorgę z degradacją i pozbawieniem wszystkich nagród, medali i odznaczeń. Ale bezpieczeniak nie skłamał – zamiast wędrówki na Ganimedesa Werner dostał zamianę wyroku i do chwili startu „Gorbowskiego” miał przebywać w zamkniętym ośrodku treningowym przeznaczonym dla takich właśnie skazańców. Teraz różnił się od innych tylko tym, że stracił konwojentów, zamieszkał oddzielnie i został przypisany do personelu obsługującego.

A potem poproszono go, by zgodził się na propozycję więźniów, którzy chcieli, żeby popsuł system ochrony. Była ich cała grupa i zamierzali wiać, a wywiad chciał, by ucieczka częściowo się udała. Pięciu uciekinierów miało stracić życie, a pozostali dwaj powinni byli zbiec. Andrew się zgodził, choć zgrzytał zębami. Na rozmowę przyszedł do niego jeden z przyszłych trupów, przystojny młodzieniec o delikatnych rysach twarzy i nienagannych manierach. Jako zapłatę zaproponował Wernerowi pistolet z dwoma nabojami, litr siwuchy i siebie. Werner popatrzył w oczy człowiekowi, który miał lada dzień zginąć nie bez jego udziału, i omal nie powiedział mu: *Me uciekaj*. Ale przypomniał sobie, że też kocha życie. Wziął flachę, z pistoletu i usług seksualnych zrezygnował.

Młodzieniec załapał kulkę w potylicę na granicy obozu. Andrew pocieszał się, że umarł natychmiast i nie cierpiał.

–Jak ci się spodobała jego dupeczka? – zapytał potem major. – Czy może dałeś mu do buzi?

–Mnie to nie bawi – odpowiedział Werner.

–Będzie bawiło – zapewnił go bezpieczeniak. – Będziesz tu jeszcze siedział od cholery czasu.

–Dlaczego? – zdziwił się Andrew.

–Nie polecisz na „Gorbowskim” – wyjaśnił major. – Mamy dla ciebie tutaj ważniejszą sprawę. Za miesiąc, może dwa. Nie pożałujesz, słowo honoru! Odpowiedzialna misja. Będziesz dumny z siebie, chłopcze, będziesz pracował dla dobra całej planety.

Werner zaklął po rosyjsku, czym bardzo rozśmieszył oficera kontrwywiadu, po czym wrócił do siebie. Zarobioną siwuchę wypił z komendantem obozu i razem pojechali służbowym wozem do burdelu. Na przegubie Andrew cały czas znajdowała się bransoletka-lokalizator, którą podobno można było zdjąć tylko odrąbawszy dłoń. Gdy pijany technik otworzył bransoletę na oczach komendanta, ten poradził mu, by nie wyłączał namiernika, bo w obozie wybuchnie afera i wyjazd na dupy skończy się za wcześnie. Poruchać może zdążą, ale na pewno nie uda im się tam posiedzieć spokojnie jak ludzie.

–Zresztą – filozoficznie zauważył komendant – tobie, Ruskiemu, bransoletka za bardzo nie jest potrzebna. I tak cię znajdą w razie czego.

–A co, na pysku mam napisane, że jestem Rosjaninem? – eksplodował Werner.

–Tak – bez wahania odparł sympatyczny komendant. – Oświadczam ci to z całą odpowiedzialnością jako policyjny oficer. Nie masz szans na ucieczkę, Andrew, i nawet o tym nie myśl. I tak cię capną. Tylko wtedy już staniesz pod ścianą.

–To co mam robić? – zapytał podłamany więzień.

–Na górę – powiedział gliniarz. – Tylko na górę. Ale pamiętaj, to nie będzie łatwe.

–Domyślam się – skinął głową Werner. – Już mam pięciu na sumieniu.

–Och, przestań! – roześmiał się komendant obozu. – To dopiero początek, jeszcze każą ci osobiście kogoś rozwalić, tak, tak! W tym momencie masz jak na razie paragraf taki więcej... nieegzekucyjny. A i sama sprawa jest szyta grubymi nićmi. W cywilnym sądzie rozpadłaby się na kawałki. Ale kiedy będziesz miał na sumieniu prawdziwe zabójstwo, i to takie, że nie tylko trybunał wojenny, ale i cywilny skazałby cię na śmierć... Ooo, wtedy dopiero zdaniem kontrwywiadu będziesz gotów do pracy. Wtedy pojedziesz na górę. A jak tylko podskoczysz, capną cię za kołnierz, migiem na dół i kulka w łeb. Żaden astronauta cię nie obroni. Inna sprawa obić pułkownikowi ryj, a inna zabić niewinnego człowieka.

Gaworząc sobie spokojnie, dojechali do domu publicznego, skąd rano, zalewających się pijackimi łzami i zarzyganych, wypędzono ich na kopach.

Andrew miał jednak szczęście. Nie tylko nie zdążył nikogo zabić, ale nawet nie pokiblował długo. Nie minął dzień, jak duże chłopaki z żandarmerii wojskowej zawiązali mu oczy, wpakowali do wozu i powieźli gdzieś, gdzie już czekał major, a obok niego cała komisja z dwugwiazdkowym generałem na czele. Długo kompostowali mózg porucznikowi, ważąc jego poczucie obowiązku i obywatelskiej odpowiedzialności. A potem powiedziane zostało coś, co spowodowało, że Werner omal nie zemdlął.

–Istnieją podstawy, by sądzić, że admirał Uspienski jest lekko trącony – oświadczył generał. – Wygląda, że jest przemęczony. Traci kontakt z realnością. Mamy za chwilę rozwiązać flotę i admirał może w związku z tym wykręcić jakiś gorący numer. Rozumiesz, poruczniku, admirał ma poważne problemy osobiste. Rodzina nie wybaczyła mu, że walczył, i takie tam... Krótko mówiąc, on nie ma powodu, żeby wrócić na dół. Nikt na Ziemi go nie potrzebuje, więc coraz częściej mówi publicznie, że nie należy likwidować floty. Uspienski chce zachować swój wewnętrzny świat. A sercem jego wewnętrznego świata jest cruiser „Paul Atrydes”. Może admirał wpadnie na pomysł porwania okrętu albo coś w tym stylu? Jak sądzisz, czy to możliwe?

Zaskoczony Andrew podniósł z podłogi opadniętą szczękę. Kto jak kto, on wiedział, że Raszyn jest w stanie porwać nie tylko swój okręt, ale też zbuntować połowę floty. Oczywiście o ile ci durnie z dołu ukąszą go boleśnie demilitaryzacją. Admirał, mający zdaniem Wenera duszę artysty, i tak był nie do pogodzenia z armią. Nie służył jak inni, tylko starał się wycisnąć ze służby maksimum zadowolenia. Oczywiście kontrwywiad robił z muchy słonia. Ale Andrew dawno już nie widział Uspienskiego i wszystko to wydało mu się nader prawdopodobne.

–Nie chcemy, by admirał miał jakieś nieprzyjemności – powiedział generał. – Ty przecież też nie życzysz mu źle, prawda?

Werner wymruczał w odpowiedzi, że oczywiście nie życzy.

–Kiedy człowiek przez całe życie lata w kosmosie... – Pranie mózgu trwało. – ...i chcą mu nagle odebrać okręt, bardzo łatwo jest przekroczyć linię i powiedzieć wszystkim, żeby spierdalali. Ale z tej drogi nie ma już odwrotu. Można tylko posuwać się do przodu. A to oznacza najpierw grozić bronią, potem się ostrzeliwać, a potem... A my bardzo nie chcemy, żeby admirał sfiksował. Nie uważasz, że postępujemy słusznie?

Andrew tylko prychnął, ponieważ to pytanie nie wymagało odpowiedzi.

–Najgorsze jest to, że Uspienski został przez wszystkich zdradzony – wtrącił się major. – Admirał floty König usiłuje go utopić, cywile chcą wykiwać, syn się odżegnał... I wszyscy bardzo chcą, żeby nie wytrzymał, żeby coś zmalował, narobił głupstw. Nie można też powiedzieć, że wrogowie Uspienskiego nie mają powodów do nienawiści. Sam wiesz, że to nie jest dobry chłopiec. On jest taki... Rosyjski wojownik. A teraz osamotniony jak nigdy. I bardzo zły. Nadszedł więc czas, by się o niego zatroszczyć. Nie będę ukrywał, nie robimy tego z zadowoleniem. Nacierpieliśmy się przez niego... Ale bardziej racjonalne jest okazać

Uspienskiemu współczucie, niż doprowadzić go do wybuchu. A ty jesteś jego przyjacielem, poruczniku. Byłeś w każdym razie.

–Ale ja... – wymamrotał Werner. – No, oczywiście. Nie, no jasne... tylko mam nadzieję, że nie będę musiał nic takiego... Rozumie pan, sir?

–Wiemy wszystko o waszych stosunkach – powiedział major. – Nie miej złudzeń. I nie jesteśmy firmą asenizacyjną, tylko kontrwywiadem wojskowym. Nie proponujemy ci nic niehonorowego. Po prostu pomożesz człowiekowi, który wpadł w tarapaty.

–Aha, rozumiem, sir! – nie zrozumiał Andrew. – A w jaki sposób? To znaczy zgoda, tak, ale jeśli...

–No to wspaniale! – ucieszył się generał. – W takim razie zapoznaj się z sytuacją. Aktualnie nasi ludzie montują na okręcie flagowym i na kilku jeszcze okrętach blokadery, żeby w razie czego... No, rozumiesz chyba. Blokadery reaktorów i sterowników ognia. Tak więc, jeśli nawet Uspienski zechce się urwać z choinki, to nic z tego nie wyjdzie. Jak ochłonie, będzie mógł nawet powiedzieć, że nic złego nie miał na myśli. Widzisz, jak dobrze się dla niego wszystko układa?

–No tak – powiedział Werner bez szczególnego entuzjazmu.

–Właśnie! – skinął głową generał. – Ale tu powstał pewien problem. Nasz admirał zaczyna się domyślać, że jego starszy technik prowadzi podwójną grę. Lada dzień Uspienski pošle tego człowieka na dół. I będzie szukał kogoś na jego miejsce. Potrzebuje wykwalifikowanego technika, któremu zaufa jak sobie. Czyli komu, jak nie tobie?

–Niestety, nie – odparował Andrew. – Przecież wiecie, że po wybuchu na „Wigginie”, jak tylko mnie pocerowali, poszedłem do Raszyna... znaczy admirała Uspienskiego, żeby mnie przyjął do załogi. A tak naprawdę powinienem był iść do sanatorium dla nerwowo chorych. Gdzie w sumie znalazłem się już po tygodniu... Admirał zapewne nie uwierzy, że wyszedłem, bo było ze mną naprawdę krucho.

–Nie, chłopcze – powiedział major niemal czule. – Nie doceniasz go. Uwierz mi na słowo: Uspienski będzie cię szukał. I znajdzie. I zaprosi. A ty mu nie odmówisz.

Werner udawał przez kilka minut, że się waha, choć wewnątrz wył z radości. Potem oczywiście przystał na plan kontrwywiadu.

–Dobrze – usłyszał. – Na początek gratulujemy ci, poruczniku, z powodu otrzymania piętnastu lat w zawiasach. A właśnie, znowu jesteś porucznikiem i masz, z powrotem swoje medale. A teraz wypieprzaj stąd.

–To znaczy co? – zdziwił się Andrew. – To co mam robić tam, na górze?

–Co chcesz – padła obojętna odpowiedź. – Co ci serce podpowie.

–Jak to? – znów zdumiał się Werner. – A jeśli, przypuśćmy, opowiem Raszynowi wszystko o blokadach?

–Proszę bardzo. Ale mamy prośbę: nie od razu. Najpierw się rozejrzyj, popatrz, co i jak. A potem decyduj sam. Naszkicowałem ci sytuację. Masz ustrzec Uspienskiego przed samym

sobą. Obronić go. Pięć lat temu nie widział tego, że potrzebujesz pomocy. A teraz ty możesz zrobić dla niego to, czego on nie zrobił dla ciebie... Pomyśl o tym, jak będziesz miał wolną chwilę, poruczniku. No, powodzenia.

Do swojej obozowej klitki Andrew wrócił cywilnym krokiem i bezsilnie zwałił się na łóżko. Nie przypuszczał, że tak sprytnie go załatwią, to on miał wykiwać kontrwywiad, a okazało się, że spętali mu ręce i nogi. Kazali decydować samemu.

No i właśnie nadeszła chwila decyzji!

Obijał się teraz w nieważkości przypięty liną asekuracyjną do ściany i gryzł wargi, nie wiedząc, co ma zrobić.

Wiedział za to, w jakim stanie był dowódca, i Werner spodziewał się po nim raczej rozwiązań siłowych. Raszyn miał pod ręką wspaniałe narzędzie do przywrócenia sprawiedliwości – okręty Grupy F z wiernymi załogami. Najmniejsza różnica zdań między nim a oficerami zmusiłaby admirała do dokonania wyboru. Znalazłby jakieś pokojowe wyjście z kryzysu, zawsze szanował ludzi i ich opinie. Ale teraz nie było o czymś takim mowy – Grupa F pałała żądzą skopania dupy swoim krzywdzicielom. Innych opinii Andrew nie słyszał. Tak więc admirał mógł w każdej chwili zmieść policyjną eskadrę, żeby mieć posprzątane na tyłach, a potem ruszyć ku Ziemi i przedstawić swoje ultimatum.

Werner nie miał też wątpliwości, że walka z eskadrą Rabinowicza nie przyniesie większych strat. Ale potyczka z ziemskim systemem obronnym mogła wyjść Grupie F bokiem. Wielu fajnych ludzi zginęło z rąk innych fajnych ludzi tylko dlatego, że finansiści łaknęli pieniędzy, a politycy władzy. Jeśli więc Raszyn zrobi to, czego oczekują od niego nadmiernie pobudzeni podwładni, to tak się właśnie stanie. W Andym rósł niepokój, że uraza i gniew zmacą rozsądek dowódcy.

W zasadzie nie było to odległe od prawdy. Po co admirał wylegiwał się w kajucie? Przeczekiwał bardzo ciężki atak złości. Ale Werner tego nie wiedział i wysnuwał fałszywe wnioski.

Może dlatego, że to jego umysł zmaciło poczucie krzywdy. Kiedy Raszyn w sposób przemyślany i ostrożny zajmował się sobą, Andrew miał pod dostatkiem własnych emocji. Tamten troszczył się o losy półtora tysiąca ludzi – on rozwiązywał problem osobisty. Dlatego admirał usiłował wyciszyć siebie, a Werner się podkręcał.

No i przyszedł strach. Taki prawdziwy, ludzki – miał teraz co stracić. Miał Candy.

Oczywiście martwił się losem grupy, ale inaczej niż Raszyn. Uważał podobnie jak dowódca, że Grupa F nie powinna już strzelać. Słusznie domyślał się, że Ziemia potrzebuje obecnie głowy tylko Raszyna. Ale po jednej jedynej salwie do swoich Dyrektorzy wypiszą nakazy aresztowania wszystkich oficerów.

W tym kapitan-porucznik Kendall.

Może ci, którzy zostaną złapani, wykręcą się długotrwałym więzieniem. Ale uranowa

katorga to też śmierć. Oczywiście jeśli Candy spodoba się komuś z przełożonych, będzie

miała łatwiej... Pomyślawszy to, Werner zacisnął pięści. Wyobraził sobie Ive brudną, wychudzoną, żalostną, z popromiennymi krostami na twarzy, jęczącą z bólu pod którymś z kolei mężczyzną... Ona jeszcze nie wie, co to znaczy czepiać się życia pazurami, zębami i pochwą. Andrew nie mógł do tego dopuścić.

Teraz, patrząc na blokader i zastanawiając się, kiedy będzie najlepszy moment, by unieruchomić i rozbroić okręt, Werner nie myślał o sobie. Przejmował się raczej losem Candy. Kochał ją. I był gotów poświęcić wszystko, żeby żyła, nie znając bólu. Nawet jej miłość.

Ive, podobnie jak większość oficerów Grupy F i całkiem inaczej niż Andrew, chciała tylko jednego – walczyć, bić się, gryźć w obronie swojego honoru. Jak tylko stanie się jasne, dlaczego okręt stracił ciąg, pierwsze, co zrobi, to spróbuje udusić ukochanego własnymi rękami. Werner był o tym przeświadczony. Istniała oczywiście szansa, że Candy kiedyś mu wybaczy, ale nie wiedział, jak odległa to będzie przyszłość i czy Raszyn nie zabije go na długo przed tą chwilą.

Było mu wstyd, smutno, gorzko, czuł do siebie wstręt. Ale każda minuta zbliżała go do samobójczego ruchu – zaktywizowania blokaderów podczas podejścia do eskadry Rabinowicza. Policjanci wezmą bezbronny cruiser abordażem, a wszyscy jeńcy niestawiający zbrojnego oporu wykręcą się degradacją i zwolnieniem z floty bez emerytur i ulg. Major wyjaśnił mu to przed lotem na górę.

Tuż przed pożegnaniem pokazał Andrew zdjęcie.

–Co to? – zawołał ten, w panice odsuwając fotkę. Było na niej dużo, dużo krwi, cała kałuża, w której leżała naga dziewczyna ze zniekształconą twarzą. – Po co to?

–Nie poznajesz? – zdziwił się fałszywie major. – Oczywiście, byłeś tak nachlany, że nie poznałbyś własnej matki... To z tą panią się zabawiałeś.

–Gdzie?! – wykrztusił oszołomiony Werner, spodziewając się najgorszego. Najgorsze nie kazało na siebie długo czekać.

–W burdelu, gdzie byłeś z komendantem – przypomniał oficer kontrwywiadu. – Rozumiesz, taka jest sprawa: twój przyjaciel Uspienski wie oczywiście, że już nie jesteś psychiczny. Myśli, że zostałeś wyleczony. Ale jak tylko zobaczy tę fotkę i przeczyta orzeczenie o twoich odciskach na nożu, którym została pocięta ofiara, o twojej spermie w jej wszystkich otworach i tak dalej... A właśnie, może ty też chcesz to przeczytać?

–Po co? – zapytał Andrew, zanim walnął majora pięścią w nos. Zabiłby go, gdyby

ten nie znalazł się nagle z tyłu i nie kopnął więźnia w kość ogonową.

–Po to, skarbie – powiedział czule oficer do zwijającego się z bólu w kącie Wenera – że jesteś Rosjaninem. A ja bardzo dobrze poznałem wasz gatunek. Rosjanie ciągle jeszcze uważają, że tylko oni są mądrzy, a reszta to tępe gówna. Dlatego też nie uznają wdzięczności. Założymy się, że chciałeś mnie kiwnąć, co? Z wdzięczności, że tak powiem, za to, że cię

wyciągnąłem z tarapatów. Ale teraz, myszko, wiesz, gdzie cię mam! – Pokazał Andrew zaciśniętą pięść. – Do samego końca. Na zaw-sze!

Tym sposobem Werner znalazł się na pokładzie okrętu flagowego Grupy F – pocierając skopany tyłek i myśląc, czy nie powinien poderżnąć sobie gardła.

Podobne uczucia buzowały w nim obecnie, kiedy samotny i zrozpaczony wisiał w centralnym rdzeniu „Skoczka”.

Tyle tylko, że teraz nie bolała go stłuczona część ciała, a coś w okolicy serca.

* * *

–Panowie oficerowie! – ryknął dowódca „von Reya”, podrywając się i prężąc jak struna.

–Spocznij! – zawołał od progu Raszyn i usadził wszystkich władczyim ruchem ręki. – Panowie oficerowie, mamy bardzo, bardzo mało czasu. Biercie terminale, słuchajcie.

Dowódcy, wymieniwszy znaczące spojrzenia, otworzyli pokrywy swoich dech. Raszyn usiadł przy biurku i odwrócił do siebie monitor. Essex stanął za jego plecami, uważnie wpatrując się w obecnych. Borowski zajął miejsce pod ścianą przy drzwiach i skrzyżował ręce na piersi.

–Gotowi? – zapytał admirał. – Patrzcie. Schemat operacyjny zero-jeden. Wszyscy znaleźli swoje miejsce?

–Ho-ho! – nie wytrzymał ktoś.

Na monitorach pojawiło się rozmieszczenie okrętów Grupy F w bezpośredniej bliskości Ziemi. Wszystko wskazywało na to, że schemat był przygotowywany na wypadek zdławienia lokalnego konfliktu albo buntu na ojczystej planecie.

–Tajne opracowanie naszego sztabu – wyjaśnił Raszyn. – Bardzo dobra robota. A admiralicja nie ma o tym pojęcia. Jak widzicie, z powierzchni nic nam nie mogą zrobić. Atak siłami reszty ziemskiej floty też jest nierealny: zauważymy ich pierwi i zdążymy się przegrupować lub wycofać. Teraz, panowie, stawiam zadanie. Dział

liniowy przygotowuje rozkład, wkrótce zostanie wam dostarczony. Po pięciu godzinach od tego momentu zaczniecie zgodnie z tym rozkładem cumować przy „Gordonie” i odbierać jego załogę... Co?!

–Nic, panie admirale, sir – pośpiesznie odpowiedział ktoś z tylnych rzędów.

–Trzeba będzie się trochę ścieśnić – ciągnął więc Raszyn. – Moglibyśmy przenieść około trzystu ludzi na remontowiec, tam są puste magazyny, ale to by było nie fair.

Sala zaszumiała z aprobatą.

–To nic, jakoś się pomieścimy – wyraził ogólną opinię dowódca „von Reya”. – Dobrze mówię?

–Bardzo dobrze – uśmiechnął się admirał. – Pamiętajcie, z „Gordona” schodzą wszyscy. Dalej! Ewakuacja trwa godzinę. Następnie grupa rozdziela się i pojedynczo odchodzi do przewidywanych w schemacie operacyjnym punktów. Tam zatrzymujecie się i czekacie na dalsze rozkazy. Zabraniam jakichkolwiek działań bojowych podczas manewrów. Unikać

wszelkich kontaktów. Łączność ze sztabem tylko w przypadkach nadzwyczajnych, wyłącznie przez naszą boję. Pamiętajcie, że zmieniają się wszystkie kody. Ze schematem łączności i nowym systemem szyfrowania zapozna was kontradmirał Essex. Na czas operacji wyznaczam go na dowódcę Grupy F. Panie kontradmirale, przystępuje pan do wykonywania obowiązków natychmiast po zakończeniu narady.

–Tak jest. – Tyłek skinął głową, zachowując kamienny wyraz twarzy.

–Okrętem flagowym na czas operacji będzie „Lock von Rey”.

–Ja nie mogę, reaktor mi się grzeje – od razu oświadczył jego dowódca.

–Naprawisz – powiedział Raszyn.

–Nie daje się naprawić!

–To go zmusisz – rzucił z groźbą w głosie Borowski.

Commander „von Reya” posłał mu spojrzenie pełne bezsilnej nienawiści, odwrócił się do admirała i zrobił nieszczęśliwą minę.

–*Olegu Igoriewiczu!* - jęknął. – Za co to? Przecież ja ledwie pełnę! Chłodzenie mam już prawie na zerze...

–Bardzo nie chcesz? – zapytał Raszyn, najwyraźniej szykując jakiś podstęp.

–Przepraszam... – Oficer opuścił głowę i wbił wzrok w ekran terminala.

Sala wymieniła następną porcję spojrzeń, ale nikt nie odważył się odezwać.

–Pytań nie ma – stwierdził więc admirał. – Essex, rozkaz.

–Panowie oficerowie – niezbyt głośno rzucił Tyłek.

Dowódcy poderwali się z pogrzebowymi minami. Szczególnie załamany był commander „von Reya”.

Raszyn wyszedł z biurka i przespacerował się przed pierwszym szeregiem krzesel. W sali panowała grobowa cisza. Nikt z oficerów nawet nie drgnął, pochłaniali tylko wzrokiem dowódcę, a w spojrzeniach można było znaleźć wszystko: od niemego pytania do głębokiego współczucia.

–N-no tak... – powiedział admirał do Essexa. – To nazywam siłami zbrojnymi. To nie jest banda Rabinowicza. I nie banda Wujka Gunnara. To jest prawdziwa Attack Force. Przejmuj grupę, Phil.

Tyłek uśmiechnął się szeroko.

–Spocznijcie, panowie – zezwolił. – Proszę siadać.

Przez salę przeleciało chóralne westchnienie.

–W imieniu dowództwa grupy – zaczął Essex – wyrażam podziękowanie wszystkim obecnym. W tych niełatwych chwilach pokazaliście, że jesteście prawdziwymi wojskowymi astronautami. Panowie, głos ma admirał... Admirał Raszyn.

–Dziękuję, Phil. – Ten skinął głową z zadowoloną miną. – Cóż, sądzę, że swoją godną pochwałą jednomyślnością i oddaniem Grupie F zasłużyliście na pewne wyjaśnienia. Zauważyliście, że w schemacie operacyjnym nie ma położenia dwóch jednostek. To „John

Gordon” i „Paul Atrydes”. To nie błąd. Po tym jak grupa odleci ku Ziemi, obsadzę „Gordona” jedną wachtą, swoją, i poprowadzę go na spotkanie z eskadrą Rabinowicza. Powiem Bobowi kilka słów, zostawię mu w prezencie „Gordona”, a sam wrócę na „Skoczku”. Wy nie musicie się śpieszyć, a ja polecę na pełnych przepustnicach, więc nawet nie zdążycie zatęsknić za mną. Jakiś tydzień będziecie dręczyć swoim widokiem Ziemię, przypomnicie, z kim mają do czynienia, a ja w tym czasie wrócę. I to właściwie wszystko. Słucham, Pedro, co pana tak niepokoi?

–Przepraszam, sir. – Oficer wstał. – My oczywiście wiemy, że pan i Rabinowicz jesteście starymi przyjaciółmi, ale to jeszcze nie powód, żeby pan tak ryzykował. Nie

jesteśmy dziećmi, sir. Świetnie rozumiemy, że pan nie wróci.

–Serio? – zapytał Raszyn, chytrze mrużąc oczy.

–Szanuję pana zdanie, sir. Ale według mnie, zamiast ratować nasze życia, nadstawiając własną głowę, mógłby pan zapytać nas o zdanie – oświadczył Pedro.

–Właśnie! – wtrącił ochoczo dowódca „von Reya”; który wyraźnie nie chciał brać na pokład kontradmirała Tyłka, zwłaszcza jako dowódcy całej grupy. – Wszyscy do czerwonodupków strzelaliśmy, to i wszyscy możemy za to odpowiadać. Dobrze mówię?

–Tak! – chór głosów nie był zsynchronizowany, ale donośny.

Raszyn rzucił na Essex'a krótkie spojrzenie. Ten dumnie wypiął pierś.

–Tacy są nasi ludzie! – powiedział z dumą.

Sala eksplodowała, oficerowie zrywali się z miejsc i gwałtownie gestykulowali.

–Wszyscy lecimy do Rabinowicza! – krzyknął commander „Rocannona”. – Niech tylko coś piśnie!

–Mam rozumieć, młodzieńcze, że już się pan nauczył strzelać? – złośliwie zapytał admirał. – System spieprzony, a do walki się pcha jak dorosły. Dobra, cicho wszyscy! Siadamy! Siadamy na miejsca! Do kogo mówię?!

Wszyscy ucichli, ale patrzyli wojowniczo i wyraźnie nie zamierzali porzucić dowódcy w kłopotach.

Ten przechylił się przez biurko i popatrzył na monitor.

–Jeszcze niegotowe – powiedział Essex.

–Co za dupek wymyślił tę daleką łączność! – syknął wściekły Raszyn. – Tylko się człowiek denerwuje za każdym razem...

–Rosjanin wymyślił – przypomniał Borowski. – Zapomniałem nazwiska. Coś jak Ajwenoff. Albo Aiwen...

–Coś jak Eisenstein – wycedził Raszyn. – Albo typu Borowski. Czego tam stoisz, tylko ludzi straszysz? Chodź tutaj!

–Stąd lepiej widzę – powiedział ZDO „Skoczka”. – I pilnuję, żeby w zamieszaniu ktoś nie podpieprzył nam bimbru.

Sala eksplodowała głośnym śmiechem. Admirałowi też kąciki ust uniosły się w górę. Borowski utrafił idealnie.

Nikt nie umiał lepiej od niego podsuwać idiotycznych odzywek w przesadnie patetycznych chwilach. Teraz też kilkoma słowami zlikwidował narastające w sali napięcie.

–Grupa, cisza! Uwaga! – polecił Raszyn. – Łącznościowcy jeszcze nie mają wideo. Otrzymaliśmy doniesienie od commandera Feina. Trzymajcie się krzeseł, panowie oficerowie. Fein trafił na Obcych. A ci go zaatakowali.

Dowódcy jak porażeni gromem wytrzeszczyli oczy na admirała. Przez kilka chwil w sali panował bezruch i martwa cisza. Potem ze swojego miejsca odezwał się znowu Pedro. Tym razem wstawał wolno.

–Panie admirale, sir – zaczął ze smutkiem – proszę mi wybaczyć moją kretyńską eksplozję emocji. Zachowałem się niegodnie. Bardzo pana przepraszam.

–Dziękuję, commanderze – powiedział Raszyn. – Nie ma problemu. Nie obraziłem się. Mam nadzieję, że rozumiecie, dlaczego trzymałem was w niewiedzy?

–Tak, sir. Teraz tak. Chciał pan sprawdzić...

–Oczywiście. Proszę o wybaczenie za ten mały eksperyment. Wszyscy, moi przyjaciele, jesteśmy tylko ludźmi i wszyscy mamy taki, a nie inny system nerwowy. Ilu astronautów straciliśmy w ciągu tej doby, Phil?

–Dziesięciu – westchnął Essex.

–Rozumiecie – ciągnął admirał – musiałem być pewien, że Grupa F przechorowała ten stres i nadal jest gotowa do walki jak jeden organizm. Otrzymałem odpowiedzi na swoje pytania i jestem dumny ze swoich oficerów. Proszę siadać, Pedro. Dziękuję. Tak więc, panowie, gdy tylko zobaczymy, co tam znalazł Fein, odeślę meldunek do boi policyjnej eskadry. Czy teraz też uważacie, że Rabinowicz mnie aresztuje?

–Gdzież tam, przecież nie jest chory! – mruknął dowódca „von Reya”.

–Ale reaktor i tak naprawisz – rzucił do niego Borowski.

–Teraz tak – zgodził się commander.

–Są pytania? – Raszyn chrząknął. – Nie? Dobrze. Panowie, otrzymacie raport Feina na swoje terminale natychmiast po zakończeniu dekodowania. Zamierzam z okazji tej niespodzianki za jakieś dwie godziny wystąpić na grupowym interkomie z apelem do stanu osobowego. Teraz zaś proszę mi wybaczyć, czas... Essex!

–Panowie oficerowie!

–Spocznij! Dziękuję wszystkim! Życzę równego ciągu, przyjaciele. I do spotkania.

–Na cześć admirała Raszyna, hura! – ktoś wrzasnął. Dowódca wyraźnie zmieszany niemal biegiem opuścił salę żegnany trzykrotnym rykiem. Regulamin floty nie przewidywał takiej demonstracji uczuć, zresztą wcześniej w Grupie F takie rzeczy się nie zdarzały.

–Moser! – krzyknął Borowski, kiedy echo wsiąkło w ściany. – Gdzie jesteś? Bierz kanister i spadamy!

–Nie rozumiem tylko jednego – rzucił w przestrzeń commander destroyera „Rocannon-2”. – Po co mamy poddać „Gordona”?

–Dupa wołowa – zjadliwie skwitował Pedro. – Bez „Gordona” nie jesteśmy dla Ziemi tak niebezpieczni. Ustali się równowaga sił.

–W dupie mam taką równowagę!

–Póki mamy Raszyna, i tak przewaga jest po naszej stronie – zauważył dowódca „von Reya”. – Moser, świnió! Gdzie z tym lecisz?! No chluśnij przynajmniej jedną szklaneczkę!...

*** * ***

Kiedy interkom Wenera, pisnąwszy cicho, przełączył się na odbiór, ten już trzecią godzinę pełzał po rozładowanym rdzeniu, testując działanie systemu kierowania ogniem. Sam nie za bardzo wiedział, po co to robi, ale praca go uspokajała, zwłaszcza że miał już dość rozmyślań i rozważań. A powrót do strefy roboczej, gdzie mieszkali drodzy mu ludzie, których zamierzał zmusić do haniebnego poddania okrętu, był ponad jego siły. Może czułby się lepiej, gdyby już podjął ostateczną decyzję, ale ciągle nie potrafił. Dlatego z ciężkim sercem i z kruszonymi bólem skroniami mechanicznie badał wnętrza głównej lufy, łażąc niczym mucha w plątaniu kabli. Andrew już znacznie przekroczył normę przebywania w nieważkości, ale to go nie martwiło, wręcz przeciwnie. Zbawczy powód, by nałykać się prochów i zwalić w ciężki, pozbawiony majaków sen.

–Uwaga! – usłyszał naraz w słuchawkach. – Za minutę z wystąpieniem skierowanym do stanu osobowego zwróci się dowódca grupy. Wszyscy wolni od wachty proszeni są o włączenie monitorów. Powtarzam...

Werner z ulgą włożył do kieszeni sondy testujące i rozejrzał się. Najbliższy terminal kontroli narzędziowej był o kilkadziesiąt metrów od niego, na przeciwległej ścianie. Zdaniem producenta nie służył do odbioru pokładowego wideo, ale miejscowi

technicy rozwiązywali ten problem jeszcze długo przed pojawieniem się Wernera na pokładzie „Skoczka”. Zamiast ubogiego szarego ekraniku terminal miał zamontowane potężne biblioteczne monitorzysko, zresztą całkiem nowe. Okręt flagowy w ogóle był jednostką dobrze przystosowaną do życia. W miejscach, do których rzadko zaglądali oficerowie, było wszystko prócz dyskotek. No i może nikt nie wpadł na pomysł zajmowania się seksem w rdzeniu. Choć pewnie jedynie dlatego, że atmosfera na okręcie bojowym nie sprzyjała erotycznym zabawom. Takie uczucia, jakie przytrafiło się Andrew i Ive, zazwyczaj nie wybuchają między astronautami.

Technik odpiął linę asekuracyjną i odepchnąwszy się lekko, przeskoczył na drugą stronę centralnej lufy. Zaczepił karabińczyk o reling i popłynął wzdłuż ściany do terminala. Zamienił miejscami klika wtyków, wszedł do sieci pokładowej i podłączył się do wideo. Wtedy spojrzały na niego lekko zmrużone oczy admirała.

–Dzień dobry państwu – powiedział Raszyn.

–Czołem – rzucił Andrew.

Coraz mocniej bolała go głowa.

–Zwracam się do was z komunikatem specjalnym. Zaraz obejrzycie krótki film dopiero co przesłany ze scouta „Helen Ripley” z trawersu Cerbera. W zasadzie to tajna informacja, ale w aktualnych okolicznościach dowództwo uważa, że każdy członek naszych załóg ma prawo to zobaczyć... – Dowódca na chwilę zawahał się, dobierając słowa. – Zobaczyć to, z czym być może przyjdzie nam spotkać się w walce. Patrzcie, panie i panowie!

I przed Wernerem pojawiły się statki Obcych.

Mocno złapał poręcz, błyskawicznie zapominając o bólu głowy. Alieni oderwali się od powierzchni Cerbera i zaczęli pościg. Andrew wyobraził sobie, jak musiał czuć się Fein, kiedy zaczęły go ścigać dwa ogromne pierdolniki nieznanego wroga. Nerwowo oblizwał wargi. Potem mocno zacisnął powieki. A kiedy otworzył oczy, znowu patrzył na niego Raszyn.

–Mamy nadzieję, że commander Fein zdołał umknąć pościgowi i wkrótce będzie mógł przekazać nam szczegółowy raport – mówił admirał. – Ale cokolwiek się wydarzy, wiemy już teraz z całą pewnością, że Obcy naprawdę istnieją i że ich zamiary nie pozostawiają miejsca na wątpliwości. Oto nasz przeciwnik, panowie. Realny. I jeśli pokonał ogromne przestrzenie, żeby znaleźć się na granicach Słonecznego, możecie sobie wyobrazić, jakie ma silniki i jakimi zasobami energetycznymi dysponuje. Nie będę teraz gadał o modelach współdziałania z Alienami wypracowanych przez sztab naszej grupy. Możliwe, że kontakt nie będzie miał charakteru siłowego. Nie wykluczam, że błędnie oceniamy zachowanie Obcych.

Może też wszystko zakończy się walką z tymi konkretnymi dwiema jednostkami, które pojawiły się u nas z powodu jakiegoś błędu i za którymi nie podąża silna armada. Ale w każdym z tych przypadków, panie i panowie, pojawienie się Alienów zmienia sytuację Grupy F.

Raszyn zamyślił się na chwilę, kierując wzrok ku podłodze. Dotknął koniuszkami palców skroni. Może też bolała go głowa.

–Jesteśmy astronautami wojskowymi – powiedział, podnosząc wzrok do kamery. – Powinniśmy być przygotowani na wszystko. W szczególności musimy, zgodnie z naszą przysięgą, bronić Układu Słonecznego przed agresją z zewnątrz. Wiem, że przez ostatnie doby na okrętach grupy odbywały się burzliwe dyskusje o tym, kim jesteśmy i co powinniśmy zrobić. Teraz już nie mamy takich problemów. Nie jestem przekonany, czy pojawienie się przeciwnika spoza Układu jest najlepszym rozwiązaniem. Prawdopodobnie atak Obcych może być tragedią dla całej ludzkości. Jednakże w każdym wariancie na drodze tej agresji stanie Attack Force. A to oznacza, że jesteśmy tym, czym byliśmy. Nie ma co do tego dwóch zdań. Znajdujemy się na okrętach wzmocnionej brygady wojennej floty kosmicznej podporządkowanej Ziemi. Bronimy swojego domu. Dlatego, drodzy państwo, wszystko zostaje po staremu. Dowództwo grupy oczekuje od każdego członka załogi pracy zgodnej z wykazem obowiązków służbowych. Dowództwo z kolei gwarantuje wam, że w najbliższej przyszłości status Grupy F zostanie potwierdzony przez Radę Dyrektorów i, o ile okaże się to konieczne, specjalnym dekretem Rady Akcjonariuszy.

Admirał przekrzywił lekko głowę i uśmiechnąwszy się, dodał:

–No i to właściwie wszystko. Znowu działamy, panie i panowie! Pracujemy. W najbliższym czasie będziemy musieli sporo manewrować... Zresztą szczegóły otrzymacie w normalnym trybie, w zakresie dotyczącym każdego z was. Żegnając się, pragnę podziękować wszystkim, którzy w ciężkich chwilach nie utracili wiary w Grupę F i jej szczęśliwą gwiazdę. Dziękuję wam. I do widzenia.

Na monitorze pojawiły się bieżące informacje. Andrew z trudem oderwał rękę od poręczy i podniósł ją do twarzy. Po policzkach coś ciekło.

To były łzy.

*** * ***

Andy wyszedł ze strefy roboczej na pokład ładunkowy nieopodal głównej śluzy. Luk centralnego rdzenia otwierał się tuż przy podłodze i pierwszą rzeczą, jaką zobaczył Werner, były czyjeś pośpiesznie maszerujące po korytarzu nogi. Do śluzy mknęli niemal biegiem ZDO Borowski i nawigator Christoff Bulion. Obu wystawały spod pach pięciolitrowe butle tlenowe.

Gdy Borowski usłyszał, jak mlasnęła pokrywa luku, gwałtownie odwrócił się niczym zaskoczony na miejscu przestępstwa.

–Aaa, to ty – powiedział z ulgą. – Czołem. No i jak? Widziałeś gnojów? Ciekawe, co to za napęd?

–Jakiś antygraw – sapnął Andrew, wylażąc przez okrągły otwór. – Och, dadzą nam popalić.

–Właśnie – przytaknął ZDO. – A nasi jakby powariowali. Wszyscy się tak ucieszyli, że nie musimy wojować z Ziemią... Jakby Obcy byli lepsi. Słuchaj, powiedz mi taką rzecz. Jaki kabel siłowy lepiej pracuje: *osiemnaście bi dwa* czy *osiemnaście si osiem*⁷.

–*Si osiem* lepiej trzyma maksymalne obciążenie. – Werner przykucnął, żeby zamknąć luk. – *A bi dwa* to po prostu dobry, niezawodny kabel. Przy okazji, nam w tej chwili nie jest do niczego potrzebny, a widziałem w magazynie dwie szpule.

–Potrzebujemy czterech – mruknął Borowski. – Dobra, zobaczymy, co oni tam mają.

–Po co komu tyle? – zdziwił się Andrew.

–Po to, że „von Rey” chce tyle za komplet uszczelek. Christoff, proszę iść na razie do kutra, ja muszę coś skonsultować... Powiedz, Andy, czy procesor marszowy z megadestroyera nie przyda się nam do czegoś? Oni powinni tam mieć rezerwy, o ile go nie przepili, rzecz jasna.

–Łupimy „Gordona” czy jak?

–A co myślałeś? Przecież go oddajemy Rabinowiczowi. A, ty jeszcze nie wiesz wszystkiego. No to ci powiem, że Raszyn chce wykonać przyjazny gest.

Werner podrapał się po głowie. Ciągle jeszcze kiepsko szło mu myślenie i nie do końca rozumiał, co się dokoła niego dzieje, ale plan admirała brzmiał sensownie. ZDO czekał na odpowiedź. Andrew przejechał zamyślonym spojrzeniem po butlach, które tamten trzymał pod pachami.

–Możemy wziąć – uznał. – W najgorszym wypadku będą części zapasowe. Możemy go też później opylić Rabinowiczowi. O ile nie powystrzela nas przedtem.

–Robert to swój chłop – pokręcił głową Borowski. – Dogadamy się z nim. A co do tego opylenia, jak proponujesz, to też się zastanawiałem. Ale rozumiesz, najpierw trzeba by podpieprzyć procesor marszowy „Gordona”.

–Niedobrze – powiedział Andrew.

–Właśnie – przytaknął ZDO. – Dobra, zobaczymy, co tam jeszcze mają nieprzykręcone do podłogi. Przy okazji, astronauto, wyglądasz trochę do dupy...

–Przesadziłem z nieważkością. A co z tym tlenem? Też będziecie na coś wymieniać? Kto potrzebuje?

–Nasz tlen każdemu się przyda – uśmiechnął się Borowski. – Firmowy. Ciekły. Bardzo ciekły. No, to narazicho! – I pobiegł do śluzy.

Technik tępo pokiwał głową i przytrzymując ją rękoma, żeby nie kręciła się tak mocno, zniknął w trzewiach strefy roboczej.

Drzwi sekcji medycznej otworzyły się dokładnie na tyle, żeby mógł wyjrzeć przez nie potężny kinol doktora Epsteina.

–Czego? – zapytał lekarz niezbyt przyjaźnie. – Na co się pan tym razem uskarża, poruczniku?

–Na sytuację w strefie roboczej – odrzekł Werner. – Nie wiem dlaczego, ale ja tam latam.

–Długo? – Epstein nie zareagował na żart.

–Dziś około trzech godzin.

–No to głupi jesteś. Czekał, zaraz! – I zamknął swoją kabinę.

Andrew czekał chwilę oparty o ścianę.

Drzwi się otworzyły, znowu tylko na kilka centymetrów. W szczelinie technik zobaczył lufę pneumoiniektora.

–Dawaj tu szyję – polecił doktor.

–Może lepiej w ramię? – spytał Werner niespokojnie.

–A może w dupsko? – odpowiedział mu pytaniem na pytanie Epstein.

–Dlaczego wy, lekarze, jesteście tacy złośliwi... – wymamrotał Andrew, wykrzywiając kark i przysuwając go do szczeliny, żeby doktorowi łatwiej było strzelać.

–Bo wy, astronauta, jesteście tacy durni. Walę!

–Och! – Technik odskoczył, chwytając się za szyję. – Dziękuję, doc! Przepraszam za kłopot.

–Na zdrowie. Idź spać. Kto ty jesteś? Porucznik Werner?

–To ja, doc.

–Dobra, wpiszę do dziennika. Osiem godzin odpoczynku. To rozkaz. Koniec. Wolny.

–Do widzenia. – Andrew pożegnał się z zamkniętymi drzwiami i pocierając szyję, pokuśtykał do siebie.

Epstein zablokował wejście do swojej sekcji, poczłapał boso do biurka i wziął do ręki plastikowy kubek z przezroczystą cieczą. Wypuścił powietrze z płuc, łyknął, chrząknął radośnie, po czym odwrócił się do sarkofagu laboratorium ekspresowego. Pod szkłem leżało nagie ciało, metalowe macki sprawnie oddzielały mięso od kości.

–Lindo, słoneczko – poprosił lekarz. – Zapisz proszę w dzienniku: *Porucznikowi Wernerowi wykonano kompleksową iniekcję przeciwko „syndromowi lotnika”.* Zalecono ośmiogodzinny wypoczynek. Zalecono surowo.

Wygodnie zwinięta w kłębek na siedzisku fotela Linda przysunęła do siebie kontaktowy pulpit i wykonała wpis.

–Nie będzie wypoczywał ośmiu godzin – powiedziała wyraźnie pijanym głosem. – Wywalą go na „Gordona” razem z wachtą Kendall.

–No to tam dośpi – obojętnie rzucił doktor. Laboratorium cicho brzęknęło, na monitorze pojawiły się słupki liczb. Epstein z uwagą patrzył na nie przez chwilę. Potem prychnął i przez ramię spojrzął na Lindę.

–No to jak, siostrzyczko, w górę szkło – powiedział. – Wypijemy za wieczny odpoczynek Issiaha Meyera, człowieka bardzo przypominającego człowieka.

–A co, jak prawdziwy? – zapytała Stanfield. – W takim razie pijmy.

Stuknęli się szklaneczkami i wypili po łyku.

–Uff! – sapnęła Linda. – W pytę. Słuchaj, a co robimy dalej?

–Dalej? Badania genetyczne. To wszystko, co możemy tu i teraz zrobić. Ja sądzę, że Meyer to naprawdę klon. Dobry, ale klon. Ech, żeby tak wiedzieć, co miał za życia w głowie! Tam była odpowiedź.

–A może to jednak prawdziwy Meyer – powiedziała w zadumie Stanfield.

–A na „Skywalkerze” w takim razie kto zginął? Myślisz, że Werner kłamał co do jego resztek? A jego nieśmiertelnik skąd się tam wziął? I w ogóle po co by mu to było?

–Oglądałeś sprawozdanie komisji?

–Nie.

–Właśnie! Nikt go nie widział. Rozumiesz... – Linda znacząco zawiesiła głos. – Andy Werner to facet na medal. Tylko jakoś mu nie wierzę. Kryje jakiś sekret, i to poważny, powiem ci. Bardzo po-waż-ny. Poza tym Rosjanin...

–Nasz dowódca też jest Rosjaninem – przypomniał Epstein.

–Raszyn to zupełnie inny Ruski – machnęła ręką Linda. – Zresztą nic w sumie nie wiem... To co robimy, doc?

–Chodź tu, będziesz asystować.

–A to, że jestem goła, to nic? – zapytała, wstając i przeciągając się.

–Wcale nic. Zwłaszcza z przodu.

–Aztyłu?

–Z tyłu też ładnie. Linda! Odczep się! Nie teraz...

–Głupi, przecież za dziesięć godzin będziemy się ubierać... Pełny ciąg. Może to nasza ostatnia okazja. Jesteś pewien, że nie będzie walki? Jak nie z Rabinowiczem, to z Obcymi...

Lekarz pokładowy przymknął oczy i zamruczał rozkosznie, czując, jak czułe dłonie ściągają z niego kombinezon.

–Rabinowicz nie jest oczywiście Roskim – powiedział – ale nie jest też durniem. A Obcy też nie wiadomo, czego chcą. Natomiast ja wiem, czego chcę.

–To widać – zagruchała Stanfield, z zachwytem patrząc w dół.

*** * ***

Grupa F rozsypała się we wszystkie strony i zniknęła w pustce. Na poprzednim kursie pozostały tylko dwa okręty. Od jednego z nich, malutkiego, oderwał się kuter i zmierzał ku drugiemu, ogromnemu. Otwarte wrota śluzowe połknęły stateczek niczym muchę.

Wielki Wielofunkcyjny Okręt „John Gordon” został rozszabrowany. Pracowicie i z zaangażowaniem oderwano wszystko, co można było rąbnąć bez uszczerbku dla możliwości marszowych jednostki. Zniknęły nawet awaryjne skafandry z głównej śluzy. Wewnątrz poszycie zostało poszarpane na strzępy, a z sufitu zwisały

końcówki kabli. Zaspany Andrew najpierw tylko melancholijnie cmokał, natrafiając na kolejny przypadek grabieży, ale potem potknął się o czyjś porzucony na środku korytarza but, omal nie rozwalił sobie nosa i wtedy się obudził.

–Nie padamy – polecił Borowski, chwytając Wenera za pas i pomagając mu wstać.
– Jesteś nam potrzebny żywy. Wyśpisz się, jak będziemy w ciągu. Candy! Trzymaj swojego pupila.

Ive mocno chwyciła Andrew pod rękę. Werner popatrzył na nią z czułością i ukradkiem pocałował w czubek głowy. Zarumieniona dziewczyna lekko trąciła go łokciem w bok. Z tyłu ktoś zachichotał z aprobatą.

Po szerokim korytarzu megadestroyera mogły maszerować trzy osoby i nie było ciasno. Dziesięciu ludzi wachty Kendall, pięciu techników i trzech strzelców prowadzonych przez Foxa i Borowskiego, wolno zbliżało się do stanowiska dowodzenia. Zostało im do przejścia jakieś trzysta metrów.

–Ktoś jeszcze śpi? – zapytał Borowski, odwracając się. – To „Gordon”. Tu nie wolno kimać w marszu, bo się pogubicie. Wszyscy pobrali schemat okrętu?

–Pobrali – odpowiedział kanonier, pełniący czasowo obowiązki zastępcy. – Najważniejsze, żeby ścianki działowe były na miejscach. Ale sądząc po rozmiarach grabieży... Jak myślisz, Andy? – zawołał do Wenera. – Mamy reaktory?

Andrew uśmiechnął się i przywołał swoich ludzi.

–Moim zdaniem, zaraz będzie rozwidlenie – powiedział. – Ettore, ty wal w lewo, do reaktora, i zerknij, czy tam wszystko w porządku. Fred, ty sprawdź sterowanie ogniem. To trzy poziomy niżej. Tam można odkręcić sporo rzeczy, więc proszę cię, przyjrzyj się uważnie, dobra? Pozostali do lufy centralnej, identyczne zadanie. Jak się rozejrzycie, natychmiast meldujcie.

Technicy po chwili zniknęli w bocznych odnogach korytarza. Tym ludziom nie trzeba było zlecać zadań, sami wiedzieli, co i jak. Ich zawód przypominał medycynę, dlatego doświadczony bosman służby technicznej ceniony był we flocie bojowej nie mniej niż master-nawigator.

–Bardzo duży okręt – powiedział w zamyśleniu Christoff, wpatrując się w schemat. – Po prostu bardzo duży. Masz ci, kort tenisowy!

–Pewnie się w tej chwili Tylek wścieka! – zarechotał Fox. – W malutkiej kajutce, bez referentów, ochrony...

–Nic podobnego – rzucił przez ramię Borowski. – Tutaj też miał malutką kajutę. Essex nie lubi otwartej przestrzeni. Kiedy byłem zastępcą liniowym, zapytałem go,

dłaczego ciągle się kryje po kątach. A on mi odpowiedział całkowicie poważnie, że im więcej miejsca, tym bardziej może się rozkręcić drugie prawo termodynamiki...

–Świr – podsumował kanonier.

–Nie większy niż ty i ja – burknął do jego pleców Werner.

Z lewej na ścianie pojawiła się wielka krwawa plama. Borowski, przechodząc, przejechał po niej palcem i wsadził go do ust.

–Jaka szkoda! – powiedział. – Tylko dżem. A już zamierzałem się wystraszyć... Długo jeszcze mamy iść? A, jest mała sala konferencyjna! No to teraz już blisko.

Obok drzwi prowadzących do sali konferencyjnej ktoś narysował czerwonym markerem na oślepiająco białej ścianie karykaturę szefa sztabu. Essex wyglądał jak żywy, chociaż nieznany artysta maznął go niemal jednym pociągnięciem ręki.

–Tu też był nasz maniak... – szepnął Andrew na ucho Ivetcie.

–Ale numer! – zachwycił się Fox, patrząc na rysunek. – Ale jaja! Panowie, patrzcie! Autor! Autor!

Astronauci zatrzymali się przed karykaturą. Borowski, który odszedł już dość daleko, przystanął obok wyrwanego ze ściany terminala interkomu i nie wiadomo po co poszturchiwał zmasakrowaną konsolę.

–Hej, Jean Paul? – zawołał go kanonier. – Widziałeś? Wspaniałe malarstwo!

–Ja widzę to – ponuro rzucił Borowski, pochylając się i patrząc w otwór. – Werner! Andy, jak myślisz, czym to zostało zrobione?

Technik podszedł i ostrożnie dotknął stopionego metalu.

–Ciekawe – powiedział. – To nie jest przecinak, commanderze.

–Też tak sądzę. Nie to cięcie. Oczywiście nie moja sprawa, ale gdyby mnie ktoś zapytał, tobym powiedział, że konsola nie została odcięta, tylko odstrzelona. Michael? Chodź no tu. To twoja domena.

–Moim zdaniem bez Foxa też jasne – powiedział Andrew. – Ręczny laser desantowy. Impulsowy.

–No? – zapytał kanonier, odsuwając Wenera i patrząc na konsolę. – Aa?! No i co? Ktoś tu się bawił mauserem.

–Dlaczego akurat mauserem? – zdziwił się Borowski.

–Bo duże dziury. Nasze lasery są słabsze. A Niemcy robią ciężkie, ale cholernie mocne maszynki.

–Ta-ak... – rzucił zastępca Raszyna. – Musimy przeczesać okręt. Dobra, znajdziemy go w wolnej chwili.

–Po co? – zdziwił się Fox.

–W specyfikacji dla takiej jednostki nie ma broni strzeleckiej. Poza oficerskimi pistoletami, oczywiście. Gdyby Essex gdzieś ukrył desantowe lasery, to nie zapomnieliby zabrać ich ze sobą. Ale tak się nie stało. Skoro więc nie zabrał ze sobą, to pewnie i nic o nich nie wiedział. A kto latał na „Gordonie” przed Essexem?

–Commander Fush – powiedział Andrew i nagle przerwał.

Borowski uważnie mu się przyjrzał, ale nie chciał te – raz ciągnąć tego wątku. Za dużo ludzi stało dokoła i słuchało.

–Kontynuujemy – wycedził nieprzyjemnym głosem. – Candy, wszyscy idą na SDO. Dogonimy was.

–Tak jest – rzuciła Ive. Przesłała Wernerowi współczujące spojrzenie, po czym odeszła. Nawigatorzy i strzelcy powlekli się za nią, od czasu do czasu ciekawie spoglądając za siebie.

–O ile wiem, commander Fush miał permanentnie na pieńku z załogą – powiedział Borowski poufałym tonem. – Jego załoga buntowała się długo przed incydem na „Dekardzie”. Andy, ja, oczywiście, nie pakuję się w cudze sprawy, ale powiedz: Fush bał się buntu? Spodziewał się tego?

–Rozumiem pana, Jean Paul – skinął głową Andrew. – Nic nie wiem o nielegalnym składzie broni na „Gordonie”, ale... Sądzę, że ma pan rację. Na „Dekardzie” był taki magazyn. I Fush rzeczywiście spodziewał się buntu. Czasem myślę, że po prostu chciał takiego wybuchu. Prowokował. Tylko kiedy bunt wybuchł, Fush nie zdążył rozdać broni zaufanym ludziom. Nie dożył. Zresztą to nieważne.

–Gdzie ukrył lasery? – zapytał starszy oficer. – I ile?

–W jednym z modułów awaryjnych. Myślę, że w tym, który był najbliżej jego kajuty: w module SDO. A ile... Na „Dekardzie” co najmniej setka. Tak... – Technik pokręcił głową, oddając się wspomnieniom. – Niech pan nie lata na desantowcach, Jean Paul. I ty, Michael, jeśli los cię rzuci na desantowiec, wiesz z niego ile sił. Tam to jest prawdziwe wariatkowo. U nas nawet nasi jawni psychole są udomowieni. A tam... Przepraszam, panowie. Wyrwało mi się.

–Nie ma sprawy – powiedział Fox, kładąc Wernerowi rękę na ramieniu. – Zapomnij. Słuchaj, Jean Paul, nie zrozumiałem. Przypuśćmy, że uda nam się znaleźć tu jakieś mausery, tuzin albo dwa. Ale na cholere? nam one?

–A co zrobisz, jak zaczniesz się abordaż? – zapytał Borowski.

–Nie będzie abordażu! – sprzeciwił się kanonier z niezachwianą pewnością w głosie.
– Po co tu jestem, jak myślisz?

–Jak mi się wydaje, w ogóle mieliśmy nie walczyć – przypomniał Andrew.

–My tak – powiedział Fox. – A jeśli Rabinowicz zacznie walić głupa?

–Co ty z tym Rabinowiczem! – wrzasnął Borowski. – Bobby nas nie ruszy, zero szans. Przecież nie jest samobójcą. Ma żonę, dzieci... Kurna, ja też mam! – dodał nagle z lekką niepewnością w głosie. – Dobra, jedźmy już. Ale jak dolecimy do Ziemi, to wtedy coś się może wydarzyć. Wszystko się może wydarzyć.

–No – przytaknął kanonier. – Zgoda. Tylko, pierwszy to mówię, moich żołnierzy nie wysyłaj na poszukiwania. My i tak mamy powyżej uszu problemów, odpuść nam szukanie jakichś pukaczy po kątach.

–Andy – starszy oficer zmienił temat – a kto stłumił bunt na „Dekardzie”? Kto katapultował reaktor?

Werner poruszył ramieniem, strącając dłoń Foxa.

–Wie pan co, Jean Paul – zaczął posępnie – pan to wcale mnie nie żałuje, a przecież też pan zakosztował domu bez klamek.

–Zostałeś wyleczony – zauważył Borowski. – A może nie?

–Wyleczony. Ale do tej pory się boję – bardzo cicho powiedział Andrew. – Kiedy później nasz „Wiggin” rozleciał się w trzy piczki, nawet się nie skrzywiłem. Natomiast rok wcześniej, na „Dekardzie”, byłem gotów nawet się modlić. Rozumie pan?

–Przepraszam... – Borowski spuścił oczy. – Przepraszam, szczerze. Przecież wiesz, że jestem paranoikiem, czego można ode mnie oczekiwać? Idziemy już czy jak? Do pełnego ciągu mamy... – Popatrzył na zegarek. – ...osiem i pół godziny. O ile nie wynieśli reaktorów w kawałkach.

–Nie może być – uśmiechnął się Fox. – Przecież było powiedziane: reaktorów i części napędowej nie ruszać.

–Terminali wyluskiwać ze ścian też nie proszono. Zwłaszcza przy pomocy laserów.

Przed nimi pokazały się drzwi do SDO. Nanich ktoś napisał niebieskimi literami Essex's the Arse. Słynna formuła odkryta kiedyś przez Raszyna. Essex właśnie otrzymał stopień kontradmirała, czyli zgodnie z oficjalnym zapisem używanym we flocie: *rear admiral*. A wtedy Raszyn jak nie zacznie naraz rechotać! Zapytano go, o co chodzi, a ten z właściwą sobie pasją językoznawczą wyjaśnił, że angielskie *rear admiral* bardzo śmiesznie brzmi w rosyjskim przekładzie: *tylny admirał*. Tylko anglojęzyczni nie widzą w tym nic śmiesznego, przyzwyczaili się. A Essex na dodatek ma nazwisko brzmiące podobnie jak... *ass*, tak więc wychodzi, że ten stopień pasuje do niego jak ulał. I tym właśnie sposobem Tyłek został Tyłkiem.

–To już świństwo takie podśmiechujki na porządnym okręcie! – oburzył się Borowski. – Nie dość, że wszystko rozszabrowali...

–Dostał pan kabel? – przypomniał sobie Andrew.

–Dostałem i zamieniłem na uszczelki. Ale nie zdążyłem z procesorem marszowym. Kiedy tu przyszedłem, to już tylko obudowa po nim została. No nic, jeszcze coś wyszperamy. Ani grama ojczystego żelaza wrogowi! Tak naprawdę, niezły wieziemy Rabinowiczowi prezencik... Za sam remont wybułą z dziesięć milionów.

–Doprowadzimy siły policyjne do bankructwa! – zarechotał Fox, wyjmując z kieszeni cygaro i zapalając je.

–Hm, wydaje mi się, że to moja jednostka – zauważył Borowski. – Ale ponieważ robisz u mnie za ZDO, to niech ci tym razem będzie... Truj się. Zapamiętaj moje dobre serce. Ucz się, jak należy postępować z podwładnymi.

–Yhy... – wymruczał kanonier, zaciągając się z rozkoszą.

–Dziękuję, Jean Paul – powiedział nagle Andrew.

–Proszę bardzo – uśmiechnął się Borowski. – A za co?

–Za „Dekarda”. Zmusił mnie pan do wspomnień i okazało się, że już tak nie bolą. Wie pan... Chyba już się wszystko wypaliło. Bo przecież byłem tam nieźle pokaleczony. No i to ja katapultowałem reaktor.

–Tak myślałem – skinął głową starszy oficer. – Dlatego tu jesteś. Ty, Michael, Ivette... Brak tylko Aleksa i Tyłka. Abraham też by się nadał.

–Cholernie nas mało, taka nasza mać! – zawołał Fox.

* * * Gdy „Gordon” i „Skoczek” wyhamowały na granicy Pasa, Borowski natychmiast rozpoczął na powierzonej mu jednostce niezdrowo burzliwą działalność. Raszyn umyślnie zostawił jeden dzień swobodnego lotu przed spotkaniem z policyjną

eskadrą, żeby wszystko szczegółowo przemyśleć i jednocześnie dać załodze szansę na doprowadzenie się do porządku. Jego zastępca postanowił więc, że wycisnie z tego dnia wszystko, co się da.

Po pierwsze, zażądał na „Gordona” dyżurnych ze „Skoczka”, żeby zorganizowali kursy promowe z zagrabionymi manelami. Niewiarygodnych rozmiarów kupa różnego chłamu wypełniła już po sufit śluzę towarową megadestroyera i ujawniała tendencję do rozpełzania się w kierunku wnętrza jednostki. Dyżurni, otworzywszy luk, wbili się w stertę złomu i znieruchomieli jak rażeni piorunem. Nie mieli szans, żeby precyzyjnie się gdzieś dalej na pokład olbrzyma i znaleźć bezpieczną kryjówkę, nie udałoby im się również zasymulować jakiejś awarii transportu i uciec z powrotem, porzuciwszy wszystko tak, jak leżało – na okoliczność takich działań czekał tu na nich Borowski.

–No to – rozległ się jego stłumiony odległością głos z przeciwległej strony hałdy – tam z brzegu macie skrzynie, zaczynajcie od nich. Tuzin skrzyń z etykietką Mauserwerke.

–Panie commanderze, sir! – zawołał ktoś. – Do końca pan tę skorupę wypatroszył czy coś jeszcze zostało w środku?

–Póki nie zobaczę waszych pysków zza tej kupy złomu, nie pozwolę na odpoczynek – uprzedził pierwszy oficer. – A jeśli choć raz zatrzymacie się na „Skoczku” dłużej niż na kwadrans... Żebyście się potem nie skarżyli!

–Czyli musimy brać z wierzchu – zauważył jeden z dyżurnych, z miną skazańca patrząc w górę, gdzie hałda stykała się z sufitem.

Kuter zaczął kursować między jednostkami. Borowski ze swej strony upierdliwie pytał, co dokładnie zostało zabrane, i stawiał ptaszki w zaimprovizowanym wykazie. Po godzinie stracił głos i przeszedł na komunikację przy pomocy interkomu. Po następnej – na hałdzie pojawiła się czerwona z wysiłku fizjonomia bosmana.

–Dzień dobry, panie commanderze, sir. Schudł pan. Żle tu karmią czy jak?

–Praca i praca – ugodowo odpowiedział Borowski. – Jak tam nasz „Mahdi”?

–Leci sobie spokojnie. To znaczy w czasie pana nieobecności nic szczególnego nie wydarzyło się.

–No! Uważaj, wróćę, wszystko sprawdzę. A nowe uszczelki jak, dobrze trzymają?

–Ciśnienie w normie, sir.

–Jak tam admirał?

–Niby dobrze. Przeklina.

–Z powodu? – zasępił się Borowski.

–Mówi, że bez pana na pokładzie jest bałagan, panie commanderze, sir! Burdel, mówi.

–Pewnie znowu spotkał gołą babę na korytarzu – mruknął pierwszy oficer pod nosem.

–Ale gdzie tam, sir! Jakie znowu gołe baby, przecież waliliśmy na ciąg...

–Goła baba, kolego, to taka sprawa – powiedział Borowski pouczającym tonem – która zawsze może wystąpić...

Bosman cofnął się na wszelki wypadek.

–Dobra – powiedział Borowski. – Dzięki za nowiny. Kontynuujcie wyładunek. Dużo tam jeszcze?

–Koszmar. Dyżurny magazynowy mówi, że już nie ma gdzie składować.

–Dyżurnemu potem wyjaśnię, jak należy troszczyć się o powierzchnię magazynową. Jakby miał wątpliwości, powiedzcie, że Borowski kazał, i kropka. No to wracajcie do pracy!

–Przepraszam, sir, ale mówił pan, że kiedy...

–Pracować, młodzieńcze! Odpoczynek czeka nas na tamtym świecie.

Rozżalony bosman zaczął zlązić tyłem z hałdy, ale zaplątał się w coś i runął na dół.

–No i? – Otoczyli go ciekawi nowin dyżurni.

Zamiast odpowiedzi tylko pokręcił palcem przy skroni.

–Podzielimy się – zarządził po chwili. – Połowa ładuje, połowa leży. Bo dostaniemy wszyscy przepukliny.

–Najpierw trzeba było wyłączyć mikrofon, kretynie! – rozległ się z głośnika głos Borowskiego. – Ileż razy trzeba wam powtarzać takie podstawowe rzeczy, matoly?! Nawet wykiwać dowódcy nie potraficie. Aż mi za was wstyd...

*** * ***

Werner siedział na krawędzi basenu, drapiąc swój wyszorowany do czerwoności

tyłek i obserwując, jak podnosi się poziom wody. Basen na „Gordonie” miał dwadzieścia pięć metrów długości, jak w pięciogwiazdkowym hotelu na Ziemi.

Ive wyszła spod prysznic i przymknęła za sobą drzwi.

–Może zamknij? – zaproponował Andrew.

–Nikt nie przyjdzie – padła odpowiedź. – Wszyscy śpią. Tylko Borowski biega po służbie towarowej, nijak nie może się oderwać od swoich maneli.

–No to chodź do mnie.

–Nie mam zamiaru.

–Dlaczego?

–Najpierw mnie złap.

–A jak nie złapię?

–Jak to: nie złapiesz? – zdziwiła się Candy. Podobnie jak Andrew miała zaróżowioną skórę pokrytą drobnymi kropelkami wody. Kto nie chodził przez kilka tygodni w speckostiumie, nie wie, jaki to odlot, rozebrać się i stanąć pod prysznicem.

–Na pewno złapiesz – powiedziała z daleka, zerkając Wernerowi między nogi.

–Akurat teraz nie bardzo. Niewygodnie się biega...

–No to podejdę trochę. O!

–Jeszcze trochę.

–Wstręciuch! Masz! – Ive ze śmiechem zrobiła fikołka do wody, ochlapując Andy’ego tęczą fontanną.

–Ach tak! – wrzasnął. – Pani kapitan, proszę łapać bombę głębinową! – I również rzucił się na główkę do wody.

Candy pływała dobrze, ale Andrew lepiej. Przez kilka minut ganiał ją od brzegu do brzegu, wreszcie przyparł dziewczynę do rogu, odwrócił do siebie twarzą i objął mocno.

–Teraz zostanie pani storpedowana, pani kap... – nie dokończył, ponieważ zamknęła mu usta pocałunkiem, mocnym i namiętym.

Najpierw kochali się w wodzie, co było dla nich nowym i nader interesującym

przeżyciem. Tylko cały czas musieli się czegoś trzymać, co kosztowało wiele wysiłku. Wyszli więc na brzeg. I tu, na brzegu, na plastikowym materacu, który cudem umknął uwadze Borowskiego, miało miejsce coś magicznego, coś, w co Ive wcześniej by nie uwierzyła. Andrew wzniosł ją na takie wyżyny rozkoszy, że krzyczała z całych sił, a w końcu na kilka sekund straciła przytomność.

–Co ty ze mną wyprawiasz? – wyszeptała, z trudem wracając do siebie.

–Kocham cię – odpowiedział poważnie Andrew.

–Kochany... – Przejechała palcem po jego poharatanej piersi, potem chwyciła rękę i delikatnie ucałowała kolejną długą, białą szramę.

–Czy to z tego desantowca? Tego „Dekarda”? – zapytała.

Werner skinął głową.

–Obiecałeś mi opowiedzieć – przypomniała. – Nie zapomnij.

–Wszystko? – zapytał. – Jak było naprawdę?

–Nie możesz pewnie? Zabronili ci? – domyśliła się Candy.

–Zabronili – przytaknął. – Ale tobie opowiem. Ty powinnaś wiedzieć. Rozumiesz, kochanie... Jeśli można w stosunku do ciebie użyć tego słowa, jesteś rycerzem. Uczciwym żołnierzem. Jesteś admirałem Raszynem z jego młodości, tylko ty jesteś dziewczynką, a on chłopcem.

–Pewnie tak – zgodziła się Ive. – Raszyn jest dla mnie jak rodzina. Czasem wydaje mi się, że mój ojciec był taki sam.

–Wy naprawdę zachowujecie się podobnie. Ja to widzę, bo stoję z boku, zwłaszcza że znam starego od wielu lat i też ciebie mam jak na dłoni. On też cię kocha za to, że... za to, że... Jak to powiedzieć... Rozumiesz, w jego życiu zawsze było miejsce na niezwykle czyny. To jego naturalna reakcja na zagrożenie: nie uciekać, nie kryć się za plecami innych, a po prostu dokonać tego, co inni nazwą później bohaterstwem. Nawet jeśli się nie chce, jeśli trzeba przekroczyć własne granice. Mnie też tego uczył, ale mu się nie udało. Ja nie jestem rycerzem. Ja, jeśli mam dokonać czegoś niezwykłego, muszę mieć poważny powód.

–Czynnik do czynu! – rzuciła Ive. – Nie brzmi dobrze. Raczej kpina, a nie metafora.

–Właśnie do tego zdążam. Są tacy ludzie, którzy w niebezpiecznej sytuacji walczą przede wszystkim o własne życie. Mogą uratować statek, ale tylko przy okazji ratowania siebie. Tacy ludzie to większość. Ale są też i tacy, którzy najpierw ratują

innych, jakby spełniali jakiś obowiązek, rozumiesz mnie, prawda? Tacy nie potrzebują powodów, oni takie

poważne decyzje podejmują na innym poziomie. Z nakazu serca, jak się o tym mówi. Tacy jesteście ty i Raszyn. A ja należę do tej większości.

–No to co?

–Nie mam pojęcia – przyznał Werner. – Ja tylko tak głośno myślę.

–Coś spaprałeś? Tam, na „Dekardzie”? – ostrożnie zapytała Candy.

–Nie wiem. Może ty mi to powiesz.

–Chodźmy do kajuty – zaproponowała Ive. – Położymy się, przytulimy, będę się na ciebie patrzyła, a ty mi będziesz opowiadał.

–A mogę też się w ciebie wpatrywać? – zapytał Andrew i po raz pierwszy, odkąd zaczął filozofować, jego twarz rozjaśnił uśmiech.

–Oczywiście! – odparła wesoło Candy.

* * *

Jak wszystkie desantowce, „Rick Dekard” był cylindryczną barką z własnym napędem. Kilometrowa rura gęsto oklejona z zewnątrz ładownikami. Połowę wewnętrznej przestrzeni zajmowały sale treningowe i koszary na półtora tysiąca ludzi, drugą połowę wypełniała część napędowa i pomieszczenia służbowe załogi. Desantowiec nie był uzbrojony, miał za zadanie tylko przemieszczać się w ogonie atakującej eskadry, a po przygotowaniu artyleryjskim – wyrzucić na powierzchnię planety ciężko uzbrojoną piechotę.

Mięso armatnie, w roli którego występował rozmieszczony na „Dekardzie” wzmocniony pułk desantowo-szturmowy, mało przypominało legendarny ziemski specnaz z czasów Kotłowaniny. Pododdziały dywersyjne, w których każdy żołnierz wart był plutonu piechoty, odeszły w niepamięć z powodu braku zapotrzebowania. Pozostała tylko nazwa – desant. Oraz przerażające insygnia, dumne hasła i różnokolorowe berety. Tyle że ludzie w tych beretach byli już inni. Ziemia nie mogła sobie pozwolić na marnowanie podczas wojny cennego materiału. Do desantu kierowane były odrzuty produkcyjne. Ludzkie odpadki.

Werner dość często bywał w koszarach, sprawdzając działanie systemów podtrzymywania życia. Najpierw łąził tam z brygadą, potem zaczął chodzić sam. Tak – sądził – jest pewniej. Wolał dawać do potrzymania swoje testery któremuś z żołnierzy, na co ci zgadzali się niemal z dziecinną dumą. To było zdrowsze niż

zastanianie własnym ciałem techników, którym desantowcy ciągle mieli ochotę wpięprzyć. Profesjonalni astronauta na każdym kroku okazywali im swoją pogardę. A Werner, choć też astronauta – nigdy. Dobrze rozumiał, co to znaczy być wyrzutkiem, dlatego nikt w koszarach go nie napastował i żołnierze uważali Andrew niemal za kumpla. Miał nawet przyjaciółkę w plutonie łączności – ładną, tępą jak komp, psychopatyczną i biseksualną. To był spory sukces – zazwyczaj panienki z desantu prędzej dałyby astronauta kopa niż dupy.

Załoga natomiast patrzyła na Wenera zezem, spluwała za jego plecami i uważała, że skoro to Ruski, człowiek bez rodziny i plemienia, to nie ma też pojęcia o kontaktach

międzyludzkich. Andrew nie odzywał się i wykonywał, co do niego należało. Cała ta sytuacja na „Dekardzie” drażniła go, wcześniej nie latał na jednostkach, gdzie ludzie dzielili się na *naszych* i *nie naszych*. Permanentny konflikt między załogą a jego żywym ładunkiem, stale tłący się i gotowy wybuchnąć, zdaniem Wenera był czymś dzikim. Niestety, neurastenik Fush nie tylko podtrzymywał ten stan zapalny, ale jeszcze go nakręcał, drąc stale koty z dowództwem desantu.

Andrew z przyjemnością spieprzyłby z tej kloaki, ale wtedy miałyby wstawione w papierach *ograniczona zdolność z powodu nieodpowiedniej psychiki*. Stare urazy, jeszcze z „von Reya” i nurkowania w Jowiszu, dawały o sobie znać. Więc Werner łykał transwitalizatory, niecierpliwie czekając na następną komisję medyczną. W konfliktach między załogą a piechotą starał się nie brać udziału. Lecz gdyby przyszło co do czego, wolałby znaleźć się po stronie tych, co zostali lepiej wyszkoleni w walce wręcz.

Szczególnie, że żal mu było desantowców.

W ich szeregi przyjmowano osobników intelektualnie opóźnionych i bezpłodnych. Niejeden żołnierz spełniał nawet oba te warunki. Cały system werbowania polegał na przekonywaniu ludzi, że po dziesięciu latach (o ile się je przeżyje, rzecz jasna) zarobią na skomplikowaną i drogą operację albo przeszczep komórek. Niektórym piechociarzom rzeczywiście udawało się, przeszedłszy ogień i wodę, doczekać emerytury i mieć nawet dzieci. Ale dla większości z nich już samo życie wojskowego było niezłą premią. Nie każdy mógł wyrwać się z hydroponicznej farmy albo z odlewni metalu – tu potrzebna była dobra kondycja fizyczna, wytrzymałość i głupkowata odwaga. Desantowcy czuli więc dumę i szczerze kochali swój los. Jeśli człowiek od czternastego roku życia zapieprzał na plantacji chlorelli, a po przyjsciu do domu musiał sam myśleć o tym, co można zeżreć i skąd wziąć na to pieniądze, to odmierzony i opisany armijny tryb życia koszarowego może przypominać raj. Fakt, troska dowództwa o żołnierzy przejawiała się w nieco szorstki sposób, ale byli zawsze syci, czysti, schludni i wyspani. Krótko mówiąc – los się do ciebie, człeku, uśmiechnął. Tym bardziej że poza wszystkim desantowcy byli szkoleni – niektórzy z wysiłkiem odkrywali tajemnice alfabetu, a inni nawet mieli zajęcia na uniwersyteckim

poziomie. Nie było jednak wśród nich elit albo inaczej – rosły one naturalnie w gronie żołnierzy. Każdy oficer zaczynał od sierżanta, co było świetnym bodźcem dla nieokrzesanych proletariuszy. Ich generałowie wylazili z tego samego szamba i mogli służyć za żywy przykład sukcesu.

Na „Dekardzie” piechota od świtu zajmowała się musztrą bojową, po obiedzie siadała w ławkach, wieczorem szalała na dyskotekach i w salach sportowych, a w nocy dymała się w parach lub grupach w specjalnie do tego celu przeznaczonych pomieszczeniach. Czasem w koszarach wybuchały bójkі, ale ofiar zazwyczaj nie było – zabójcę czekała egzekucja na miejscu. Poważne konflikty rozwiązywały sądy koleżeńskie, przestępcom groził trybunał, złodziej albo gwałcieł mógł wylądować na katordze. Desantowcy byli dowodzeni żelazną ręką.

Kapitan okrętu, pełniący w tym przypadku funkcję przewoźnika, nigdy się nie wtrącał do spraw wewnętrznych, choć jednocześnie to on kontrolował żołnierzy. Klucze do arsenału miał bowiem w kieszeni nie dyżurny oficer piechoty, a dowódca wachty. No i słusznie, bo jeden przypadkowy strzał ze szturmowego karabinu laserowego mógł narobić tyle szkód na pokładzie, że zajęcia z użyciem tej broni były całkowicie zakazane w przestrzeni. Oczywiście ani impulsowy westinghouse, ani nawet mauser nie przebiłyby poszycia zewnętrznego, ale mogły śmiało dokonać poważnych zniszczeń w komunikacji wewnętrznej. Tak więc piechota ćwiczyła z replikami, a astronauta pilnowali jej arsenału, co było jeszcze jednym powodem do okazywania desantowi pogardy.

Przed rozpoczęciem drugiej kampanii marsjańskiej Werner miał już półroczny staż służby na „Dekardzie”. Okręt wykonał w tym czasie trzy ćwiczebne zrzuty, jeden trening marszowy i wszystko szło jak po maśle. Dwa światy – desantowcy i astronauta – wypracowały w końcu zbrojny i pełen napięcia rozejm. Jeśli nie liczyć kilku rozkwaszonych w tygodniu nosów, to na pokładzie panował spokój i ład. Przyjaciółka Andrew mówiła mu, że jest cudowny, w koszarach zawsze czekała na niego szklana. Wojny nie planowano, piechota pompowała mięśnie i podnosiła poziom intelektualny. Pułkownik desantu i commander Fush pryncypialnie komunikowali się wyłącznie za pośrednictwem adiutantów. Głupiejący z nudów nawigatorzy uczyli procesor marszowy kląć po szewsku.

W takim stanie ducha „Dekard” kończył ćwiczebny rajd, wlokąc się w ariergardzie eskadry Baskina, kiedy doszło do nieszczęścia. Pod nimi był Mars.

Kłopoty dopadły Wenera w chwili zadumy, kiedy siedział tępo wpatrzony w drzwi kibla. Nagle odezwał się alarm. Andrew zaklął, spuścił wodę, uszczelnił muszlę i trzymając spodnie w ręku, pognął włożyć speckostium. Alarm nie ustawał. *To nie są ćwiczenia* – pomyślał zdziwiony technik i zaklął raz jeszcze, mocniej. Nie chciał wojny. Miał dość przelewu krwi i był – jak zaczął podejrzewać – zmęczony kosmosem.

Na jego spotkanie gnał facet z rozbitym pyskiem i szalonym spojrzeniem – ZDO. Andrew zdziwił się jeszcze bardziej, zastępca miał być przecież na wachcie. Zdecydowawszy się powstrzymać od pośpiesznych wniosków, Werner skoczył do windy, po trzech sekundach wypadł z niej na pokładzie technicznym i natychmiast załapał czymś ciężkim w czubek głowy.

Ocknął się w pozycji leżącej, na czymś twardym i z mgłą przed oczami, a także z krwią na ustach. Ktoś cisnął mu między oczy mokrą serwetkę. Andrew odruchowo przetarł twarz, spróbował podnieść głowę z podłogi – bo to była podłoga – i zawył z bólu.

–Nie miotaj się, poruczniku – ktoś mu poradził. – Leż, odpoczywaj.

–Co jest? – zapytał Werner. Język mu się plątał i zawodził go aparat głosowy. – Zostaliśmy trafieni?

–Coś jakby. Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie.

Andrew pomyślał, że skoro żyje, to ktoś się o niego zatroszczy. Zamknął oczy. Zwłaszcza że i tak nic właściwie nie widział.

Rana na głowie została oczyszczona i opatrzona, zalana klejem. Poczuł, że robią mu jakąś iniekcję, po której od razu zaczął ziewać i zapadł w sen. Obudziwszy się, ze zdziwieniem skonstatował, że siedzi przypięty do fotela, a na skroniach ma jakieś nieznanne mu czujniki. Przed fotelem znajdowało się biurko, zza którego patrzył na niego kapitan piechoty i pułkowy lekarz naczelny. Obu Andrew znał z widzenia, ale teraz ich widok nie wróżył nic dobrego. Doktor posępnie wodził oczami po wystającym z blatu monitorze, a kapitan szklanym wzrokiem wpijał się Wernerowi w nasadę nosa.

–Imię, nazwisko, kwalifikacje, stanowisko – powiedział bezbarwnym tonem.

–Andrew Werner, porucznik floty, master-technik, starszy technik WOB „Dekard” – tępo wyrecytował Andy. Z ukosa zerknął na opis panelu klimatyzacji. Sądząc po kodzie, znajdowali się gdzieś w głębi pokładu służbowego. Werner domyślił się, że to musi być posterunek kontroli służby kwatermistrzowskiej. Dotychczas był tu tylko raz, kiedy przyjmowano go do załogi.

–Jesteście marsjańskim szpiegiem? – zapytał kapitan.

–Co?! – zdziwił się Andrew.

–Czy realizujecie na okręcie działalność wywrotową? – ciągnął niezrażony oficer, nie przejmując się zdziwieniem przesłuchiwanego.

–Kapitanie, czy pan nie jest przypadkiem jebnięty?

W odpowiedzi ktoś z tyłu jebnął go w obolałą głowę. Andrew wrzasnął z bólu.

–Czy otrzymałeś rozkaz sabotowania wyrzutu desantu na Marsa?

–Nie jestem niczemu winien! – oświadczył Werner.

Znowu ktoś go uderzył, zabolalo jeszcze bardziej. Andrew z przyjemnością splunąłby przynajmniej na oprawcę, ale nie mógł poruszyć przypiętą pasami głową.

–Odpowiadać na zadawane pytania – powiedział kapitan. – Czy jesteście marsjańskim szpiegiem?

–Nie – westchnął Werner. Jeszcze nie bardzo rozumiał, co się dzieje, ale już targały nim niedobre przeczucia.

–Znajdujecie się w związku seksualnym z młodszym sierżantem Jordan?

–A co to ma...

–Odpowiadać!

–No... Tak...

–Jordan namawiała was do zdrady z pożytkiem dla Marsa?

Andrew uniósł wzrok do sufitu. Przed oczami stanęła mu Janet Jordan. *Chciałabym mieć z tobą dziecko, Andy. Za jakieś pięć lat, o ile mnie trochę podreperują i jeśli będę jeszcze żyła... Zrobisz mi?* – zapytała kiedyś. Andrew skłamał wówczas, że tak. Nie kochał Janet i nie chciał, by jego dzieci pętały się nie wiadomo gdzie i rosły w towarzystwie jakichś

niedorozwojów. Ale nie chciał też urazić dziewczyny, która przecież nie zrobiła mu nic złego, wręcz przeciwnie. Miała w sobie jakąś zaskakującą czystość duszy, może dlatego, że w koszarach spała tylko z dziewczynami i nie dawała Andy emu powodów do zazdrości większego kalibru.

–Czego ode mnie chcecie? – jęknął Werner. – Jestem lojalnym obywatelem. Jestem wierny przysiędze. Co się dzieje?!

–Czekamy na odpowiedzi, poruczniku. Jordan namawiała pana do zdrady. Tak czy nie?

–Nie, nie namawiała. Czy ja jestem aresztowany? Proszę o przedstawienie zarzutów!

–Ktoś z desantowców nakłaniał pana do zdrady?

–Nie!

–Wiedzieliście o tajnym składzie broni?

–O jakim znowu, wasza mać, składzie broni?

Tym razem odpowiedź zabolą strasznie.

–Nie-e-e! – wrzeszczał Andrew. – Przestańcie, sukinsyny! Nic nie wiem! Zabierzcie ode mnie tego swojego kata! Po cholere wam poligraf? Żeby was...

–Ten jest w porządku – powiedział milczący do tej chwili lekarz. – Nasz.

–Rozwiązać! – polecił kapitan. – Co to jest poligraf, poruczniku?

–Wykrywacz kłamstw – powiedział Werner, stopniowo się uspokajając.

–Aaa... Jasne. Chciał pan wiedzieć, co się dzieje. Mamy kłopoty, poruczniku. Przepraszam za przesłuchanie, ale nie było innego wyjścia.

–A kolbą w łeb też jedyne wyjście? – zjadliwie zapytał technik.

Pasy jednak zostały odpięte, odwrócił się i zobaczył za sobą jakiegoś buhaja z naszymi kaprala i automatem pod pachą.

–Gnojek – poinformował go Andy, odklejając od skroni czujniki i ciskając je na stół.

Kapral nawet nie poruszył brwią.

–Nie kolbą was potraktowano, a kantem dłoni – powiedział kapitan. – I nie my. My was odbiliśmy.

–Od kogo? Od Marsjan czy jak?

–Z rąk buntowników, poruczniku. Do pańskiej wiadomości, na statku trwa walka. Pewna część żołnierzy... oczywiście nieznaczna część!... poddawszy się agitacji marsjańskich szpiegów, odmówiła wykonania zrzutu. Agentów wroga unieszkodliwiliśmy, ale buntownicy, rozumiejąc, co ich teraz czeka, nie chcą się poddać i stawiają rozpaczliwy opór. Kilka okrętów eskadry Baskina leci nam na pomoc, ale tam nie ma piechoty, więc i tak musimy stłumić bunt sami. W przeciwnym wypadku „Dekard” zostanie storpedowany i rozwalony. Ale opanujemy to, zanim dojdzie do dramatu. Tak wyglądają sprawy, poruczniku.

–Odmówili skoku... Więc mamy jednak wojnę?

–No-o, może nie na taką skalę. Raczej manewr zastraszenia. Marsjanie pakują się w nasze sprawy wewnętrzne. Zdecydowali, że będą dyktować Ziemi warunki.

–N-no tak... I rzeczywiście mieli agentów na pokładzie?

–Mieli. Proszę posłuchać, poruczniku. Jesteśmy jakieś dwadzieścia megametrow od powierzchni. Przyspieszenie zero, prędkość... Proszę popatrzeć. Czy zdoła pan zatrzymać tę barkę na pięciu megametrach?

Andrew wlepił spojrzenie w oczy kapitana.

–Nie jest mi łatwo o tym mówić – powiedział tamten. – Ale tak wyszło, że pan jest jedynym członkiem załogi pozostałym przy życiu.

–Ja pier... – wykrztusił Werner, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszał.

–Musimy wyhamować, poruczniku. Buntownicy wycofali się do trzeciej śluzy desantowej i tam się umocnili. Wykurzyć ich stamtąd nie jest łatwo, to może potrwać kilka godzin. Niestety, oni mają lasery, a my tylko automaty. Jeśli w tym czasie „Dekard” zbliży się do Marsa na dwa – trzy megametry, zdrajcy będą usiłowali wyskoczyć i przejść na stronę czerwonodupków. A to by było nie w porządku.

–Skąd mają lasery... – pomyślał na głos Andrew, ale już w jego obitym umyśle rodziły się podejrzenia.

–Wygląda, że mieli skrytkę, tajny arsenał. Niestety nie wiedzieliśmy o nim.

–Pewnie, że nie wiedzieliście – niewesoło uśmiechnął się Werner. – Przecież to commander Fush go urządził.

–Czyli?! – zdziwił się kapitan.

–Fush miał problem z nerwami. Panicznie bał się buntu. Ufał tylko oficerom floty. Przytaszczył kilka skrzyń z laserami do jednego z modułów awaryjnych i powiedział, że jeśli piechota zacznie robić problemy, to nas uzbroi i urządzimy desantowi Północ. Przepraszam, ale to jego słowa.

–Kto tu mówił, że potrafi obsługiwać wykrywacz kłamstw? – Przesłuchujący oficer wyszczerzył się na lekarza.

–Ja nie mówiłem, że potrafię. Mówiłem, że spróbuję...

–Co jeden, to lepszy... – mruknął kapitan. – Teraz wszystko rozumiem. Zaczęło się od tego, że buntownicy ujęli commandera Fusha. Stary pierdzieli Kapralu, słyszeliście? Migiem do pułkownika z meldunkiem! I zaraz z powrotem. Zobaczcie,

jak tam sprawy stoją.

Żołnierz wyszedł z pomieszczenia. Oficer przygryzł wargi i pokiwał głową. Andrew z zainteresowaniem patrzył w ślad za kapralem. Wyglądało, że dzielni wojacy albo rozpieprzyli pokładowy system łączności, albo stracili nad nim kontrolę. Gdzie w takim razie ich radiostacje? Dlaczego wszyscy są w lekkich ćwiczebnych mundurach? Coś to nie wyglądało na tłumienie buntu...

–Ale z was numery, panowie astronauta... – rzucił kapitan. – Naprawdę, Werner. Magazyn broni w tajemnicy przed nami... Przecież to zdrada. Mam was rozstrzelać czy jak?

–Proszę bardzo – powiedział Andrew. – A kto będzie hamował? I w ogóle co ja mam do tego? Ja nie widziałem tych laserów na oczy.

–Ale słyszał pan o nich! Nie rozumiem, dlaczego nikt nie wpadł na pomysł, żeby przyjść i o tym zameldować.

–Desant umie robić sobie z załogi wrogów – zauważył technik. – Wasi zasrani komandosi...

–A wy umiecie tylko walić się ze zdrajcami ojczyzny – przerwał mu kapitan. – Proszę pamiętać, poruczniku, pański związek z Jordan będzie jeszcze przedmiotem dochodzenia.

–Ona jest z nimi? – zapytał Andy.

–Ona została zabita, Werner. Usiłowała się poddać, za co została zabita przez buntowników.

Andrew przejechał dłonią po twarzy. Janet... To już nie miało znaczenia. Żywa czy martwa, była już sama. A on musiał teraz wybrać, co dalej? Ale Janet... Strasznie żał...

–Nawet panu nie współczuję, Werner – oznajmił mściwie kapitan.

Rozgniotę – pomyślał Andy. – Rozgniotę ich wszystkich, jak tylko się dorwę do speckostiumu. I zwięję na kutrze desantowym. Niech się co do jednego rozwalą o Marsa, ci, co mają rację, i ci winni, i dobrzy, i źli.

–Astronauta! – rzucił oficer tonem przekleństwa.

Mój zapasowy speckostium jest w rdzeniu głównym – rozważał Werner. – Do najbliższego luku mam stąd dwa kroki. Awaryjny ciąg „Dekarda” to osiem G. Pewnie, że rozgniotę! Jeśli tylko...

–Buntownicy mają speckostiumy? – zapytał Andrew.

–A o co chodzi? – poderwał się kapitan.

–Pytam: mają czy nie?

–Mają. Pancierz szturmowy. My też mamy.

Niech to... Taki pancierz wytrzyma z piętnaście G. Odpada numer z przeciążeniem. Ale speckostium i tak mi jest potrzebny. Chroni przed niektórymi pociskami. Co mam robić? Najpierw muszę się zapakować w nieważkość, do rdzenia centralnego. To pierwsza rzecz. Tam coś wymyślę.

–Dlaczego w takim razie jesteście w lekkich mundurach?

–Za dużo pytań, poruczniku. Nadal pan nie odpowiedział: zdoła pan wyhamować czy nie?

–Zależy od prędkości. Proszę się nie denerwować. Jeśli Baskin wie, w czym problem i że straciliśmy sterowanie, to doprowadzi tu parę battleshipów i zahaczy „Dekarda” za mocowanie boostera. Nasza *barka*, jak pan powiedział, jest ciężka, ale battleshipy dadzą radę.

Lekarz nagle wstał i zaczął nerwowo przemierzać kajutę.

–Nie mamy łączności z Baskinem – przyznał się kapitan. – My tylko zakładamy, że on tu leci. Powinien lecieć. Wydarzenia na „Dekardzie” trwają od trzech godzin. Bunt zaczął się niemal od razu po ogłoszeniu stanu wojennego.

–No to gratuluję – powiedział Werner. – No to już *niczewo nie pieriejebiosz*.

–Co? – oficer nie zrozumiał rosyjskiego zwrotu.

–Ech, piechota... Nie jesteśmy na powierzchni – wyjaśnił Andrew. – Dowolny manewr grupowy w przestrzeni wykonuje się według wcześniej opracowanych schematów. Tych schematów są miliony, na wszelkie okoliczności. Jeśli ogłoszono stan wojenny, to eskadra już realizuje jakiś schemat. Dyżurny nawigator ładuje go do procesora marszowego i dalej jednostka wali na autopilocie. Zachowując milczenie radiowe, nawiasem mówiąc. Oczywiście inne jednostki aktywnie manewrują. Ale „Dekarda” to nie dotyczy. Nasz cel to lot w kierunku wcześniej zadanego punktu. Jasne?

–I co, nie otrzymamy żadnych danych wyjściowych? – ostrożnie zapytał kapitan.

–Kim pan jest tak w ogóle? – zdziwił się Werner. – Intendentem? Bo to by się

zgadzało, że pan tak do magazynów Ignie...

**–Jestem szefem wywiadu pułku!!! – ryknął ten zaczerwieniony na twarzy. –
Odpowiadać mi tu!!!**

–A nasz kapral zaginął?... – bąknął Andrew pokojowym tonem.

**–Swołocz ruska! – kapitan walnął w biurko pięścią. – Odpowiadać mi! Będzie
łączność czy nie?**

**–W najbliższych godzinach na pewno nie. Powtarzam, nie jesteśmy teraz potrzebni
eskadrze. Przecież nie jesteśmy destroyerem, a jak pan słusznie zauważył, barką. O
nas na razie nikt jeszcze nie myśli. Baskin musi najpierw ostrzelać planetę.**

**–Ale sztab eskadry powinien kontrolować nasze położenie – rzucił oficer,
uspokajając się.**

**–No i kontroluje. „Dekard” leci? Leci. Przyspieszenia brak? Brak. Czyli jak trzeba.
Przecież jesteśmy na autopilocie. A trzy godziny to betka! Nawet im do głowy nie
przyjdzie, że coś u nas nie gra. Lepiej załóżcie swoje pancerze. Procesor marszowy
w każdej chwili może walnąć pełny ciąg.**

–Czy mogę odejść? – natychmiast zapytał lekarz.

**–Won! – wrzasnął kapitan. – I zorientujcie się, co się dzieje. Proszę też przysłać tu
tego kretyna!**

**–Zamierza pan iść ze mną na SDO czy jak? Nie wykluczam, że mamy bardzo mało
czasu – przypomniał Andrew.**

–My... – zaczął szef wywiadu, ale nie dokończył.

**Kajuta zadygotała po potwornym wstrząsie. Fotel z siedzącym Wernerem wyrwał się
z uchwytów i wraz z pasażerem walnął w ścianę.**

**Kiedy Andy oprzytomniał, pierwszym, co zobaczył przez mgłę, była ponura gęba
lekarza.**

–Dzień dobry, doktorze – powiedział Werner. – A co pan tu...

–Proszę leżeć i się nie ruszać. Drugi uraz w ciągu jednego dnia...

–A kiedy był pierwszy? – zdziwił się Andrew. – Co się dzieje? Trafili nas?

–Trafili, bez wątplenia. Pana trafili, poruczniku. Na bank.

–Nie pamiętam – westchnął technik. – Wojna czy co? Jakieś cholerstwo...

Doktor nagle został odsunięty, w polu widzenia pojawiły się jakieś jakby znajome uśmiechnięte pyski.

–Ale ty masz fart, poruczniku! Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin! Możesz uważać, że dziś ci się życie zaczyna od nowa...

–Wiem, co mi się zaczyna – powiedział zrzędliwie Werner. – Dynamiczna neuralgia na gruncie poważnego urazu, oto co mi się zaczyna. Lepiej się odsuńcie, panowie, bo jak zaraz rzygnę...

–Wygląda, że wcale go nie cieszy nasz widok – zauważył jeden z pysków. – A ta... jak jej tam... neuralgia... naprawdę rzyganiem się objawia?

–Rzygać mi się chce na twój widok – burknął ktoś inny, sądząc z tonu, podoficer. – Idź się umyć, saperze pieprzony. Hej, poruczniku, ile pan widzi palców?

–Osiem – oznajmił Andrew. Wzrok mu zaczynał funkcjonować, ale czuł się ogólnie fatalnie. Poza tym nie wiedział, gdzie jest ani co się dzieje dokoła. Szczególnie niepokoiła go obecność uzbrojonych desantowców, podnieconych i usmolonych od stóp do głów. A żołnierz, który rozmawiał z Wernerem, miał na policzku plamę zaschłej krwi.

–Nie pieprz. To jeden palec. Poznajesz mnie? Sierżant Weil, z wywiadu. Pamiętasz?

–Ten Weil, który jakiś rok temu topił w kiblu drugiego nawigatora?

–Ten, właśnie ten! – ucieszył się żołnierz. – No, to już lepiej z tobą. Naprawdę cię mdli? W głowie ci się kręci?

–Głowa... Gdzie to jest?

–Między nogami. Panowie, według mnie wszystko z nim w porządku. Doktorze, może się ruszać?

–Jeśli mu życie niemiłe, proszę bardzo.

–Co to za jakieś pogrzebowe nastroje, doc?! Jeszcze pana chyba nikt nie zabił.

–Jak nie teraz, to później – oświadczył lekarz lodowatym tonem.

–Słuchaj, zarazo – wtrącił się ktoś trzeci. – Jeśli porucznik umrze, ty na pewno nie pożyjesz dłużej. Więc. się nie wypindrzaj, tylko stawiaj go na nogi.

–Ja wykonałem wszystkie niezbędne iniekcje – powiedział łapiduch sztucznie

spokojnym tonem. – Lepiej niż w tej chwili w najbliższym czasie się nie poczuje.

–To do dupy – podsumował sierżant. – Dobra, najważniejsze, żeby nie kofnęła. Poruczniku, zaraz wykombinujemy dla ciebie nosze i będzie OK. Leż, odpoczywaj. Dobra, chłopcy, gdzie by tu go...

–Chłopaki, a co się, kurde, dzieje? – zapytał Andrew.

–Nie wiem – krótko rzucił sierżant. – No to, panowie, raze-em!

Werner został delikatnie podniesiony i ułożony na czymś twardym. Najprawdopodobniej na blacie biurka.

–Co to znaczy: *nie wiem*? – nalegał technik. Zaimprovizowane nosze zostały wyniesione na korytarz, wtedy oczom rannego ukazał się zmacerowany sufit. Wykładzina z wypalonymi dziurami, przez otwory widać było przewody mediów.

–No i jakoś głupio to wszystko wyszło – zaczął tłumaczyć sytuację sierżant. – Wasz ZDO nie był aby homisiem?

Andrew prychnął twierdząco. Nieraz sam opędzał się od niego trzymanymi w rękę narzędziami. ZDO należał do facetów kochliwych i bliski związek z commanderem Fushem mu nie wystarczał. *Tylko dlaczego oni mówią o nim w czasie przeszłym?* – pomyślał Werner. Ale nie zdążył zapytać.

–Tak myślałem. – Sierżant pokiwał głową. – Same kłopoty przez tych pedałów. Krótko mówiąc, wasz ZDO zastrzelił pod prysznicem jednego naszego chłopca. No to myśmy gnoja złapali i wyrzucili trochę. Nie na śmierć, sam wiesz, u nas takie rzeczy nie przechodzą, nic podobnego. Ale ludzie się bardzo na was, astronautów, rozżółbili. I już mieliśmy go oddać dyżurnemu, a tu inni wasi przylecieli. I zaczęło się... Zjawia się dyżurny. *Co to za napaść na oficera?* – pyta. – *Wszystkich aresztujemy, będę strzelać!* A tu ktoś mu w czachę jak nie gwizdnie... No i już po chwili nie było wiadomo, kto kogo i za co bije. Wszyscy ociepli, i nasi, i wasi. Ogłoszono alarm, żeby skończyć mordobicie, ale w koszarach już wybuchła strzelanina. Wałą do nas z pistoletów jak na strzelnicy. Myśmy ich, wiadomo, załatwili, wzywamy pułkownika, żeby się zorientował, żeby obronił, przecież nie nasza wina. A ten się zamknął w kabinie i drze mordę, że teraz wszystkich nas czeka zimna mogiła. Że niby zdrada i takie tam... I nagle pojawia się ten piździelec, commander Fush, z jakimiś gnojami. Z laserami. Czyli przyszli nas wyciąć. No i to tyle. Dlatego powiadam, masz farta, poruczniku.

–Zwariowaliście... – wykrztusił Andrew.

–Sami się dziwimy – westchnął sierżant. – Jesteś na tej barce jedyny, któremu trybunał nie grozi.

Nosze dogonił ktoś ogromny i tupiący głucho, a w pole widzenia Wenera wpadła nowa twarz. Tego człowieka Andrew rozpoznał od razu – Bunny, kapral z plutonu łączności. I od razu w głowie pojawiły się jakieś strzępy wspomnień. A wewnątrz ciała zalał chłód – to nie były dobre myśli.

–Żywy! – sapnął Bunny. – Świetnie. W porządku. Jak się czujesz, poruczniku?

–Jenny... – wykrztusił Werner. – Gdzie?

–Wybacz, poruczniku. – Kapral spochmurniał i zasępił się.

–Co wybacz?

–No... Wybacz i tyle.

–Co za świnię z was... – szepnął Andrew i mocno zacisnął powieki.

–To nie nasza wina – powiedział Bunny tonem skrzywdzonego dzieciaka. – To wasi. Laserem. Na miejscu. Myślisz, że mi jej nie żal?

–Jesteśmy – powiedział Weil. – Ostrożnie, panowie. Raz, dwa!

Silne ręce podniosły Wenera i usadowiły na czymś miękkim i sprężynującym. Andrew otworzył oczy. Zalewały je łzy. Ktoś delikatnie włożył mu w dłoń serwetkę.

–Może potem tym się zajmiemy, co? – poprosił sierżant. – To jest taka sprawa, że już się nie wróci...

–Właśnie – przytaknął Bunny. – A ty teraz odpowiadasz za okręt. Nikogo innego nie ma.

Technik otarł łzy i cisnął serwetkę. Siedział w SDO, w fotelu starszego nawigatora. Jedno spojrzenie wystarczyło, by zobaczyć, że tu też walczone. Zostały ślady krwi i większa część oprzyrządowania wymagała remontu. Wszędzie kręcili się desantowcy, z ciekawością spoglądając w ekrany i kopiąc resztki aparatury. Spoza rezerwowego pulpitu sterczały czyjeś nogi w nadpalonych butach. Jedna podeszwa jeszcze lekko dymiała. Wernerowi wydało się, że to nawigator Kaminski, i nagle poczuł, że za sekundę zacznie rzygać. Nie czuł nawet przerażenia, raczej złość. Tępa siła piechoty szturmowej w końcu wzbudziła w nim gdzieś w głębi wściekłość. Bezmózga siła, która zabiła Jenny. Idiotyczna agresja, która omal nie zabiła i jego. Bezsensowne dążenie do likwidacji wszystkich i wszystkiego, co żołnierze uważali za obce i niesłuszne.

Andrew nagle zrozumiał, że nienawidzi tych ludzi. Więcej – że zawsze ich nienawidził. Po prostu wcześniej sądził, że to duże dzieci, ofiermy i niedojdy

zasługujące na litość nie mniej niż on sam, taki nieprzystosowany i samotny. Ale teraz desantowcy pokazali zęby i już nie było za co ich żałować.

–Czego ode mnie chcecie? – zapytał.

–Zrób coś, żeby nas od razu nie zabili – powiedział Weil.

–Znaczy co? – zdziwił się Andrew.

–No, na przykład niech to gówno doleci do domu.

–Do domu?

–Przestań szydzić! – nagle eksplodował sierżant.

–Te, spokojniej! – pohamował go Bunny. – Przecież on jest ranny. Nie rozumie.

Weil przykucnął przed Wernerem i ufnie spojrzał mu w oczy.

–Poruczniku – westchnął – dynamiczna neuralgia to poważna choroba. Ja ją mam od trzech lat. Właśnie z powodu takiego fizycznego urazu. Tak więc z góry mi wybacz. Ja się nie zawsze kontroluję. Ale rozumiem, że jesteś nam bardzo potrzebny. Siedzimy po uszy w gównie, a każdy popapraniec może cię rozwalić tylko dlatego, że jesteś astronautą. Za to, że nas wyruchaliście. Tak więc zrób coś, proszę. Zostaniesz przy życiu.

–Och, za ostro sobie poczynasz, sierżancie – zauważył Bunny.

–Spadaj! – rzucił Weil. Kapral zasępił się, ale zmilczał. Wyglądało, że nie bardzo mu się podoba łązenie za jakimś podoficerem w charakterze przydupasa, ale w każdym stadzie dowodzi najokrutniejszy osobnik. A z Weila aż tryskała zwierzęca nienawiść.

–Rozumiesz mnie? – dopytywał się teraz Andy ego, udając, że umie mówić ludzkim głosem. – Ta balia leci. Chyba na Marsa. Skieruj ją do domu. Musimy połączyć się ze sztabem naszej brygady i wszystko zameldować. Nie dowództwu floty, a piechoty. Baskin nas po prostu rozstrzela i po wszystkim. Tylko nasi mogą to roztrząsnąć uczciwie. Bo my nie jesteśmy tu winni, rozumiesz?

–A co ci przeszkadza wysłać stąd sygnał na Ziemię? – zapytał Andrew. – Twój wspaniały sztab wyśle wiadomość do Baskina i powie mu, żeby się nie napalał.

–Stacja dalekiej łączności spłonęła – powiedział ponuro Bunny. – Nie możemy się z nikim połączyć, chyba że z eskadrą.

Werner dał sierżantowi znak, by się odsunął. Przed nim, na środku ekranu, świecił czerwony Mars.

–Sam widzisz, dokąd lecimy – ponuro odezwał się Weil. – Przecież nie wylądujemy u czerwonodupków. Przyjmą nas z otwartymi rękami i wszystkich postawią pod murem.

–Kiedy został ogłoszony alarm bojowy? – przypomniał sobie coś Andrew.

–Jakieś pięć godzin temu...

Werner pochylił się nad pulpitem nawigatora. Zgodnie z odruchem doświadczonego technika uruchomił system diagnostyki. Potem wszedł do menu poczty elektronicznej.

–Skąd ta pewność, że alarm był ćwiczebny? – zapytał.

–Nie wiem, o co ci chodzi... – zdziwił się Weil.

–Chodzi mi o to, że walczymy. Eskadra obrabia jakiś schemat na powierzchni Marsa. Czas do desantu... trzy godziny.

–Mamo! – powiedział wolno i wyraźnie Bunny.

Sierżant chwycił się za głowę obiema rękami.

–Gratuluję, panowie – powiedział jeden ze sterczących z tyłu desantowców. – Jesteśmy trupami. Kto nie wierzy, niech czyta regulamin.

Wypowiedź była trafiona. Urządziwszy pogrom w czasie pokoju, żołnierze mieli jeszcze szansę wykręcić się katorgą albo przeniesieniem do karnego batalionu. Te same działania w warunkach wojennych rozpatrywane były jako bunt i świadoma dywersja przeciw zdolności bojowej. A buntownicy nie mieli prawa do korzystania ze starej reguły zmycia krwią przestępstwa. Niepewny żołnierz, zdolny do przejścia na stronę wroga, kosztował zbyt wiele, by można mu było dawać taką możliwość. Znacznie racjonalniej takiego zabić.

–No to się wpieprzyliśmy...

–Gorzej. Już po nas.

–Won mi stąd! – ryknął Weil. – Wszyscy! Natychmiast! Do koszar!

–Ty, wiesz co... Może nie tak ostro – rzucił ktoś.

Podoficer nieprzyjemnie zmienił się na twarzy i podniósł laser. Miał ciężki Mauser-500 zdolny jednym impulsem zrobić z człowieka przypalony befsztyk.

–Nie rozkazuj tu – nieoczekiwanie dla siebie powiedział Andrew. – Jesteś na

Stanowisku Dowodzenia Okrętem, sierżancie.

Weil natychmiast wycelował wylot lasera w Wenera.

–Na Ziemię! – rozkazał ochryple.

–Po kiego wała? – zapytał ktoś z tyłu. – Przecież tam jest artyleria.

–Nie wszędzie. Są nieosłonięte strefy. Wskoczmy nad Ameryką Południową.

–To może od razu nad biegunem południowym?

–Powiedziałem, nad Ameryką Południową. Tam jest roślinność, czyli będzie żarcie. Zadupie, więc i nie znajdą. Baby są, będziemy żyli jak ludzie. Na Ziemię, poruczniku!

–Dobrze kuma – ocenił inny desantowiec. – Słyszysz, latawiec, wal do domu!

–Hej, Bunny! – zawołał Andrew, próbując nie zwracać uwagi na wbijający mu się w brzuch wylot lasera. – A gdzie są nawigatorzy?

–Nie zrozumiałeś? – zdziwił się kapral. – Zostałeś tylko ty, poruczniku. Nikogo więcej z waszych nie ma. Naszych oficerów też nie ma. Był pułkownik, ale się zastrzelił. Słuchaj, może naprawdę skorzystamy z zadymy i skoczmy na Ziemię? Przecież ty niczym nie ryzykujesz. Zostałeś przez nas zmuszony.

Werner wolno rozejrzał się po żołnierzach. Oczy członków desantu płonęły nadzieją. Oni naprawdę nie mieli już wyjścia. Na Marsa wyraźnie nie chcieli – wpajana od dziecka niechęć do czerownodupków zrobiła swoje. A gdyby zdołali choćby w tej Ameryce Południowej zapaść się pod ziemię, to mogliby jeszcze trochę pożyć. Nie chcieli ponosić odpowiedzialności za to, co zrobili. Zresztą nikt nigdy ich nie uczył, że istnieje coś takiego jak odpowiedzialność, dobro czy zło. Zнали tylko nagrodę i karę. Takie podejście nie spodobało się Andy’emu jeszcze bardziej. Mimo, a może dzięki wrodzonej samodzielności, zawsze rozliczał się z tego, co robił, nawet z najbardziej głupich rzeczy. Jak każdy astronauta, starał się wszystko przewidzieć trzy ruchy do przodu. A ci troglodyci sami się wpakowali w pułapkę.

Zapłacicie mi za Jenny – pomyślał Werner. – I za swoją tępotę, i za tchórzostwo. Dam ja wam Południową Amerykę!

–Tak szczerze – powiedział na głos – mi to zwisa, czy do Ziemi, czy na Alfę Centauri. Może was to rozśmieszy, chłopaki, ale ja nie potrafię kierować okrętem. Rzeczywiście roześmiali się niedowierzająco. Wszyscy poza Weilem.

–Zastrzelę – ostrzegł rzeczowo.

–Mówię poważnie – westchnął Andrew. – Ja potrafię przestawić napęd na przyspieszanie albo na hamowanie. Ale w nawigacji nie kumam ni cholery.

Sierżant odłożył laser i wyjął nóż.

–Nie potrafiłbym nawet ustawić „Dekarda” na orbicie Marsa – ciągnął Werner. – Oszczędziliście nie tego człowieka, co trzeba. Należało pilnować nawigatorów. A tak macie tylko jedną drogę. – Wskazał palcem glob na ekranie. – Tam.

–A mówili, że Ruscy... – mruknął ktoś z oburzeniem w głosie.

–On się mści za swoich.

–Co tam za swoich, przecież oni mu kobietę rozwalili...

–Gnój zwyczajny! Przestań, poruczniku, sobie robić jaja, potniemy cię na kawałki!

–Poczekajcie! – powstrzymał ich Bunny. – Mówisz poważnie?

–A jaki byłby sens, żeby was okłamywać? – szczerze zapytał Andrew, patrząc w ekran. Diagnostyka wykazywała, że napęd jest w porządku, ale linie komunikacyjne są poważnie uszkodzone. SDO, ośrodek nerwowy okrętu, został praktycznie odcięty od całej reszty. Widocznie ktoś nieostrożnym strzałem rozwalił gródź i przeciął kable. Teraz sterować „Dekardem” można było tylko z rezerwowego procesora na rufie. Ale w tym celu należało go odpalić. Z tym że polecenie autopilota, jakie zostało zapisane przez reaktor w buforze, mogło zaktywować ciąg dopiero za godzinę z hakiem. Okręt wychodził na cel.

–Masz po co kłamać – uznał Weil. – Jesteś astronautą, oficerem... Mógłbyś przynajmniej pilnować min na swoim kaprawym pysku. Chcesz nas wpakować pod ostrzał czerwonodupków? Żeby zrobili z nas kotlety? No nic, zaraz cię z tego wyleczę – mówiąc to, gwałtownym ruchem dźgnął nożem przedramię Wernera. Jakby wbijał gwóźdź.

Tkanina kombinezonu pękła z trzaskiem. Andrew zgiął się wpół z bólu i jęknął.

Sierżant wyszarpnął nóż i oblizał krew z ostrza. Oczy miał zamglone.

Technik, sycząc, zacisnął palcami płytką, ale długą ranę.

–Czujesz? – zapytał Weil. – Teraz ci wytnę oczko. No, chłopaki, trzymajcie go!

Werner został przyciśnięty do oparcia fotela. Sierżant wolno zbliżył ostrze do jego oka. Na ustach żołnierza błąkał się żądny krwi uśmieszek. Między działaniem i celem nie było żadnego związku. Tortura wcale nie musiała doprowadzić do pożądanego

wyniku. Ale półszalony Weil wyraźnie rozkoszował się tym, co robił.

Naprawdę mnie zabije – przemknęło przez myśl Andrew.

–Wyluzuj – powiedział. – Popatrz na monitor. Umiesz czytać?

Sierżant potrząsnął głową, jakby budząc się z transu.

–No co? – rzucił, odwracając głowę.

–Widzisz napis *utrata łączności*? Kto strzelał w strefie odciążonej?

–A o co chodzi?

–Nie ma łączności między SDO i napędem. Idziemy na rufę. Muszę odpalić procesor rezerwowego.

–Czyli jednak polecimy? – zapytał Weil z kpiącym uśmiechem.

I nagle trzonkiem noża mocno uderzył Wenera w kość policzkową. Przed oczami technika któryś już raz tego dnia zapadł mrok.

–I poprawka – powiedział sierżant, uderzając ponownie. Tym razem to był bolesny siarczysty policzek. – To taka zaliczka. Na wszelki wypadek. No, idziemy, poruczniku.

Andrew został wyszarpięty z fotela i postawiony na nogach. W głowie mu się kręciło, ale w sercu wrzała złość. Nie powinni go bić po twarzy. To definitywnie utwierdziło Wenera w jego planach.

Potrzebował tylko jednego otwartego luku technicznego po drodze.

Szli wolno korytarzem, starając się nie dotykać nadpalonego poszycia ścian. Desantowcy otoczyli Andy'ego ze wszystkich stron, ale nikt go nie trzymał. Tym sposobem demonstrowali swoją pogardę dla człowieka, którego dotychczas traktowali po ludzku, a ten zachował się jak jakiś zasrany astronauta. Nikt też nie zaproponował mu opatrunku na przedramię. Tylko kapral Bunny ciągle sapał Wenerowi nad uchem, jakby zamierzał coś powiedzieć. Jednakże nie wypluł z siebie ani słowa.

Idący na czele sierżant Weil półgłosem wydawał polecenia. Widocznie wśród tych ludzi ocalały resztki wojskowej dyscypliny. Oczywiście, wybiwszy oficerów, desant natychmiast stał się zwyczajną bandą, ale ta banda też chciała przeżyć.

Andrew, patrząc pod nogi, wypatrywał luków technicznych. Ale wszystkie pokrywy były, jak na złość, zamknięte i jeszcze zablokowane.

–Hej, ostrożnie – zawołał ktoś z przodu. – Mamy tu niewielką dziurkę.

–Dobra mi dziurka! Przecież było powiedziane, żeby bez granatów...

–To nie granat, tu były gaśnice.

–Wszystko jedno, chyba kiepsko strzelamy.

–No chyba. Tędy, pod ścianę. Po prawej! Desantowcy zaczęli pojedynczo omijać zięjący mrokiem otwór z nadtopionymi krawędziami.

–Ho-ho! Na wylot! Nieźle się można wpięprzyć – z szacunkiem powiedział idący przed Wernerem szeregowiec.

Andy chwycił się tych słów jak tonący brzytwy i będąc tuż przy otworze, zrobił krok w lewo.

Oddałby w tej chwili pół życia za speckostium – w nim można było skoczyć z wieży Eiffla.

–Stój!!! – ryknął Bunny.

Ale Werner, choćby nawet chciał, nie mógłby go już teraz posłuchać.

Przeleciał trzy metry z hakiem i gdyby nie elastyczna podłoga, na pewno coś by sobie złamał albo zwichnął. Uderzenie było tak mocne, że duszę poczuł dosłownie w piętach, niemal znowu stracił przytomność. Ale poderwał się na czworaka i nie marnując czasu na wstawanie, pogalopował przed siebie.

Z tyłu coś syknęło, huknęło, poleciały iskry i gorące bryzgi.

–Nie strzelać! – wrzasnął Weil. – Bunny, durniu, przestań! Za nim, idioto!

Na środku korytarza, absurdalnie i zaskakująco, zabawiła się para – oboje nadzy i podobnie jak Andrew na czworakach. Panczerze i broń wałała się obok. Przeskoczył przez nich i od razu zobaczył upragniony luk.

–Ale numer! – powiedziała kobieta, odwracając głowę i mocniej się zapierając, żeby mniej nią trzęsło i lepiej było widać. – Oficerek! Żywy! I przystojniutki...

Mężczyzna nie zareagował wcale na Wenera. Coś innego zaprzętało mu umysł.

Andrew szarpnął pokrywę luku, usiadł i spuścił do środka nogi.

Z tyłu coś huknęło, tym razem bez syku, ale z przeraźliwymi przekleństwami. To kapral Bunny zaliczył twarde lądowanie.

–Leżeć, suki! – ryknął do kochanków. – Zastrzelę, mać wasza!...

Werner zwałił się w luk, odruchowo postawił stopy na poprzeczce windy linowej, jedną ręką chwycił poręcz nasadki sterującej, drugą pociągnął do siebie ciężką pokrywę, żeby zablokować ją od wewnątrz. Ranna kończyła zareagowała szaleńczym bólem. Andrew krzyknął, ale nie wypuścił poręczy. Brakowało jeszcze tylko, żeby stracił chwyt i zwałił się w głąb szybu.

–Nie strzelaj, kretynie! – słychać było z góry rozkazy Weila. – Łap go! Łap!

Pokrywa luku zatrzasnęła się, w szybie zapanowała gęsta cisza. Werner przekręcił blokady do oporu, wdusił klawisz na poręczy i winda pociągnęła go do góry.

Teraz on miał przewagę. Desantowcy nie znali, bo i nie musieli, schematu okrętu. Zanim go znajdą, zanim opanują... Andrew w ciągu jakichś dziesięciu sekund przeleciał przez wszystkie poziomy i wyskoczył na szorstką powierzchnię zewnętrznego poszycia strefy roboczej.

Znajdował się teraz jakby w środku olbrzymiej matrioszki – dokładnie między dwiema laleczkami. Ta, na której stał, poruszała się, ta, która była jego celem – nie. Grawitacja w sektorze przejściowym miała wartość jednej trzeciej ziemskiej. Poczuł, że jeszcze bardziej kręci mu się w głowie.

Przyciskając do brzucha nękającą bólem rękę i kulejąc ciężko, podbiegł do posterunku kontroli technicznej. Wyjął apteczkę, zaaplikował sobie anestetyk, przełknął kilka pigułek tonizujących i pośpiesznie opatrzył przedramię. Szybko wpakował się w speckostium i przyczepił od frontu napierśnik narzędziowy. Działał świadomie, racjonalnie, szybko, ale jakby we mgle.

Nad głową przepłynął luk. Andrew pomyślał złośliwie, że wielcy i ciężko uzbrojeni desantowcy będą go straszliwie przeklinać, pełzając po takich katakumbach, i pogonił za uciekającą pokrywą. On po takich szczelinach codziennie pełzał jak karaluch... i w sumie go to bawiło. Raszyn powiedział kiedyś, że każdy technik codziennie rodzi się od nowa, wyłaząc z wąskich kanałów na światło dzienne. To pewnie oznaczało, że także wybór zawodu spowodowany był nieświadomym życzeniem powrotu do łona matki, ukrycia się tam na wieki.

Dawne czasy... Raszyn był wtedy kapitanem Uspienskim. *Jeśli sądzić po ilości zakamarków, to nasze ciągi komunikacyjne raczej przypominają jelita!* – odpowiedział mu wówczas Andrew. – *Czyli technicy nie chcą się ukrywać, a latać. Jak nie da się inaczej, to*

***przynajmniej z góry na dół. Ludzie dziko zarechotali. Sam się przyznałeś! – wrzasnął Fox, jeszcze wtedy młody i wcale niegruby strzelec. – Sam przyznałeś się, że technicy to gówno! – W takim razie nie stój na dole, kiedy lecę!* – odparował**

Werner i wspiął się na sufit. Fox zaczął w udawanej panice biegać tu i tam po pomieszczeniu, a Raszyn patrzył z rozczuleniem na swoją załogę i mruczał pod nosem: *Ech, dzieciaki... Jak dorosnę, sam sobie takich narobię.* Po miesiącu strzelec pojechał na dół na trening, a po kolejnym na trawersie Jupitera „von Rey” głupio nadział się na marsjański battleship „Enterprise”.

Andrew wisiał teraz w strefie odciążonej i z zaciętrzewieniem ciał przewody, a przed oczami widniały mu twarze przyjaciół. Najbardziej ze wszystkiego chciałby znaleźć się między nimi. Nie dlatego, że Raszyn gasił w zarodku każdy konflikt na pokładzie. Nie, chociaż Werner nie wątpił, że jego mentor zapędziłby desantowców z powrotem do koszar samym tylko spojrzeniem. Zresztą robił takie numery, będąc oficerem dyżurnym na ziemskich bazach. Wszyscy go szanowali, a jeszcze bardziej się go bali.

Nie, Andrew chciał być blisko Raszyna dlatego, że ten mógłby teraz położyć mu rękę na ramieniu i powiedzieć: *Andriej, postępujesz słusznie.*

Werner poskręcał jakoś kable i włączył komp posterunku technicznego. Sprawdził łącza, uruchomił pośpiesznie sklecony program, a sam oparł się o ścianę, szukając chwili odpoczynku. Postąpił w stosunku do desantowców sprawiedliwie, bez wysilania się na zemstę. Po prostu tak, jak mu nakazywało sumienie. Postanowił, że da im wybór. Ci ludzie postąpili źle i głupio, ale właściwie nie mogli inaczej. Taki był sens ich istnienia – zabijać w ataku złości, a potem udawać, że wszystko jest w porządku. Tak ich uczyła Matka Ziemia – zabijać albo umierać. To ona stworzyła im takie warunki życia, w których jeden incydent prowadził do szaleńczego wybuchu.

„Dekard” drgnął, przez kadłub przetoczyło się głucho echo. Reaktor wyrzucił do kompensatorów niezbędny zapas energii. Teraz okręt mógł tylko siłą bezwładności zbliżyć się do punktu wyrzutu, a potem zalec w orbitalnym dryfie. Niech desant sam rozstrzygnie, co mu bardziej pasuje – do Marsjan w gościnę czy przed sąd do wiceadmirała Baskina. Andrew nie mógł im nic innego zaproponować, w końcu naprawdę nie potrafił kierować tak wielkimi jednostkami. Ale pewne działania automaty łatwo wykonują bez udziału człowieka. Najważniejsze to katapultować reaktor, wtedy „Dekard” będzie sam się o siebie troszczył.

W przeciwnym wypadku, gdyby piechota została na okręcie, niewykluczone, że jednostka po wyrzucie desantu wbiłaby się w powierzchnię globu. Jak każdy okręt wojenny, „Dekard” nie miał w procesorze marszowym programów awaryjnych, które wyprowadziłyby go z niebezpiecznych sytuacji w razie braku działania załogi. Jednostki bojowe po prostu zobowiązane były do wykonywania manewrów na granicy możliwości albo i nawet poza tą granicą. Dlatego niesterowny desantowiec najpewniej stałby się dla swojego ładunku przestronnym i komfortowym grobowcem. Werner nie tłumaczył tego sierżantowi Weilowi. Skoro ten nie wierzył, że nie każdy astronauta jest dobry w nawigacji...

Andrew z trudem rozwarł powieki i popatrzył na zegarek. Miał bardzo mało czasu. Musiał przedostać się do śluzy, a prosta, ale ryzykowna trasa przez szyby techniczne, gdzie w każdym luku mógł siedzieć strzelec, odpadała.

Popłynął wzdłuż ściany centralnego rdzenia, sprawdzając po drodze butle z tlenem i resztę próżniowego wyposażenia stroju bojowego. Przemieszczał się w kierunku rufy, w stronę zwierciadła oraz luków kontrolnych.

Przecisnąwszy się do komory śluzy, Werner nałożył maskę speckostiumu, zdjął ze ściany pistolet manewrowy, przyczepił go do pasa, obok przypiął karabińczyk liny asekuracyjnej. Teraz należało zamknąć drzwi wewnętrzne. Andrew wyciągnął rękę i znieruchomiał.

–Kto nie zdążył, ten się spóźnił – usłyszał.

Dziesięć metrów od niego ze ściany wystawał desantowiec z laserem w ręku. Sądząc z widoku, nie mógł cały przejść przez ciasną krtanią luku w grubym pancerzu szturmowym. Nawet nie miał hełmu na głowie. Ale to, co przecisnęło się do strefy rozładunku, wystarczało do zabicia Wenera.

–To mi się właśnie nie podoba w nieważkości – powiedział żołnierz. – Że człowiek ma zawsze gały na czole i włosy stoją mu dęba.

Przeklinając wszystko na świecie, Andrew wymacał za plecami klamrę awaryjną. Na wypadek awarii hydrauliki w śluzie zamontowane były pironaboje. Drzwi zamknęłyby się w ciągu pół sekundy. Czy ten typ zdąży wystrzelić? Najprawdopodobniej tak. Kuli Werner się nie bał. Ale laser...

–No – ciągnął desantowiec spokojnie. – Płyn ku mnie, kochaniutki. Czekają na ciebie, doczekać się nie mogą...

Andy wolno pociągnął za klamrę, wybierając luz.

Ależ niektórzy ludzie kochają napawać się agonią ofiary! – pomyślał. – *Ten typ pewnie sądzi, że osłupiałem z przerażenia...*

–A! – rozległ się gdzieś z oddali głos i przez kolejny luk, nieco dalszy, wyrzała jeszcze jedna lufa, a za nią głowa. – Jest, zaraza! No, poruczniku, proszę do mnie!

–A może to wy do mnie? – zapytał spokojnie Andrew, czując, jak gdzieś we wnętrzu zaczyna mu bulgotać nieznaną wcześniej odwaga skazańca. Szansa na wyjście cało z zasięgu laserowego promienia była niewielka. Ale czuł też, że rozjuszona piechota chciałaby go załatwić nie przy pomocy lasera, a własnoręcznie.

–Daję ci sekundę – spokojnym, równym głosem rzekł flegmatyczny zabójca. – Moje

kochanie...

W tym momencie „Dekard” postanowił pomóc astronautce. Potężnie wstrząsnął całym ogromnym cielskiem i z ogłuszającym hukiem katapultował sekcję reaktora.

Centralny rdzeń zadygotał. Przerażeni desantowcy zaczęli wrzeszczeć. Werner szarpnął za klamrę, zobaczył oślepiający błysk, coś potężnie walnęło go w pierś i straciwszy oddech, wypadł za burtę.

Tym razem oprzytomniał pod wpływem piekielnego bólu. Wisiał na końcu liny asekuracyjnej, dokoła miał kosmos, pod stopami – cielsko okrętu, a pierś mu płonęła.

Najprawdopodobniej do przytomności doprowadził go speckostium, programowo pompując do organizmu końską porcję narkotyku. Któryś już raz kosmiczna technika ratowała Andy ego z, mogłoby się wydawać, beznadziejnych sytuacji.

Wykrzykując przekleństwa w trzech językach jednocześnie, rycząc i puszczając bąble ze śliny, chwycił się za pierś. Pod palcami nie wyczuł niczego szczególnego, potem przypomniał sobie, że ma na dłoniach rękawice, więc badanie się dotykiem nic nie da. Pochylił głowę, na ile pozwoliła mu kryza, i popatrzył. Nie miał na piersi miękkiego pokrycia, a sterczący na zewnątrz kewlarowy tors był mocno nadtopiony. Widocznie wypadając ze śluzy, załapał przypadkowe trafienie. Bez wątplenia jeszcze minutę temu fajczył się jak pochodnia.

Skóra paliła tak, że najchętniej by z niej wyskoczył. Przed oczami pływały mu tęczowe kręgi. Trzeci tego dnia powrót do przytomności był straszny. Andrew nie ucieszył się nawet, że wszystko tak dobrze pamięta.

Narkotyk zaczynał działać, ból stopniowo gasł. Werner mógł się poruszać. To wcale nie oznaczało, że za jakiś czas nie wykituje. Apteczka speckostiumu była wyposażona tak, by umożliwić rannemu astronautce wykonanie zadania, ale nic poza tym. Andrew odwrócił się plecami do okrętu, chwycił pistolet manewrowy i nacisnął na spust. *Dobrze, że lina się nie spaliła – pomyślał. – Bo lądowałbym już na Marsie... A jeszcze lepiej, że pancierz desantowy jest taki wielki. Nie uda im się wcisnąć do naszych mysich dziurek. I jest po prostu wspa-nia-le!*

Rzeczywiście, z otwartych drzwi śluzy nikt tym razem nie wystawał. Może desantowcy szukali pozostałych po załodze speckostiumów, zamierzając dokończyć polowanie w przestrzeni, ale – jak na razie – wyraźnie ich wyprzedzał. Był nieprzytomny najdłużej kilka minut, na więcej nie pozwoliła apteczka.

Kilka impulsów przeniosło go w pobliże „Dekarda”. Przeleciał nad ogromnymi kutrami desantowymi i nagle nim zakręciło. Z trudem zniwelował wirowanie, po czym odzepił linę, która – rozciągnięta na całą długość – uparcie chciała, by astronauta

Werner został żywym satelitą zawieszono go w przestrzeni okrętu. Podleciał do kutra sztabowego przeznaczonego dla dowództwa piechoty. Z wysiłkiem wlał do środka przez służbę awaryjną, zaplątał się na chwilę w nieznanymi przejściami i korytarzykach, ale wkrótce trafił na mostek. Usiadł w fotelu i pokonując zmęczenie, wprowadził rozkaz zrzutu. Kuter zeskoczył z cumy „Dekarda”, wisiał chwilę jakby nieco zamyślony i doczekawszy się rozkazu, runął w ślad za eskadrą Baskina.

Gdyby Andrew nie latał na scoucie pod dowództwem Abrahama Feina, który każdego członka załogi uczył pilotażu *na wszelki wypadek...* Gdyby kierowanie jednostkami floty nie było zoptymalizowane aż do przesady... Gdyby eskadra wykonała jakiś dziarski mylący manewr z wyjściem na pozycje z drugiej strony globu... W każdym razie co najmniej dziesięć

bardzo ważnych *gdyby* mogło tego dnia obrócić się przeciwko master-technikowi porucznikowi Wernerowi. Ale tak się nie stało, co umocniło później jego reputację szczęściarza. W odpowiedzi na wysłany przez Andy ego sygnał SOS ruszył w jego stronę nie jakiś zakochany fighter, a megadestroyer flagowy – głównie dlatego, że Baskin nie lubił się pakować w piekło. I nawet, co najbardziej nieprawdopodobne, Werner nie umarł. Nawet zdążył przytomnie podyktować do dziennika pokładowego szczegółowy raport o wydarzeniach na „Dekardzie”. Potem, po jakichś trzech dniach, wyszedł z komy nadal nadający się do służby, może tylko nieco szalony po wszystkim, co przeżył.

Purpurowe Serce dostarczono mu do szpitala.

Ale pozostał porucznikiem i nikt go w żaden specjalny sposób nie nagroził. Musiał też podpisać kwit, że pod groźbą trybunału wojennego nigdy i nikomu nie powie, co się właściwie stało na pokładzie desantowca. Oficjalna informacja głosiła, że reaktor pokładowy został wysadzony przez marsjańskiego dywersanta. A porucznik Werner, prowadzący profilaktyczne prace na zewnętrznym poszyciu jednostki, był jedynym, który uratował się z katastrofy. A tak naprawdę wiceadmirał Baskin, wysłuchawszy relacji Andrew, zdecydował, że skoro na pokładzie nie ma żywych oficerów, to nie ma też z kim rozmawiać. Podprowadził flagowy okręt do bezradnie latającego dokoła Marsa „Dekarda” i urządził swoim zeszywniałym bez zajęcia strzelcom trening ogniowy.

Tego, że desantowiec ma wszystkie kutry przypięte do cum, co oznaczało, że ludzie są na pokładzie, rozkazał nie widzieć. Potem bezpieczniaki poleciły strzelcom również podpisać kwity.

Baskin dostał od Wujka Gunnara opieprz za wielkie straty i medal za umiejętność właściwego działania w trudnej chwili.

A Andrew Werner starał się więcej o „Dekardzie” nie myśleć. I nie myślał aż do dnia,

kiedy Borowski wprost zapytał go, co tam się tak naprawdę stało.

I wyszło, że w sumie to nic tam się nie stało. Szrama na ręce, opalona pierś, Purpurowe Serce, pół roku terapii – wszystko to Andrew zyskał tylko dlatego, że potrafił utrzymać się przy życiu. Nikomu nie pomógł, nikogo nie uratował, niczego nie osiągnął.

Dlatego poprosił o przeniesienie na dół. To samo myślał, wygłupiając się w ziemskich bazach. Mniej więcej to samo – w więzieniu. Gdyby tylko nie to poczucie, że życie mija bez sensu, na pewno nie wpakowałby się w aferę z pracą dla kontrwywiadu. I był bardzo zdziwiony, kiedy zrozumiał, że właśnie zdrada dała mu jeszcze jedną szansę.

Kompletnie niezamierzenie bezpieczniaki pomogły Wernerowi wyrwać się z Ziemi w zupełnie nowy kosmos, nie ten znany mu wcześniej. W kosmos Grupy F.

CZĘŚĆ trzecia

Na Ziemi

Prywatne konfidencjonalne posłanie od admirała Uspienskiego zważyło się na dowódcę policyjnej eskadry Rabinowicza jak śnieg na głowę. Pograżyło go w głębokiej frustracji, tym bardziej że nie zdołał wyjaśnić, skąd właściwie sygnał Raszyna przyszedł na policyjną boję informacyjną. A sama treść komunikatu była już tak niezwykła, że wiceadmirał policji najpierw stracił głowę. Jako realista wiedział, z kim ma do czynienia. Oficjalną wersję, głoszącą, że Uspienski wypadł z szyn, od razu odrzucił jako bezsensowną. To zaś, że Grupa F urwała się spod władzy, Rabinowicz od razu zinterpretował w najprostszy, ale i zarazem najsensowniejszy sposób: Aleks postanowił jednak w końcu zająć się polityką i przejąć władzę. Demonstracja siły na Marsie była wcale nie czynem szaleńca, ale świadomego skutków gracza.

Jako policjant Rabinowicz powinien był Raszyna aresztować i oddać pod sąd. Ale jako żywy, jak na razie, człowiek, na dodatek posiadający rodzinę, wolał tego nie robić. Dlatego gdy tylko z Ziemi dotarł rozkaz ujęcia buntowniczego admirała, policyjny dowódca zaczął w nerwowej atmosferze przemieszczać swoje siły. Wiedział dobrze, że zdekompletowane siły armii nie były gotowe do poważnej wojny międzyplanetarnej i ledwo, ledwo mogłyby zająć się obroną Ziemi. Jediną realną siłą zdolną do skarcenia Raszyna była nieszczęsna eskadra Rabinowicza.

Niestety, jego największym problemem była niewiara w szczerść danych otrzymywanych z Ziemi. Ta, wydając polecenie aresztowania Raszyna, informowała, że admirał zgłosi się sam do policji i nie będzie strzelał pierwszy. Na pytanie, co w ogóle może robić Raszyn w rejonie Pasa poza walką z policjantami, Rabinowicz odpowiedzi nie otrzymał.

Dlatego wiceadmirał nie spał po nocach, sam się podkręcał i niemal wykończył własny sztab. Raz mu się wydawało, że Grupę F należy wyprzedzić zmasowanym uderzeniem, innym razem żądał przedstawienia mu jakiegoś planu, możliwie podłego i złośliwego, pozwalają' cego na wyciągnięcie Raszyna ze „Skoczka”, co zdekapituje Grupę F. Ale wszystkie pomysły

na atak kończyły się takimi wnioskami, że nie wiadomo, w jakim kierunku strzelać, a skomplikowane plany porwania dowódcy grupy były zbyt szalone, by myśleć o nich poważnie.

Kiedy Raszyn niespodziewanie pierwszy skontaktował się z eskadrą, Rabinowicz poczuł, że kamień spada mu z serca. Potem rozboleła go głowa. Oczekiwał od Uspienskiego wielu rzeczy – propozycji współpracy, ultimatum czy choćby godnego rosyjskiego *gieroja* wyzwania: *idę na was*. A zamiast tego otrzymał spokojny i

przyjazny tekst na pozór do niczego niezobowiązujący. Raszyn zrelacjonował, co się naprawdę stało, wyłożył swoje plany na przyszłość i niczego w zamian nie oczekiwał.

Nie mógł chyba zrobić Rabinowiczowi gorszego prezentu. To policyjny wiceadmirał musiał teraz podjąć decyzję i wziąć na siebie za nią odpowiedzialność. Walcząc z chęcią przekazania oświadczenia Raszyna psychoanalitykowi, łyknął proszek od bólu głowy i wyprowadził na monitor załączony do tekstu fotos.

Uważnie przyjrząwszy mu się, wziął jeszcze dwa prochy. Potem ruszył do punktu medycznego i zarekwirował u lekarza zapas spirytusu. Następnego dnia czuł się kiepsko, więc eskadra mogła w końcu trochę od niego odetchnąć. Wreszcie zwołał na okręt flagowy wszystkich starszych oficerów eskadry i pokazał im zapis, na którym ogromne błyszczące kręciołki Obcych ganiały za malutkim ziemskim scoutem.

Kiedy w mesie zapanowała cisza, Rabinowicz uniósł rękę, wzywając podwładnych do porządku, i wygłosił charakterystyczną dla siebie mowę, krótką i treściwą:

–Ten pieprzony zapis, żeby go... tego i z powrotem... jest autentyczny. Zrobił go Abraham Fein, doświadczony stary pierdoła, wy go, kurde, znacie. Aleksa Uspińskiego, żeby pękł, też znacie. Nie jest on, w mordę i nożem, psychopata. To zwyczajny pieprzony Rosjanin. Powiada, że go wystawili na czerwonodupków. Wspaniale. Niech ci... – Tu nastąpił zestaw przekleństw trwający około minuty. – ... cywile kiwają, kogo sobie tam chcą, sto fiutów im w zęby i otręby, a kotwica w dupę! Najważniejsze, żeby nas nie kiwnęli. A chcieli... – urwał i kolejna minuta minęła mu na rozmyślaniach. – Walka z tą porąbaną Grupą F to zajęcie dla umysłowo niedorozwiniętego, tak sądzę, żeby mnie posrało... Wiadomo, my tu żadnej Grupy F, sru-tutu, się nie boimy, załatwimy ją jak trzeba. Jak trzeba będzie, to oni nam będą robili laskę, aż się zadławia. Ale ile przy tym wytłuką naszych pierdzielonych naczyń, strach myśleć, kij im w ryj. Mnie się takie śmierdzące układy nie podobają. Wydaje mi się, że Aleksowi też nie. To stary i cwany Rusek. Proponuję, żebyśmy się rozminęli, kurweńka, po dobremu. Tak więc w obecnej pedalskiej sytuacji biorę na siebie całą odpowiedzialność. A wy, taka wasza-nasza i powrotna... – Kolejna dygresja dowódcy eskadry dotyczyła szczegółów intymnego życia podwładnych. – Co to ja mówiłem?

–Powiedział pan, że bierze odpowiedzialność na siebie, panie wiceadmirał, sir! – przypomniał zastępca Rabinowicza.

–Bo kto tu jeszcze jest do czegoś takiego zdolny, może ty? Co? – prychnął wiceadmirał, nie dokładając do pytania żadnego mocnego słówka. Jako dobry dowódca nigdy nie przeklinał oficerów osobiście, zwłaszcza kiedy znajdowali się w towarzystwie niższych szarż. Chociaż nie krępował się przeklinać całej kadry hurtowo.

–No więc, hultaje! – przeszedł do podsumowania. – Rozkazuję wszystkim, żeby szybko spieprzali stąd w trzy piczki i nie odzywali się za kija-pana, póki nie pozwolę. Może Aleks nie kłamie, szlag by go, może to jest jakaś pułapka. Plan dyslokacji naszych śmierdzących sił otrzymacie od szefa sztabu. Potem ustawiacie się na swoich, w dupę, miejscach i będziecie cicho czekać. Zajmujemy pozycje do zasranej obrony sferycznej. Ja w centrum czekam na Aleksa, on, kurwisyn, ma przybyć dwoma okrętami. Ale jeśli, parch jeden, chce nam wcisnąć jakieś gówno do zupy, przynajmniej wy, kurna, zostaniecie przy życiu. Wszystkie szczegóły, detale i inne pieprzone namiary zostaną wam podane za chwilę. No i tak to, w dupę jeża, wygląda. Czekam na wasze zasrane pytania!

–A co z Obcymi, sir? – odezwał się ktoś przesadnie ciekawski. – Znaczy co z nimi będziemy robić?

Wiceadmirał spopielił tępego oficera wzrokiem, kwaknął i popatrzył z nadzieją na zastępcę.

–Nic nie będziemy robić z Obcymi – spokojnie powiedział ten. – To zadanie dla wojska. Ponieważ z armii zostały... – zająknął się lekko –...jakieś tam resztki...

–Krótko rzecz ujmując, ten rosyjski pojeb ze swoją pojebaną grupą potrzebny jest żywy i nieuszkodzony! – dodał jeszcze Rabinowicz. – I całe wasze prawicze szczęście, że nie jest psycholem i chce jak i wcześniej wykonywać swoją porypaną pracę! Dlatego że gdyby przeciwko Obcym wystawili was, obsrańcy i obszczańcy, to nawet ja sobie tego nie mogę wyobrazić. Oczywiście, jeśli z Alekssem jest wszystko w porządku, to powinniśmy go w dupę całować i się nie krzywić!

–Właśnie – przytaknął zastępca. – Właśnie to chciałem powiedzieć, sir.

*** * ***

–Włączyć światła pozycyjne – zadysponował Raszyn.

„Gordon” i „Skoczek”, bezcielesne czarne plamy na czarnym tle, nagle zmieniły się w dwie świąteczne choinki.

Policyjna eskadra, na której ekranach nagle z niczego wyrosły dwa okręty, wydała z siebie chóralny jęk.

–Twoja mać! – pisnął dowódca, podskakując w fotelu.

–Wiceadmirał Rabinowicz, proszę odpowiedzieć admirałowi Uspienskiemu! – rozległo się w głośnikach.

–Ale się przyczaili! – jęknął policyjny kanonier. – To są numeranci... Działa do bo-

oju!

–Twoja mać... – wymamrotał Rabinowicz. – Gdzie jest pieprzony szef zwiadu? Jak to się stało, że nam w dupę wleźli, a my o tym jeszcze nie wiemy?

–Odpowiadaj, Bobby, widzę cię! – zawołał Raszyn.

–Nie możesz nas widzieć! – ryknął wiceadmirał. – Dlaczego on nas widzi? Jak to tak?! – przestał nawet przeklinać.

–Rabinowicz, masz pozdrowienia od cioci Chai! – nie ustawał w nawoływaniach Uspienski.

Policjant walnął pięścią w pulpit.

–Nie widzisz mnie! – wrzasnął. – Jak, twoim zdaniem, stoję, co?

–Masz obronę sferyczną – spokojnie odparł Raszyn. – Sam wisisz nieco z lewej i wyżej środka, patrząc od mojej strony. Cześć, Bobby.

–Żebyś zdechł! – sapnął Rabinowicz. – Witaj, Aleks. Jak się czujesz?

–Nie zaobserwowano zmian chorobowych. O to ci chodzi?

–Akurat to mnie nie martwi. Słuchaj, Aleks, a gdzie twoja grupa?

–Ma sprawy do załatwienia w innym miejscu.

–Ta? Naprawdę w innym? Gdzie?

Raszyn roześmiał się głośno.

–Jakże mi się podoba ta kolejność pytań... Bobby, dlaczego jesteś taki nieufny? Nie ma tu żadnych innych moich okrętów, słowo honoru.

–Może jestem nieufny, ale ciągle żywy – odparł Rabinowicz. – No więc gdzie ich podziałeś?

–Przecież mówię, że polecili załatwić sprawy. Bobby, lepiej, żebyś nie wiedział, gdzie są. Będziesz jeszcze bardziej żywy.

–Ja wiem lepiej, co jest dla mnie lepsze, kurna noga!

Za plecami Rabinowicza delikatnie odchrząknął radiooperator.

–Co jest, mać twoją o podłogę? – zapytał policjant.

–Panie wiceadmirał, sir. Szef zwiadu na drugim kanale.

–Aha! Kurrr... A, Aleks, poczekaj na mnie chwilkę?

–Nie ma problemu.

Rabinowicz przełączył się na drugi kanał.

–Jak ci się udało nie zobaczyć tych dwóch wielkich łajb, co, kurwa, w gardło twoje?

– zapytał, zapominając o obecnych dokoła młodszych oficerach.

–Musieli dolecieć na rozpędzie. Bez ciągu. Stara piracka sztuczka, sir.

–No to jak my, żeby cię...

–Sir, przecież nastawialiśmy się na wojsko, a nie na piratów, nie?

–I co? – poważnie zapytał wiceadmirał.

–To, że boje skanujące były odpowiednio nastrojone, sir.

–No i co, kurna, tylko nastroju nie miały?

Szef zwiadu obraził się i nie odpowiedział.

–No, pytam się! – nalegał Rabinowicz.

–Moja wina, sir!

–Mój ty orle z sinymi jajami! – rzucił dowódca i wrócił do łącza zewnętrznego.

–Przepraszam, Aleks – powiedział. – Na czym, kij w ryj, stanęliśmy?

–Myślę, że mógłbyś do mnie wpaść z wizytą?

–A może ty do mnie?

Raszyn zastanawiał się sekundę.

–Wiesz, Bobby – powiedział znaczącym tonem – nie słyszę pewności w twoim głosie. Chyba jeszcze nie zdecydowałeś, jak powinieneś ze mną postąpić.

–Nie pękaj! – roześmiał się policjant. – Nie ruszę cię. Jeśli cię aresztuję, to kto się zajmie Obcymi?

–Słusznie gadasz – zgodził się Uspienski. – Nikt. Choćby dlatego, że nikt w nich nie wierzy. Bo to nie na rękę Radzie Dyrektorów.

–No właśnie! Możesz wpaść, Aleks. Mam spirytus.

–Nieźle. My tylko samogon.

–No to bierz samogon i wpadaj.

–Nie, tak nie przylecę.

–Słuchaj, Aleks, przestań z tymi rosyjskimi sztuczkami. Daję ci słowo, wy-pu-szczę. Gdzie tylko będziesz chciał.

–A co potem zameldujesz na Ziemię? – zapytał czule Raszyn.

–Powiem, że kurwisyn nie przyszedł, i koniec. Czekaliśmy, a ty nie przyleciałeś. Tylko „Gordon” się pojawił, i to na autopilocie. O, właśnie! Słuchaj, Aleks, może rzeczywiście siedz sobie u siebie.

–Tak? – roześmiał się admirał.

–No tak! Ja pošę na „Gordona” saperów, a ty się na razie nie ruszaj. – Rabinowicz dał znak zastępcy, ten zaczął wystukiwać rozkazy na desce. – I pamiętaj, Aleks, że ja swoim pałgom kazałem strzelać. Ruszysz statek, to tak ci przypierdzielą, że cię matka Rosja nie pozna! A jeśli to gówno eksploduje, to też na tym stracisz.

–Bobby – powiedział Raszyn z wyrzutem – nie wstyd ci?

–Nie, ja jestem gliniarzem – odparł poważnie policjant. – Wyższe uczucia uległy u mnie atrofii.

–Szkoda, że nie jesteś moim podwładnym. Ja bym cię... A właśnie, masz pozdrowienia od Borowskiego.

–Jemu też wsadź moje tam, gdzie i on mi. Słuchaj... – Rabinowicz nagle przeszedł niemal na szept. – Abraham... Fein wrócił?

–Jeszcze nie.

–Co ty o tym myślisz?

–Myślę, że wróci. Abraham jest nie do wykończenia. Ani swoi go nie załatwią, ani Obcy.

Na ekranie policyjnego okrętu flagowego malutkie białe światełko rażno poleciało w stronę rozjarzonego ogniami kolosa „Gordona”.

–Widzę twoich saperów – powiedział Raszyn. – Niepotrzebnie to robisz, Bobby.

–Dlaczego? – zapytał zaintrygowany wiceadmirał.

–Dostaną ataku serca. Tyłek, zanim opuścił okręt, z rozpaczy wszystko z niego wyprzedał. Wymienił na siwuchę, co się dało oderwać. Tylko napędu nie ruszył i osprzętu nawigacyjnego.

–No to wielkie dzięki... – powiedział Rabinowicz. – Aleks, ty naprawdę jesteś nienormalny. Tylko tobie może przyjść do głowy, żeby rozkraść cały pierdolony megadestroyer, a potem cynicznie się do tego przyznać... Wiesz co, to nie jest nawet po rosyjsku...

–Przepraszam, więcej nie będę.

–Dlaczego wy, Rosjanie, jesteście takim złodziejskim narodem?

–A czy to ja kradłem? – obruszył się Raszyn.

–Ty dowodziłeś – zarzucił mu policjant.

–Słuchaj, będziemy tak czekali, aż twoi saperzy wylecą w powietrze? A może zajmiemy się czymś sensownym?

–Jakim, twoja mać, zajęciem? Według mnie wszystko jest jasne. Spadaj stąd i kij ci w dupę na pożegnanie!

–Już teraz? – zdziwił się admirał.

–Natychmiast – rzucił Rabinowicz. – I żebym cię więcej na oczy nie widział. Wypierdaj stąd, i to gazem.

–Dobry z ciebie chłop, Robercie – powiedział w zamyśleniu Raszyn.

–Taki już jestem. Powiedz mi tylko jedno na pożegnanie. Ci zasrańcy, Obcy, jak sądzisz, może tylko przypadkiem się do nas zwalili, co? Pokręcą się, kurna, i wypieprzą?

–Chyba będę musiał wpaść do ciebie... – Uspienski westchnął znacząco.

–Bo?

–Bo to by była bardzo smutna rozmowa.

–Przestań, każę swoim ludziom zatkać uszy. Hej! Wszyscy hultaje, którzy podsłuchują! Zatkać u-sz-szy! Raz, dwa! To rozkaz, żeby was!...

W eterze rozległ się cichy szmer.

–Jacy zdyscyplinowani chłopcy – pochwalił Raszyn.

–To dobrzy gliniarze. Nie powiem złego słowa. No, mów!

–Bob, pamiętasz przypadek „Skywalkera”?

–Kur! Jeszcze jak!

–A wiesz, że jeden człowiek przeżył? Przyleciał na awaryjnym module na Ziemię?

Rabinowicz podrapał się po głowie.

–Jak by ci to powiedzieć... – wymamrotał. – Nie to, żebym, kurna, nie wiedział... Ale szczegółów nie znam.

–Trzymaj się fotela. Zamiast prawdziwego człowieka przyleciał klon.

–*Job twoju!* Skąd wiesz?

–Powiedziała mi ciocia Chaja.

–Nie znasz cioci Chai! – oświadczył wiceadmirał tonem prokuratora w sądzie.

–Cioci Chai z Paryża czy cioci Chai z Chicago?

–Żebyś zdechł! Przestań się znęcać, w mordę! Ja mówię poważnie!

–Zbadałem go.

–Ta-ak... – powiedział Rabinowicz. – A najpierw, kurna, zabiłeś.

–Zabiłem bardzo wielu ludzi – rzekł oschłym tonem Raszyn. – Na Marsie, na Wenus, w otwartym kosmosie. Bardzo wielu, Bobby.

–Nie łącz wojny, stara zarazo, z zabijaniem. Dobra, nieważne. Gdzie go znalazłeś?

–Przez kilka lat latał na jednym z moich statków. – Admirał nie sprecyzował, że na „Gordonie”, żeby nie straszyć wrażliwego Rabinowicza. – A przy okazji kapował do admiralicji.

–Ja pierdolę!

–No właśnie. Bardzo dziwna historia, Bobby. Rozumiesz, nawet w hipnozie zapewniał, że jest prawdziwy. Miał wpakowaną fałszywą pamięć. Klon też wykonany wspaniale, nie do odróżnienia od człowieka. Dorwaliśmy go, bo znaleźliśmy dowody śmierci oryginału. A teraz już wiemy na sto procent. Mój doc znalazł jakieś malutkie

niezgodności... Nie pamiętam, nie jestem specjalistą, jakieś małe odchylenia w strukturze DNA. Jeśli klon miał jakiś swój własny program, to ukryty gdzieś na peryferiach mózgu. My nie potrafimy tak głęboko grzebać.

–Czyli po co ta zaraza u nas siedziała...

–Nie wiadomo.

–I co ja mam myśleć o tej chujozie?

–To pytanie do ciebie – powiedział Raszyn. – Ty jesteś gliną.

–Wiesz co... – zaczął twardym tonem Rabinowicz. – Masz go? Daj go mi, co? Ja mam speców od ekspertyz sądowo-medycznych.

–Muszę się zastanowić. A może pół na pół?

–Do czego ci jeszcze jest potrzebny?

–Dowód!

–No tak! Przecież będziesz całemu światu udowadniał, jaki z ciebie fajny Rosjanin!

–Coś nie tak powiedziałem? – zdziwił się Uspienski.

–Nie... Ach, żeby mnie... No więc, ty... tego... Odetnij kawałek tego potwora, jakiś taki apetyczny, a ja sam po niego przylecę. Gdzieś, kurna, za pół pieprzonej godzinki.

–A saperzy? – zapytał złośliwie Raszyn.

–Pierdol się. Bez odbioru! – odparł Rabinowicz.

* * *

Kiedy wiceadmirał Rabinowicz, obładowany kufrem z fragmentami organizmu kapitana Meyera, opuścił pokład „Skoczka”, do Raszyna przyszedł ZDO.

–Zabrał samogon? – zapytał poważnie Borowski.

–Nie – odparł admirał, w zamyśleniu przyglądając się swoim paznokciom.

–No to proszę go oddać – zażądał pierwszy oficer. – Gdy wy babraliście się we flakach Issiaha, ja dogadałem się z jego chłopakami co do baterii do mauserów. Bo nam brakuje. Sto luf działa, a dycha nie trzyma ładunków.

–Masz! – warknął z obrzydzeniem Raszyn, wypychając kopniakiem kanister spod stołu.

–Dziękuję. – Borowski zniknął za drzwiami, coś do kogoś powiedział i natychmiast wrócił. – A mówi się niby, że łapsy nie biorą łapówek – zauważył.

–To są dobre łapsy – ponuro rzucił dowódca. – Chcą nam pomóc.

–Akurat. Widzę. Oczywiście, to nie moja sprawa...

–Pierdol się.

–Fuj, szefie! Ledwie pół godziny z Bobbym i już się pan wyraża jak urodzony

Rabinowicz.

–Pardon, wyrwało się. Ale ty mnie tym swoim gadaniem ustrzeeliłeś. Co do Bobby'ego... Rzeczywiście, ma ciężki charakterek. Pamiętam go z uczelni. Pogada z nim człowiek minutę, a potem *mać* się sypie, czy się tego chce czy nie. Zakaźny czy jak?

–Wychował się na ulicy – wyjaśnił Borowski. – Wie pan, *driver*... Radziłbym... Krótko mówiąc, oni nie chcą nam pomóc. Oni chcą Grupą F osłonić swoje dupy.

–To wiadomo – westchnął Raszyn. – Ale wiesz co, Jean Paul? Wyniosłem jedną korzyść z rozmowy z Rabinowiczem. On się naprawdę boi Obcych. Trzęsie się z przerażenia. Jest gotów na wszystko, żeby tylko ktoś go przed nimi obronił.

–Przecież nie mamy pewności, czy tu przylecą...

–Ale on już jest ugotowany. Mało kto poważnie traktuje Obcych. Nikt się ich nie boi. Poza tymi, co mają wystarczająco dużo danych, by wierzyć w ich istnienie. Wywiad wojskowy, a i to pewnie niecały. Jeszcze ja i ty. I nikt więcej. A tu nagle wiceadmirał policji! Dowódca jedynej pełnowartościowej eskadry w ich resorcie. Ciekawe, co? Jak myślisz, Jean Paul?

–Myślę, że to ciekawe – przytaknął Borowski, przysiadając na skraju biurka. – Jak on to powiedział? Że się boi?

–Nie. Akurat tego nie powiedział.

–No to czego chciał?

–Chciał, żebyśmy polecieeli na Ziemię i urządzili tam przewrót.

–C-co?

–Rozumiem twoją reakcję – uśmiechnął się Raszyn. – Nie różni się od mojej.

–Ja pierdzielę! I to policjant?!

–Wielki policjant. Nasz Bobby, jak się okazuje, jest idealistą. Znudził mu się ludowy kapitalizm. Uważa, że to najzwyklejsza dyktatura. Może nawet jest w tym jakaś racja: kiedy cała planeta staje się jednym wielkim holdingiem...

–Gdyby mnie ktoś zapytał... – zaczął rytualnie ZDO, ale przechwycił pełne wyrzutu spojrzenie admirała i przeszedł do sedna: – Może jestem typem bezideowym, ale wydaje mi się, że Bobby ma rację.

–Ta-ak? – mruknął Raszyn, krzywiąc brew.

–Przecież niczego się teraz nie robi dla narodu, tylko dla kompanii. Dlaczego walczyliśmy z koloniami? Bo firmy broniły swoich baz surowcowych. I to jakich! Baz spermatyd i komórek jajowych! Przecież najprościej by było wypuścić czerwonodupków

spod kurateli i kupować sobie od nich materiał, do oporu. Ale nie, oni chcą za friko! Darmo

napłodzić jak najwięcej ludzi, żeby miał kto na nich orać! A system kredytowy? Każdy od

urodzenia siedzi po uszy w długach! I jeszcze mu wciskają, że to dla jego dobra... Proszę

tylko pomyśleć. Na Ziemi dzieje się coraz gorzej. W każdym razie tak mi się wydaje.

–A komu się nie wydaje? – prychnął admirał.

–Tym, co są zadowoleni. I tym, co mają to w nosie. I durniom.

–No to mamy osiemdziesiąt procent ludzkości, Jean Paul. Albo i dziewięćdziesiąt.

–Teraz trochę mniej, *driver*. Znacznie mniej. Wielu już sobie zadaje pytania, dlaczego Wenus i Mars postanowiły nie kopiować ziemskich schematów, a ogłosiły się republikami.

–Kuse te republiki. Niedaleko od nas odeszły.

–No, szefie, na razie nie mają za bardzo co żreć. Ale wcześniej czy później zadziała tam demokracja. Na Ziemi też wystarczy dobrze pogrzebać w Sieci. Widać od razu,

co myślą. Tylko my żyjemy w swoim małym świecie odcięci od wszystkich i im mocniej nas kopią, tym szczelniej zamykamy te bramy. Po prostu nic nie wiemy o normalnym życiu!

–Myślisz, że tam na dole to jest normalne życie? – zapytał Raszyn. – Wątpię. Gdyby na dole było OK, to łatwiej byłoby się dostać do desantu. – Nie podoba mi się to wszystko – westchnął ciężko. – Nie podoba.

–No bo pan jest Ruskim, *driver*. Pan musi.

–Co muszę, antropologu pieprzony? – Admirał wznosił oczy do sufitu i wolno

wypowiedział kilka rosyjskich słów. Borowski nawet nie próbował zgadnąć, co oznaczały, ale

słusznie domyślał się, że nic dobrego.

–Pan musi tak żyć, żeby wszystko na świecie panu nie pasowało... to pan musi. Może

przyniosę coś do wypicia? Znam was, Ruskich, poważne decyzje zapadają tylko przy

szklance.

Miało to zabrzmieć jak życzliwy, choć gruboskórny żart, jak to między astronautami, ale Raszyn nie był w nastroju.

–Chcesz mnie rozeźlić? – zapytał rzeczowo.

–Bardzo – uczciwie przyznał Borowski. – Szefie, jak ja się cieszę, że Rabinowicz zaczął ten temat!

–To jest jakiś żydowski spisek. Czego chcesz, Jean Paul? Żeby Grupa F ogniem i mieczem doprowadziła ludzkość do szczęścia?

–Bardzo.

–Twój Rabinowicz obiecał nam miesiąc.

–Taki sam mój, jak i pana – prychnął ZDO. Chciał jeszcze dodać, że skoro nawet głupie psy gryzą się między sobą, to tym bardziej dla niego nie każdy Żyd będzie zaraz bratem. Ale bardziej zastanowiło go co innego. – Co znaczy: *obiecał miesiąc*? – zapytał.

–Jeśli Grupa F nie zostanie zrehabilitowana w sposób pokojowy i będziemy musieli

udowadniać swoje racje siłą, to Rabinowicz cały miesiąc będzie pelzył od Pasa do Ziemi. Jeśli zobaczy, że idzie nam dobrze, przyhamuje trochę. Ale jeśli... Sam rozumiesz. W tym przypadku i tak będziemy mieli miesiąc, żeby spadać na Wenus.

–A nie zagra po naszej stronie?

–To już jak na niego za dużo. No i jeśli nas rozwalą, to kto będzie walczył z Obcymi, jak nie on?

–Dobry gliniarz – przyznał Borowski.

–A czy ja coś innego mówiłem? Pewnie, że dobry. Tylko przeklina, dwa razy *mać* na trzy słowa.

–No to damy im czadu! – wojowniczo oświadczył ZDO. – W ciągu miesiąca z łatwością...

–Nie jestem pewien, czy tego chcę – przerwał mu Raszyn.

–Zechce pan – powiedział z niezachwianą pewnością w głosie pierwszy oficer. – Proszę tylko częściej myśleć o tym, że w ojczyźnie mamy dyktaturę oligarchicznego kapitalizmu.

–W ojczyźnie mam tylko zgliszcza, Jean Paul – rzekł admirał z niespodziewanym smutkiem w głosie.

–A co z Francją? – przypomniał Borowski. – Przecież pan jest z Paryża, szefie. A Kanada, a nasz Vancouver? No co też pan gada, słowo honoru...

–Tak, Vancouver – westchnął Raszyn. – Ile tam zieleni, pamiętasz? Fantazja. Ja tam dwa razy widziałem dzikiego jelenia. Na wycieczce z rodziną. Igor miał jakieś pięć lat, Ola... Tfu!

–Pan się z nią w końcu nie ożenił? – ostrożnie zapytał ZDO.

–Ja dziś jestem chłop, jutro trup – powiedział z goryczą admirał. – Jak to astronauta wojskowy. W miłości była gotowa na wiele, zwłaszcza że jak już spotkała się para zdrowych Rosjan... A potem się okazało, że z przyjemnością będzie rodziła moje dzieci, a za mąż nie wyjdzie za skarby. W sumie nie byłem nawet bardzo przeciwny. Rozumiałem ją. Normalne warunki do wychowania dziecka, pieniądze, ojciec zawsze obok... Tyle że Igorowi się trafił za bogaty ojczym. Zrobił z niego rozpieszczonego, kapryśnego chłopaka.

–Nie może mu pan wybaczyć, że się od pana odciął. – Borowski pokiwał głową ze zrozumieniem. – A wie pan, dlaczego tak postąpił? Powiem panu. Jemu, jak i wielu

innym, nie podobają się porządki na Ziemi. Na Ziemi, która morduje tysiące kolonistów tylko dlatego, że ci chcą żyć sprawiedliwie.

–Nie bój się. Przylecą Obcy, to zrobią porządek – z wisielczym humorem odpowiedział Raszyn.

–Nie podoba mi się pański nastrój.

–Mnie też, Jean Paul.

–Nie znudziło się panu tańczenie pod muzykę jak z Ziemi zagrają? Jeśli tam wrócimy i zostaniemy zrehabilitowani, wybaczy im pan wszystko? Tę kurewską kiwkę. Przepraszam, ale daruje im pan?!

Admirał powiódł oczami po suficie, ale nie odpowiedział.

–Jakiś zaszary Rabinowicz go pożałował, a ten już w pełni szczęścia – rzucił Borowski w przestrzeń. – Już wszystkim wybaczył!

–Mieliśmy takiego pisarza, Lew Tolstoy – zaczął Raszyn. – Ja co prawda go nie czytałem, ale czytałem o nim. To był taki działacz, który tak rozpaczliwie propagował chrześcijańską tolerancję i powszechne wybaczenie, że zabroniono mu wstępu do świątyni. Przegrał swoją wojnę i umarł samotny, stary i chory.

–Do czego pan pije? – nie zrozumiał ZDO.

–Do tego, że aktualnie o powszechne szczęście troszczy się Rada Dyrektorów. Kiedy pojawi się ktoś, kto będzie się o to troszczył bardziej, zostanie wywalony z Ziemi. Chcesz umierać w samotności, Jean Paul?

–Ja – oświadczył z mocą Borowski – nigdy nie umrę w samotności.

–Pewnie! – uśmiechnął się dowódca. – Wy, Żydzi, jesteście liczniejsi niż karaluchy. No, nie bierz tego do siebie! Po prostu mam na myśli, że jeśli wpakujemy się w wojnę, to nie będziemy mieli prawa jej przegrać. Grupa F jest ciągle jeszcze silna. Wojna z nami rozłoży ziemską ekonomię. Niezależnie od tego, kto zwycięży, my czy Rada Dyrektorów, tam na dole wszystko się rozpadnie. Kto to poskleja? My?! Będziemy musieli pokierować ludźmi, będziemy musieli wskazać im drogi wyjścia z kryzysu, będziemy zobowiązani do przestawienia wszystkiego na nowe tory. Weźmiemy na swoje barki zarządzanie światem. Ale dokąd go zaprowadzimy? Masz jakieś pomysły? Program ekonomiczny? Hasła polityczne? Bazę ideologiczną?

–Mam bardzo silną motywację do tego, żeby uwolnić ludzi od monopoli. Proszę mi nie pakować kitu do ucha. Na cholere nam hasła? Ludzie sami wszystko rozumieją.

–Ludzie sami gówno rozumieją – odparował Raszyn. – W ciągu ostatnich stu lat zostali tak zdemoralizowani, że mogą teraz tylko żreć i się walić. Przecież o wszystkim ktoś za nich decyduje! O wszystkim! Nie ma po co myśleć. Kiedyś pytałem sam siebie: *Dlaczego w*

kosmosie jest tylu sensownych i myślących ludzi? Wiesz dlaczego? Tu musisz trenować mózg, jeśli chcesz przeżyć. Na Ziemi już nie musisz.

–No to niech ich pan zmusi! – krzyknął Borowski. – Sam pan mówił, że wojna wszystko zniszczy! Będą musieli myśleć, aby przeżyć!

–Szczерze mówiąc, już w nich nie wierzę – powiedział spokojnie admirał. – Nie wydolą. Mają uschnięte mózgi.

–Za mało ich pan zna, szefie.

–A ty znasz ich lepiej?

–No... Mimo wszystko nas, Żydów, jest więcej niż karaluchów. Mam spory krąg znajomych.

–No to co? – zachnął się Raszyn. – Słuchaj, Jean Paul, co ty mnie, zmęczonego starca, popychasz do działania?

–A od kiedy potrzebuje pan popychania, żeby zacząć działać? – zapytał, krzywiąc się, pierwszy oficer. – Od kiedy pana znam, zawsze myślał pan o sobie na końcu, jeżeli w ogóle. Zawsze chodziło o innych.

–Przesada.

–Jak pan pracował z załogami? Ludzie modlą się do pana! Zrobił pan z nich prawdziwych ludzi!

–Modlenie się jest szkodliwe – zauważył admirał. – Człowiek się robi infantylny. A co do załóg, nie masz racji. Dobra załoga to podstawowy warunek, aby dowódca mógł przeżyć.

–Tak pan sobie wmawia – roześmiał się Borowski. – To bzdura, choć pan tego nie widzi. Ale ja tak...

–Jest pan okropnie bezczelny, commanderze. Pieprzy pan jakieś głupoty prosto w twarz admirałowi...

–Proszę posłuchać – powiedział ZDO, przysuwając się do Raszyna. – Rada Dyrektorów podłożyła panu świnię, żeby pana wywalić. Wujka Gunnara przepchnęli

do rezerwy bez najmniejszych problemów. A pana, w końcu tylko dowódcę grupy, musieli kiwać. Dlatego, że ma pan inną reputację. Ma pan renomę. Ziemia ma pana za rycerza. I jestem pewien, że pójdzie za panem, jeśli tylko będzie pan twardy. Koniec, powiedziałem, co mogłem powiedzieć. Mogę odejść?

Przez jakiś czas admirał gryzł wargę.

–Wiesz, kto zaproponował, żeby okręty bojowe nosiły imiona postaci literackich? Nie prawdziwych, tylko wymyślonych? – zapytał w końcu.

–Jakiś chytry Żyd. Zapomniałem nazwiska, to ze sto lat temu.

–Wiesz, po co to zostało wymyślone?

–Oczywiście. Żeby zapomnieć. Odrzuciliśmy przeszłość, wszystko, co zostało za nami. Religie zostały wymazane, bo one doprowadziły do Kotłowaniny, no i była też Północ. A z

literatury przeżyła fantastyka, inne książki miały w sobie tylko ból i nienawiść. Zgadza się z tym pomysłem, *driver*. W końcu minęło sto lat i jakoś żyjemy.

–Tak sobie żyjemy, jak sam pan zauważył. – ZDO po raz pierwszy usłyszał w głosie Raszyra coś jakby starczą, bezsilną złośliwość.

–Możliwe, ale i tak jestem dumny, że „Skoczek” tak naprawdę nazywa się „Paul Atrydes”.

–Paul Atrydes doprowadził do pokoju we Wszechświecie. Ale najpierw musiał w tym celu rozpętać wojnę, która pochłonęła życie dziesięciu miliardów ludzi. Był arystokratą z dziada pradziada, był monarchą i dla niego to była betka. A dla nas...

–My jesteśmy żołnierzami, szefie. Dla nas to też jest normalne.

–Za cholerę nie jest normalne! – eksplodował Raszyr. – Nie chcę więcej walki!

–To się nie uda – powiedział spokojnie Borowski. – Zaczniemy od swoich, a skończymy na Obcych. Innym sposobem się nie uda. Niech pan zdejmie różowe okulary, *driver*. Dolecimy do Ziemi i czeka nas bój. Rada Dyrektorów nam nie wybaczy. Nie uwierzy w zagrożenie zewnętrzne. Będzie draka. I będziemy musieli zwyciężyć.

Admirał opuścił głowę.

–No to idę, co? – zapytał Borowski, wstając.

–Przynieś coś do wypicia – powiedział bardzo cicho Raszyr. – Proszę.

Średni Okręt Bojowy serii 100 „Paul Atrydes” znajdował się w połowie drogi do Ziemi, kiedy niemal przed samym dziobem wyrósł mu nieprzypominający wcale gwiazdolotu błyszczący, zakrzywiony wykrętas. Gdyby Raszyn nie zorientował się, z czym ma do czynienia, „Skoczek” błyskawicznie staranowałby zagadkowy obiekt. Oglądanie Obcego na zdjęciu to co innego, niż gdy wyskakuje na monitorze przeglądownym. W takiej sytuacji trudno uwierzyć, że dzieje się ona naprawdę... Dlatego Ive, siedząca przy pulpicie nawigatora, najpierw sięgnęła do oczu, chcąc je przetrzeć. Nieco dziwna reakcja jak na wojskowego kierującego okrętem pod silnym przeciążeniem, w dodatku mającego na twarzy maskę i hełm z wyświetlaczem.

Reszta załogi znajdująca się w tym momencie w SDO zgłupiała jeszcze bardziej.

Do staranowania pozostało jakieś trzydzieści sekund. W skali kosmicznej – zero. I zero szans na uniknięcie zderzenia. „Skoczek” widniał na wykazie admiralicji jako *średni okręt bojowy*, ale *średni* to i tak za duży na takie manewry. Gdyby Ive wpadła na pomysł obrócenia jednostki, cruiser walnąłby w Obcego środkiem burty, akurat na wysokości pomieszczeń strefy roboczej. O takich kolizjach mówi się: *A może by tak zmienić okręt?* Zresztą tępy dziób cruisera też nie był obliczony na takie uderzenia. Może lepiej walnąć we wroga pyskiem, lepiej dla załogi, ale wyloty baterii dziobowych – pa, pa!

W chwili zauważenia Obcego „Skoczek” przelatował w odległości kontaktowej od sekretnej boi informacyjnej Grupy F. Nie była to najkrótsza trasa, ale namówił na nią Raszyna Borowski, przypomniawszy sobie, że boja powinna być skontrolowana. Admirał, nieco melancholijny po rozmowie z ZDO, wydał zezwolenie chyba głównie po to, by odwlec chwilę przybycia na Ziemię. Tak więc okręt odchylił się od kursu w lewo, zbliżył do boi i Borowski, pochrząkując z zadowoleniem, wpatrywał się w urządzenie przez teleskop.

Wtedy właśnie na ekranach oprócz spodziewanej boi pojawił się całkiem niespodziewany Alien.

Raszyn siedział na swoim zwykłym miejscu, nieco powyżej starszego nawigatora, kiedy zawyła syrena uprzedzająca o niebezpieczeństwie zderzenia. Od tej chwili czas na SDO zagęścił się i trudno było uwierzyć, że wszystko, co nastąpiło potem, trwało mniej niż pół minuty. Nikt, podejmując decyzje, niczego nie analizował. Astronauci po prostu ratowali okręt.

I nie przypominało to kosmicznego boju. Raczej spontaniczny gest rozpacz.

Słyszając syrenę, admirał poderwał się, podniósł wzrok na ekran czołowy i wrzasnął:

–Fo-o-ox!!!

Najlepszy rozkaz, jeśli nie ma się pewności, czy w razie czego można dać salwę z dział. Zresztą Raszyn i tak wiedział, że kondensatory są w tej chwili puste. Po prostu miał nadzieję, że kanonier coś wymyśli.

Natomiast wlepiający w Obcego wytrzeszczone oczy Fox ocknął się i zawył:

–Nie-e-e-e!!!

Czołowy laser „Skoczka” ładował się do strzału około dwudziestu sekund. Byłby gotowy akurat wtedy, kiedy dziób cruisera wbije się w Aliena. Zaś strzał z zerowego dystansu do tajemniczego celu, którego charakterystyki pozostawały tajemnicą, nie był dobrym pomysłem. Obcy mógł po trafieniu walnąć lepiej niż chińska bomba wodorowa nad Nowym Jorkiem.

Wtedy Raszyn znów wrzasnął:

–Candy! Spal go!!!

Ive bez namysłu dźgnęła palcem deskę. Zdławione przez nawigatora zwierciadła rufowe natychmiast zgasły. Cruiser stęknął, odepchnął się od pustki bocznym wydechem z dziobu, ciężko drgnął i główne zwierciadła znów zabłyśły wściekle. Teoretycznie tego typu manewr był wykonalny, ale nikt do tej pory nie sprawdzał, czy silnikom manewrowym wystarczy ciągu do takich skoków. Nie było takiej potrzeby, no i szkoda było okrętu.

Ciągu wystarczyło. Nawet więcej, bezczelnie kopnięty „Skoczek” nie zwinął się na bok i nie zakoziółkował. Po prostu stanął dęba, tak jak tego od niego wymagano. Odwrócił się tyłem do przodu i ponownie dał całą naprzód.

I jakby z rozpędu walnął w ścianę.

Nad głową Raszyna ktoś przeleciał i huknął w ekran czołowy. To łącznościowiec, wbrew instrukcji nieprzyjęty do fotela.

Admirałowi pociemniało w oczach, zacisnął z całej siły powieki. Optyka już była przełączona na obiektywy rufowe, ale i tak na środku ekranu, zasłaniając Obcego, widniał rozplaszczony astronauta.

„Skoczek” leciał rufą do przodu, w jego trzewiach z hukiem waliły się przegrody. Raszyn z zamkniętymi oczami z goryczą obliczał, ilu ludzi we wnętrzu jednostki znajdowało się w chwili przewrotu w ruchu. W słuchawkach rozbrzmiewał wielogłosy krzyk bólu.

Ive gwałtownie zlikwidowała ciąg. Przypalony Obcy już przeskoczył przez punkt najwyższej temperatury wydechu, a energii potrzebował Fox, żeby dobić gada z

baterii rufowych.

Wnętrznosci „Skoczka” drgnęły raz jeszcze i przez mgnienie oka załoga miała wrażenie, że spada na podłogę. Ale ta chwilowa nieważkość ustała natychmiast – włączyły się żyroskopy strefy roboczej, rozkręcając ciężenie do wielkości przyciągania ziemskiego.

Poszkodowany łącznościowiec odkleił się od ekranu, spadł na podłogę i wreszcie można było zobaczyć, jak dosłownie o dwa kroki od okrętu płonie Obcy. Jego korpus rozpływał się jak masło na patelni. Jedna sekunda w płomieniu wydechu i już zagadkowy, straszliwy Alien zmieniał stan skupienia. Okazał się nie tak straszny, jak z pozoru wyglądał.

Fox wystrzelił. „Skoczek” znowu drgnął i Raszyn z nadzieją pomyślał, że to już na ten dzień ostatnie szarpnięcie. Cztery baterie rufowe dały ognia, cztery ogniste kule rozpełzły się po poszyciu Obcego. Elektronika usłużnie dorysowywała na ekranie czołowym niewidzialne w próżni promienie i obok każdego: 100/100/100 – pełna moc lasera na wyjściu, sto procent pewności trafienia, sto procent mocy zrealizowanej na powierzchni celu.

–Ho-ho! – rzucił kanonier.

Alien nie rozpadł się na kawałki, nie eksplodował i nie rozsypał się w pył, jak by to zrobił każdy statek ze Słonecznego. Po prostu został zmiażdżony. W miejscach trafień pojawiły się wgniecenia, jakby w obiekt ktoś walnął ogromnym młotem, a jego rozmiękczony korpus niespodziewanie wywrócił się niewiarygodnym sposobem na nice. Zamiast pięknego i przerażającego swoją obcością srebrzystego rogala na ekranie widniał teraz nadtopiony kawałek nie wiadomo czego.

Poza tym Alien został strącony z kursu. Fox uderzył weń pod niewielkim kątem, na ile to było możliwe w tej salwie niemal na styk. Teraz resztki przeciwnika wolno przepływały sto metrów od burty „Skoczka”.

–Nie taki znowu wielki – powiedział Raszyn w ciszy. – Mniej więcej jak nasz destroyer.

Coś obok zgrzytnęło. Borowski zdejmował maskę. Admirał uświadomił sobie, że można już się od nich uwolnić, i odpiął swoją.

–Dwadzieścia pięć sekund na wszystko i po wszystkim – powiedział ochryplym głosem ZDO.

–Żyjesz? – zapytał Raszyn, masując twarz. – Przelicz straty w wolnej wachcie. Myślę, że pewnie ze dwadzieścia osób połamaliśmy. W wachcie wypoczywającej też nie wszyscy leżeli na kojach... A ci, co leżą, też nie wszyscy się przypinają...

–Teraz już będą – obiecał Borowski, z trudem wyłażąc z fotela. – Życie nauczy. Słuchaj, skąd on się wziął, co?

–To jest właśnie zero-T – powiedziała Ive. – Wyskoczył znikąd.

–A może wyłączył maskowanie? – rzucił Fox, wyciągając z kieszeni cygaro i zapalniczkę.

–O nie, Mike! Jestem nawigatorem. Widziałam. – Kendall popatrzyła na ekran diagnostyczny i zabrała się za swój pulpit kontaktowy.

–Candy! – zawołał admirał. – Nie trzeba, kochanie. Nie odwracaj nas z powrotem... Najpierw zobaczmy, czy wszystko działa. Nie wierz diagnosterom, kable mogły zostać zerwane. Na razie odetchniemy.

Grube policzki kanoniera pokrywały czerwone kropelki – przeciążenie wydusiło krew. Ive na skroniach wolno puchły sińce.

–Doktorze Epstein – powiedział Raszyn do mikrofonu. – Jesteś cały, doc?

–Tak, mimo pańskich wysiłków, szefie. Co to było?

–Nadzwyczajne hamowanie przy pomocy przewrotu. A jak tam Linda?

–W porządku.

–No to wypchnij ją teraz, żeby się przeleciała po statku z niezbędną pomocą, a sam uderz tu do mnie. Mamy chyba trupa.

–Myślę, że nie tylko pan ma, szefie.

–Ten jest najważniejszy. Przeszkadza. Jak nie możesz go podleczyć, to przynajmniej zabierz. I jeszcze jedno, weź od Jean Paula ludzi z wachty dyżurnej do pomocy. Oni i tak będą liczyli straty, to niech od razu do ciebie noszą kogo trzeba.

–Tak jest, sir.

Kendall odpięła się, wstała i podeszła do leżącego nieruchomo ciała. Całą maskę łącznościowca od wewnątrz zalała krew. To był fajny chłopak i dobry astronauta, ale sam sprowadził na siebie nieszczęście. Na wachcie pasy są koniecznością. Jeśli przeżyje, to Raszyn zedrze z niego skórę i przepędzi na dół. Na zawsze.

–Mam nadzieję, że się nie przejmujesz, co? Candy? – zapytał admirał, bawiąc się kontaktami deski i patrząc na raport systemu diagnostycznego.

–Mam nadzieję, że nie zabiłam nikogo, po kim będę płakać – szczerze przyznała Ive.

Umilkła i spojrzała na dowódcę. Na jej twarzy pojawił się strach.

–Pędź – powiedział Raszyn. – Pędź, dziewczyno.

Więc popędziła.

Ive znalazła Wenera dopiero po dwudziestu minutach. Andrew siedział na podłodze rezerwowego SDO i powarkując na siebie pod nosem, gmerał w dużej stercie układów. Obok stali dwaj technicy z ponurymi minami, jeden miał zabandażowaną głowę, drugi – rękę na temblaku. Czoło Wenera przecinało potężne rozcięcie kandydujące do roli kolejnej pamiątkowej blizny, póki co beztrąsko i w pośpiechu zalane klejem. Zamiast w speckostium był ubrany w lekki mundur roboczy.

Ive wpadła do pomieszczenia z taką prędkością, że Andrew nawet nie zdążył odwrócić głowy.

–Andy! – krzyknęła, padając na kolana i rzucając mu się na szyję. – Żyjesz! Kochany! – Objęła nieco speszonego Wenera tak mocno, jakby miała zamiar go udusić, i rozszłochała się, najwyraźniej ze szczęścia.

–Szefie, to my spadamy – powiedział ten z bandażami na głowie, podniósł swoją torbę i ciągnąc za sobą kolegę, wypadł za drzwi.

Candy płakała. Andrew głaskał ją po głowie i szeptał na ucho nieważne słowa. Na ekranie ciągle widniał Alien, a właściwie to, co z niego pozostało.

–Wielka szkoda – mruknął, zerkając jednym okiem na ekran. – Nawet nie da się popatrzeć, jak żyją Obcy. Ciekawe, ile tam jest teraz rentgenów. I ile stopni. Ive, słoneczko, uratowałaś nas wszystkich. No, dlaczego płaczesz?

–Z radości – chlipnęła. – A ciebie ciągle nie ma na miejscu, tylko gdzieś pełniesz... Pomyślałam, że jak coś ci się...

–Kochanie... Nie martw się. Jak jest ciąg, to ja zawsze jestem przypięty. Nad czym pracuję, do tego jestem przypięty.

–Ale czołem się uderzyłeś. Daj, popatrzę.

–Nic tam nie ma, po prostu stłuczenie. Wzmacniacz puścił, pękła podkładka. Zdarza się.

–Nie mdli cię? – rzeczowo zapytała Ive, ocierając łzy. Już nie była wystraszona, raczej zatroskana. – W głowie ci się nie kręci?

–Nie – skłamał Andrew, patrząc z miłością na dziewczynę. Nigdy jeszcze żadna

kobieta nie troszczyła się tak o niego. Z wyjątkiem mamy, oczywiście. Ale mama też potrafiła być zła, kiedy zrobił sobie krzywdę. A ona po prostu troszczyła się o jego zdrowie, zupełnie szczerze.

–Widzisz, już mnie Epstein opatrzył – jeszcze raz skłamał Werner, wskazując swoje czoło.

–Zapytam go o to później – obiecała Ive. – I nie łudź się, że zapomnę. Wyobrażam sobie, jakie to było uderzenie, jeśli rozwaliłeś pokrywę hełmu. Mogę też sobie wyobrazić, jak wygląda to coś, w co walnąłeś. – Uśmiechnęła się. Ona też nieraz walnęła głową w jakiś twardy przedmiot. Wartość niektórych została nawet odliczona z żołdu.

–Spudłowałem. Palnąłem w ścianę – po raz trzeci skłamał Andrew. Naprawdę rozwalił czołem pancerne szkło monitora tu, w rezerwowym SDO. Ale nowy monitor był już

zamontowany, zaś dowód rzeczowy wyniesiony i rozebrany na części. A z mikroschematów walających się pod nogami trudno było zrozumieć, w co i jak uderzył. Panel sterowania ogniem też został już wymieniony, ale to, co się działo pod tym panelem... Gdyby Fox musiał prowadzić ogień z rezerwowego SDO, mógłby mieć spore problemy związane z przypadłością zwaną we flocie *padem systemu*.

Na *pad* Andrew natknął się tuż przed tą chwilą, kiedy na ekranach „Skoczka” niespodziewanie wyrósł Obcy. Werner był nawet zadowolony, że prawdopodobna awaria została wykryta na czas i że jest łatwa do usunięcia. Nieco popuścił pasy, żeby sięgnąć do nisko umieszczonego przycisku. W tym momencie jednostka zawirowała i system sterowania ogniem został uszkodzony mechanicznie przez rzucone przeciążeniem ciało porucznika Wenera.

–Obcy przybył na zero-T? – zapytał Andrew, zmieniając temat rozmowy.

–Yhy – skinęła głową Ive. – Moim zdaniem, to jest jego czuły punkt. Ja bym zdołała odskoczyć. To znaczy ziemski okręt zdążyłby. A ten głupek nawet się nie ruszył. Pewnie zaraz po wyjściu do zwyczajnej przestrzeni nie może się ruszać. Dobrze, że był mały. Ze trzy razy mniejszy od tych, które widział Fein.

–Jesteś boska – powiedział Werner. – Jesteś bohaterka. Możesz na paradnym wykręcać dziurkę na gwiazdę.

–Nie-e. Za co? W najlepszym razie dadzą Krzyż... Ciekawe kto. Przecież nie ma kto dawać. Jesteśmy poza prawem.

–A Raszyn swoją władzą? Powinien mieć cały sejf protokołów nagradzania. A kiedy się wszystko ułoży, admiralicja zatwierdzi.

–Andy, kochany – powiedziała bardzo poważnie Candy. – Obudź się. Nic się już nie ułoży. W ogóle. Nigdy.

–Dlaczego? – zdziwił się Andrew. – Kto ci to powiedział? Panikarz Borowski?

–Rusz głową. Tą mądrą, kochaną moją głową... – Ive ostrożnie pocałowała Wenera w czoło. Wolno oblizwała wargę. I nagle chwyciła Andy’ego za kłapy i zaczęła nim potrząsać.

–Aj! – jęknął. – Nie tak mocno. Słoneczko, za co to?

–Tfu! – Candy nagle zrozumiała, że nie powinna tak postępować z człowiekiem, który doznał wstrząsu mózgu. – Wstawaj! Jeśli możesz... Poczekaj, pomogę ci. No? Daj łapkę!

–Co to znaczy? – udawanie obruszył się Werner, ale rękę podał.

Wstał i omal nie upadł.

–Do Epsteina! – rozkazała Ive, obejmując go w pasie. – Nie biegiem, ale bardzo szybko! Idziemy! Czym zakleiłeś łeb, kłamczuchu? Jak ci nie wstyd, co?

–Ciekawe, skąd dziewczyna może znać smak silikonowego hermetyzera? – zapytał Andy w przestrzeń, ostrożnie przestawiając nogi. Mało tego, że kręciło mu się w głowie, to jeszcze lekko kulał. – Nie słyszałem o takich zboczeniach?

–Znam smak kleju medycznego, głupku! – powiedziała rozemocjonowana Candy.

–Skąd?

–Z własnego pyska, jak się uderzyłam. Nie było czasu na szycie, ktoś chlapanął klejem, żeby mi warga nie odpadła. Kiedy się ocknęłam, miałam pełne usta tego świństwa.

Z bocznego przejścia wyszli technicy, którzy usunęli się z pomieszczenia, żeby nie przeszkadzać zakochanym. Obaj mieli już zabandażowane głowy.

–Kretyni!!! – ryknęła na nich dziewczyna. – Potwory!

–Przepraszam, madame? – zapytał ten ranny w głowę. Drugi nie reagował na wrzaski. Wyglądało, że nie bardzo wie, co się dokoła dzieje.

Ive zamierzała rozwinąć, dlaczego uważa techników za kretynów i potworów, ale przeszkodził jej Andrew:

–Skończcie tamtą zabawę – powiedział. – Natychmiast.

–Tak jest, sir! – krzyknął sprawny technik i szybko pociągnął bezwolnego kolegę byle dalej od rozjuszzonej kobiety-nawigatora.

–Taktyczne charakterystyki – wyjaśnił Werner. – Nie mamy prawa. Powinniśmy. Odtworzyć... – Nagle zaczął się jąkać i bełkotać. Widocznie póki pracował, trzymał się jakoś. A teraz już nie miał na to sił.

–Idź – powiedziała Candy, drżąc z lęku o ukochanego. – Nie zatrzymuj się.

–Nawet jeśli rezerwa działa. Chłopcy muszą. Wydusić dwieście procent. Biedni chłopcy. Mocno się potłukli – mamrotał Andrew. – Posłuchaj. Może odpoczniemy? Sekundkę... – I ugięły się pod nim nogi.

Ive złapała Wenera i ostrożnie ułożyła na podłodze. Czowała, że drżą jej wargi, i ta oznaka zbliżającej się hysterii zmusiła ją do działania. Podbródkiem przełączyła dźwignię na kołnierzu.

–Epstein! – krzyknęła do mikrofonu, bezsilnie pa – trząc w białka oczu Andy’ego. – Epstein! Doc! Odezwij się! Odezwij się, żebyś zdechł!

*** * ***

Dobę później resztki Obcych zmieniły się w mikroskopijny punkt na rufowym segmencie ekranów oznaczony markerem. Ive z Foxem co i rusz oglądali się na ten skwarek. Zbyt wiele kłopotów sprawił „Skoczkowi” ów czerwony trójkącik z szybko rosnącą liczbą metrów nad sobą.

Dlaczego to świństwo kręciło się obok naszej boi? – pytał Fox każdego, kto wchodził na SDO.

Odpowiedzi były różne, od węszyło, bydlę do miało jakiś interes, to się kręciło.

Okręt nie ucierpiał bardzo. Napęd i sfera bojowa działały idealnie, uszkodzenia spowodowane przez Wenera jego chłopcy usunęli tak szybko, że nikt ich nawet nie odnotował. Rozsypało się kilka wewnętrznych grodzi na pokładzie mieszkalnym i pękła w dwóch miejscach przegroda dzieląca sektor reaktora. Samowolnie odstrzelili się, a potem

odleciał tak raźnie, że nie można było go zawrócić, awaryjny moduł rezerwowego stanowiska dowodzenia. W magazynach potłukło się trochę słabo zamocowanego sprzętu. Ale żaden z tych problemów nie przyniósł utraty zdolności bojowej okrętu.

Natomiast uszkodzone zostały przewody systemu regeneracji. I to nie byle gdzie, a w umiłowanej przez załogę strefie wypoczynkowej. Kiedy dyżurna wachta krzątała się, zbierając rannych i licząc żywych, odchody wypełniły basen, zalały przylegające

doń prysznicze i tak załatwiły mesę, że wyglądała jak po orgii koprofilów.

Rozjuszony Borowski ogłosił stan alarmu roboczego i zapędził do sprzątanania tyłu ludzi, ilu tylko udało mu się złapać. Astronaucci kryli się przed nim po kątach, jednak ta zabawa w chowanego przy okazji nieco rozładowała sytuację na pokładzie.

Załoga poniosła spore straty – osiemnastu zabitych. Do tego dziesięciu z poważnymi złamaniami i ciężkimi wstrząsami mózgu. Piętnastu z lekkimi obrażeniami, w ich liczbie – Werner, którego doc napompował lekami, po czym posłał do łóżka.

W przeźroczystym sarkofagu laboratorium medycznego leżał gardzący zasadami bezpieczeństwa łącznościowiec. Jego twarz – jeden wielki siniec – wymagała solidnej plastyki, ale porucznik przeżył. Borowski wpakował mu zaocznie trzydzieści dób aresztu z odroczeniem wykonania i pozbawił premii na okres roku.

Ive pocieszała całą załogę. Może tylko Linda nie powiedziała jej ani słowa, za to popatrzyła w oczy i mocno uściśnęła rękę. A pozostali zapewniali, że poradziła sobie świetnie i że jest rewelacyjna. Opinia publiczna jakoś nie uwzględniała tego, że salta z osiemnastoma zgonami nie wymyśliła Candy, po prostu idealnie wykonała rozkaz. Ale ludzie muszą mieć komu podziękować, a Raszyn był nieosiągalny, w dodatku nie wyglądał na specjalnie przejętego stratami. Raczej na rozeźlonego. Admirał osobiście sprawdził każdy przypadek, kiedy kontuzjowanym został człowiek, który w chwili przewrotu winien być przypięty do czegośkolwiek. Członków załogi, tych, co ze względu na stan zdrowia nie mogli go wysłuchać, nie beształ specjalnie mocno, ale oberwało się ich przełożonym. Jednak gdy na opeer przyszedł Borowski, jako że formalnie to on odpowiadał za bezpieczeństwo na całej jednostce, Raszyn w ogóle go nie dotknął. Kiedy ZDO zbliżył się do niego na dwa kroki, admirał zmarszczył nos i powiedział:

–Fuj! Idź mi stąd! Wracaj do czerpania gówna!

–Już wyczerpaliśmy – ze smutkiem zakomunikował pierwszy oficer, obwąchując swój rękaw. – Teraz sprzątam i dezynfekujemy.

–Nie zapomnij potem zdezynfekować siebie... Zbawca ludzkości!

Zbawca westchnął i poszedł wyładowywać złość na podwładnych. A Raszyn połączył się z biblioteką i zaczął szukać w jej skąpych zbiorach czegoś, co pomogłoby mu zrozumieć, jak ludzie żyli wcześniej, nie używając epitetów *destrukcyjne tendencje* i *zbrodnicza krótkowzroczność*. Jednakże cała historia została sto lat temu napisana po raz kolejny na nowo i niczego podnoszącego na duchu nie udało mu się znaleźć. Wyglądało na to, że ludzkość

doprowadziła do Kotłowaniny z powodu własnej głupoty, ale nie wyniosła z niej żadnych wniosków i dopiero jądrowa zima Północy zmusiła populację Ziemi do jakiej

takiej autorefleksji. Podręczniki twierdziły, że fale religijnych i rasowych konfliktów pędziły jedna po drugiej przez całe cztery wieki ery atomowej. Powstrzymać gwałt mogły dwa czynniki, oba ludzkie: ustanowienie *ludowego kapitalizmu* na całej zamieszkaney powierzchni globu i zdecydowana rezygnacja ze wszystkich postulatów tradycyjnej kultury.

Czynnik pierwszy wypływał z faktu samej Północy – podczas postjądrowej zimy trzeba było w jakiś sposób połączyć, skonsolidować ludzi, tak żeby umożliwić im przeżycie. Stało się to dzięki fuzji kapitałów. Globalna katastrofa rozgorzała na religijno-etnicznym gruncie i gwarantem tego, że się nie powtórzy, mogło być tylko uparte zacieranie granic między kulturami ocalałych narodów. Spalone księgozbiory i pliki stracone z powodu eksplozji elektromagnetycznych bardzo temu sprzyjały. A sama idea jednej scalonej populacji nie była niczym nowym, czekała tylko na okazję. Dodatkowo potrzebni byli stojący u władzy ludzie, bardziej od innych zainteresowani stabilizacją – profesjonalni menadżerowie i zawodowi wojskowi. Tych zaś z jądrowego piekła uratowało się więcej niż pozostałych. Mieli dość rozumu, by się dogadać, po cichu wystrzelać ocalałych polityków i dać ludziom to, co wszystkich pogodziło – wspólny interes i wspólny los.

Wszystko to Raszyn świetnie wiedział już ze szkoły. Nawet więcej – do tej pory wierzył, że ksenofobia jest nieuleczalna. Uczono, że jeśli człowiek jest wierzący, to zawsze znajdzie dla siebie wroga, a jeśli jest dumny z jakiegoś szczególnego koloru skóry, to tym bardziej. Ale z upływem czasu Uspienski zaczął się zastanawiać, czy aby międzyplanetarne wojny, w których brał przecież udział, nie były wynikiem jakiegoś poważnego błędu w samej osnowie nowego sposobu życia. I czy ziemską społeczność nie gnije od środka, skoro tak tępo, na zasadzie *podoba się – nie podoba się*, reaguje na działania Rady Dyrektorów. I dlaczego w ogóle żyje jak zanurzona w wodzie, smutno się bawiąc, głupio rozmnażając, pasożytując na pozostawionych w spadku ideach technicznych? Dlaczego przez ostatnie sto lat nie stworzyła ani jednego wyróżniającego się dzieła sztuki?

Teraz miał szansę sprawdzić trwałość tego społeczeństwa. I niemal był gotów to zrobić. Brakowało mu tylko jednej jedynej małej rzeczy – pomysłu na to, co zrobić ze sobą potem.

Za nazwiskiem Uspienski stało jedenaście pokoleń rosyjskich duchownych, począwszy od siedemnastego wieku. Gdyby Raszyn o tym wiedział, bardzo by się zdziwił. Być może jednak w tej właśnie informacji znalazłby odpowiedzi na swoje liczne pytania.

* * *

W strefie orbity księżycowej okręt Raszyna został nieudolnie zaatakowany przez ziemski

battleship. „Skoczek” podstawił się sam. Leciał ku Ziemi przy pomocy sprytnego manewru

bocznego i nie oczekiwał takiego powitania. Dlatego dyżurna wachta, ta, którą ciągle jeszcze

nazywano *wachtą Falzfein*, zbyt się odprężyła. Podejrzane zagęszczenie przestrzeni w

megametrze na kursie zostało wykryte dokładnie w chwili, kiedy zgęstek wziął i palnął całą mocą.

Ziemianin, jak się okazało, był dupkiem. Zamiast przyczajony podpuścić cruiser Raszyna maksymalnie blisko, walnął z dużego dystansu, nieco osmalił „Skoczkowi” burtę i został na najbliższe kilka minut bez energii.

Widocznie na battleshipie, widząc zbliżający się okręt flagowy, wpadli w panikę i narobili w gacie. Albo przecenili swoją moc ognia, albo zrobiło swoje niedoświadczenie kadry. A może Raszyna spodziewano się gdzie indziej i do patrolowania tego odcinka przestrzeni wyznaczono najmniej pewny okręt, tak tylko, żeby był. Nie miał przecież nawet eskorty fighterów.

Z bliższej odległości okazało się, że głupawy battleship jeszcze kilka miesięcy temu latał w składzie Grupy F, ale sądząc po sposobie prowadzenia walki, załoga na nim została wymieniona, łącznie z najniższym w hierarchii magazynierem.

Wachta Falzfein zakasała rękawy i zaczęła kunsztownie nadrabiać zaniedbania. Zamiast otoczyć się rojem mimetów i w ogóle próbować zniknąć, „Skoczek” dodał gazu i runął na napastnika.

–Atakujcie – zezwolił obudzony Raszyn. – Ja się zaraz podłączę.

Jednak żeby zrobić, co obiecał, potrzebował sporo czasu. Nawigator wycisnął z okrętu maksymalnie dopuszczalne dwanaście G, dlatego admirał wołał nie opuszczać koi. Wzmacniacze to jedno, ale i tak ważył teraz więcej od wykopaliskowego hipopotama i mógł z łatwością połamać jednym ruchem swój pulpit. Właśnie na taką okoliczność dowódczy speckostium był nafaszerowany elektroniką. Nigdy dotąd Raszyn nie zapomniał wcisnąć konektora w gniazdo pokładowej sieci. W odróżnieniu od innych. Tyle że teraz, przy takim przeciążeniu, trudno było manewrować nawet palcami.

Battleship wycofywał się na silnikach manewrowych, gromadząc energię do kolejnej salwy. Na „Skoczku” już dawno wszystko zostało wyliczone i kiedy kanonier battleshipa nacisnął spust, cruiser wykonał *górkę*, przepuściwszy salwę pod brzuchem, po czym wrócił na kurs.

–Tylko jeszcze nie strzelajcie – poradził ze swojej kajuty Fox. – Mimet też nie wyrzucajcie przed czasem. Niech się gnoje przestraszą jak należy.

–Sami wiemy – padła odpowiedź z SDO. – Przecież to ty nas uczyłeś.

Trzecią salwą battleship trafił. Nie w cruiser oczywiście, a w jedną z wyrzuconych w ostatniej chwili mimet, która skiksowała mu celownik. Na czwarte podejście nie wystarczyło mu już czasu. Okręt Raszyna zbliżył się na odległość efektywnego strzału i tak dał biedakowi w ryj, że ogromna machina cała drgnęła. „Skoczek” zaś przeskoczył obok. Z łatwością zdławił słaby ogień dział pokładowych przeciwnika, sam załapał jedno słabe uderzenie w okolice śluzy towarowej i jeszcze jedno muśnięcie w awaryjny moduł pokładu mieszkalnego.

Moduł, franca, od razu odpalił się i odleciał, jakby jego priorytetem było ratowanie przede wszystkim siebie, a nie ludzi.

Battleship przekazał energię na zwierciadła, po czym ruszył do przodu. Widocznie jego dowódca już się domyślił, co będzie dalej, i postanowił przynajmniej nie ułatwiać admirałowi roboty.

–Walcie w trzeci, piąty i szósty – polecił Raszyn. – To go najbardziej zaboli.

Cruiser wykonał półpętlę jak samolot i usiadł przeciwnikowi na ogonie. Ekran w SDO przeszedł na tryb graficzny. Optyka zamknęła stalowe powieki oślepiona wydechem ogromnych zwierciadeł battleshipa i obraz w całości modelował komputer.

Zresztą przeciwnicy mieli podobny problem, ponieważ zerkając sobie pod rufę, widzieli ten sam płomień, który oślepiał prześladowcę. Salwa ich baterii rufowych lekko przysmażyła „Skoczkowi” nos. I tyle.

–Mamy w celowniku trzecie i szóste zwierciadło – poszedł komunikat do Raszyna.

–Ognia! – odpowiedział admirał.

Cruiser dwukrotnie stęknął. Potem, bez komendy, raz jeszcze.

–Rozwaliliśmy też piątę! – radośnie zameldował strzelec.

–Widzę. Zaraz zrobi bączka.

Ale battleship nie zakręcił się, trochę go tylko zarzuciło tyłem. Najwyraźniej dowódca ziemskiego okrętu zachował się przytomnie, bo pozbawiony trzech zwierciadeł statek błyskawicznie ujął ciągu i zaczął strzelać. Jednak „Skoczek” wytłukł mu jeszcze dwie baterie rufowe z czterech pozostałych, oberwał jeszcze raz

lekko w nos, w końcu zdecydował, że nie będzie się wdawał w wymianę ciosów, i odskoczył na bezpieczny dystans. Ostatecznie walka samotnego cruisera z liniowcem nie była przewidziana w żadnych regulaminach. Gdyby coś takiego wydarzyło się w starych, dobrych czasach na morzu, po okręcie Raszyna zostałyby wspomnienie. Zresztą w kosmosie, gdzie wszystkie manewry odbywają się w trzech wymiarach, kolosowi czterokrotnie większemu od siebie też mógł podskoczyć tylko prawdziwy as albo kompletny świr.

–Wyłączyć ciąg, okręt w tryb oczekiwania – polecił admirał. – Spróbujcie nawiązać z tym narwańcem łączność w zakresie optycznym. Już i tak nie będzie gorzej, fajerwerki były na cały kosmos. Musimy przynajmniej wiedzieć, kogo tłuczemy.

–Nie możemy sygnalizować – zameldowało SDO. – On nam chyba spalił reflektor.

–No to mrugaj do niego okiem! – wybuchnął Raszyn. – Sami się podłożyliście, to sami wymyślajcie... Przełączcie dziobowe światła pozycyjne w tryb pulsacyjny.

–Nie mamy pozycyjnych – znów bąknął ktoś ze stanowiska dowodzenia.

–Niech pomacha główną śluzą – poradził Borowski.

–Idiota... – ryknął Raszyn.

–Przecież żartuję, szefie.

–Właśnie widzę. Słuchajcie, mieliśmy cztery światła pozycyjne. Żadne nie ocalało?

–Chyba... Mamy rufowe.

–No to mrugaj. Jak nie wiesz jak, zawołaj porucznika Wenera.

–Panie admirale, sir! – odezwał się przez komunikator Andrew. – Jestem u siebie na posterunku, zaraz coś zorganizujemy.

–Świetnie. *Andriej*, pogadaj w takim razie z nimi sam. Nie zapomniałeś jeszcze morsa? Pamiętasz?

–Tak jest.

–Zapytaj, kim są i czego chcą.

–Nie tak szybko, sir. Jeszcze muszę tu polutować kupę rzeczy.

–Czekam. Nie ma pośpiechu.

Werner jednak albo tego nie usłyszał, albo urządził swoim chłopakom zawody o

flaskę w lutowaniu na czas. Po kilku minutach rufa „Skoczka” zaczęła mrugać zalotnie do battleshipa. Ten jednak nie reagował.

–Powiedz im, że jak będą różni durnia, to powybijam im resztę zwierciadeł! – polecił Raszyn.

Battleship tępo wisiał w tym samym miejscu i uparcie milczał.

–No to w cholerę z nim! – westchnął admirał. – Powinniśmy nauczyć durnia porządku, ale szkoda mi czasu. Dyżurny nawigator! Daj pełny ciąg, idziemy do Esseksa. A jak staniemy na kursie, zamelduj się u mnie.

–Tak jest, sir – ponuro zameldował dyżurny.

–Szykuj maść – poradził mu strzelec. – Rozjuszyłeś starego. Zrąbie cię jak burą sukę za utratę czujności.

–A kto mógł przypuszczać, że ten gnój tu sterczy! – obruszył się nawigator. – Czy kiedykolwiek ktoś w tym sektorze... A ty, satyryku, jak wrócę, też szykuj dupsko.

–A niby za co? – zdziwił się strzelec. – Poza tym nie wiem, czy wrócisz. Raczej ja do ciebie do karceru wpadnę z paczką. Tyle że nie przyjmą ode mnie paczki... Che, che!

Dyżurny zamyślonym wzrokiem obrzucił swoją wachtę.

–Chłopaki – powiedział. – Może ktoś ma coś do żarcia ze sobą? Może przynajmniej kilka tubek konfitur, co? Tak na wszelki wypadek...

* * *

Scout „Helen Ripley” wszedł w płaszczyznę ekliptyki mniej więcej czterysta megametrów od Ziemi. Fein mógłby aż do samej bariery orbitalnej posuwać się po nieuczęszczanych szlakach, ale jego uwagę przyciągnął samotny battleship z zapalonymi światłami pozycyjnymi. Poza tym „Ripley” i tak już zmieniała kurs.

–Oho! – zawołał Abraham. – To przecież nasi! To „Pirx”! No, wywołajcie go!

Battleship nie reagował. Albo w Grupie F pozmieniały się kody, albo...

–Coś z nim nie tak – zauważył drugi nawigator. – Popatrz, Abe, według mnie ma coś z rufą nie tak.

–Oho... – teraz już nie zawołał, a raczej wymamrotał Fein. – Masz rację, Johny.

–Nie ma połowy zwierciadeł. I chyba w dziób też oberwał.

–Tak – przyznał dowódca. – Daj spokój łączności. I optykę poproszę na maksa.

–Co jest, szefie?

–Nie odpowiada na nasz kod – powiedział z mocą Abraham. – Wisi z rozbitą dupą i potłuczoną mordą i nie rusza się. Światła zapalone jak na ciężarówce jakiejś. Chłopy, widzieliście kiedyś okręt z Grupy F w takim kretyńskim położeniu? I sam tu wisi! Nikogo z naszych nie ma.

–Wiele rzeczy mogło się zdarzyć.

–Właśnie! – powiedział znacząco dowódca. – Właśnie, wiele rzeczy...

W tym momencie światła pozycyjne „Pirksa” zaczęły migotać.

–No wreszcie! – Odetchnął z ulgą Fein.

–...i trzy długie, i trzy krótkie – policzył Johny. Szefie, nie wydaje się panu, że to SOS?

–Radio na fale awaryjne – polecił Abraham.

Jednak na długości awaryjnej panowała cisza.

–No i co?! – zawołał dowódca. – Gdzie *mayday*? Nie ma. Dawaj odbiornik na autonamierzanie.

W pobliskim eterze na wszystkich częstotliwościach było cicho i głucho.

–Przecież anteny ma na swoim miejscu! – upierał się Fein.

–Coś tu śmierdzi, szefie. Czekam na rozkazy.

–Lepiej pomyślcie, kto mu tak rozpirzył zwierciadła. W życiu w Grupę F nikt tak nie walił – zauważył technik.

–Właśnie – zgodził się Abe. – Chyba że nasi z Ruskimi walczą.

Na mostku rozległ się chóralny rechot.

–Albo nasi z Obcymi – palnął Johny.

–Żeby ci jęzor odpadł. Dobra, posuwaj do niego powolutku. Jakby co, odskakujemy. Może nie trafią naszej pchełki.

Przycumowawszy, Fein długo spierał się z załogą, kto ma iść do wnętrza battleshipa

i wyjaśniać, co się dzieje. Według regulaminu dowódca nie powinien opuszczać pokładu jednostki, ale wysłać swoich podwładnych do niebezpiecznej strefy też nie chciał. W końcu, oświadczywszy, że nie będzie wysłuchiwał żadnych argumentów, dumnie wyciągnął swój pistolet, zapewnił podwładnych, że nie odda się żywy wrogowi, i bardzo zadowolony z siebie wyszedł na zewnątrz.

Za wewnętrznymi drzwiami śluzy zobaczył dobrze sobie znane wnętrze. Wszystkie systemy były włączone, wszędzie płonęło światło, ale przycumowanego scouta nikt nie witał. To spotęgowało nieufność doświadczonego zwiadowcy.

Akurat położył dłoń na klawisz interkomu, zamierzając zapytać, skąd taki brak szacunku dla oficera, gdy zza rogu wyszło troje w speckostiumach z automatami w ręku. Nieznajomi mieli zamknięte maski, broń trzymali z wdziękiem ludzi znakomicie się nią posługujących – niedbale, lufami w dół. Naszywki nosili sierżanckie, ale nie astronautów, tylko żołnierzy.

–Jesteście aresztowani – Abe usłyszał głuchy głos spod maski. – Przedstawcie się.

Fein nie oczekiwał takiego przyjęcia. Gdyby znalazł się na pokładzie Obcego, to i tak jego reakcja byłaby znacznie bardziej adekwatna. Najmocniej zdziwiły zwiadowcę słowa *przedstawcie się*.

–Wy co, chłopaki? – zapytał. – Nie poznajecie mnie czy co?

–Przedstawcie się – usłyszał znów.

–Co tu jest grane? – upierał się przy swoim Fein, szukając dokoła wzrokiem choćby aluzji odpowiedzi. I nieoczekiwanie zobaczył. Multifunkcyjny terminal, na którym ciągle jeszcze trzymał dłoń, zdobyła brudna plama. W tym miejscu miał być napis WOB Pirx i numer porządkowy. Numer był na miejscu. A nazwę jednostki ktoś zeszkrobał.

Capnęli naszych – domyślił się zwiadowca. – Gnoje, nawet nazwy okrętom odebrali. I zaraz mnie też capną. I chłopaków. A po naszej ślicznotce „Helen” zostanie numer porządkowy. O nie, gównu! Trzeba wiać na Wenus. Jeśli ktoś z grupy ocalał, to musi tam być. Poza tym muszę zameldować Raszynowi o Obcych. Wykonuję rozkaz dowódcy. A ci mi tu mędzą: „przedstawcie się, przedstawcie się”... Mam prawo się nie podporządkować.

–No, wiecie... – wymamrotał, kombinując, gdzie by tu lepiej uskoczyć. Jedna ręka mocniej ścisnęła w kieszeni rękójce pistoletu. Druga spelzła z klawiszy wywołania na kontakty sektora sterowania załadunkiem. Broni Fein nie przestraszył się specjalnie, jego niezgrabny skafander bronił przed pociskami nie gorzej od szturmowego pancerza. Ale maskę miał podniesioną i od jednego dokładnego strzału w twarz mogły go co najmniej rozboleć wszystkie zęby. Dlatego najważniejszy był

błyskawiczny w tył zwrot.

–Co się dzieje, szefie? – w słuchawkach dowódcy „Ripley” rozległ się głos zaniepokojonego Johny’ego.

–A kim wy jesteście, chłopaki? – zapytał Fein żołnierzy. – Muszę przecież wiedzieć, kto mnie aresztuje. Poza tym jestem pełnym commanderem, o ile oczywiście jesteście w stanie to zobaczyć.

–Jesteście zatrzymani w imieniu Rady Dyrektorów – usłyszał w odpowiedzi. – Jesteśmy patrolową grupą Ziemi. Proszę się przedstawić, commanderze, i oddać broń, w przeciwnym wypadku będziemy zmuszeni do użycia naszej.

Zwiadowca niezauważalnie poruszał dłońią nad pulpitem sterowniczym, usiłując przypomnieć sobie, jak uruchamia się załadunek. Znalezienie odpowiedniej kombinacji klawiszy w grubych rękawicach nie było łatwe, ale wykonalne.

–No, skoro tak się rzeczy mają... – powiedział, kładąc dłoń na desce.

W tej samej chwili odwrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i skoczył do śluzy. Z tyłu dobiegł go potworny rumor i plunęły ogniem trzy lufy. Zwiadowca zdziwił się lekko – za jego pamięci automatyczny załadunek odbywał się z lekkim pomrukiem, nie z takim przerażającym hałasem. Szybko dźgnął palcem przycisk zamykający drzwi, wskoczył do śluzy i napiął mięśnie, oczekując serii w plecy.

Strzałów jednak nie było. I kiedy drzwi niemal się już zamknęły, zdziwiony Fein na sekundę odwrócił głowę, by zobaczyć, czego też dokonał.

W podłodze widniała kwadratowa wyrwa, z niej sterczały wylupiastookie maski i spazmatycznie czepiające się krawędzi ręce. Zamiast uruchomić automatyczny załadunek, co miało odwrócić uwagę żołnierzy, Fein uruchomił prowadzącą do magazynów windę.

Rechocząc histerycznie, wbiegł na pokład „Ripley” i zwałił się w swój fotel.

–Co to było, szefie? – zapytał Johny.

–Nie mam pojęcia – odparł dowódca. – Ale że nic dobrego, to ci ręczę. Odcumuj i chodu wzdłuż burty! Hej, chłopcy! Gdzie mamy dłuto i farbę? Musimy zmienić oznaczenia na poszyciu i oderwać oznaki z mundurów. Czy ktoś potrafi narysować herb Wenus?

*** * ***

–Pod nami jest jakiś koszmarny chaos – powiedział Essex. – Dyrektorzy uruchomili

całą posiadaną flotę i zmusili ją do chwytania każdego, kogo wykryje na podejściu do Ziemi. Z wielkim trudem udało nam się tu przesączyć. Wiesz co, Aleks? Powinieneś być jednak dobić tego battleshipa. Szkoda, oczywiście, biedaka „Pirksa”, ale on już wszczął alarm. Za kilka dób domyślą się, gdzie jesteśmy, i zwałą się tu całą bandą. Będzie gorąco.

–Nie mogłem go dobić – pokręcił głową Raszyn. – Duży, bydlak, a ja malutki.

–Malutki, ale zdolniutki. Dobra, jakoś sobie poradzimy. Powiedz, jakie są plany.

–Co się o nas mówi w Sieci?

–Opinie są podzielone. Czerwonodupki milczą, jakbyśmy w ogóle na nich nie napadali. Są już głosy, że atak na Marsa był wynikiem błędu, a winę ponosi ziemskie dowództwo. Ech, gdybyśmy tak mieli jeszcze tydzień, żeby tu sobie posiedzieć w ukryciu, to wszystko by się ułożyło!

–Nie będziemy mieli tygodnia, Phil. – Raszyn złapał się za brodę. – Musimy wymyślić coś takiego, żeby wyprzedzić Dyrektorów i postawić ich w głupim położeniu. Potrzebujemy na gwałt jakiegoś ładnego, efektownego gestu. I chyba wiem, co zrobimy.

–Tak? – Zaciekawiony Essex aż się wychylił do dowódcy.

–Oddaliśmy Ziemi battleshipy. Oddaliśmy Rabinowiczowi twojego „Gordona”. Jak ci się wydaje, Phil, jakich jednostek w grupie na dzień dzisiejszy już nie mamy?

–Dużych – odparł lekko zdziwiony szef sztabu. – Silnych.

–Nie-e, kochany. Nie mamy już jednostek, które powinniśmy osłaniać. Które pętały nam ręce. Przykuwały nas do przestrzeni. Nie pozwalały się śpieszyć.

–Ty chyba naprawdę jesteś chory... – szepnął Tylek.

–Dlaczego? – zdziwił się Raszyn. – Cała ziemska obrona skierowana jest na zewnątrz. I osłania tylko miejsca zasiedlone: Europę i Amerykę Północną. Spokojniutko je ominiemy, wylądujemy gdzieś... W Moskwie na przykład, żeby do Paryża było blisko. I już nikt nas nie będzie ruszał przez długi, długi czas.

–I co?

–A to, że przed wejściem w atmosferę nasi łącznościowcy wrzucą do Sieci obrazki od Feina. Z Obcymi. A właśnie, od Abrahama nic nie przyszło nowego?

–Przyjdzie – powiedział z niezachwianą pewnością w głosie Essex. – Dobra,

przypuścmy, że to się uda. Chcesz wstrząsnąć opinią publiczną. Obrazki możemy nawet za chwilę załadować. Ale lądowanie po co?

–Żeby ludzie zaczęli się do nas garnąć – wyjaśnił admirał.

–To mi się podoba! Rzeczywiście, armia skoczy do nas pełnym gazem! Pomyśl chwilę, Aleks! Przypuścmy, że ominiemy baterie orbitalne. Przypuścmy, że nie wyczają miejsca lądowania, ale i tak wykrycie nas na powierzchni to kwestia najwyżej dni. Góra tygodnia. Rozwałą nas z góry i cześć. Może chcesz udawać lotnictwo? Straszyc Ziemian szturmowymi nalotami na miasta? Kompletna bzdura. W atmosferze nie możemy się rozpędzać. Jak tylko wejdziemy w strefę osłanianą przez satelity, postrącają nas jak na ćwiczeniach...

–Nie chcę nikogo straszyc – rzekł Raszyn. – Jestem pewien, że szeregowi Akcjonariusze docenią nasze działania jako gest dobrej woli. Przylecieli, wylądowali, nikogo nie ruszają... Czy tak postępują zwariowani buntownicy? A tydzień to akurat tyle, ile nam trzeba. Wystarczy, żeby ludzie sami zrozumieli, kto ma rację, a kto nie bardzo. Zanim admiralicja podciągnie flotę... Poza tym to są dzikie obszary, żadnych toponamiarów. *Pajechali*, Phil!

–Zwariowani buntownicy rzeczywiście tak nie postępują. Tak postępują dzieci, Aleks.

–Oczywiście, że tak, Phil! – Admirał aż się roześmiał. Porównanie Tyłka było tak słuszne!

–Czego rzysz? – zapytał podejrzliwie Essex. – Poza tym sam mówiłeś, że już nie wierzysz w ludzi.

–No i dobrze mówiłem. Dziś przeważająca większość tych, co są na dole, to zupełnie niesamodzielni i infantylni pokurcze – wyjaśnił Raszyn. – Wszyscy prawdziwi mężczyźni zwiali w kosmos. Dlaczego myśmy walczyli i walczyli, a potem przestali? Bo jesteśmy dorośli, Phil. A dlaczego ci z dołu najpierw dokoła nas rozpętali kult herosów, a potem zdecydowali, że mieszają nas z błotem? Bo są dziećmi. Czują, że jesteśmy jacyś inni, i za cholerę nie mogą pojąć, jak się do nas ustosunkować i co z nami począć.

–A ty chcesz im dać do zrozumienia...

–Musimy choćby raz zagrać według ich reguł, Phil. Wtedy znowu nas przygarną. Musimy dla nich wyharatać jakiś czyn. Szlachetny, rycerski postępek. No, mówię ci, *pajechali*! Zgódź się, przyjacielu.

–Jesteś chory – podsumował szef sztabu. – Ale dobra, *pajechali*.

Zapis ataku Obcego na ziemskiego zwiadowcę Rada Dyrektorów uznała za podróbkę i podłą prowokację. Szkodliwy plik migiem został z Sieci wydłubany, ale obejrzało go wystarczająco dużo ludzi, by na dole rozległ się chóralny jęk przerażenia. Krytyczne wystąpienia uczonych i ekspertów z dziedziny wideozapisu tylko dolewały oliwy do ognia.

Tymczasem Grupa F cynicznie pokazała z dużej odległości swe burty satelitom ziemskiej obrony i, nie zaliczywszy ani jednego trafienia, z hukiem zwała się w atmosferę. Rozpirzyła przy okazji jeden cyklon i podarowała migrenę zastępowi meteorologów, po czym okręty wyrównały na minimalnej wysokości i zniknęły w głębi kontynentu euroazjatyckiego.

Rada Dyrektorów pośpiesznie odtwarzała etatową strukturę admiralicji. Policja urządziła prawdziwą obławę na Wujka Gunnara – admirała floty Königa – ale ten jakby się zapadł pod ziemię. Stary bydlak, jedyny przeciwnik godny Raszyna, zniknął podczas służbowej inspekcji kontynentu amerykańskiego. Zachciało mu się tydzień przed przejściem w stan spoczynku ostatni raz służbowo sobie popodróżować. Oczywiście, celem Königa było Vancouver, ale do tego miasta admirał floty nie dotarł i rozpląnął się wraz ze swoją liczną świtą gdzieś w bezgranicznych kanadyjskich stepach.

Dodatkowo słynna vancouverka uczelnia wojskowo-techniczna nieoczekiwanie wymarła, i to w chwili, gdy Dyrektorzy zamierzali wyciągnąć z niej trzystu zdolnych już do walki młodych oficerów. Kiedy Raszyn lądował, ogłoszono w niej niezaplanowany alarm ćwiczebny. Wykładowcy i kursanci wskoczyli do ciężarówek i wybiwszy ze snu śpiące miasto, hałaśliwie gdzieś pognali, zaś w murach szkoły nie pozostał zupełnie nikt. Logicznie byłoby sądzić, że i Wujek Gunnar, i kontrolowana przez niego jednostka znajdują się w bazie treningowej MacKenzie, ale tam nie przybyli.

Policyjna eskadra wiceadmirała Rabinowicza, pośpiesznie wezwana do powrotu do domu, nie mogła rozpędzić się z powodu braku paliwa boosterowego i miała przybyć na Ziemię najwcześniej za miesiąc.

Po Sieci krążyły zdeszyfrowane zapisy pertraktacji pewnego wysoko postawionego astronauty U. z anonimowym członkiem Rady Dyrektorów. Połowę tekstu tworzyły niecenzuralne wyrażenia. Z drugiej połowy wynikało, że U. na polecenie Rady najpierw sprowokował bałagan we flocie, potem podstawił zbuntowane okręty pod ogień sił policyjnych. Najbardziej niezależni dowódcy mieli zginąć, a flota miała być zhańbiona i rozwiązana z powodu braku lojalności. Dziennikarze zapewniali, że zapis ten udowadnia istnienie spisku między Radą Dyrektorów i Senatem Marsjańskim, ponieważ wiązało to burdel dokoła Grupy F z niepewnością działania przed mającym

się wkrótce odbyć Zebraniem Akcjonariuszy. Ostatnia sonda ponownie nie dała jednoznacznej odpowiedzi, czy Akcjonariusze będą głosować za rozwiązaniem floty. Zgodnie z wnioskami prasy, taka

sytuacja nie urzędzała ani Dyrektorów, ani czerwonych senatorów, ponieważ pierwszym trudno było flotę utrzymywać, a drugim znudził się już strach przed nią.

Stacje orbitalne nie zdołały namierzyć miejsca lądowania Grupy F z powodu silnych zakłóceń atmosferycznych. Przypuszczano, że Raszyn wylądował gdzieś na stosunkowo czystych terenach centralnej Rosji. Oddział policyjnych speców na dwóch antyawaryjnych samolotach wyleciał z Paryża na wschód w celu doprecyzowania danych. Jeden samolot wkrótce rozbił się z powodu awarii bezawaryjnych silników, a drugi wpadł w koszarne turbulencje i musiał zawrócić. Ku Europie zmierzało tornado. Służba pogody przeklinała Raszyna i żądała laserów bojowych, by rozstrzelać zbliżający się front atmosferyczny.

A admirał, osiągnąwszy kolejny raz status najpopularniejszego człowieka w Układzie Słonecznym, milczał.

* * *

Kiedy przez nieboskłon nad ruinami z ogłuszającym wyciem przemknęły ogniste kule, doktor Lloyd akurat siedział pod murem Czarnej Świątyni i rozmawiał z *Bat'ką*.

–Co to było? – wykrztusił oszołomiony doktor, podrywając się na równe nogi lekko potłuczony i cały obsypany sadzą.

–Grzmot niebieski – pochmurnie odparł *Bat'ka*, potrząsając sutanną.

–Często tak bywa? – zapytał uczony.

–Już dawno powinno być.

Daleko stąd, na równinie za wzgórzami, rodziła się ogromna mętna zorza.

–Może skoczę popatrzeć?... – mruknął niezdecydowanie Lloyd.

–Po co? – zapytał ojczulek, uważnie wpatrując się w jego twarz.

–No, nie wiadomo...

–Nie trzeba – poradził *Bat'ka* z groźbą w głosie.

–Jak nie, to nie – szybko i ugodowo zareagował doktor. – No to ja pójde do siebie...

–Wpadnij pod wieczór – powiedział ojczulek. – Ja zbiorę ludzi, będziemy się do

Boga modlić. A ty przynieś jedzenie.

–Dobrze – zgodził się Lloyd. – No to do wieczora.

–Bądź błogosławiony – rzekł *Bat'ka*, wyciągając w jego stronę szczupłą, cherlawą rękę.

Uczony skłonił z szacunkiem głowę i szybkim krokiem skierował się do centrum miasta. Starzec odprowadził go podejrzliwym spojrzeniem. Wezwał służkę, kazał wysłać sygnał, zamyślony podrapał się pod sutanną i zszedł na brzeg Ścieżki Pątników.

Niemal nic nie zostało z jego ukochanego miasta, w przeszłości słynnego na cały świat ośrodka religijnego. Ale nie wszystko rozsypało się w pył. Olbrzymia bryła Czarnej Świątyni trwała za jego plecami, a gigantyczna statua Boga przed nim, na podwyższeniu w rozwidleniu Ścieżki. Po jej kamiennym łożu, by pokłonić się Panu, zmierzały kiedyś tysiące ludzi. A ze Świątyni wychodzili na brzeg hierarchowie i błogosławili pielgrzymów. Ogromne miasto

rozpościerało się wtedy dokoła, teraz strasząc pyłem i gruzem, tylko Bóg jak i wcześniej groźnie patrzył z piedestału, Czarna Świątynia zaś wznosiła swoje rury w pochmurne niebo. Została też Ścieżka, specjalnie wytyczona w zamierzchłej przeszłości poniżej poziomu ziemi w olbrzymim wijącym się kanionie, po której wierni szli równymi kolumnami wprost przed stopy Boże, by tam paść na kolana.

Ojczulek obejrzał się. Nad centralną rurą Świątyni, największą, już wznosił się lekki dymek. Zaraz zgęstnieje, będzie widoczny z daleka i przyjdą ludzie, a on, *Bat'ka*, powie im, że stał się cud Boski. Uspokoi zaniepokojonych, pocieszy wystraszonych... Ciekawe jednakowoż, co by to ogniste znamię mogło oznaczać? A jeśli zaraz za wzgórzami wstanie sam Bóg, wyprostuje się i pokaże swą olbrzymią postać?

***Bat'ka* rzucił okiem na wzgórze. Zorza przygasła, tylko na równinie kłębiła się jakaś kurzawa. I ciekawy obcokrajowiec już jedzie tam swoim samochodem. Zabić by trzeba było gada, żeby nie straszył ludzi swoim wzrostem i dziwną mową, ale nie można. Bóg nie kazał. Nic to, obcokrajowca pilnują. A co zobaczą, zameldują.**

Boże, ale co to było?

Tymczasem wszędołaz Lloyda zręcznie wdrapał się na zbocze i wypadł na równinę. Doktor popatrzył przed siebie, gwałtownie zahamował, z ust wyrwał mu się okrzyk zdziwienia.

Sto metrów po prawej, nad krawędzią wzgórze, pokazały się dwie łyse, pokryte guzami głowy i wgapiły się, mrużąc oczy, w tym samym kierunku co i on.

–Job! – powiedziała jedna głowa i skryła się za krawędzią.

–Jop! – zgodziła się druga i zrobiła to samo. Doktor chwilę stukał w pulpit i dał na ekran maksymalne powiększenie.

–Ale historia... – wymamrotał w końcu do siebie. Głowy wysunęły się ponownie, tym razem już z lornetkami przy oczach.

–No, job! – powiedziała pierwsza.

–No, jop! – skinęła druga.

Lloyd nerwowo bębnił palcami w kierownicę. Podniecone głowy szeptały między sobą. Na równinie przed nimi stały na ogromnych łapskach wielkie, nieco spłaszczone z wierzchu i z dołu metalowe cygara. Lśniące lustra zwierciadeł strzelały odblaskami w oczy uczonego, aż musiał zmniejszyć jaskrawość ekranu.

–Hej, nierozpoznany obiekt na krawędzi urwiska! – w słuchawkach odezwał się młody, wesoly głos.

Zaskoczony doktor podskoczył w fotelu i boleśnie uderzył się głową w pokrywę luku.

–Hej, już rozpoznany! – znów usłyszał. – Transport naziemny uniwersalny, numer pokładowy sto piętnaście dwieście siedem, przypisany do Smithonian Institute Stanów Zjednoczonych! Wzywa cię destroyer Attack Force „Rocannon-2”! Jeśli chcesz żyć, odezwij

się! Nie chcesz, nie odzywaj się! Krok w lewo, krok w prawo uznam za ucieczkę. Podskok w miejscu za prowokację! Czego milczysz, obsrałeś się?

Głos nagle zniknął w trzasku zakłóceń, jego miejsce zajął inny, skrzypiący i dorosły.

–Proszę się odezwać, naziemny transporcie! – zażądał. – Proszę się odezwać, naziemny transporcie! Nie stanowimy zagrożenia dla osób cywilnych. Jeśli naprawdę pracujecie dla Smithonian, to chętnie was przyjmujemy.

–Ja... – wychrypiał oszołomiony doktor.

–No, już lepiej – pochwalił go głos. – Proszę się nie denerwować. Wszystko jest w porządku. Mówi szef sztabu Grupy F kontradmirał Essex. Powtarzam, nie zamierzamy wyrządzić wam krzywdy. Proszę się odezwać.

–Doktor Jeffrey Lloyd, Smithonian Institute, wydział etnografii – przedstawił się wreszcie zaskoczony kierowca transportera. – Przepraszam za moje milczenie, byłem

nieco zaskoczony.

–My też – przyznał Essex. – Nie przypuszczaliśmy, że wasza firma dotarła do tych okolic. No to co, doktorze, niech pan do nas wpadnie. Poplotkujemy. Widzi pan cruiser dziesięć stopni w lewo od kursu?

–Kogo?

–No, takie duże coś pięć kilometrów przed panem i nieco w lewo. Sześć dużych zwierciadeł, nadbudówka w środku...

–Zorientuję się – obiecał Lloyd. – Proszę mnie kierować, gdybym się pomylił. Dużo was.

–Mało nas – westchnął kontradmirał. – Dobra, niech pan wali. Sam pan jest?

–Tak. – Doktor ruszył z miejsca. Wolną ręką otarł pot z czoła. Okazało się, że jest go co najmniej tyle, jakby stał na deszczu pod urwaną rynną. Rzucił okiem na licznik Geigera. Nie, promieniowanie za burtą było, oczywiście, powyżej normy, ale wcale nie tak wysoko, by wyrządzić jakąś krzywdę. Doktor po prostu mocno się zdenerwował.

–Co do zachorowania, proszę się nie martwić – powiedział Essex, jakby czytał w jego myślach. – Wciągniemy pana okruszek od razu na pokład i oczyścimy. I może pan przekazać swoim, żeby się nie martwili.

–Jestem sam – powtórzył Lloyd.

–Zupełnie? – spytał zdziwiony kontradmirał.

–Zupełnie.

Uczony postanowił skrócić sobie drogę, przejeżdżając pod brzuchem jednego z okrętów, ale w ostatniej chwili spietrał i nie skręcił. W otoczeniu spoczywającej na ziemi eskadry czuł się w swojej łupince jak karaluch na ludnej ulicy. Statki kosmiczne były większe niż niejedna góra w okolicy. Gdyby stały pionowo, strach by było się do nich zbliżyć.

–Odważny z pana gość – pochwalił go Essex. – W lewo, jeszcze w lewo. O, dobrze. A co ciekawego w zakresie etnografii można poznać w Moskwie?

–Wśród miejscowych jest rozpowszechniony bardzo zabawny kult religijny – wyjaśnił Lloyd.

–Miejscowi... Słyszałeś? – zwrócił się kontradmirał do kogoś na okręcie. – Dużo ich

jest, tych miejscowych? – zapytał doktora.

–Dokładnie nie wiem. W granicach samego miasta może żyć, jak sądzę, pięć tysięcy. Ale na święta gromadzi się znacznie więcej.

–Mutanci? – zapytał Essex z pewnym obrzydzeniem.

–Różni – krótko odpowiedział uczony.

–No, no! Jest pan na miejscu, doktorze. Proszę podjechać do lewej tylnej łapy. Zobacz pan tam platformę. O, właśnie! Prosto na nią. Już! Proszę czekać. I witamy na pokładzie naszego flagowca.

–Macie może jakieś przyzwoite ubranie? – zapytał doktor. – Mam sto sześćdziesiąt osiem wzrostu, tęgość trzy. I buty. Siedem i pół.

–A pan jest, przepraszam, goły? – zapytał z niedowierzaniem kontradmirał.

–Goły nie. Ale staram się nie wyróżniać.

–U nas? – nie zrozumiał Essex.

–U nich.

–Aaa... No dobra, panie etnograf, w takim razie nie będzie się pan wyróżniał również u nas. Tu też panuje pewien zabawny kult. Zainteresuje to pana.

–I miło by było najpierw się wykąpać... – nieśmiało zaproponował Lloyd.

*** * ***

Ponieważ w mesie jeszcze trochę cuchnęło, doktora Lloyda przyjęto w bibliotece. Umyty do czysta, spryskany preparatem przeciwko pasożytom i odziany w lekki połowy mundur, wyglądał bardzo szacownie. Najbardziej przypominał teraz etnografa, który udaje astronautę.

–Nasz gość jest lekko promieniotwórczy – uprzedził wszystkich Borowski. – Ale to nieistotne. Popatrzylibyście lepiej na jego manele! A jaka gęba! To znaczy teraz jest odmyty, ale póki był ucharakteryzowany... Matko kochana! Gdyby mnie ktoś zapytał, powiedziałbym, że to mutant, najprawdziwszy mutant, a nie uczony.

–Wszystkie prace polowe Smithonian Institute finansuje CIA – oświadczył Essex. – Szczególnie, jeśli to dotyczy regionów, o których jest mało danych. Dlatego pamiętajmy, że uczonym to on jest w ostatniej kolejności. Dobra, dawaj go tu. Co to za facet?

–Normalka. Tylko jakiś mały. Cudem udało się mundur dla niego znaleźć.

–To nie on jest mały – powiedział Raszyn i ziewnął przeciągle. – To my jesteśmy duzi. Zdrowi wszyscy, to i duzi. Jak zaczniesz łązić po peryferiach, też skarlejesz.

–Desantowcy też nie są mali – przypomniał Borowski – a rozmnażać się nie mogą.

–Bo w dzieciństwie jedli nie to, co należało. Gdybyś wyrósł na śmietniku, to też byś się nie rozmnażał. Dawaj, Jean Paul, wołaj gościa. Spać mi się chce.

–Proszę z nim ostrożnie, *driver*. Bo jak to naprawdę wywiadowca...

–Na pewno wywiadowca – kiwnął głową Essex. – Dlatego zaraz go tu przesłuchamy. Doktor Lloyd po wejściu do biblioteki zatrzymał się zaskoczony w progu. Z bloków

informacyjnych w Sieci dość sporo już wiedział o ludziach, których miał za chwilę zobaczyć, i nawet znał ich twarze. Ci oficerowie nieraz byli w centrum uwagi mediów i zawsze nazywano ich bohaterami. Ale w ciągu ostatniego miesiąca nagle stali się szaleńcami i zdrajcami. Taka metamorfoza interesowała doktora zarówno jako uczonego, jak też zwyczajnego Akcjonariusza, za którego pieniądze Grupa F walczyła najpierw z wrogami Ziemi, a teraz z nią samą.

Pierwszy na widok gościa podniósł się wysoki, nieco przygarbiony oficer z jedną jaskrawą gwiazdą i kupą małych naszywek na piersi kombinezonu. Miał zmęczoną i drapieżną twarz. Małe oczka-świderki przenikały Lloyda.

–Kontradmirał Essex – powiedział, wyciągając silną, żyłastą rękę. – Witam na pokładzie

**okrętu flagowego Grupy F, Średniego Okrętu Bojowego „Paul Atrydes”.
Przedstawiam panu,**

dowódca grupy admirał Uspienski.

Doktor z lekkim roztargnieniem ucisnął dłoń Esseksa, wyglądającego dokładnie tak, jak go sobie wyobrażał na podstawie zdjęć. Ale ten człowiek z trzema admirałskimi gwiazdami... Gdy też wstał od biurka, okazał się nieoczekiwanie wielki i jednocześnie harmonijnie zbudowany. Bardzo spokojne oblicze ze stanowczymi rysami, jasne, mądre oczy, krótko obcięte włosy z wyraźną siwizną. Żadne wideo nie mogło oddać magnetyzmu, jaki promieniował od tego człowieka. On nie przygniatał i nie przerażał, zadziwiająco władczo przyciągał do siebie. Dosłownie od pierwszego spojrzenia.

–Znam pana – powiedział Lloyd. – Pan jest admirał Raszyn.

–Ja też pana znam – uśmiechnął się dowódca grupy. – Pan jest Jeffrey Lloyd z badawczej grupy z Langley. Specjalista od plemion euroazjatyckich. Poznaliśmy się kiedyś na spotkaniu w admiralicji. Z okazji zwycięskiego zakończenia pierwszej kampanii marsjariskiej. A pan akurat powrócił z jakichś wysp na rosyjskiej północy. Pytano pana, pamiętam, czy rosyjscy mutanci jedzą się wzajemnie, czy nie.

–Północni jedzą – powiedział doktor. – A tutejsi nie. Chcieliby, ale wiara im nie pozwala. Ale co do Langley, to się pan myli. Wyprowadziłem się z CIA dobre dziesięć lat temu. Dokładniej rzecz ujmując, wyprowadzono mnie.

–Z powodu stanu zdrowia? – zapytał ze współczuciem Essex, dosłownie pożerając uczonego swoim kanibalskim spojrzeniem.

–Z powodu przekonań – dumnie oświadczył Lloyd.

–Jakichże to przekonań? – zasępił się Tylek.

–Agitacja przeciwko istniejącej postaci rządu, panie kontradmirał, sir – odpowiedział doktor szyderczym tonem. – Zwolniony z hukiem bez emerytury i stopnia. Tak więc nie

jestem żadnym wywiadowcą ani oficerem. A doktorat mam prawdziwy. Wykładam. No i wybieram się w pole, kiedy mam pieniądze.

–Trzeba było powiedzieć od razu, wstępując na służbę, że zostanie pan tylko cywilnym konsultantem – współczująco powiedział Raszyn. – Nie byłoby huku ani zrywania naszywek. Znam te bydlęce ceremonie. Wyjątkowo obrzydliwie się człowiek czuje. Sam degradowany, oczywiście, najgorzej, ale wszyscy dokoła też stoją jak po uszy w gównie.

–Pana też?... – zdziwił się Lloyd.

–Nie mnie – wyjaśnił Raszyn. – Ja.

–Aa... – dotarło do doktora. – No tak, ma pan rację. Ale byłem młody i bardzo chciałem nosić mundur. I mieć pierś pokrytą medalami. A właśnie, jakoś, panie admirał, nie mogę sobie przypomnieć, żebyśmy się spotkali. Przyjęcie w admiralicji pamiętam, ale pana nie.

–Byłem wtedy kapitanem, a pan, przyjacielu, znajdował się w stanie ciężkiego upojenia alkoholowego. Bardzo mi się spodobało pańskie oświadczenie, że gdyby nie Rosjanie, to bylibyśmy teraz skośnoocy i odżywalibyśmy się tylko ryżem. Wszyscy od razu popatrzyli na mnie, a ja się nieco zmieszałem i uciekłem.

–Coś nie pamiętam takich oświadczeń – nachmurzył się Essex. – Przyjęcie

pamiętam, było takie, wręczano mi Krzyż, ale co do Ruskich...

–Phil, powiem ci potem, gdzie się w tym momencie znajdowałeś.

–Co, w kiblu?

–To, że w kiblu, mniej ważne, ważniejsze, co tam robiłeś.

Tylek zamyślił się głęboko, jakby sięgał pamięcią do poprzedniego wcielenia.

–Co, tak na dobrą sprawę, można robić w kiblu?

–Jesteś bardzo pomysłowym facetem, Phil. Zwłaszcza że ubikacja była damska.

–A! – zakrzyknął Essex. – No tak! Przepraszam, doktorze. Co za szkoda! Rano już nic nie pamiętałem. Ten Krzyż był, że tak powiem, jubileuszowy. Trzeci, więc, oczywiście, ja...

–Czy to jest to, co nazywacie *Pieprzonym Lotnym Krzyżem*? – zaprezentował znajomość sprawy Lloyd. – Który tak naprawdę nazywa się *Za Wybitne Osiągnięcia w Służbie Lotów*⁷.

–Ten właśnie. Proszę posłuchać, Jeffrey – zaczął Essex, zmieniając się w mgnieniu oka w promieniującego, uroczego oficera. – Niech pan rzuci tych swoich mutantów. W naszej flocie mamy taki szalony folklor... Gdzie jeszcze pan znajdzie taki kompot z tradycji morskich i lotniczych?

**–Gdyby pan zobaczył, co tam wymyślają... – Lloyd wskazał palcem gdzieś za burtę.
– Na pewno zechciałby pan zamienić się ze mną miejscami.**

–Tam jest promieniowanie – powiedział kontradmirał. – I nie ma nic do żarcia.

–No, pożywienie się znajdzie. Tyle że trzeba się trochę za nim nabiegać.

–Szczyry, tak?

–Przede wszystkim gołębie. Miejscowi je hodują. Tuczą i zabijają.

–A czym karmią?

–Karmią przede wszystkim szczurzym mięsem. Gołębie są wtedy smaczniejsze. Słowo honoru, przyzwoite jedzenie. Psy też są całkiem, całkiem... No i to wszystkie miejscowe zboczenia. W wiejskiej okolicy, gdzie promieniowanie nie jest tak wysokie, wyżyło jakieś bydło. Wygląda może nie bardzo apetycznie, ale te kawałki, co dojeżdżają do Moskwy, są całkiem zjadliwe.

–Ciekawe – powiedział Raszyn. – Jeffrey, jak pan sobie tam radzi sam? Nie chcą pana zabić?

–Poza miastem maskuję się na wędrownego myśliwego. Jestem wysoki i silny... Proszę się tak otwarcie nie śmiać, panowie. Wedle ich miar jestem naprawdę bardzo mocnym facetem. A co najważniejsze, może są i mutantami, ale też Rosjanami. Samotnego handlowca może mogą zaszlachtować, pewnie tak. Ale mężczyznę, który sam zdobywa dla siebie żywność, raczej nakarmią, niż skrzywdzą. Tym bardziej że mutanci nie ruszają swoich. No i dla miejscowych panienek jestem atrakcyjnym kawalerem...

–Fuj! – skrzywił się Essex.

–Taka praca – oświadczył Lloyd wcale nieskrępowany. – No i niektóre trafiają się sympatyczne.

–Tylko łyse, pokręcone, czasem z dwiema głowami, tak?

–No, z dwiema głowami nie spotkałem...

–Sekundę – przerwał doktorowi Tylek. – Jak pan powiedział? Mutanci nie ruszają swoich? Czyli należy rozumieć, że są też inni, których...

Uczony myślał przez chwilę, drapiąc się przy tym pod pachą.

–Przepraszam – powiedział, gdy dostrzegł zdziwione spojrzenia oficerów. – Brzydki nawyk, ale u nich normalny. Jak by to panu powiedzieć, panie Essex? Mówiłem przecież, że tu mieszkają różni ludzie.

–Jak różni? – wtrącił się Raszyn. – Przecież uważa się, że tu nie ma normalnych ludzi. Czy może ma pan na myśli, że mają humanoidalny wygląd? Dla naszych celów to nieistotne.

–A co, zamierzacie tu wojować? – szybko i dość agresywnie zapytał Lloyd.

–Ależ skąd, wręcz przeciwnie! – roześmiał się Essex. – Chcemy tu tylko przeczekać jakiś czas. Oczywiście, pewne zagrożenie z góry istnieje, ale niedługo rzucimy na niebo maskujący obrazek. Tak więc panu nic nie grozi. I miejscowym, ee... ludziom też.

–Miejskich możecie nie uważać za ludzi – machnął ręką doktor. – Pozwalam. Nie udawam się, nawet gdybyście chcieli. Nawet ja długo się przyzwyczajałem. Ale... Proszę mi wierzyć, panie Essex, nie wszędzie jest tak strasznie, jak głosi oficjalna propaganda Rady Dyrektorów. Tu jest bardzo dużo ludzi i pewne grupy nauczyły się już, jak efektywnie można przeżyć w tych warunkach. Poza tym nie całe terytorium

Rosji jest tak mocno zapaskudzone. O pół megametra stąd na północny zachód jest taka miejscowość o dziwnej angielskiej nazwie: Well Day. Zapewniam pana, że tam jest wszystko względnie w porządku. Poziom

radiacji jak w Paryżu, niemal w każdej rodzinie są dzieci, rosną na kozim mleku, dziewczęta mają piękne jasne włosy... Nawet oberwałem tam dwa razy.

–Nie wymarli przez te sto lat? – zapytał z niedowierzaniem dowódca.

–Mają nawet dodatni przyrost ludności. Na razie minimalny, ale z każdym rokiem wskaźniki rosną. Odnotowałem to, jeszcze kiedy służyłem w Langley. Nie zastanawiał się pan, admirale, dlaczego te dane nie pojawiły się w Sieci? Dlaczego nikt nie wie, że coś takiego istnieje też w Południowej Ameryce, chociaż podobno nie został tam nawet jeden krzaczek?

–Przepraszam, dlaczego ciągle stoimy? – zauważył Tylek. – Czas nakarmić gościa i w ogóle...

–Rzeczywiście – powiedział, zastanawiając się nad czymś usilnie, Raszyn. – Proszę siadać, doktorze, zaraz każę przynieść coś do jedzenia.

–No więc, panie admirale? – zapytał Lloyd, siadając przy stole.

–Nie chcę panu wierzyć, doktorze. Po prostu nie chcę.

–I to mówi człowiek, który powstał przeciwko totalitarnemu systemowi.

–Nie powstałem przeciwko systemowi totalitarnemu. Po prostu chcieli z nas zrobić kozły ofiarne, a my się opieramy dostępnymi metodami.

–No to opierajcie się mocniej! – zawołał uczony. – Połowa Ziemi się do was modli, a wy się jeszcze zastanawiacie?!

Admirał usiadł naprzeciwko Lloyda i zastygł na chwilę oparty łokciami o stół.

–Phil, gdzie jest ten leniwiec, mój adiutant? – spytał. – Niech skombinuje coś do wypicia i zakąskę.

–Sam dopilnuję – mruknął Essex i wyszedł.

–Byle nie za dużo – powiedział doktor. – Ja wieczorem muszę iść na nabożeństwo do Czarnej Świątyni.

–Czarna Świątynia? – zapytał Raszyn.

–Stąd rozpościera się wspaniały widok, będziecie mogli oglądać – obiecał Lloyd. –

Można ochujeć. To jest taka wspaniała inwersja tradycyjnej religii! Takie naigranie się z prawosławia! Wspaniale! Fantastyczne! Pogański bóg zamiast Trójcy! Nawet posąg boga znaleźli!

–Nic z tego nie rozumiem – rzekł ze smutkiem admirał. – Proszę się nie uchylać od tematu, Jeffrey. Tam za burtą są na poły żywi mutanci, czczą bałwana. A pan chce mi wcisnąć, że mają przed sobą jakąś przyszłość?

–Ci... – Uczony znowu wskazał palcem ścianę. – ...przyszłości raczej nie mają, nie. Moskwa umiera. Sankt Petersburg też praktycznie wymarł. Ale powtarzam, w słabiej napromieniowanych okolicach obserwuje się dodatni przyrost. Tak, to już nie są rosyjscy herosi. I nie tak wysocy, i lekko rachityczni. Ale z powodzeniem zajmują się uprawą ziemi, hodują bydło i ochraniają swoje terytoria. Nie krzyżują się z mutantami, więcej nawet, nie

pozwalają tamtym zbliżać się do swoich osiedli. Prowadzą tylko wymuszony handel, a i to przez pośredników. Mięso, chleb, mleko w zamian za metale. Naturalna gospodarka. Tam wszystko jest w porządku, admirale. To dobrzy ludzie i w ciągu trzech – czterech wieków urodzi się ich tylu, by zaczęli wszystko od nowa.

–Pan zameldował o tym wszystkim w Langley?

–Dziesięć lat temu, nawet piętnaście – przypomniał sobie doktor. – A teraz wróciłem tu i mogę potwierdzić, że moje przypuszczenia się sprawdzają. O ile, oczywiście, nikt nie rzuci na Well Day bomby. Nie wiem, jak ta oaza ocalała, może fartowna róża wiatrów, więc cały opad poleciał bokiem. Istnieje kilka takich samych szczęśliwych miejsc w centralnej Rosji, ale badałem je tylko powierzchownie i nie mogę zaoferować precyzyjnej prognozy.

–I to też zameldował pan piętnaście lat temu...

–Proszę się tak nie smucić, admirale – poprosił Lloyd. – Pan był obwieszonym medalami herosem i latał po kosmosie. Co pana obchodziło, co się dzieje pod stopami? Rada Dyrektorów przekazywała panu pewne informacje, pan je przyjmował... To normalne. Smutne jest co innego. Że Dyrektorom wierzyli wszyscy tu, na Ziemi. Gdyby Akcjonariusze znali prawdę, nie byłoby wojny. Ale ludzie przywykli jeść z dłoni swoich Dyrektorów. Nic nie potrzebują. Dopiero teraz się ruszyli, ponieważ Rada zaczęła wariować. A Akcjonariusze tego nie lubią, chcą stabilności. Dlatego stają za admirałem Raszynem, który został umoczony z głową w gównie.

–Stają? – zapytał pochmurnie dowódca.

–Nie umie pan szukać w Sieci, admirale. Jest masa list dyskusyjnych, wystarczy zajrzeć i wszystko stanie się jasne. Tylko niech pan nie zhardzieje przesadnie, gdyby

nie uderzyli z taką siłą, nikt by nawet nie zauważył, że pana już nie ma. Poza tym teraz pan świetnie zagrał. Lądowanie na Ziemi to genialny ruch. Przeczytałem ostatnie informacje, zanim tu się wybrałem. Siedemdziesiąt procent głosów za pańską niewinnością. Ludzie boją się pozaziemskiego zagrożenia, a pan jest ich jedynym obrońcą. Za tydzień, za dwa spokojnie pojawi się pan w Paryżu i wejdzie na tron, a głowy Dyrektorów podadzą panu na srebrnej tacy... A propos zagrożenia, proszę nie uważać mnie za niedowiarka, ale czy to... prawda?

–Co do właściwego zagrożenia, to czekamy na sprecyzowane dane. Ale że Obcy spacerują po Układzie Słonecznym jak po swoim mieszkaniu, fakt. Natrafiłem na ich statek, lecąc tutaj. Musieliśmy go spalić, inaczej zderzylibyśmy się z nim.

Zafrasowany Lloyd pokręcił głową.

–Nie będzie łatwo... – mruknął. – Ale skoro udało się spalić jednego, to i inne też wybijecie. Co innego jest ważne. To, co się teraz dzieje na Ziemi. Proszę to zrozumieć, admirale. Przed naszą planetą nie stoi problem odtworzenia ludności. O to walczyliście, ale tak naprawdę bez powodu. Istnieje tylko problem władzy, jak mniemam. To, że w Paryżu mało która kobieta jest zdolna do rodzenia dzieci, a w Toronto niemal każda może rodzić i nikogo to nie dziwi. To są właśnie numery Dyrektorów. Machina propagandy. I tak naprawdę

Paryża nie powinno się brać jako wskaźnika. Toronto też. Zdrowych ludzi mamy od groma. Zdrowych, zdolnych do działania, potrafiących i lubiących uprawiać ziemię, potencjalnie niezłych kolonistów. Trzeba im dać do rąk technikę i tyle. I znowu będziemy mieli niekończące się pola chlebowe.

–Czy te dane były utajnione przez CIA?

–Gorzej, panie admirale...

–Proszę mi mówić Aleks. Albo, jak pan chce, *Oleg*. Przecież pan pewnie mówi po rosyjsku lepiej ode mnie.

–Dobrze... Aleks. No więc te dane są tajne nawet teraz. Pozwolono mi tu pracować, ponieważ dane są potrzebne. Ale one nie wychodzą poza Smithonian Institute. Tak jak wcześniej nie wychodziły poza Langley. A ja, niestety, jestem jedynym takim unikatowym ekspertem, który może przeżyć rok w Rosji i wrócić cały. Każdy inny, którego przyślą, zostanie zjedzony. Nie lubią tu obcych... Najgorsze jest to, że religia zabrania zabijania mutantów, ale innych proszę bardzo, Bogu się to nawet podoba.

–Dlaczego pana nie zjedli, doktorze? No, rozumiem, charakteryzacja, skóry, takie tam inne...

–Najważniejszy jest image. W strefie Well Day, już mówiłem, jestem wędrownym

myśliwym. Taki sympatyczny facio. A tu, w Moskwie, robię za twardego faceta: wszędołaz, broń... Udaję, że jestem przysłanym na zwiady emisariuszem pewnego groźnego ugrupowania, które wpadnie i wszystkich tu załatwi, jeśli nie wrócę. Nałgałem od cholery i nic, udało się. Jedyna osoba, która niemal mnie rozgryzła, to miejscowy patriarcha. Ale on sam jest ciekaw, co ze mnie za typ. Nie wiadomo więc w sumie, kto kogo bada: ja jego czy on mnie.

–Ilu tu może mieszkać ludzi? – zapytał Raszyn. – Mam na myśli niemutantów, czy, powiedzmy, niezupełnie mutantów?

–Jakieś czterysta tysięcy tylko w okolicy Well Day. W całym kraju mniej więcej półtora miliona.

–To trzykrotnie zwiększa znaną liczbę Rosjan – oświadczył admirał.

–A cztery razy to nie łaska?

–To już bez różnicy. No dobrze, a ile na całym globie, nie szacował pan?

–Ze sto milionów – rzucił z lekkim uśmiechem Lloyd.

–Serio? – zapytał Raszyn.

–Najzupełniej.

–Sto milionów żyje tak sobie, bez wiedzy Dyrektorów?

–I poza ich kontrolą, admirale... To znaczy Aleks. - Zwariować można! – Dowódca Grupy F już dawno nie był równie zdziwiony. – Czyli ilu jest ludzi na Ziemi według oficjalnych danych?...

–Tak naprawdę, jest ich dwa razy więcej. Akcjonariuszy najwyżej pięćdziesiąt milionów. A wszyscy pozostali, proszę zauważyć, nie tylko są wolni, ale nie są też Akcjonariuszami. Jeśli się uzna ich istnienie, to trzeba będzie wszystkich ich uwzględnić przy wypłacie dywidend. A jak można zagwarantować nowe udziały, skoro stare są warte niemal zero? Upadek ludowego kapitalizmu. Upadek Dyrektorów. Upadek monopoli. Witaj, demokratyczna republiko!

–A co dalej?

–Co za różnica? Najpierw będzie... A niechby nawet feudalne rozdrobnienie. Najważniejsze, że możemy dobrze wystartować. Mamy do tego ludzi. Będziemy potrzebowali ogromnych inkubatorów... Dysponujemy tak ogromną ilością zdrowych jajeczek, że daj Bóg, byśmy zdołali je wszystkie zapłodnić. I daj Bóg... przyczepiło mi się sformułowanie! Ale... no tak, niewykluczone, że Bóg też się przyda. Tutejsi bez

niego nie dają sobie rady. Oczywiście nie mam na myśli tych nieszczęśników, co szamanią w Moskwie.

Otworzyły się drzwi i wszedł Essex z tacą zastawioną naczyniami.

**–Przepraszam – powiedział. – Wolno to szło. Ale tam w mieście dzieją się takie...
Wszyscy siedzą w SDO. Nie chce pan popatrzeć, doktorze? Możemy tu dać podgląd.
To jakby z pana dziedziny.**

–Biją pokłony przed posągiem? – zapytał Lloyd.

–Ba, i to tak, że łby sobie porozbijają! – zawołał z przejęciem Tylek.

*** * ***

Na stanowisku dowodzenia nie dało się przejść z powodu zbitego tłumu. Andrew z łatwością podrzucił Iwe i posadził sobie na ramieniu, żeby lepiej widziała. Z przodu, na czołowym ekranie, ludzka rzeka płynęła do podnóża olbrzymiego posągu. A od gigantycznej czarnej świątyni ku brzegom posuwał się pochód z pochodniami.

Ogromny posąg patrzył prosto w ekran, na zebranych przed nim astronautów. Nieładne i złe oblicze z małymi oczkami i zakręconymi wąsami oszałamiało po mistrzowsku oddaną przez rzeźbiarza paranoidalną żądzą władzy. Jedyne ramię giganta zaciśnięte było na archaicznym kole sterowym wyrastającym ze stanowczo za małego okrętu¹.

–Słaby, ścierwo, nie jest – rzucił Fox. – Wygląda, że to ichni miejscowy bóg. O, patrzcie, znowu walą czołami!

Ludzie u podnóża posągu, a było ich już cztery do sześciu tysięcy, zaczęli w zgodnym rytmie bić pokłony. Ceremonię kierowała mała postać w długopolej czarnej szacie, stojąca w otoczeniu niosących pochodnie mężczyzn na brzegu martwej rzeki. Ruch jej ręki zmuszał

¹ Autor ma na myśli zbudowany pod koniec lat 90. XX w. nowy symbol miasta – gigantyczny pomnik Piotra Wielkiego autorstwa gruzińskiego rzeźbiarza Zuraba Cerietieliego. Jest on usytuowany na rzece Moskwie naprzeciwko stadionu na Łużnikach, ma aż 94,5 m i ku utrapieniu wielu mieszkańców widać go z każdego miejsca w centrum. Pomysł wzniesienia tego monumentu dla moskwiaków od początku był kontrowersyjny głównie dlatego, że Piotr Wielki nienawidził Moskwy i przeniósł stolicę do Sankt Petersburga. Kilka razy próbowano nawet wysadzić pomnik w powietrze (przypis tłumacza).

pielgrzymów do kłaniania się i prostowania. Na jej znak tłum co i raz wydawał niezrozumiały pomruk.

–Pierwszy raz widzę taką ilość fiutów zebranych w jednym miejscu! – oświadczył gruby kanonier. – Ale posąg niezły, co? Słuchajcie, koledzy, przecież oni sami nie mogli tego zbudować. Stoi tu pewnie od niepamiętnych czasów. Hej, Werner! Kto by to mógł być, co? Czyżbyście naprawdę mieli takie koszmarnie bóstwo?

–Wykluczone – powiedział ktoś z tyłu. – Jakby mieli takiego boga, to Chińczycy trzy razy by się zastanowili, czy warto z nim zadzierać. Z takim bogiem można wysadzić w powietrze świat, a i tak to dopiero by była przygrywka.

–No i właśnie to zrobili, nie? – zauważył ktoś inny z prawej. – Do odwiertów naftowych wpakowali głowice bojowe. Co to niby było? Akt dobrej woli, według ciebie? Mogli oddać Syberię Chińczykom, ci by dalej nie poszli. Do dziś mieliby co robić: odgrzebywać śnieg.

–Ty, mądrała, zamknij papę – poradził Fox, spoglądając za siebie. – Uczyłeś się historii?

–A co mi wasza historia...

–A to ci nasza historia, że Chińczycy nie zaczęli od Syberii, a od Kalifornii. Kto spalił San Francisco, jak sądzisz? Rosjanie może? Żółta ekspansja szła jednocześnie we wszystkie strony. Rosja okazała się jedynym krajem, który musiał stawić im czoła bez obcej pomocy. Europa się zjednoczyła jak przeciwko Arabom podczas Kotłowaniny. Ameryka była za oceanem i nie dopuściła żółtego desantu do swoich brzegów. Straciła tylko dwa miasta. A na Rosjan wszyscy splunęli i powiedzieli: *Radźcie sobie jak możecie*. Powiedzieli tak, jak ty przed chwilą, że oddajcie im połowę kraju i po kłopotach... A co Rosjanie mieli zrobić? No więc wysadzili w cholerę wszystkie tereny interesujące Chińczyków.

–I całą resztę obesrali przy okazji – sceptyk z prawej koniecznie chciał mieć ostatnie słowo. – Powiedz, Werner, jak to było? A kto na Niemcy napadał w dwudziestym wieku, i to dwa razy pod rząd?

–Nie ruszaj go, zaraza! – poradził ktoś.

Andrew tylko westchnął.

Ive pogłaskała go po czubku głowy.

–Zdejmij mnie – szepnęła mu do ucha. – Nie mogę już na to patrzeć.

Werner przykucnął, Candy zeskoczyła na podłogę.

–Co oni wygadują? – zapytała.

–Sami nie wiedzą, co mówią. Nie słuchaj ich, kochanie. To brednie. Takie same jak na ekranie.

–A w dupę wsadź sobie tego Hansa – poradził Fox, na wszelki wypadek przepychając się bliżej Andy’ego. W kącie SDO, gdzie uparty astronauta ciągle wykladał swoje poglądy na historię, powoli wzbierały polityczne namiętności. – Lepiej powiedz, co to za posąg?

–Jeśli dobrze pamiętam, to jest nasz car, Peter Wielki. W każdym razie go przypomina.

–Ale pysk! Przepraszam, rzecz jasna...

–Taki ma, jaki ma – filozoficznie rzucił Werner. – W tamtych czasach nikt sobie

jeszcze gęby nie wybierał.

–To jest, oczywiście, nie moja sprawa – odezwał się damski głos od drzwi. – Ale gdyby mnie ktoś zapytał, to powiedziałbym...

W pomieszczeniu natychmiast zaległa głęboka cisza.

–Lindo, jak ci nie wstyd! – obruszył się kanonier.

–Powiedziałbym – ciągnęła kapitan Stanfield – że ZDO wpadnie tu za minutę. I wtedy będzie naprawdę wesoło!

–Poważnie?

–Absolutnie – odpowiedziała Linda zadowolona z efektu.

–Wolna wachta! – krzyknęła Ive. – Biegiem stąd wymiatać! Dyżurna wachta! Na miejsca!

–Wypoczywająca wachta! – poparł ją Fox. – Jakiego wała nie wypoczywacie?!

Ludzie tłumnie ruszyli do wyjścia. Stanfield ledwo zdołała usunąć się z drogi.

–Wszyscy spać! – ryknęła do pleców uciekających astronautów, tym razem udając głos Esseksa.

–No, przyjaciółko, to prawdziwy talent! – uśmiechnęła się Candy, podchodząc do swojego pulpitu.

–Nie tylko tak potrafię – zapewniła ją Linda. – Ale serio, nie żartuję. Chowaj cygaro, Michael. I włóż buty. Idzie tu cała śmietanka.

Werner podszedł do siedzącej już Ive, pochylił się i pocałował ją w skroń.

–Zobaczymy się później – powiedział.

–Kochany... – usłyszał w odpowiedzi. – Będę tęsknić.

–Możesz zostać, Andy – zapewniła go psycholog. – Ciebie nie wygonią. – Wskazała ekran. – To wszystko ciebie jakby też dotyczy.

–Nie bardzo – pokręcił głową Andrew.

–Czyżby? – zdziwiła się Linda. – Dlaczego?

–Co ja mam do zwariowanych pogańskich obrzędów? To nie mój naród. Mojego już

nie ma.

–To nieprawda, młody człowieku – usłyszał nagle z tyłu.

Werner odwrócił się. Do pomieszczenia wszedł niewielki człowieczek z rumianą twarzą, w roboczym kombinezonie z logo „Skoczka” na piersi. Sądząc po identyfikatorze, nazywał się Kapłan. Za jego plecami stał doskonale widoczny, bo i wyższy admirał.

–Panowie oficerowie! – zawołała Ive.

–Spocznij! – Raszyn gestem usadził poderwaną na równe nogi wachtę dyżurną. – Panie i panowie, pozwólcie, że przedstawię wam naszego gościa. Doktor etnografii, profesor Smithonian Institute, Jeffrey Lloyd. Doktorze, to kapitan Fox, kanonier. Kapitan Stanfield,

nasz psycholog. Kapitan-porucznik Kendall, starszy nawigator. Porucznik Werner, służba technicznego zabezpieczenia.

–A ja jestem Jeffrey. Albo lepiej Jeff – powiedział rumiany. – W przeszłości amerykański szpieg.

–Bardzo dobrze, że pan jest szpiegiem amerykańskim, a nie jakimś innym – pocieszyła doktora Linda, ściskając mu dłoń. – Bobyśmy pana rozstrzelali. Zresztą... Ile pan złapał rentgenów w ciągu ostatniego roku, doktorze? Nie chce się pan pokazać naszemu lekarzowi?

–Linda, nie świruj – poprosił, wchodząc do pomieszczenia, Borowski. – Doktor jest naszym gościem, zachowuj się.

–Z doktora chemia aż wycieka – odparowała Stanfield.

–Widać? – zaciekawił się uczony. – Przepraszam. Ale musiałem codziennie jeść to świństwo. Zdarza mi się wędrować przez bardzo brudne okolice.

–A po co ten heroizm? Tylko żeby poznać życie mutantów?

–Przestań, Lindo – polecił Raszyn. – Dzięki heroizmowi doktora, właśnie heroizmowi, jak słusznie zauważyłaś, dowiedzieliśmy się wielu nowych rzeczy o tym starym świecie. Tak nowych, jakby to była inna planeta. Nie żartuję. Candy! Będziesz musiała na jakiś czas zrobić z mojego kutra samolot. Załadujemy wszędołaz doktora i przelecimy się. Musimy skoczyć w jedno miejsce.

–Dokąd? – rzeczowo zapytała Ive, kładąc dłonie na desce.

–Zero pięć megametra na północny zachód. Tam są takie wzgórze...

–*Wałdajskaja Wozwyszennost'* – powiedział cicho Werner.

–Jak, jak? – wytrzeszczył na niego oczy Lloyd.

–*Wałdaj* – powtórzył Andrew. – To miejsce nazywa się *Wałdaj*. Na korytarzu admirał przytrzymał Borowskiego za rękaw.

–Widziałeś posąg? – spiskowym szeptem tchnął mu w ucho.

–Koszmar! – zrecenzował ZDO.

–To nie jest bóg! – oświadczył Raszyn.

–Czy pan mnie, *driver*, ma za kompletnego durnia? Oczywiście, że nie bóg. Taka tam żelazna duperela. Pewnie jakiś działacz polityczny.

–Dookoła same oszustwa – powiedział dowódca z taką miną, jakby właśnie dokonał wspaniałego filozoficznego odkrycia. – W całym Układzie Słonecznym nie ma żadnych nowych idei, a tylko zamienia się jedne bałwany na inne. Wiesz dlaczego? Wiesz, dla kogo to wygodne? Pamiętasz, co mówiliśmy o tym, kto wymyślił nazwy literackie dla bojowych okrętów? Powiedziałeś wtedy, że to był jakiś mądry Żyd?

–No... – wymamrotał ZDO, wytężając pamięć.

–Po pierwsze, wcale nie był żadnym Żydem. A po drugie, nazywali go Erick Stark.

–I co z tego?

–Tępaku! On wcale nie myślał o żadnej ideologii. Po prostu miał nadzieję, że kiedyś jego imieniem nazwą jakiś okręt.

–I osiągnął, co chciał – rzucił Borowski.

–A słyszałeś, jak każe się nazywać patriarcha tych kurdupli? – napierał Raszyn. – *Bat'ka!* Kretyn! W rzeczywistości duchownych na Rusi zawsze nazywali *batuszka*. W sensie: *ojciec rodzony*. A „*bat'ka*” to mafijny boss. No i widzisz?

–Nieźle – zgodził się ZDO.

–Nie-na-wi-dzę ich! – syknął admirał, potrząsając dla wzmocnienia efektu palcem wskazującym.

–Tylko proszę się nie napalać, *driver* – poprosił Borowski. – Nie napalać. Bo ja już znam pana...

–Wszędzie zakłamanie – powtórzył Raszyn. – Mało tego, że w domu nam cały czas kit wstawiali, to jeszcze tu, w Moskwie, w wała robią! Dokoła sami kłamcy. Cała historia to kit! Wszystkie pomysły kradzione!

Pierwszy oficer westchnął z udręką. Pomyślał nagle, że chyba przesadził z tym namawianiem dowódcy, żeby zabrał się za przebudowę świata. Wyglądało, że admirał wziął sobie ten pomysł za bardzo do serca.

–No nic, my wyjaśnimy Ziemianom, że należy żyć z prawdą na ustach – spokojnie obiecał Raszyn. – Jestem pewien, że się nauczą.

I w słowach tych było tyle przekonania, i tak okrutnego, że ZDO od stóp do głów ogarnęło nabożne przerażenie.

*** * * Starostą *Wyszniowo Wołoczka* okazał się młody, sympatyczny Rosjanin Wiktor de Ville, ojciec trojga dzieci i absolwent Sorbony z dyplomem z dziedziny terraformowania. Uciekł na ojcowiznę dziesięć lat temu kierowany chęcią poznania na nowo swojego kraju. Z plecakiem, pistoletem maszynowym i licznikiem Geigera. Pieszko ominął skażone regiony, prawie się nie napromieniował i nie dał się pożreć zdziczałym mutantom. Dość szybko napotkał ludzką osadę w okolicach Pskowa, został serdecznie przyjęty, ale wkrótce ruszył dalej na południowy wschód, gdzie życie dopiero się rozkręcało i można było naprawdę coś zdziałać. Teraz pod kierunkiem de Ville'a pracowało i żyło coraz dostatniej dwadzieścia pięć tysięcy ludzi, bardzo zadowolonych z tego, że trafił im się wykształcony przywódca. Wstrząśniętemu Raszynowi zademonstrowano elektrownię wodną, fabrykę świec, cegielnię i młyny. Budynek merostwa zdobił talerz anteny satelitarnej, mieli tu działający komputer i nielegalny wtyk do Sieci. *Wysznij Wołoczok* znajdował się blisko zabrudzonej Moskwy, dlatego okolicę patrolowała grupa nieźle uzbrojonych jegrów, przy okazji zajmująca się polowaniem. Raszyn patrzył na to wszystko w milczeniu i klął na doktora Lloyda, który urządził mu niespodziankę**

i nie zapowiedział, co admirał zobaczy. Etnograf, z widoczną ulgą zrzuciwszy kokon mutantą, uśmiechał się zadowolony.

W Nowogrodzie kuto narzędzia rolnicze i reperowano broń. Był tu też targ i port śródlądowy. W Pskowie funkcjonowało nawet coś na kształt uniwersytetu. Łączność między miastami podtrzymywał prymitywny telegraf, a gdzieś tam nawet słabe radiostacje. Życie kipiało, ludzie wyglądali na zdrowych. Obcych może nie kochali, ale Raszyn okazał się subtelniejszym dyplomatą niż doktor Lloyd. Tam, gdzie Amerykanin szedł, kryjąc się i maskując, Raszyn po prostu lądował kutrem i znajdował się nagle w samym środku wydarzeń, wypytywał ludzi i opowiadał. Miejscowi żalowali tylko, że tak kiepsko mówi po rosyjsku. I ciągle proponowali, żeby został na stałe.

Dozymetry wskazywały, że można tu żyć. Nieco gorzej niż w Kanadzie, ale znacznie lepiej niż w Europie. Poza tym dokoła wszystko przenikał duch prywatnej inicjatywy, nikt nawet nie skarżył się na rząd z tego prostego powodu, że go nie było. Ludzie tworzyli wspólnoty, gdzie wszystkie sporne kwestie sami rozwiązywali tak sprawiedliwie, jak umieli. Na okoliczność masowego najazdu mutantów istniał niewielki sztab pospolitego ruszenia, ale w ostatnich latach mutanci nad walkę przedkładali handel. Można było sądzić, że naprawdę zaczęli wymierać.

Raszyn komunikował się z ludźmi, ciągnąc wszędzie ze sobą Lloyda i Wenera w charakterze samobieżnych rozmówek. Drugiego dnia admirał nagle odzyskał wyraźny moskiewski akcent, dlatego pozwolił Wenerowi na spacer. Najpierw on i Ive chodzili po lasach z obowiązkowym dozymetrem na przegubie i mauserem na ramieniu, wkrótce jednak oswoili się z sytuacją i przestali celować do wszystkiego, co zapiszczało na gałęzi albo zaszeleściło wśród liści. Nigdy wcześniej nie widzieli takiej ilości zieleni i żywych zwierząt.

Kapali się w czystej wodzie i kochali na miękkiej zielonej trawie. Wdychali upajający zapach siana i pili prawdziwe mleko. Candy podczas polowania ustrzeliła dzika, a potem, kiedy miejscowi hałaśliwie jej gratulowali, szlochała nad ciałem biednego chrumkacza. Andrew własnoręcznie schwytał rybę i nie mógł otrząsnąć się ze zdziwienia, widząc, że jego zdobycz natychmiast powędrowała do garnka. Było to jakieś fantastyczne życie, magiczne, prawdziwe, po prostu żywe, i nikomu się nie chciało wracać na nudny metalowy okręt.

–A nie będziemy mogli przyjechać tu kiedyś, kiedy to wszystko się skończy? – zapytał pewnego dnia Wener. – Może i jesteśmy mieszcuchami, ale przyzwyczajymy się przecież. Tu jest przewspaniale!

–W Kanadzie jest nie gorzej, kochany – powiedziała Ive. – Po prostu nieco mniej lasów, ale za to tło niższe. Zauważyłeś, jak dużo tu jest chorych drzew?

–Oczyszczą – machnął ręką Andrew. – Za pięćdziesiąt lat...

–No to przyjedziemy za pięćdziesiąt lat. Teraz, kochany, wybacz, ale jak się to wszystko skończy, pojedziemy do Kanady.

–Dlaczego? – zdziwił się Wener.

–Mnie w obecnym stanie nie są potrzebne żadne dodatkowe rentgeny – wyjaśniła Candy. – Im ich będzie mniej, tym lepiej.

–Czy ja cię dobrze rozumiem? – ostrożnie zapytał Andrew.

–Sama jeszcze dobrze wszystkiego nie rozumiem. Ale chyba... Andy, co?...

–Przepraszam – wymamrotał, zasłaniając dłonią wilgotne oczy. – To z radości.

* * *

Starosta zastukał w luk kutra wcześniej rano. Młotem, żeby go usłyszano.

–Odlatuj, dowódco – powiedział do Raszyna.

–Coś się stało? – zapytał admirał, przecierając oczy.

–Stało. Otrzymaliśmy telegram. Od strony Moskwy idą maszkiery. Wielu. Już są pod *Wołoczkiem*.

–Czy na kutrze jest broń? – rzeczowo zapytał Lloyd, zapinając spodnie.

–Tylko strzelecka. Ale możemy wywołać destroyer. *Wołoczok...* Zero trzy megametra. Myślę, że mogą być na miejscu za mniej więcej godzinę. Wcześniej się nie uda, destroyery to nie samoloty. Candy!

–Problemy, szefie? – Ive wysunęła się z za drzwi owinięta w prześcieradło.

–Ile czasu potrzebuje destroyer, żeby przebyć zero przecinek trzy megametra i uderzyć z powietrza?

–Nasze destroyery? Noo... Jakieś pięćdziesiąt minut, do tego pięć – dziesięć na opracowanie i orientację. Sam pan rozumie, szefie, że na takim dystansie nie da się rozpędzić. Będzie musiał startować w przeciwnym kierunku i robić martwą pętlę. I jeszcze jedno, szefie... Ujawni się w ten sposób.

–Mam to w nosie. I tak nas za parę dni wykryją.

–To daremne, dowódco – rzucił markotnie starosta. – Mówiłeś, że twoja broń pali całe miasta. Potwory są na granicy *Wołoczka*. Jegrzy ich powstrzymują, ale...

–A jakby ich przypalić wydechem kutra? – zapytał Raszyn. – Co, Candy?

–Szefie, na wysokości mniejszej niż zero-zero-jeden nie mogę niczego gwarantować.

–A po prostu przelecieć nad nimi? Wystraszyć? Co pan powie na to, doktorze?

–Och, tego nie należy robić! Tylko ich rozpalimy.

–Dlaczego? – zdziwił się admirał.

–Można pana na chwilkę? – poprosił Lloyd.

Raszyn posłusznie powędrował za nim w głąb kutra.

–Mogę się założyć – powiedział etnograf, zerkając na posmutniałego starostę – że ich wyprawa ma związek z waszym pojawieniem się w Moskwie. Jesteście dla mutantów cudem. I przeklęty *Bat'ka*, no, ten ich patriarcha, na pewno wymyślił, jak może wykorzystać ten cud dla siebie. Wie pan, on jest na dość chwiejnej pozycji. A wojna to wspinała okazja, żeby się pozbyć niezadowolonych i zakitować pozostałych.

–To akurat wiem z własnego doświadczenia – przyznał Raszyn.

–Jeśli przelecicie nad ich głowami, to uznają jeszcze raz, że Bóg jest z nimi.

–Destroyery zostawią tam jeden wielki lej – mruknął Uspienski pod nosem. Coś zaczynało chodzić mu po głowie...

Odwrócił się i skierował do wyjścia.

–Posłuchaj, koleś – powiedział do starosty. – Jak sądzisz, wytrzyma *Wołoczok* choćby godzinę?

–Nie wiem – odrzekł de Ville wpatrzony we własne mokasyny. – Raczej nie. Leć, dowódco. Nie masz tu za co umierać.

–Jestem admirałem i umrę, za co zechcę – warknął Raszyn. – Candy! Łączność ze sztabem. Znajdź mi Tyłka, natychmiast.

–Tak jest, szefie! – Iwe już siedziała przy pulpicie, zapinając na piersi kombinezon. – Już, szefie.

–Lepiej odlećcie – poradził jeszcze raz starosta i odszedł.

Essex odezwał się po minucie.

–Mamy tu koncert, Aleks – zakomunikował. – Cały tłum mutantów wdrapał się na urwisko i czaruje na całego. Biegają z pochodniami, wrzeszczą i się nam kłaniają. Śmieszne. Chcesz zobaczyć?

–Posłuchaj, Phil – przerwał mu dowódca. – Zbierz ochotników, każdy ma mieć laser. Postaraj się namówić setkę. Ładuj ich na destroyery, przyczep jakieś kutry desantowe i niech walą na *Wysznijszy Wołoczok*. Zadanie: odeprzeć atak mutantów. Powiedz, że giną ludzie. Na miejscu oceń możliwość ataku z powietrza. Ale żeby nie zapaskudzić miasta.

–Spróbujemy... – sapnął szef sztabu. – Będę musiał sam się tam ruszyć.

–Nie warto, Phil. Na destroyerze nie latałeś z dziesięć lat. Tym bardziej w atmosferze.

–I tak jestem najlepszy. Czekał na meldunek – rzucił krótko Essex i przerwał łączność.

–Tyłek! – ryknął Raszyn. – Candy! Startujemy! *Andriej!* Dość tego spania! Potrzebuję cię.

–Dawno już nie śpię – odpowiedział Werner, wyłaniając się zza przegrody przedziału napędowego.

Nikt nie widział, kiedy zdążył tam wleźć.

–Zuch. Siadaj do optyki, będziesz korygował ogień. Doktorze, z pana też niezły oficer. Proszę tu, będzie pan konsultował.

–Już wszystko zapomniałem – zaczął się bronić Lloyd, ale natychmiast usiadł we wskazanym fotelu.

–Przypomni pan sobie – obiecał admirał, przypinając pasy.

Kuter skoczył w niebo i runął na południowy wschód.

–Daj w górę na zero-zero-jeden megametra – poleciał Raszyn. – Oni nas nie zauważą, a sami będą jak na dłoni.

–Ten chłopak w *Wołoczkie* ma niezłą radiostację – odezwał się z tyłu Werner, podjeżdżając z fotelem do pulpitu łączności. – Dał nam swoje kody. Może spróbuję?

–Dawaj – zezwolił admirał.

De Ville odpowiedział niemal natychmiast, gdy tylko Andrew złapał jego fale. Starosta mówił spokojnie, jednak w tle słychać było jakiś harmider.

–Kobiety i dzieci wycofują się lasem na północny zachód – rzekł de Ville. – Gdybyście asekurowali... I powiadomcie jakoś Nowogród, żeby przygotowywali obronę. Moje radio tam nie sięga, a to było zerwało telegraf.

–Zaraz do ciebie przyleci destroyer z grupą desantową. Wszystko będzie OK, nie martw się – obiecał Raszyn.

–Ja już się nie mam czym martwić – oświadczył starosta. – Jesteśmy z chłopakami w saku. I skończyły się nam naboje.

–Jak to w saku?

–No tak. Potwory dwiema kolumnami otoczyły miasto, a trzecia grupa zaszła od czoła. Są wszędzie. Wytrzymamy jeszcze dwadzieścia minut, ściągniemy ich na siebie, a potem... Najważniejsze, żeby nie dogonili uciekinierów.

–Ilu jest mutantów? – zapytał Raszyn.

–Dużo. Tysiące.

–Nie rozłączaj się, dobrze?

–Już po moim mieście – rzucił trochę od rzeczy de Ville. – Już płoniemy. Takie wspaniałe było miasto... – I zniknął z eteru.

Admirał głośno zgrzytnął zębami.

–Są ochotnicy – zameldował Essex. – Już się ładują.

–Nie będzie im łatwo, Phil – ponuro rzucił Raszyn. – Mutanci już są w mieście. Miejscowi powiadają, że jeszcze dwadzieścia minut i koniec. Tak więc postarajcie się przynajmniej powstrzymać ruch kolumn na północny zachód. A w mieście, czy co tam z niego zostanie, osłaniajcie obiekty przemysłowe. Ilu masz ludzi, Phil?

–Stu piętnastu. Tyle miałem broni. A z automatami nie pozwoliłem. Dobrze zrobiłem? Dowódcą desantu jest kapitan Stanfield.

–Linda? – zapytał z niedowierzaniem dowódca. – No, trochę mi lżej.

–To jest strasznie krwiożercza dziewczyna – zauważył szef sztabu.

–Pilnuj siebie. Jaki okręt wzięłeś?

–„Rocannon-2”. Startuję za pięć minut. Gdzie jesteś?

–Będę krążył nad miastem. Wysadź człowieka, żeby odbierał ode mnie namiary. Moją optykę weź sobie na ekran rezerwowy.

–Już.

–Jesteś pewien, że musisz własnoręcznie?

–Spierdalaj. Kto w grupie ma trzy Krzyże? Bez odbioru.

–Bez odbioru, mendo. – Raszyn wyjął spod pulpitu kilka serwetek i osuszył czoło. – Doprowadzi mnie kiedyś do zawału – poskarżył się. – Jedno tylko mnie cieszy, że na takim dystansie lot koszący jest niemożliwy.

–Szkoda, że mu pan zezwolił – zauważyła Ive.

–Phil jest doskonałym pilotem – powiedział admirał. – Ty go po prostu nie znałaś w najlepszym okresie. Na wszystkie swoje brzęczydełka sprawiedliwie zasłużył. Tyle że...

–Tyle że od dziesięciu lat nie siedział przy sterach – dokończyła Candy.

–Sam się dziwię, co to starego napadło – mruknął Raszyn i przygryzł wargę, żeby nie pokazać uśmiechu. Bardzo się bał o Tyłka, ale w tej sytuacji i w tym momencie był to jedyny na tyle szalony człowiek, by wykonać zadanie.

Essex wybrał „Rocannon-2”, ponieważ ten destroyer stał najdalej od tłumu mutantów szalejących na krawędzi urwiska. Biorąc inny statek, musiałby jeszcze zajmować się przepłaszaniem tych głupców nierozumiejących po angielsku i na dodatek oszołomionych religijną ekstazą.

–Start! – poleciał.

Otulony kłębam dymu okręt miękko oderwał się od powierzchni. Essex dał połowę ciągu i destroyer wolno odpłynął od Moskwy, nabierając wysokości, po czym wykonując płynny zwrot w prawo. Każdy normalny dowódca na miejscu Tyłka dałby teraz w górę, robiąc ogromną pętlę z zahaczeniem stratosfery. Ale ten manewr zajęłby kontradmirałowi dobre czterdzieści minut. Essex zaś bardzo chciał zdążyć.

Cały czas, kiedy Raszyn wędrował po swojej ojczyźnie, on spędził przy monitorach, z oszołomieniem wpatrując się w obrazki ze spokojnego pokojowego życia na tym zapomnianym płachetku ziemi. Uspienski umocował kamerę na ramieniu, żeby wszystko, co wpadło mu w oko, utrwalano się w bibliotecznych plikach kompa „Skoczka”. Spokojne rosyjskie osady, gdzie pasły się prawdziwe krowy i rodziły się zdrowe dzieci, sympatyczne miasta z ich niespiesznym trybem życia – wszystko to zrobiło ogromne wrażenie na admirałach. Zrozumiał, że Grupa F nienadaremnie zeszła z niebios na ziemię. Właśnie tu, w wolnej od oka Dyrektorów Rosji, można było zacząć wszystko od początku, mądrzej i lepiej.

I właśnie sama myśl, że horda rozjuszonych dzikusów jest zdolna za jednym zamachem rozszarpać tę nadzieję na lepsze życie, tak rozgniewała Essekse, że ten ani sekundy nie zastanawiał się, kto poprowadzi destroyer z grupą ratunkową na pokładzie. I jak poprowadzi.

–Pełny ciąg! – poleciał. „Rocannon-2” kiwnął się nieprzyjemnie i wiceadmirał z trudem wyprostował go silnikami manewrowymi. Okręt wszedł na kurs. Niczym ognisty bolid pomknął na absurdalnie małej wysokości pięciuset metrów, z planem przybycia do punktu desantowania za trzysta sekund.

–Jak się rozbijesz, łeb urwę! – zachrypiało radio głosem Raszyna.

Essex odpuścił sobie odpowiedź. Pod okrętem dymiła ziemia.

Tymczasem z wieży ciśnień Wiktor de Ville widział doskonale, jak mutanci obracają jego miasto w popiół. Zapaliła się fabryka świec, cegielnia... Starosta mocno zacisnął zęby. Wszystko to było zbudowane pod jego kierunkiem, płacono za to potem i krwią, wszystko było swoje, rodzone... A teraz waliło się pod naporem pokręconych, łysych potworów uzbrojonych w oszczepy i pały, ale wygrywających z powodu liczebności i fanatyzmu. Dwie setki żołnierzy z długimi łukami myśliwskimi na razie trzymało napastników na dystans od elektrowni, jednak wkrótce – tego de Ville był pewny – padnie i ona. A wtedy skończy się miasto. Nie będzie po co już tu wracać. Już lepiej zacząć w nowym miejscu... Ale czy będzie miał kto zacząć?

–Są! – powiedział pomocnik de Ville'a, odrywając oczy od lornety i podając ją Wiktorowi. – Zawrócili! Patrz!

Starosta przylgnął do okularów. Rzeczywiście, z północnego zachodu do miasta wchodziły wciąż nowe i nowe tłumy *mutantów*. Wyglądało, że *rozpaczliwa* obrona ludzi zmusiła wyrodki do zmiany planów. Ich główne siły, rwące się na *Wałdaj*, teraz wracały, żeby nie mieć wroga za plecami.

De Ville odłożył lornetkę, westchnął z zadowoleniem, odwrócił się na plecy i spojrzał w błękitne, bezchmurne niebo. Można umierać spokojnie. Nie wszyscy umrą. Kobiety i dzieci przeżyją, w tym jego żona i troje dzieci. Na pewno oderwali się od prześladowców. Dalej mutantów zatrzymają ruchliwe oddziały, a mury twierdzy Nowogród wytrzymają każdy szturm.

Ale ludziom nie wystarczy sił, by wytępić potwory. Czyli zagrożenie nadal będzie wisiało nad tymi ziemiami. Przez sto lat, może dwieście...

–Ciekawe, cała Moskwa tu się zwała, *Witia*? – wymamrotał starosta.

–Wszyscy tu są – powiedział pomocnik. – Ilu ich jest, wszyscy tu.

–O co im chodzi? Przecież już było normalnie. Myśmy nawet tym gadom noże sprzedawali... Co za bydlę ten *Bat'ka*! Szaman cholerny...

–Potwora to potwora – westchnął *Witia*.

–Mamy jakieś szanse uciec? Czy?...

–No niby jak? Przecież jesteśmy okrążeni.

–No to może się pożegnajmy?

–Pożegnajmy.

Uścisnęli sobie mocno dłonie, po czym de Ville przysunął do siebie radiostację.

–Admirale – zaczął poważnym tonem – żeby nie przeciągać sprawy, wypełniłmy tu swoje zadanie. Mamy przeciw sobie z dziesięć tysięcy potworów i póki żyjemy, oni nigdzie się nie ruszą. Z nami, tak czy siak, koniec, więc lepiej, żebyśmy się z nimi usmażyli do towarzystwa. Gdzie jest ten twój destroyer? Niech da ogień na mnie. Jak mnie zrozumiałeś?

Odpowiedzi nie usłyszał, ponieważ z południowego wschodu nad miasto nagle nadleciał ognisty szkwał. Coś w niebie zaczęło z hukiem pękać, wybuchać i rozlatywać się na kawałki.

Essex zrzucał łodzie jak bomby – ledwie nadały z wyhamowaniem nad samą powierzchnią. Wieża ciśnień kiwnęła się, de Ville chwycił za poręcz.

–Widzę! – usłyszał z góry przeraźliwy głos. – Obrona!!! Padnij!!!

–Wszyscy pa-adnij!!! – wrzasnął starosta po rosyjsku, wychyliwszy się przez poręcz.

Ale obrońcy elektrowni i bez przekładu wszystko zrozumieli.

*** * ***

–Gratuluję – powiedziała Linda do zarośniętego mężczyzny odzianego w zgrzebną koszulę i skóry. – Świetnie taktycznie rozegrane.

–Jak chcesz żyć, wymyślisz nie takie rzeczy – odpowiedział de Ville, ładując naboje do magazynka.

Trzymał teraz w ręku pistolet maszynowy, a dokoła stali zakuci w pancerze astronauty z laserami. Przed nim, na moście, dymiła sterta zwęglonych trupów i życie wydawało się piękne jak nigdy dotąd.

–Dobrze, że wyrodki nie umieją pływać – rzucił, wieszając broń na ramieniu. – Wszystkie posterunki stoją na mostach. Gdybyśmy nie mieli takich problemów z prochem...

–Więcej nie będziecie mieli – obiecała kapitan Stanfield. – Dobra, idziemy wykurzyć pozostałych.

–Ostrożnie – powiedział starosta. – To jest była strefa przemysłowa, ogromne hale, piwnice, w niektórych budynkach można w tajemnicy ukryć sporo sił. Postarajcie się

wyprzeć ich do zbiornika wodnego i utopić. Może jednak pójdę z wami?

–Tobie nie wolno. Ty tu dowodzisz. My się świetnie dogadujemy z przewodnikami gestami.

–No to powodzenia! – rozłożył ręce de Ville. – Tylko się nie dzielcie. Ich tam jeszcze będzie ze dwa tysiące. Jak nie zjedzą, to zadepczą.

–Nie zadepczą. Trzymaj most. – Linda machnęła ręką swojemu plutonowi, zapięła maskę speckostiumu i zamasyście ruszyła do długich budowli z zapadniętymi dachami, gdzie w tej chwili resztki mutantów szykowały się do przebicia. Jeszcze godzinę temu trzymali w pierścieniu całe miasto, a teraz sami siedzieli w saku – rozbici, zniszczeni, ale nie złamani. Prowadzeni przez swojego potwornego boga gotowi byli umierać za wiarę.

–Pilnuj tej baby osobiście – powiedział de Ville do przewodnika. – Żeby się nie pchała w piekło.

–Spoko! – Ten skinął głową. – Babka klawa. Ożeniłbym się z taką bez namysłu. Szkoda, że nie jest Rosjanką. Chociaż...

–Najpierw naucz się angielskiego – uśmiechnął się starosta.

–Ja jej pokażę rękami to, co trzeba – zapewnił go przewodnik. – No, dowódco, jakby co... Nie wspominaj mnie źle.

–Idź – klepnął go w ramię de Ville, a sam pokuśtykał do zapory na moście. Okopceni i obdarci jęgrzy i ludzie z pospolitego ruszenia suszyli onuce i tłusto rechotali z puenty jakiegoś nieskomplikowanego dowcipu. Starosta obrzucił ich spojrzeniem i ze smutkiem pomyślał, że jeszcze trzy godziny temu było ich niemal tysiąc. Godzinę temu – dwustu. Teraz zostało dwudziestu sześciu.

Tymczasem Linda wpadła w wąski zaułek między dymiącymi domami z belek i jednym impulsem od pasa skosiła czterech mutantów. Któryś skoczył na nią z dachu, ale tylko poruszyła pancernym ramieniem i napastnik, wyjąc, poturlał się po ziemi. Biegący za Stanfield astronauta, oszczędzając ładunki, zmiażdżył uderzeniem buta łysy czerep wroga.

–Co za obrzydlistwo... – mruknął, przyglądając się swojej ofierze.

Mutanci z bliska wcale nie byli potworami. Drobni, łysi, cherlawi, brakowało im nosów, ciała pokrywały strupy i błoto. Tym niemniej posługiwali się mową, a zalane ropą wąskie oczka promieniowały całkowicie ludzką nienawiścią. Co się tyczy skór służących mutantom za odzież, a także rohatyn i włóczni, którymi horda wojowniczo wymachiwała, jakością wykonania niemal nie różniły się od tego, czym dysponowali

obrońcy Wołoczka. I strzelając do mutantów, Linda nijak nie mogła uwolnić się od myśli, że gdyby śmierdzącego radioaktywnego moskwianina wyszorować, a pachnącego nawozem paryżanina de Ville odwrotnie – zanurzyć w błocie, różnica między nimi nie byłaby tak wyraźna. Ale moskwian nazywano tu potworami wcale nie z powodu odchyłeń genetycznych i kapitan Stanfield świetnie to rozumiała.

Odziany od stóp do głów w grubą, niewygarbowaną skórę przewodnik szedł przodem, wskazując drogę. Linda w swoim speckostiumie już kilka razy zaliczyła dźgnięcie włócznią, raz nawet powalono ją na ziemię, a ten chłopiec szedł tak pewnie, że i seria z karabinu by go nie wystraszyła.

–Wychodzimy na duży budynek – zameldowała awangarda. – Na zewnątrz spokój. Chyba siedzą w środku.

–Zobacz, gdzie są filary, i podetnij je – rozkazała Stanfield. – Jeśli ci wystarczy mocy, to zwal ściany. Nie ma potrzeby wlaźć do wnętrza.

–Tak zrobimy, pani kapitan.

Z prawej runął dach płonącej chałupy, a z jej okien wysypały się pokręcone postacie w szmatach. Zorientowawszy się, że są dokładnie między dwiema grupami astronautów, mutanci, piszcząc i plując, zaczęli miotać się to w jedną, to w drugą stronę. Nie rozumieli, że ich przeciwnik właśnie w tej pozycji jest prawie niegroźny, bo nie może strzelać w obawie o życie swoich ludzi. Zdezorientowanych napastników pozbawiono życia kolbami i nogami. Zachwycony przewodnik pokazał Lindzie uniesiony w górę kciuk.

–Druga drużyna, szybko przeczesać te budy! – poleciała kapitan. – Jakby co, spalcie je w cholerę, i tak ledwo stoją.

Przed nią z głuchym stęknieniem zawałiła się ściana. Oddział Lindy wyszedł z ruin przedmieścia i znalazł się na obszernym placu. Jeden z jego brzegów zasnuła chmura pyłu – tam, podcięte laserem, waliło się zardzewiałe żelastwo. Potężny hangar (a może hala fabryczna) ciężko osiadł na ziemi i rozsypał się na pył. Z głębi powstałej brunatnej chmury Stanfield usłyszała wściekły wrzask tysiąca gardeł.

–Padnij! – krzyknęła. Sama też upadła na ziemię i kilka razy, nie celując, wystrzeliła w chmurę. Odpowiedział jej jeszcze dzikszys wrzask.

Ze wzniesionego pyłu runęła lawina mutantów. Na leżących astronautów posypały się włócznie. Linda oberwała mocno w hełm, ale speckostium wytrzymał. Przewodnik, unikając trafień, turlał się po ziemi, pojedynczymi strzałami strącając zbliżające się postacie.

–Bliżej! – zawołała Linda. – Podpuszczamy bliżej! Jeszcze... Ognia-a!!!

Mutanci biegli w jednej linii i, jakby w odpowiedzi na komendę, ich szereg runął rozcięty wzdłuż. Pomarańczowe błyskawice wpiły się w zwały ludzkich ciał i po kilku sekundach atak osłabł. Ocalali napastnicy runęli do ucieczki, ale astronauta już wstali i do zbawczego parowu za halą nie dotarł nikt żywy.

Przewodnik zaciskał nos. Stanfield wyobraziła sobie, jak miło jest mu biegać w grubej skórze bez klimatyzacji w trzydziestostopniowym upale, głupiejac od smrodu palonych ludzi. Skrzywiła się.

–Sprawdzamy akumulatory – rzuciła rozkaz. – Meldować o stratach.

–W pierwszym wszyscy. W drugim wszyscy. W trzecim wszyscy.

–Świetnie. Idziemy dobijać. Dystans pięć metrów. Tyralierą. Nie marnować ładunków. Przewodnik do mnie.

Chłopak podsunął Lindzie pod nos prymitywnie narysowaną mapę okolicy i podkreślił pazurem następny obiekt.

–Co za brudas z ciebie – powiedziała do niego Stanfield. – Ale jak cię wymyjemy i wyczyścimy...

Pod stopami maszerującej tyraliery z trzaskiem pękały czerepy rannych mutantów.

*** * ***

Zmierzchało już, kiedy oddział Lindy przekroczył wysoki betonowy nasyp. Astronauta zobaczyli nieprawdopodobnie piękną lustrzaną gładź jeziora.

–Koniec – powiedziała kapitan Stanfield. – Ci są ostatni. Końcowy akord.

Na skraju wału po uszy w wodzie ponuro stała czwórka mutantów. W zębach trzymali noże, a rękami ostrożnie zagarniali wodę przed sobą, żeby wiatr nie zniósł ich na głębinę.

Przewodnik niespiesznie przykucnął i wpatrzył się w sterczące nad powierzchnią liszajowate, oblane z naskórka łysiny. Najbliższa ozdobiona była tatuażem w kształcie prawosławnego krzyża.

–Wasia! – zawołał chłopak niemal z radością. – Wypluj nóż, Wasia! Poznajesz mnie?

Wytatuowany chwycił swoją mizerną broń w rękę i wyszczerzył spiłowane w trójkąty zęby.

–Tylko demony wam pomogły! – wychrypiał. – Ale za to odbiorą wam wasze dusze. A z nami jest Bóg!

–Z nami Bóg! – nierównym chórkim przez zęby poparła go pozostała trójka.

–Nie macie żadnego Boga – spokojnie powiedział przewodnik. – Co to za Bóg, który nie pozwala zabijać swoich, a każe obcych?

–Wy nie jesteście ludźmi – odparł mutant. – Jesteście bezbożnikami. Nie ma dla was miejsca na świętej ziemi. Po nas przyjdą inni. Pomszczą nas.

–Przecież ty byłeś normalnym facetem, Wasia – rzekł z wyrzutem chłopak.

–Otrzymaliśmy znak. Cud. Bóg powiedział, że teraz jest czas.

–Potwór – podsumował przewodnik. Wstał, odwrócił się do astronautów i wykonał wyrazisty gest kantem dłoni po gardle.

Daleko na południowym wschodzie, gdzie nad była autostradą E-95, rozległo się charakterystyczne brzęczenie i zapłonął pomarańczowy płomień. Essex dobijał słabymi impulsami wycofującą się do Moskwy grupę mutantów, liczącą już tylko jakieś dwieście – trzysta osobników. W niebie nad strefą rażenia można było wypatrzeć białe kółko – to admirałski kuter krążył, naprowadzając „Rocannonna-2” na cele.

–Dorwali się staruszkowie – mruknął któryś z astronautów.

Linda podeszła do brzegu i zbliżyła do lustra wody rękę z czujnikiem obrony chemicznej.

–W porządku – powiedziała. – Przy okazji się wemyjemy.

Jej speckostium był zachlapany krwią i błotem od stóp do głów. Stanfield położyła więc mauser na betonie i weszła do jeziora. Mutanci, wytrzeszczając przerażone oczy, cofnęli się, dwaj od razu zaczęli tonąć. Nieustraszony Wasia uderzył Lindę nożem w szklane oko maski, ale ostrze się złamało. Kapitan niespiesznie chwyciła go za gardło i ścisnęła palce. Dał się słyszeć chrzęst kręgów szyjnych, po czym głowa mutantu zwisała bezsilnie. Stanfield puściła martwe ciało, a gdy to wypłynęło plecami do góry, chwyciła następnego wroga za ramię i tylko dotknęła go palcem w skroń. Trzeciego uderzyła otwartą dłonią w obrzydliwie sterczące otwory nosowe. Czwartemu już nie musiała pomagać – utopił się ze strachu.

Linda przykucnęła, zanurzyła głowę, po czym otrząsnęła się i wyszła na brzeg.

–Wspaniała woda! – powiedziała, odpinając maskę. – Patrzcie!

Astronauci pochylili się nad jej czujnikiem.

–Ale wypas! Jak na Wielkich Jeziorach!

–A mówili nam, że tu nawet karaluchy wyzdychały...

–Czytaj więcej takich pierdół!

–Ale nas w konia robią, nie?

–Jak chcecie, chłopaki – mruknęła Stanfield – ale póki słońce nie zaszło, popływam sobie. Nie wiadomo, kiedy znowu trafi się taka okazja...

–A my?

–Płyńcie. Pluton, pozwalam się kąpać. Pół godziny.

–A jak ktoś nas w tym czasie z tyłu...? – zapytał ktoś i zerknął na przewodnika.

Ten usiadł na betonie, rozpiął kurtkę, wyjął z kieszeni dziwacznie haftowany kapciuch, krótką drewnianą fajeczkę i zaczął ją niespiesznie nabijać. Na jego obliczu malowało się wielkie zadowolenie.

–Mówię przecież, że praca skończona – uśmiechnęła się Linda. – OK. Na wszelki wypadek zorganizujemy wartę. Bosmanie, proszę wykonać, wyznaczyć kogoś.

–Tak jest, pani kapitan, madam.

Stanfield wydostała się ze speckostiumu i z ulgą cisnęła nim o ziemię. Zadowolona przeciągnęła się całym ciałem. Zdumiony przewodnik wypuścił z ust fajeczkę.

Linda zanurkowała i na długo zniknęła pod taflą jeziora.

–Wspaniale! – krzyknęła, pojawiając się dobre dwadzieścia metrów od brzegu.

**–Ciepła – powiedział z niedowierzaniem jeden z astronautów, próbując wodę stopą.
– Nieźle.**

–Łyknij – poradziła Stanfield. – Nie dość, że ciepła, to smaczna.

–A można?

–Nie wierzysz analizatorowi?

–Analizatorowi wierzę, nie wierzę oczom. Chłopaki, czy my naprawdę jesteśmy na Ziemi? Może to jakaś inna planeta?

–To jest po prostu inna Ziemia – rzucił ktoś. – Hej, pani kapitan, proszę daleko nie

odpływać!

–Ale ja wzdłuż brzegu.

–Dobra, dobra!

Słońce już niemal dotykało lustra jeziora i to mieniło się cudnymi błyskami. Linda nieraz widziała jeziora w Kanadzie i na Wyspach Brytyjskich, nawet kąpała się w nich, ale tam woda była jakaś twarda i nieprzyjazna. A tu przyjemnie opływała rozgorączkowane ciało, wrażenie było z gatunku tych niewysłowionych. Wręcz seksualne.

Stanfield płynęła, czując, jak woda zmywa krew i błoto minionego dnia. Jakby wróciła do swojej młodości, szalonej i nierozsądnej, w której splotły się bójk i zgrupowania, treningi na wytrzymałość i stres ciągłego oczekiwania śmierci, kiedy każdą chwilę człowiek chce przeżyć tak, jakby była tą ostatnią. I teraz, wsłuchując się w swoje odczucia, rozkładając je na części, Linda po raz pierwszy zrozumiała, jak głęboko siedziała w niej zawsze chęć zabijania, która doprowadziła lekkomyślną dziewczynkę do koszar desantu. Dziś odegrała się na mutantach za wszystko. I za nieudany pierwszy rajd na Marsa, i za przeżyty gwałt, i za to, że przez całe lata musiała znosić zwierzania takich samych psychopatów, nagradzając ich zamiast uderzeniem w głowę ciepłem, zrozumieniem, dobrem...

Gęsto otaczająca brzeg zieleń nagle rozstała się i Stanfield ujrzała niewielką plażę. Tama została daleko za nią i tylko radosne wrzaski potwierdzały, że pluton nie ruszył się z miejsca i że wszystko tam w porządku. Kapitan skręciła do brzegu i z cichym jękiem opadła na piasek.

Na niebie zapłonęły już pierwsze gwiazdy. *Czy to się dzieje naprawdę? – pomyślała Linda, głaszcząc mokrymi dłońmi swoje ciało, jakby chciała sprawdzić, czy to aby nie sen. – Co za gnoje z tych, którzy ukrywali przed nami istnienie takich miejsc, takich magicznych okolic... I ludzie tu, choć rzadko się myją, to całkiem mili i tak ich dużo... A my jak idioci, wierzyliśmy, że Ziemianie wymierają... Idioci.*

Zaczęła szybciej oddychać, delikatnie pieszcząc swoje piersi i lekko szczypiąc sutki. Od strony tamy słyhać było plusk wpadających do wody ciał i chóralny radosny śmiech. Linda rozsunała nogi, nieco ugięła je w kolanach i wsunęła w siebie palec.

Wtedy potworne uderzenie w brzuch zgięło ją wpół. Linda przekręciła się, uniosła lekko na czworakach i bezskutecznie usiłując zaczerpnąć powietrza ustami, jednym uderzeniem wgniotła skroń skaczącemu na nią mutantowi. Drugą ręką zmiażdżyła czyjąś grdykę. Były sierżant desantu Stanfield z łatwością robiła takie rzeczy nawet bez wspomaganie speckostiumu. Gdyby tylko powietrze... Trochę... Żeby tylko krzyknąć. Zawołać na pomoc.

Nagle mocno oberwała w głowę, rzucono ją twarzą w piach. Wściekle kopnęła do tyłu i tam trzasnęła czyjaś kość. Mutanci sypali się na nią z krzaków, jakby mieli tam swoje gniazdo. Linda kilka razy uderzyła z całej siły, nie żałując rąk. Wybiła sobie dwa palce, ale udało jej się rozrzucić napastników i wstała nad ich trupami wyprostowana. W końcu mogła odetchnąć pełną piersią, jednak przegapiła uderzenie w splot słoneczny drzewcem włóczni. Skądś nadleciał kamień i walnął ją w czoło tak silnie, że kapitan Stanfield zakręciło się w głowie. Upadła na plecy, a na nią od razu skoczyło dziesięciu wrogów. Przez zaćmiewającą rozum zbawczą falę niepamięci zobaczyła tuż przed oczami wyszczerzone trójząbki zębów i uderzeniem czoła wybiła je co do jednego.

Trzasnęła łamana prawa ręka. *Dlaczego jeszcze nie straciłam przytomności?* – pomyślała Linda, wypluwając z ust kawałek skóry i skręconymi palcami lewej dłoni rozszarpując czyjeś gardło. Nad nią, zasłaniając niebo, pojawiła się postać z uniesionym nad głową ogromnym kamieniem. *No i koniec* – pomyślała Stanfield, zamykając oczy. Coś tępego i jakby rozżarzonego przebiło jej pachwinę. Z gardła wyrwał się jęk, pierwszy dźwięk od początku bezgłośnej potyczki.

Kamień opadł.

* * * Ive wylądowała kutrem w bagnie dzielącym tamę od miast. Raszyn, nie odzywając się słowem, wyskoczył na zewnątrz i szybko pomaszerował po zapieczonym na asfalt błocie. Lloyd zerknął na Candy, ta skinęła głową i doktor odpiął pasy.

–Proszę wziąć – powiedział Andrew, podając etnografowi swój mauser.

Uczony skinął głową w podziękowaniu, chwycił broń i pobiegł za admirałem.

Werner podszedł do Ive i objął ją z tyłu.

–Koszmary dzień – mruknął, przywarłszy policzkiem do jej włosów. – Straszliwie długi i bezsensowny.

–Myśmy to zrobili – powiedziała Candy. – Przez nas wszystko się zaczęło i my to skończyliśmy. Z minimalnymi stratami.

–Dziwne. Nie znałem cię takiej...

–Jakiej? – zapytała twardo.

–Wydaje mi się, że przez całe życie znałem Ive Kendall. Ale kapitan-porucznik Kendall nie znam wcale.

–Będziesz musiał poznać – zauważyła oschle.

Siedziała przy swoim pulpicie skoncentrowana i przygotowana na wszystko, z rękami na desce kontaktowej. Jej palce lekko podrygiwały.

–Odpręż się, kochana – poprosił Andrew. – Już wszystkich zabiliśmy.

–Nie mów *my*... techniku.

–Aż tak?... – Werner odsunął się nieco.

–Sam tego chciałeś. Bardzo się starałeś, żeby się nie pobrudzić. Cały czas mi mówiłeś, jak ci się znudziła wojaczka. Ciągłe o tym mówisz, kiedy jesteśmy razem.

–Przecież to prawda, kochanie.

–Wiem. Dlatego nie trzeba mówić *my*. Pilnowałeś napędu, utrzymywałeś łączność... Wspaniale! Ale nikogo nie zabiłeś. Jesteś z siebie zadowolony?

–Co ci się stało?!

–Gardzisz mną! – wykrzyknęła Candy. – Mówisz, że mnie kochasz... Nie wiem, może tak. Ale masz rację, że pokochałeś zupełnie inną kobietę. Spokojną, przytulną domową babę, nie tę, która prowadzi okręty. I nie chcesz wziąć nas obu, i tej, i tamtej. Wolisz z babą, możesz się jej wyżalić, opowiedzieć, jak wiele przeżyłeś podczas wojny, jaką masz pokancerowaną duszę... A ja nie mogę, rozumiesz? Nie mogę codziennie być tylko babą! Ja też chcę się komuś wypłakać. Ale nie tobie w rękaw. Ponieważ ty tu jesteś nasz najbardziej nieszczęśliwy i najbardziej kontuzjowany. Inwalida sił kosmicznych... A to, że mnie też to boli, że mi wstyd i że się brzydzę, to cię nie dotyczy!

–Wcale tak nie jest – powiedział Andrew czule, ale nie za bardzo pewnie. – Przecież wszystko rozumiem...

–Wątpię. Szkoda, że nie widziałeś swojej twarzy przed chwilą... Widzisz... kochany. Widzisz, kochany, ja myślę sobie tak. Przed nami jest jeszcze masa różnych bojowych akcji. Tego się nam nie uda uniknąć. 1 jeśli codziennie będziesz okazywał swój stosunek do tego, co robimy... Nie wiem. Raczej poproszę Raszyna, żeby ciebie ze sobą nie brał. Niech cię wyśle gdzieś do Tyłka. A potem, kiedy się wszystko skończy, znowu będziemy razem i znowu

będziemy się mocno kochać. Tyle że, wybacz, ale ja za ciebie potem nie wyjdę. Po pierwsze, teraz i tak prawie nikt się nie żeni poza Żydami, a po drugie, nie potrzebuję męża: żywego wyrzutu sumienia.

–Ależ czym ja cię tak uraziłem? – jęknął Werner.

–Swoim odżegnywaniem się od grzechów – odparła Ive, patrząc gdzieś przez ekran.
– Swoim cholernym rosyjskim unikaniem brudu. Przecież dlatego stałeś się technikiem, żeby w razie czego powiedzieć: *A ja nie mam z tym nic wspólnego! A ja nikogo nie bombardowałem, nie rozstrzeliwałem, ja tylko śrubki i druciki... Ażeż twoja mać! Jak ty mi przypominasz Raszyna!*

–Przecież go... – wymamrotał oszołomiony Andy.

–Tyle że z nim nie sypiam – zauważyła Ive. – I nie będę miała z nim dziecka. Inne stosunki, rozumiesz? I mam w nosie, że on po każdej walce upija się u siebie w kajucie. Siedzi, chleje i użala się nad sobą: *Ach, jaki jestem biedny i nieszczęśliwy, znowu kogoś załatwiłem! Nie chciałem, a tak wyszło!* Cała grupa to wie, tylko wszyscy milczą. A mnie się znudziło milczeć. Dlatego jak się wszystko skończy... – Oderwała rękę od deski i zasłoniła nimi twarz.

Andrew pochylił się, zluzował stoper pod fotelem Ive i obrócił ją do siebie.

–Nie chciałem cię skrzywdzić – powiedział z mocą. – Po prostu czegoś nie rozumiem. Wybacz mi, proszę.

–Kiedy to wszystko się skończy – szepnęła – on się odwróci i sobie pójdzie. Pić wódkę, żałować i się kajać. Taki szlachetny i współczujący. Po Marsie położył się i patrzył w ścianę... Właśnie tak. I wszyscy będą go głaskali po główce, pocieszali i mówili, że jest wspaniały. A my dostaniemy po blaszce na pierś i powiedzą: *Na razie, dzieci.* Bo my jesteśmy źli i bez sumienia, Andy. Ja, Michael, Jean Paul, nawet Tyłek... Jakkolwiek to się skończy, w twarz będą się do nas uśmiechać, a za plecami robić miny. Bo my nie mamy, proszę państwa, takiego zwyczaju, żeby przeżywać na oczach ludzi. Zalewać się łzami!

–On się nie zalewa łzami...

–Zalewa! – tupnęła nogą Ive. – Ty też się zalewasz. Ciągłe siebie żałujesz. Jakby cię ktoś do floty na siłę zaciągnął, jakby na twoich rękach nie było krwi, jakby... A, nieważne! Ale możesz mnie też pożałować. Taką, jaką jestem! Mnie, najlepszego pilota na cruiserze! Całego w medalach i krwi! Tak, wykonywałam rozkazy! Wszystkie! A ty gdzie byłbyś teraz, kochany, gdyby nie ja? I gdyby nie inni tacy jak ja? Bezdušní i nieczuli?! Żołnierze?! Zabójcy?!

–Skończ z tą histerią – powiedział ktoś cicho za jej plecami.

Werner odwrócił się gwałtownie. Żadne z nich nie zauważyło, kiedy na SDO przyszedł Raszyn. Jego twarz przypominała kamień. Na rękę ostrożnie, jakby to było dziecko, trzymał czarny plastikowy worek.

–Przepraszam – wykrztusiła Candy i odwróciła się do pulpitu. Andrew wolno

odszedł, przycupnął w kącie sterówki i opuścił głowę na skrzyżowane ręce.

–Phil! – zawołał admirał, kładąc worek na podłodze i kierując się na swoje miejsce. –
Gdzie jesteś?

–Idzie na lądowisko – odpowiedziała Ive.

–Schodzę – odezwał się Essex.

–Nie zmęczyłeś się? Masz jeszcze parę?

–Mów, czego chcesz?

–Odłóż lądowanie. Grupa startuje. Cel powierzchniowy. Okrągły i płaski. Wróć, nie płaski. Wklęsły półsferyczny. Tryb: wypalanie. Promień półsfery... – Raszyn zamyślił się. – Trzydzieści kilometrów. Punkt początkowy promienia: ruiny świątyni w centrum miasta. Nie, zostawić świątynię. Lepiej coś metalowego. Tak! Ten metalowy posąg w centrum miasta.

–Sprecyzuj, jakiego miasta – rzeczowo zażądał Tyłek.

Raszyn zacisnął szczęki. Na policzkach poruszyły się mięśnie.

–Miasto Moskwa! – wyrzucił z trudem.

Na kilka sekund w eterze zapanowała cisza.

–Proszę sprecyzować promień półsfery – powiedział Essex w końcu.

–Mówiłem przecież! Trzydzieści kilometrów. Trzeba wypalić to żmijowisko do cna, Phil. Żeby nikt tu nie został. I nic. Na zawsze, rozumiesz?

–Rozumiem, Aleks. Ale wiesz... Poczekać sekundę, poderwę całą grupę.

–Czekam – westchnął Raszyn, uderzając plecami w oparcie fotela.

Ive rzuciła przez ramię spojrzenie w głąb pomieszczenia. Andrew siedział nieruchomo w kącie. Podniósł głowę i patrzył teraz w ścianę, kłusując dolną wargę.

–Mam – zameldował szef sztabu. – Systemy się grzeją. Start za pięć minut. Posłuchaj, Aleks, jeśli mam zakładać siłę impulsu na trzydzieści kilometrów, i to półsferycznie, to głębokość leja w centrum będzie wynosiła niemal kilometr. Może jednak płaski cel, co? Nie wypalanie, a przyżeganie? I tak zetniemy grunt na dobre 20 metrów w głąb.

–Mało – rzucił admirał. – Pod miastem są katakumby. Doktor pomyślał, że te hufce,

których nawet on nie podejrzewał, wylazły właśnie stamtąd. Rób półsferę, Phil.

–Tam jest kijowa tektonika. Boję się, że urządzimy trzęsienie ziemi.

–No to wylicz wszystko. Co to znaczy: *boję się*?

–Przecież liczę.

–Musi być lej! – zażądał Raszyn. – Krater. Wypalić.

–Dobrze – westchnął Essex. – Może nie będzie silnych wstrząsów. A po manewrze dokąd? Przecież ujawnimy się jak cholera. Tak się pokażemy, że w Chicago będzie widać. Akurat flota jest na podejściu, sprawimy im kupę radości.

–Pionowo na orbitę – powiedział admirał. – Będę tam na was czekał. Tylko wydam polecenia co do... co do Lindy i już lecę.

–Dobra. My startujemy. Do widzenia, Aleks.

–Spal to miasto – już nie poleciał, a poprosił Raszyn. – Dobrze je spal.

Dowódca wstał, znowu podniósł worek i wyszedł na zewnątrz.

* * *

–Co to za kurewstwo? – zdziwił się commander Fein, kiedy skanery „Ripley” wykryły

jasny błysk na powierzchni Ziemi.

–Nasi walczą z Ruskimi – podpowiedział ktoś.

–Idiota! – ryknął dowódca. – Nie widziałeś globusa? Pamiętasz mapę? Gdzie to wybuchło?

–Gdzieś we wschodniej Europie...

–Policz moc... – poleciał Fein, uspokajając się. – Cała optyka na Ziemię. Patrzeć mi. Myśleć. Wspólnie!

–Koordynaty wybuchu mniej więcej zgadzają się z lokalizacją starej stolicy Rosji.

–To nie był wybuch – pokręcił głową Abe.

–Widzę silne zakłócenia atmosferyczne. Ktoś tam manewruje. Co najmniej eskadra.

–Nie eskadra – wykluczył Fein.

–Przepraszam, sir. Może nam pan po prostu wszystko opowie?

–Licz, Johny.

–Ma pan rację, to nie wybuch i nie bombardowanie, jeszcze raz przepraszam, sir.

–Przepraszam?! Ty powinieneś siedzieć nie w zwiadzie, tylko w gównowozie. Myśl!

–Idealny podział mocy na cel. Sądząc z danych, zakładają wklęsłą półsferę. Tak, dowódcu, to nie eskadra, to brygada średnich okrętów bojowych. Ciekawe, kogo oni tam wypalali?

–Dowiemy się. Załoga, do hamowania. Johny, kurs na Ziemię.

–Znowu?! – jęknął drugi pilot.

–Przecież to nasi! – roześmiał się Fein. – Nie rozumiesz, dupku, że to nasi? Nie wyłapali ich, oni tam są! Dlatego teraz „Pirx” lata w składzie armii! Stary Raszyn pooddawał duże okręty, żeby nie krępowaly mu rąk!! Zrobił z Grupy F skrzydło! I przed chwilą dał komuś ostro popalić! Hur-r-ra!

*** * ***

–Maszyna do startu – rozkazał Raszyn. – No to jak, doktorze? Z nami, co?

–Przepraszam – pokręcił głową Lloyd. – Tu jestem bardziej potrzebny. Gospodarka zrujnowana, trzeba będzie ją odtwarzać, mężczyźni poginęli. Jak to będzie wyglądało, jeśli ucieknę?

–Niech pan będzie świadomy, że teraz wie pan za dużo. Jeśli przegramy, prędzej czy później znajdą pana Dyrektorzy. I nie będzie litości.

–Pan nie przegra, admirale – powiedział etnograf. – Nie ma pan prawa. A mnie tak łatwo nie znajdą. Prostego rosyjskiego chłopca z przeciętną gębą...

–Rosyjskiego chłopca? – zapytał Raszyn. – Doktorze, może mi pan w końcu wyjaśni... Co to za magia dysponuje ten kraj? Po co pan, wykształcony człowiek, chce dzielić z tym narodem jego durny los?

–Niech się pan odczepi, Aleks. I jeszcze jedno. Jeśli pan przeżyje, proszę tu przyjechać. De Ville powie, gdzie będę. W najgorszym wypadku proszę pytać ludzi, czy nie widział ktoś Żeni Łożkina.

–Ale serio, po co to panu, doktorze?

–Obawiam się, że mnie pan nie zrozumie – westchnął Lloyd. – Po prostu nie udało się panu tu pomieszkać. Jeszcze nie jest pan Rosjaninem, admirale Raszyn.

*** * ***

Siedem cruiserów i cztery ogniwa destroyerów Grupy F ustawiły się w wymyślnym szyku bojowym na orbicie. Remontowiec został usunięty z dyspozycją przyczajenia się, a w razie wykrycia poddania okrętu bez bohaterskich wyskoków... Admiralski kuter zanurkował pod pachę w boku „Skoczka”. W śluzie stał już wyprężony jak struna adiutant flagowy Moser i ZDO Borowski. Moser był nie jak zwykle w mundurze paradnym, a w speckostiumie. W rękę trzymał nie manierkę z przemyconym napitkiem, a mobilny terminal.

–Panie admirale, sir... – zaczął regulaminowo pierwszy oficer, salutując.

–Nie mam czasu – machnął ręką Raszyn. – Moser, za mną! Borowski, zatankować kuter. Natychmiast.

U siebie w kajucie dowódca otworzył sejf, wyjął kilka dysków z danymi i włożył je do ręki adiutanta.

–Archiwum? – zdziwił się tamten.

–Nadeszła i twoja wielka chwila – powiedział admirał do Mosera. – Dasz radę dolecieć kutrem do Wenus?

–To byłby rekord, szefie.

–No to będziesz rekordzistą. Każdy chłopiec o tym marzy. Innych jednostek na razie nie mam. I drugiego takiego pilota na supermałe okręty też nie. Zaryzykujesz?

–Ja tylko tak... Bo mnie pan zaskoczył. Dolecieć się da. Tylko...

–No to słuchaj rozkazów. Bierzesz archiwum. Daję ci półtorej godziny na test systemów i załadowania procesora marszowego. Za dziewięćdziesiąt minut startujesz na Wenus. Zadanie: przeżyć i rozgłosić prawdę o nas. Wszystko.

–Dlaczego ja, szefie?

–A kto jeszcze może przelecieć kutrem taki dystans i nie wykitować? Będziesz miał na styk wszystkiego: paliwa, powietrza, jedzenia. Kto inny?

–Pan. Ive Kendall. Może Essex. Proszę wysłać Ive, szefie.

–Z przyjemnością. Ale ty nie dasz rady zastąpić jej tutaj.

–Przepraszam, sir.

–Poza tym dla wenusjańskiego Konwentu ona jest tylko dziewczuszką z kupą medali za zabójstwa. Nie wiadomo, jak ją potraktują. A ty jesteś oficerem sztabowym, moim osobistym przedstawicielem. To coś zupełnie innego. Możesz naprawdę powiadomić świat, co się stało z Grupą F. I co się naprawdę dzieje na Ziemi. Aha, mało nie zapomniałem... – Raszyn wsunął dłoń do kieszeni speckostiumu i wyjął jeszcze jeden dysk. – To obejrzyj sobie po drodze. Sam zdecydujesz, jak najlepiej przekazać tę informację. Tu jest wszystko, do czego dogrzebał się doktor Lloyd. Już sam ten dysk może zmienić ziemską historię na stulecia. Pod warunkiem, że trafi w dobre ręce poza Ziemią. Dlatego musisz dotrzeć do Wenus. Jeśli tu sobie nie poradzimy, to ty dokończysz naszą robotę innymi środkami. Rozumiesz?

–Będę tam za miesiąc, sir. Czy może nawet trochę wcześniej.

–Idź, Helmut – powiedział admirał, pierwszy raz w życiu nazywając swojego adiutanta po imieniu. – I powodzenia.

–Rozwali ich pan, szefie! – Moser zarumienił się. – Będzie mi bardzo przykro, że w tym nie uczestniczyłem.

*** * ***

–Sześć battleshipów – oznajmił Essex, wodząc kursorem po ekranie. – Megadestroyer „Stark”. Fighterów nie wiem ile, ale pewnie sporo. Mobilne miny. Utworzą szyk i zablokują tę część powierzchni, która nie jest osłonięta bateriami orbitalnymi. Już się nam nie uda zanurkować cichcem w atmosferę. Czego nie wymyślimy, będzie atak frontalny.

–Załogi mają do dupy – zauważył Borowski. – Tępe.

–Ale lojalne wobec Dyrektorów.

–Lojalne, bo tępe.

–Co mówi wywiad? – zapytał Raszyn.

–Godzinę temu specjalnym dekretem Rada Dyrektorów wprowadziła stan wojenny. Od tego momentu wszelkie rozmowy w Sieci są zablokowane. Emitują wyłącznie oficjalne bloki informacyjne. Tak więc opinia Akcjonariuszy już nikogo nie obchodzi.

–To dobrze – pokiwał głową admirał. – Niech poczują na własnej skórze, jakich gnoi wybrali.

–Nic dobrego. Jak będziemy śledzić opinię społeczną?

–Nie będziemy jej śledzić. Będziemy ją kształtować. Gdy tylko wylądujemy w Orly, od razu ją ukształtujemy.

–Wymyśliłeś coś? – ucieszył się Essex.

–Nie. Po prostu wyjdiesz do ludzi i powiesz: *władza – ludowi, fabryki – robotnikom, ziemię – farmerom, żołnierzy – na emeryturę. Dyrektorów – na latarnię.* A potem w zależności od tego, co się będzie działo.

–Dlaczego ja?

–A kto?

–Ty! Amerykanom się spodobaś – zauważył szef sztabu. – Oni zawsze lubili takich samotnych jeźdźców.

–Ale Rosjanom się nie spodoba – rzucił Raszyn.

–Z tego, co wiem, to w Rosji są tylko dwa terminale Sieci. Na Uniwersytecie Pskowskim i u tego Francuzika, jak mu tam...

–Przestań się zajmować głupotami, Phil! Kto przeżyje, ten będzie mówił. Co proponujesz teraz?

–Przebijmy się przez baterie orbitalne. Sumaryczną moc mają znacznie wyższą niż flota, ale zerową mobilność. Poza tym na wypadek obcej agresji powinniśmy oszczędzać ziemskie okręty.

–Może to przykre, ale mam takie samo zdanie – pokiwał głową admirał. – Dobra, niech sztab zajmie się opracowaniem planu. Mamy do dyspozycji jakieś dziesięć godzin.

–Dwa słowa, Aleks. Wszystko rozumiem, Moser świetnie kieruje małymi jednostkami, ale... Dlaczego nie wysłałeś na Wenus swojej dziewczyny?

Raszyn przymknął powieki i zaczął masować palcami skronie.

–Zrozum mnie dobrze, nikt tu nie zamierza umierać – szepnął Essex. – Ale mimo wszystko?

–Ta dziewczyna brała udział w zabójstwie kilkuset tysięcy ludzi – cicho odpowiedział dowódca. – Jej służbowe CV jest znane każdemu, kto ma jakikolwiek związek z kosmosem. Wszystkie jej medale, wszystkie zasługi dotyczą Ziemi. Jest przestępcą wojennym, Phil. A o Moserze cały Słoneczny wie, że to szczer sztabowy, pieczeniars

i patologiczny tchórz. Ktoś nawet gadał, że karę za wykroczenia służbowe odbywa w moim łóżku. Dlatego Moser wyżyje w każdej sytuacji. I zrobi to, czego od niego wymagamy. A co się tyczy Ive... Kiedy kazałem jej w pełnym biegu przewrócić „Skoczka”, sam nie wierzyłem, że coś takiego jest możliwe. A ona nawet się nie namyślała. Po prostu wykonała rozkaz. Jest genialnym wykonawcą, Phil. Jestem gotów lecieć z nią na każdy bój. Ale misja dyplomatyczna... Nie.

–Moser jest obiektywnie lepszy – poparł admirała Borowski. – Po pierwsze, wcale nie jest tchórzem. Po drugie, jest niezwykle elastyczny. Po trzecie, od dawna już się pali do jakiegoś czynu, ale ciągle nie może wybrać, o jaki mu chodzi. Teraz dostał od nas kierunek.

–Wszyscy staramy się jak najlepiej – mruknął Essex. – Jak najmądrzej. Wybieramy dobrych wykonawców. Śrubki i muterki...

–Taka robota – westchnął Raszyn. – Gdyby mi ktoś na uczelni powiedział, że za trzydzieści lat moim podstawowym zajęciem będzie wybór, kogo wysłać na pewną śmierć, a komu dać odroczenie... Powiedziałbym, po chuj mi to, *riebiata!*

Resztki niegdyś potężnej ziemskiej floty utkały nad globem dziurawą pajęczynę i zawisły w oczekiwaniu na atak, zdenerwowane imiotane wątpliwościami. Po ulicach wymarłych miast pełzały transportery opancerzone sił policyjnych. Europa i Ameryka pogrążyły się nocami w aksamitnym mroku zaciemnienia, co było kretynstwem najwyższym, ponieważ Grupa F dysponowała superdokładnymi mapami zasiedlonych rejonów. Rada Dyrektorów opuściła swój komfortowy budynek w centrum Brukseli i zeszła głęboko pod ziemię, do bunkra. Przewodniczący Zarządu z postaci czysto marionetkowej nagle stał się ważnym VIP-em. Staremu flegmatykowi powierzono zadanie wyjaśnienia ludowi stanu rzeczy. Tak więc co godzinę podpisywał rześkie oficjalne komunikaty nawołujące Akcjonariuszy, by ciałniej zwarli szeregi i nie upadali na duchu.

Akcjonariusze nie upadali na duchu, a wręcz przeciwnie, złośliwie chichocząc, rozjeżdżali się po rodzinie i znajomych mieszkających w wiejskich okolicach. Policja wyłapywała ich i zapędzała ponownie do miast, co sprowokowało wybuchy niezadowolenia zmieniające się w demonstracje z bijatykami, rozbijaniem witryn i wywracaniem samochodów. Akcjonariusze bardzo nie chcieli, by władza osłaniała się przed Grupą F ich ciałami. Nastroje były niemal jak w przeddzień Kotłowaniny. Dlatego nadszedł czas, żeby złapać manele i wiać, najlepiej tam, skąd do miast przywożą mięso, chleb i mleko.

Wyczuwszy sprzyjającą chwilę, zaczęli buntować się farmerzy, żądając podniesienia cen skupu albo obniżenia cen paliwa, a najlepiej jednego i drugiego jednocześnie. Nieoczekiwanie zagrozili strajkiem transportowcy. Na Wyspach Brytyjskich mówiło się coraz głośniejsze o secesji i ogłoszeniu niepodległości tego najmłodszego stanu

USA. Na to, że ogłoszono globalny stan wojenny i takie oświadczenia mogą postawić politykujących pod murem, nikt nie zwracał uwagi. Kryzys, od dawna dojrzewający, zaczął się powoli rozkręcać.

Grupa F zamarła na pozycjach, czekając, czy sprzeciw wobec Dyrektorów wybuchnie sam, oddolnie, czy trzeba będzie coś zrobić. Raszyn wydał odpowiednie rozkazy. Większość oficerów akceptowała taką taktykę, ale atmosfera na pokładach okrętów stawała się coraz bardziej nerwowa. Jediną osobą, której ogólne napięcie jakby nie dotknęło, był Borowski. ZDO ćwiczył przed lustrem swoje wystąpienie skierowane do Akcjonariuszy. Chociaż nikt mu tego nie zlecił.

Trwale usadowiony na „Rocannonie-2” Essex z otępiającą regularnością ogłaszał alarmy i prace profilaktyczne. Oblicze niemal odsuniętego od dowodzenia kapitana destroyera stawało się coraz bardziej purpurowe i coraz mocniej zajeżdżało od niego siwuchą. Na „Skoczku” Fox zasmrodził dymem z cygar całe SDO. Iwe trzykrotnie już przymierzała się do testu ciężowego, ale za każdym razem nie docierała do punktu medycznego, gdzie w tym czasie doktor Epstein pił nierozcieńczony spiryt i cicho płakał nad zdjęciem Lindy.

Podwładni Wenera załatali popękane ścianki działowe na rufie i smętnie pętali się po okręcie, wyszukując rzeczy, które jeszcze mogliby naprawić. Andrew w swojej kajucie pisał coś zapamiętane węglem na jednorazowym prześcieradle. Co to? – zapytała kiedyś Iwe.

Werner zmieszał się i odpowiedział, że kiedyś jej o tym opowie. O swojej sprzeczce niby zapomnieli, ale oboje wyczuwali lekkie ochłodzenie. Candy było wstyd, że nagadała ukochanemu świństw, a ten martwił się, że doprowadził ukochaną kobietę do takiego stanu. Na razie nie potrafili zdecydować, co właściwie ich w sobie irytuje – musieliby usiąść i szczerze porozmawiać, ale Iwe nie miała wcale czasu. Spędzała w SDO szesnaście godzin na dobę, trenując po kolei wszystkie wachty nawigacyjne „Skoczka”, a potem waliła się na wyro i spała jak zabita. Czuła, że nawet lepiej zająć się pracą, niż myśleć o ewentualnych zmianach w życiu i nieodwracalnych decyzjach.

Raszyn studiował podczas wacht literaturę historyczną, a w czasie wolnym siedział w bibliotece i wyszukiwał nowe źródła. Czytał, oburzając się i podniecając, denerwując astronautów niezrozumiałym mamrotaniem pod nosem, ale cały czas obserwował sytuację i popędzał do roboty przyłapanych niezgrabiaszy.

Przed nim widniała zdigitalizowana przez komp nieoświetlona strona Ziemi. Kropeczki, kółeczka i trójkątki okrętów admiralicji kłuły w oczy. Oczekiwanie stawało się nieznośne.

Piątego dnia skanery Grupy F odnotowały obiekt zmierzający po orbicie od strony Marsa. Okazał się on truckiem republikanów beztriosko zbliżającym się do formacji od tyłu. Ucieszeni z wydarzenia astronauta zaczęli robić zakłady o to, czy Marsjanin walnie w któryś z zamaskowanych okrętów, czy może trafi w lukę między nimi.

Ciężarówka przeleciała jednak przez szyk i zanurkowała dalej ku Ziemi.

–Niedobrze – zauważył Essex, pojawiwszy się na monitorze SDO „Skoczka”. – Trzeba by go... ten tego... Może do nas leciał, sierota jedna.

–Ryzykujemy, że się ujawnimy – pokręcił głową Raszyn. – A jeśli to taki głupek, że nie zauważył całej grupy, to w ogóle nie mamy o czym gadać.

–Niby nie moja sprawa – oświadczył Borowski, chociaż nikt go nie pytał o zdanie. – Ale jeśli za jakieś dwa – trzy megametry nie skręci, to Ziemia w niego walnie.

–No i niech walnie, my popatrzmy – powiedział admirał.

–A jeśli nawet uniknie trafienia – ciągnął jego pierwszy oficer – to Ziemianie mogą uznać, że to nasz wydech, i rzucają tutaj cały tłum. Zdemaskuje nas, gnojek.

–No i niech się rzucają, a my popatrzmy. Wyluzuj, Jean Paul. On nie do nas leci. Do nich.

Borowski coś mruknął z niezadowoleniem i demonstracyjnie zaciągnął pasy bezpieczeństwa do oporu. Że niby on ostrzegał, a że nikt nie słuchał...

Tymczasem marsjański stateczek wolno zbliżał się do linii ziemskiej obrony.

–Panie admirale, sir! – zawołał Raszyna łącznościowiec. – Marsjanin coś nadaje kodem. Ziemia odpowiada. Tych kodów nie mamy w swoich tabelach. Czy chce pan, żeby przekazać zapis do deszyfracji?

–Cóż, próbujcie – przeciągle powiedział zamyślony dowódca. – Ale to wszystko ciekawe...

–Kto to może być, *driver*? – odwróciła się do niego Ive.

–Poseł – bez przekonania odparł admirał. – Nadzwyczajny i pełnomocny.

–Czyli kto? – zdumiał się Borowski, zapomniawszy, że jeszcze przed chwilą był obrażony.

–Jest takie stanowisko. Oficjalna postać mająca prawo przemawiać w imieniu rządu. Wyrażać jego punkt widzenia.

–A co, nie mogli pogaworzyć daleką łącznością?

–Może jakaś bardzo poważna sprawa.

Na orbicie truck przycumował do burty „Starka”. Raszyn przez chwilę gryzł wargę, wreszcie wsunął ręce do kieszeni i rozwalił się w fotelu.

–Zaraz go przerzucą na kuter – uznał – i spuszczą na dół. Zejdzie im na to ze dwie godziny. Trzy godziny co najmniej będzie jechał do Dyrektorów... Spokojnie zdążę się wyspać. Jean Paul, przejmij wachtę. Ja walę w kimę. Czy może poczekać na kuter, co?

–Może lepiej niech pan tu zostanie, *driver*? – poprosiła Candy.

–Denerwujesz się, mała? – zapytał z uśmiechem admirał. – Dobra, poczekam.

Po półgodzinie od „Starka” odcumował kuter. Raszyn z zadowoleniem ziewnął.

–Tak – powiedział. – Póki politycy nie dogadają się ze sobą, wojny na pewno nie będzie.

Ogłaszam rozkaz dla grupy: wszyscy spać. Czuwają tylko dyżurni. Pobudka za pięć godzin.

Za sześć pełna gotowość do manewru zgodnie z ustalonym planem. Jean Paul, dopilnuj

wykonania rozkazu. Panie i panowie, dobranoc.

Z tymi słowy podniósł się, przyjaźnie walnął w łopatkę zaskoczonego Borowskiego i wyszedł z SDO.

–Z czego on taki zadowolony? – Iwe spojrzała na pierwszego oficera.

–Mam takie przeczucie, że albo za sześć godzin ktoś nas zaatakuje, albo my kogoś –odparł Borowski. – Albo ktoś się podda komuś bez walki. – ZDO rozpiął pasy, przesiadł się na fotel dowódcy, wyprowadził na ekran menu łączności wewnątrzgrupowej i zaczął wystukiwać rozkaz.

–Poseł, ja cię pieprzę! – oświadczył z rezerwowego stanowiska dowodzenia siedzący na nasłuchu Fox. – Kosztowna zachciewajka. Fajnie za pieniądze narodu posyłać jakiegoś lenia za siedem gór i rzek, żeby komuś przekazał kilka słów... Ale dlaczego truckiem? Battleshipa powinni byli mu dać! Nie, megadestroyer! Z eskortą! Paradne mundury! Warta, baczność! To ci, kurna, do czego doszli czerwonodupcy! A nazywają się republiką...

–Truck, żebyśmy go nie przechwycili – powiedział Jean Paul. – A powinniśmy. Żeby przynajmniej zobaczyć, jak wyglądają takie posły...

Jak przepowiedział Raszyn, w najbliższych godzinach na ziemskiej orbicie było cicho, tylko dwukrotnie do „Starka” podlatywały z dołu promy zaopatrzenia. Kuter wrócił po pięciu

godzinach i czterdziestu dwóch minutach. I niemal od razu na czarnym kolosie zamigotało białe światło.

–Zbeczelnieli do cna – mruknął Borowski. – Czytamy. Na-zwy-czaj-ny i peł-no-mocz-ny po-zeł Re-pub-li-ki... Mać jego blada, co za dupek analfabetyczny tam siedzi?... Pro-się o poz-wo-le-nie... Spot-ka-nia. Nie strze-lać. Pro-się-my o pot-wier-dze-nie zgo-dyjed-ny mru-gnię-ciem. A już! Ja ci mrugnę. Z głównego kalibru...

–Pomysł dobry – powiedział Raszyn. – Ale przedwczesny. Wywiad! Jakie prawdopodobieństwo, że jesteście namierzeni?

–Jakieś trzydzieści procent, sir. W dużym przybliżeniu. Celują ciągle obok.

–Jeśli jesteście mu bardzo potrzebni, to niech sam nas szuka – podsumował admirał. – Kogo tu mamy najbliżej do ich strefy ostrzału? Aha, „von Rey”. No i świetnie. Zobaczymy, dokąd się Marsjanin skieruje. I zdecydujemy odpowiednio.

„Stark” powtórzył komunikat, tym razem już bez błędów.

–Panie admirale, sir! – odezwał się zwiad. – Znowu goście. Z tyłu zbliża się samotny scout. Oznakowanie wenusjańskie.

–Coś się tu zrobiło tłoczno – mruknął dowódca. – I republikanie, i neutrale... Scout, to niedobrze. Zauważy nas. Blisko jest?

–Wchodzi w strefę rażenia baterii rufowych cruiserów, sir. Melduję, panie admirale, że przynależność scouta wywołuje wątpliwości.

–Nie rozumiem? – Raszyn zmarszczył brwi.

–Oznakowanie, jak powiedziałem, wenusjańskie. Ale typ jednostki... We flocie neutrali nie było takich nigdy. To jest ósemka, sir. Dobra bojowa maszyna, niemal nowa.

–Pewnie jakiś prezent od Dyrektorów – machnął ręką admirał. – Może nawet jakiś nasz były. Dobra, na razie go pilnujcie. Bardzo nie w porę się pojawił...

–A może leci tu jeszcze jeden poseł? – uśmiechnął się Borowski.

–Na razie jeden nam wystarczy. Jak sądzisz, dlaczego Wenusjanie się wtrącili?

–Na pewno nie z dobroci serca – zapewnił dowódcę jego zastępca.

Nie doczekawszy się potwierdzenia od Grupy F, marsjański truck odcumował od burty „Starka” i wolno ruszył przed siebie.

–Jeśli nie zmieni kursu, to minie nas w odległości dziesięciu megametrow od lewej burty – zameldował zwiad. – Skanery mu łypią na całą moc, sir. A wenusjański scout jest tuż-tuż.

–Widzę – skinął głową Raszyn. – Coś mi się nie podoba w tej całej sytuacji. Żle stoimy, oj, źle. Bez sensu.

–Wspaniale stoimy – zaprzeczył Borowski.

–Panie admirale, sir, szef sztabu na łączu.

–Dziękuję. Phil?

–Mam pełną gotowość do manewru. A co u ciebie?

–Bardzo chętnie dałbym pełną wstecz – przyznał się dowódca grupy.

–Dlaczego?

–Nie mam pojęcia. Ale sytuacja wymyka się spod kontroli, nie uważasz? Co nam szkodzi odskoczyć i się przegrupować?

–Sam wiesz, że wyjdziemy z martwej strefy.

Raszyn westchnął. Grupa F kryła się w jednej z rzadkich stref w przestrzeni okołozemskiej, gdzie z niewiadomego ciągle powodu zamierał każdy, nawet najsilniejszy sygnał radiowy. Między sobą jednostki mogły porozumiewać się bez większego trudu, ale połączenie na przykład z Ziemią wymagałoby już dalekiej łączności. Tracić przewagi, jaką dawała taka dyslokacja, admirał, rzecz jasna, nie chciał. Ale to, że jego okręty najwyraźniej przystanąły na środku tajnej międzyplanetarnej autostrady, z każdą chwilą coraz mocniej działało mu na nerwy.

–Według mnie nic się nie dzieje – ciągnął Essex. – Truck przejdzie obok, to widać gołym okiem. Kiedy odleci na odpowiednią odległość, pošlemy za nim kuter. Ale ci neutralni... Kiego wała on tu chce?

–I ja też tak sądzę, kiego? I w ogóle skąd on jest? A może to nie scout, tylko mobilna mina.

–To scout, co do tego nie ma wątpliwości.

–Może by go tak przeskanować?

–Nie wolno, odkryjemy się.

–Wiem. Nie znoszę, jak nic ode mnie nie zależy...

–A kto tu piątą dobę tak wisi w bezruchu?

–Sam wymyśliłem, to sam wiszę. Wcześniej wszystko było słuszne. A teraz wychodzi, że jesteśmy zakładnikami własnej pozycji. Cwanej i takiej dogodnej.

–No to wisimy – podsumował Tylek. – I czekamy na rozkaz. Koniec, ja ci zameldowałem *gotowość zero*.

–Przyjąłem. Dzięki.

Truck przelatował na lewo od grupy wolno, jakby demonstrował swoją bezbronność. Scout czołgał się z tyłu. Już było jasne, że widzi okręty Raszyna. Dokładniej, musi widzieć, chyba że jest ślepy.

–Świetną ma ten neutral wyliczoną trajektorię – powiedział Borowski. – Założę się, że jego dowódca musiał kiedyś z nami walczyć, no bo gdzie by podpatrzył? Takim kursem doczołga się do samej atmosfery niezauważony i jeszcze „Starkowi” wydrapie jakieś niecenzuralne słowo na poszyciu.

–Zamknij się – poprosił admirał. – Przeszkadzasz myśleć.

Borowski prychnął i odwrócił się. Niezauważalnie dla nikogo wyjął z kieszeni cylinder markera z czerwonym paskiem na boku, mimo ciężkiej rękawicy zręcznie odkręcił pokrywkę jedną ręką i w ciągu niecałych dwóch sekund narysował na swoim pulpicie karykaturę

Raszyna. Admirał wyszedł mu jak żywy. ZDO przyglądał się chwilę swojemu dziełu, sapnął zadowolony i już zupełnie spokojny wsunął marker do kieszeni.

–Marsjanin hamuje! – oznajmił nagle z przejęciem drugi nawigator. – Sir, znalazł się na skraju martwej strefy...

–Tak, tak, widzę, „von Rey” będzie musiał się nim zająć. Ma najbliżej. Dajcie mi łącze. Niech będzie przeklęta ta martwa strefa, żeby ją... Jak by go ściągnąć do nas bliżej? „Lock von Rey”! Tu dowódca! Słuchaj, możesz lekko podświetlić swoją rufę, żeby ten cymbał cię zobaczył?

–Mam w służbie towarowej stroboskop, panie admirale, sir. Otworzymy luk i nikt nic

nie zobaczy. Będziemy mogli komunikować się niezauważalnie dla innych. Będziemy gotowi za pięć minut.

–Zuch. Zapytaj, o co mu chodzi.

–Wykonuję.

–No dobra... – mruknął Borowski. – My tu się denerwujemy, boimy, a podwładni już sami wszystko wymyślili.

–Ba! Czyi to w końcu są podwładni, co? – chytrze zmrużył oczy Raszyn. – Kto ich uczył wszystkiego?

W tym momencie truck eksplodował.

* * *

Gdy oślepiający błysk wypełnił sobą cały kosmos, „Ripley” znajdowała się już wewnątrz szyku Grupy F. Na sekundę commander Fein stracił nad sobą panowanie, ponieważ miał wrażenie, że przez poszycie scouta widzi gwiazdy. Potem zwiadowca usłyszał przeraźliwe wycie w słuchawkach i wtedy się ocknął. Wyła syrena powiadamiająca o utracie sterowania statkiem.

Fein otworzył oczy i odkrył, że w pomieszczeniu panuje mrok, a przed nosem pali mu się jedna jedyna lampka awaryjnego odłączenia reaktora.

–Bezpieczniki! – ryknął dowódca.

W tym momencie błysnęło ponownie.

Gdyby astronauci nie byli przypięci pasami do foteli, to z przyjemnością by pod nie wleźli. Scout zadrżał – do systemu runęła energia z zasobników. Potem znów zatelepało „Ripley” – poszedł jeszcze jeden blok i układ się rozłączył.

–Bezpieczniki! – ryknął powtórnie Fein, zasłaniając rękoma pokrywę hełmu, jakby to mogło przynieść ulgę.

Jeszcze jeden bezdźwięczny błysk niemal przesywający człowieka na wylot. I jeszcze jeden. I jeszcze...

–To nasi! – wrzasnął nawigator. – Przecież to nasi!!! Reakcja łańcuchowa!!!

Dowódca wsunął rękę pod fotel, zerwał plombę z dźwigni i mocno chwycił rękojeść.

–Trzymajcie się! – krzyknął, szarpiąc dźwignię do siebie.

Reaktor odżył i z całej siły cisnął oślepionym scoutem przed siebie.

Póki aresztowana marsjańska delegacja tłumaczyła dochodzeniowym Dyrektoriatu, że w Pasie zauważono okręty Obcych, na orbitę w pośpiechu wysyłano promami cały istniejący ziemski zapas broni jądrowej, zachowanej jeszcze z czasów Północy. Marsjanie żądali natychmiastowego wstrzymania działań militarnych, amnestii dla Grupy F, zjednoczenia całej floty Słonecznego i rzucenia jej do obrony. W tym czasie na poselskiej ciężarówce montowano detonatory. Ziemian wcale nie przekonało nawet oświadczenie republikanów, że policyjna eskadra Rabinowicza nie wróci do domu, ponieważ aktualnie formuje szyk obronny nad Red City. Nawet kiedy Marsjan zupełnie serio postawiono pod ścianą, ci nadal pletli prowokacyjne bzdury. Było to zabawne, ponieważ truck już wystartował.

Dyslokację Grupy F Ziemianie wyliczyli w wielkim przybliżeniu, ale mocy urządzenia wybuchowego wystarczyłoby do rozwalenia na pół całej planety. Wściekły strumień twardego promieniowania powinien był przeszyć korpusy jednostek, wywołać katastrofalne awarie elektroniki i spowodować, że buntownicy staną się widoczni i bezsilni. Wyniki przeszły jednak wszelkie oczekiwania.

Kiedy nad nieoświetloną stroną Ziemi zapłonęło nowe słońce, cruiser „Lock von Rey” znajdował się o siedem megametrow od epicentrum wybuchu. W ułamku sekundy niesterowana reakcja łańcuchowa rozerwała mu część napędową. Zaraz potem eksplodował znajdujący się obok klucz destroyerów. Pozostałe okręty Grupy F, poszkodowane w mniejszym stopniu, na pewien czas straciły zdolność bojową. I rzeczywiście, tak jak życzyli sobie Dyrektorzy, stały się widoczne.

Mimo że przestrzeń dokoła grupy szybko wypełniała gorąca radioaktywna chmura, ziemska flota rzuciła się dobijać przeciwnika. Z tyłu osłaniał ją megadestroyer „Erick John Stark”, który otworzył ogień z maksymalnego dystansu i bez specjalnego wysiłku rozwalił jeszcze jeden destroyer. Buntownikom pozostało zaledwie czternaście jednostek wiszących nieruchomo jak tarcze. Niezwyciężona Grupa F została faktycznie rozbita. Aby zakończyć ten proces, wystarczyło wykonać w ocalałych okrętach odpowiednią ilość dziurek.

–Ile załapaliśmy? – zapytał Fein, manipulując lutownicą w trzewiach systemu kierowania podglądem.

–Będziemy żyli! – odpowiedział Johny, rzuciwszy przelotne spojrzenie na licznik promieniowania. – Ale bezdzietnym członkom załogi nie zazdrozczę. Szefie, musimy wstrzyknąć Red Away. I to im szybciej, tym lepiej.

–Słyszeliście? Wykonać! To gówno, chłopcy, jak zwyciężymy, to się wyleczymy. Gdzie jest granica martwej strefy?

–Za dwie minuty, szefie. – Chłopak wsunął na miejsce blok bezpieczników i pochylił się nad pulpitem kontaktowym. – Zuch „Helen”! Wałą w ciebie bombą wodorową, a ty ciągle coś w sobie...

–I kobita ładna – radośnie odezwał się technik, wrywając z flakami coś z panelu kontroli zwierciadeł.

–O kobitach na razie zapomnij – ponuro poradził mu nawigator. – Mamy optykę, szefie. Uruchamiam diagnostykę. O matko kochana! Popatrzcie tylko!

Fein wdusił przycisk wmontowanej w skafander apteczki i syknął, otrzymawszy bolesną iniekcję w łędźwie. Ekran przed nim rozświetlił się, nad głową zachrobotał ładujący dane komputer systemu nawigacyjnego.

–Śmierć... – mruknął dowódca, odrzucając lutownicę. – Ratunku...

Przestrzeń była bardzo nieprzyjemnie jasna, nawet bardziej niż podczas lotu nad oświetloną połową Ziemi. Tylko że wszystkie widoczne obiekty świeciły na czerwono. Pojawiła się gwiazda, purpurowa, puchnąca w oczach.

Scout, wyskakujący na awaryjnym ciągu z obszaru dyslokacji Grupy F, zbliżał się do ojczystej planety. Na jego spotkanie, rozwijając atakujący szyk, pędziły okręty admiralicji. Kiedy Fein doliczył się sześciu battleshipów, dalsze rachunki przestały go już interesować. Ziemia miała ogromną przewagę. Gdyby okręty Grupy F mogły coś przedsięwziąć... Ale one dopiero zaczynały się ruszać, niepewnie i z odłączonymi urządzeniami przeciwwzakłóceniovymi.

–Nasi wałą czołowo – powiedział Johny. – Samobójstwo, prawda, szefie?

–Nie mają po prostu innej możliwości – westchnął Fein. – Nie mogą się odwrócić i zwiać, nie zdążą. A tym sposobem, jeśli zdołają przeskoczyć przez ten niezdarny szyk... Mogą zanurzyć się w atmosferze i zwiać na wschód. Gdyby nie „Stark”! Bo ten wisi akurat nad Azją, trzyma w szachu skrzydło baterii orbitalnych. Ech, koniec... Dobra, chłopaki. Obiecacie, że będziecie mnie słuchać. Papa Abraham coś wymyśli.

–Granica martwej strefy, szefie. Myślę, że już można spróbować łączności. Kogo mam odszukać, Raszyna?

–Nie – rzucił twardo zwiadowca. – Daj mi awaryjną falę dla komunikatów głosowych.

–Chce pan po prostu krzyknąć *mayday*? – nie wierząc własnym uszom, uśmiechnął się Johny.

–Chcę głośno krzyknąć *pizdied* – warknął Fein.

*** * * Kiedy na „Skoczku” instalacje pokładowe poraziło nieoczekiwane zwarcie, a cruiser stał się ogromnym i kosztownym grobowcem, Ive Kendall krzyknęła przeciągle, instynktownie chwytając się za brzuch. Na szczęście okręt flagowy był daleko od epicentrum wybuchu i jego poszycie zatrzymało większość śmiercionośnego promieniowania. Ale impuls elektromagnetyczny rozwalil wszystkie systemy sterujące. Wnętrze okrętu pogrążyło się w mroku. Trwało to przez nieskończenie długą sekundę i póki nie włączyły się obwody dublujące, SDO wypełniał wielogłosy krzyk strachu.**

Potem ekrany i pulpity odżyły, zaś astronauta jednocześnie umilkli. W ciszy rozległ się spokojny, pewny siebie głos:

–Gotów do meldunku o uszkodzeniach.

Ive zatkąło. Raszyn głośno odkaszlnął i z trudem oderwał ręce od maski speckostiumu. Jak wielu innych odruchowo zasłonił twarz rękami.

–Posterunek kontroli technicznej, tu Werner – przedstawił się głos. – Wzywam SDO. Gotów do meldunku o uszkodzeniach.

–Słucham cię, *Andriej* – powiedział admirał, macając deskę kontaktową i niezgrabnie kręcąc głową na boki. W trybie awaryjnym cała telemetria była mu rzucana prosto na siatkówkę. Tym sposobem przeglądał teraz wnętrze okrętu.

–System sterowania ogniem znajduje się w trybie autodiagnostyki. Odtworzy się mniej więcej za trzydzieści sekund. Centralny rdzeń czynny. Sterowanie zwierciadłami w normie. Kontrola zwierciadeł: norma. Zwierciadła: norma. Główny problem: wywaliło system w części napędowej, sir. Straciliśmy zdalną kontrolę. Przegrzanie reaktora do czterdziestu procent. Wolno rośnie. Wywalona całkowicie kontrola chłodzenia. Sir, czy mogę iść na rufę i stamtąd sterować ręcznie?

–Ty to poważnie, *Andriej*? Ile mamy czasu?

–Pełnego obciążenia nie więcej niż na godzinę. Potem trzeba będzie katapultować tę zabawkę. Jedyne szansa na zachowanie reaktora: natychmiast go wyłączyć i używać tylko tego, co jest w zasobnikach.

–Nie wystarczy nam nawet na lot ku Ziemi. Na pewno już nie wylądujemy.

–Rozumiem, sir. Powtarzam: możemy walczyć przez godzinę. Dłużej go nie utrzymam. Mogę iść?

–Tak – cicho powiedział Raszyn.

–Mam meldunek od szefa sztabu – odezwał się Borowski. – W przedziale

optycznym.

–Dawaj – nawet nie rozkazał, raczej poprosił admirał.

–Straciliśmy cruiser i trzy destroyery. Przyczyna: reakcja łańcuchowa. Jeden cruiser i jeden destroyer nie odpowiadają na wezwania, przypuszczalnie promieniotwórcze porażenie załóg. Na „Rocannonie-2” poważna awaria systemu sterowania ogniem, brak posterunku łączności radiowej, przegrzany reaktor. Nie dadzą rady wykonywać działań bojowych. Mój sektor zasnuty jest chmurą. Proszę o pozwolenie wysunięcia się z zanieczyszczonego sektora i wyrzucenia załogi w modułach awaryjnych.

–Nie tylko załogę – cicho polecił Raszyn. – Przekaż Esseksowi rozkaz. Niech wyrzuci wszystkich co do jednego, w tym siebie. Wykonać natychmiast.

–Tak jest, sir.

Admirał zabębnił na swojej desce i znowu zaczął kręcić głową.

–Okręt flagowy do brygady Attack Force – powiedział, nie podnosząc głosu. Ale i tak musiał go usłyszeć każdy, kto jeszcze mógł słyszeć, ponieważ Raszyn przełączył się na

wewnętrzny interkom. – Okręt flagowy do brygady Attack Force. Rozkaz: powtarzaj działania za mną. Dla ocalałych miejsce kontaktu... Tam, gdzie straciliśmy Lindę Stanfield. Jak mnie zrozumieliście? Meldować po kolei.

W słuchawkach odezwały się odległe głosy dowódców. Zaledwie dziesięciu.

–Ziemianie atakują! – zameldował Fox.

–Widzę – skinął głową admirał.

–Zostawili „Starka”, by odcinał nam drogę do powierzchni planety. Domyślają się, że będziemy chcieli się przebić.

–To też widzę. Michael, słyszałeś, co się dzieje z reaktorem? Myśl, kiedy zaczniesz strzelać.

–Szefie, przeciwko nam stoi megadestroyer. Kiedy zacznę dławić jego baterie...

–No i dław, byle z pomysłu. Może i bez reaktora, ale chciałbym, żeby okręt wylądował cało. Jeszcze się nam przyda. Candy? Gotowa?

–Gotowa, sir! – skinęła głową Ive, choć poczuła strach, że tym razem na pewno zawiedzie. Manewr przebicia był dla niej jasny, ale nie miała pojęcia, jak potem

wykręcić się od uderzenia potwornych baterii „Starka”.

Nie miał go też Raszyn, ale nie dzielił się na razie tą niewiedzą. Jasne było tylko jedno – nie zdołają uciec z pola bitwy. Zostaje atak czołowy i nadzieja, że załoga jest wystarczająco dobrze wyszkolona.

–Chcę, żebyśmy dzisiaj znowu zwyciężyli – powiedział po prostu. – Kapitan-porucznik Kendall! *Pajechali!*

*** * ***

Cztery cruisery i siedem destroyerów – oto co zostało z Grupy F, kiedy ruszyła na Ziemi. Usuwający się na bok „Rocannon-2” wyrzucał moduły. Raszyn gotów był się modlić, aby Esseksowi nie przyszedł do głowy jakiś bohaterski czyn, żeby wystarczyło mu rozumu na ewakuację.

Ziemskie battleshipy, jak zaplanowano, zaczęły ostrzał z dystansu, pudłowały i traciły wiele czasu na przeładowanie. Udało im się trafić jeszcze jeden destroyer, ale reszta okrętów grupy, posztukowawszy elektronikę, zaczynała już aktywnie manewrować i używać zakłócaaczy. Obie eskadry zbliżały się, jedna – plując ogniem, druga – wykręcając tylko wymyślne zwody. Gdzieś daleko z przodu, już niemal na szpicy Ziemi, majaczył wenusjański scout.

–Panie admirale, sir! – zawołał radiowiec. – Neutral posługuje się akustyką na fali awaryjnej! Chce pan posłuchać?

–Daj! – wychrypiał oplątany przewodami Raszyn, kręcąc się wraz z fotelem i rozpaczliwie gestykulując.

–*Mayday! Mayday!* – usłyszeli w głośnikach podniecony głos. – Tu specjalny wysłannik Konwentu! Żądam natychmiastowego lądowania! Mam awarię procesora napędowego, tracę sterowność! Nie strzelać! Jako członek korpusu dyplomatycznego znajduję się pod pieczęcią Rady Dyrektorów! *Mayday!* Żądam awaryjnego lądowania scout cywilnej floty Wenus, numer pokładowy › dwieście trzy! Na pokładzie znajduje się specjalny wysłannik Konwentu z osobistym tajnym plikiem do Dyrektora Generalnego! Nie strzelać! Proszę o bezpieczny kurs!

–Znam tego faceta – powiedział z pewnością w głosie Borowski. – Nie, no pewno, znam tego gościa!

–„Erick John Stark” do wysłannika Konwentu – zagęgał ktoś w eterze. – Jesteście zidentyfikowani. Zezwalam na kurs prosto na mnie ze zmianą w odległości megametra o trzydzieści stopni w prawo. Potem otrzymasz kurs poniżej poziomu baterii orbitalnych z możliwością lądowania w południowej Europie.

–Przecież wy tam macie wszystko obsrane w tej południowej Europie! – wrzasnął wysłannik łamiącym się głosem.

–Chyba chcieliście awaryjnego lądowania? – zauważył ktoś na „Starku” z pewnym zdziwieniem.

–Nie, no pewno, znam tego wała! – ryknął Jean Paul. – Tylko kto to jest?

–Oczywiście, że awaryjne! – darł się neutral. – Ale nie w takiej dupie!

–A może chcieliście na ręcznym prosto do Brukseli? – zakpił Ziemianin.

–Dam sobie radę! Jakoś...

–Lądujesz tam, gdzie ci pozwolono, capie!

–Tak jest – westchnął wysłannik. – Wykonuję manewr omijania battleshipów. Wchodzę na wskazany kurs.

–Też go znam – powiedział Raszyn. – To jest nasz Abe. Tylko jego tu jeszcze brakowało...

Ive rzuciła „Skoczkiem” na wszystkie strony, uchylając się od salw przeciwnika. Póki co wszystko szło jak trzeba, cruiser otrzymał tylko kilka lekkich oparzeń. Z tyłu zapłonął, po czym zaczął się rozpadać jeszcze jeden destroyer.

Raszyn ryknął coś pod nosem i trzy cruisery nagle odpadły od grupy. Podejrzewając coś niedobrego, Ziemianie od razu zaczęli je ostrzeliwać. Jednak okręty z łatwością zanurkowały pod ścianą ognia, a Fox w tym czasie, jak na treningu, rozwalił dziób jednemu z przeciwników, tak że battleship rzuciło w bok. Idące w szyku kilwaterowym resztki Grupy F nieco rozsunęły się, oddały salwę zbiorowo i wspólnymi siłami rozwały mu bok. Ziemianin wolno spuchł, masywne żelastwo zaczęło rozpadać się w szwach.

–Jeszcze pięciu takim samym sposobem – powiedział Borowski – i zostanie nam tylko jakiś tam zakichany megadestroyer... I półtora tuzina satelitów...

Battleshipy były już na wyciągnięcie ręki, a sądząc po ich manewrach, załogi najwyraźniej zaczęły panikować. Z daleka do Grupy F strzelał tylko „Stark”, ale rzadko i

mało groźnie, obawiając się zahaczyć swoich. Cruisery, które odskoczyły na boki, mocno pokiereszowały jeszcze jednego Ziemianina, po czym wklinowały się w zwarty szyk fighterów i mobilnych min. Przestrzeń dokoła trzech buntowniczych okrętów wyglądała jak połyskujący cekinami kokon, we wnętrzu którego coś nagle

ekspłodowało z błyskiem.

–Straciliśmy okręt – posępnie zameldował Borowski, gdy jeden z atakujących nadział się na minę.

–A oni dwanaście! – syknął Raszyn.

Uszkodzony battleship ziemskiej obrony zmienił kurs i poleciał tam, gdzie drobne jednostki usiłowały zadziobać dwa pozostawione im cruisery.

–Candy! Michael! – zawołał admirał. – Zdławić mi tego potwora! Sami! Ja nie mam na niego czasu!

–Zrobione! – zawołała Ive. Raszyn rzeczywiście musiał się teraz zająć problemami na inną skalę. Próbował przeanalizować całość sytuacji, pracując jednocześnie za siebie i za nieobecnego szefa sztabu. Okrętów miał tyle co nic. Po raz pierwszy w historii Grupy F siły były rozłożone tak niekorzystnie dla niej. Sytuacja zaczęła wyglądać katastrofalnie i jakkolwiek Raszyn usiłował ją zmienić, to zgodnie ze słowiańskim przysłowiem – dupę i tak miał z tyłu.

„Skoczek” wykonał manewr, uchylając się od kolejnej salwy. I wszedł między dwa battleshipy.

–Idioci! – uśmiechnął się Fox, uderzając w deskę. Zaordynował na salwę burtową taką moc, że z daleka mogło się wydawać, że cruiser eksplodował. Pod straszliwym uderzeniem oba battleshipy wypadły z kursów, a w powstałą lukę wskoczyły jednostki Raszyna prowadzone przez okręt flagowy.

Ive niewyobrażalnie skrzyła trajektorię lotu, przemykając cruiserem pod brzuchem wroga. Gdzieś na rufie jęczały grodzie. Przed nimi pojawiły się błyski – okręt wszedł na ogon oddalającego się Ziemianina.

–W dwóch miejscach pękł płaszcz, przegrzew reaktora osiemdziesiąt – zameldował z rufy Werner.

W tym momencie Fox znów wystrzelił, zręcznie rozbijając Ziemianinowi trzy zwierciadła z sześciu, co spowodowało, że battleship zakręcił się jak bąk.

–Osiemdziesiąt siedem – skorygował sam siebie Andrew. – Do katapultowania maksymalnie trzydzieści minut.

Zajęty czymś innym Raszyn tylko zamruczał.

–Zdążymy! – odpowiedziała za niego Candy. Przed nimi dwa ostatnie battleshipy Ziemian kręciły dziobami, zajmując pozycję strzelecką. W przestrzeni między nimi

pojawił się rozbłysk – wystrzał „Starka”.

Cruiser zadrżał, otrzymawszy uderzenie w skroń.

–Przegrzew reaktora osiemdziesiąt dziewięć – oświadczył beznamiętnie Werner. – Przegrzew poszycia dziobu trzydzieści dwa. Topi się optyka dziobowa.

–Przełączyć ekrany na tryb graficzny! – zawołała Ive, widząc, że obraz przed nią mętnieje.

–Wyrwaliśmy się! – ryknął nagle na cały głos Raszyn. – Wyrwaliśmy się, kochani! Teraz na kurs sześć! Jak mnie słyszysz? Tak! Tak!

Kendall rzuciła okiem na ogólny schemat bitwy. Dwa cruisery lecące z boku przebiły się przez zasłonę małych jednostek i teraz, potłuczone, ale nie zwyciężone, szybko oddalały się w kierunku bieguna południowego. Najprawdopodobniej Raszyn umyślnie wyprowadził je z boju, pragnąc zachować odwody. Ale i tak drogę do Ziemi przegradzał niezniszczalny „Stark”. Choć Grupa F dokonała rzeczy niemożliwych, przed sobą miała jeszcze jedną niewykonalną.

*** * ***

„Stark” i dwa battleshipy uderzyły salwą, zmieniając w kulę ognia jeszcze jeden destroyer. Zamykający Grupę F wykonał zwód, po czym wystrzałami baterii rufowych unieruchomił Ziemiaków usiłujących wykonać nawrót i rzucić się w pościg za buntownikami. Kilka razy odczuwalnie oberwał w korpus, ale nie śmiertelnie. Pięć okrętów, atakując, kontynuowało lot przed siebie prosto na trójkę silniejszych wrogów.

–Zostało jedenaście minut – przypomniał Werner. – Przegrzew reaktora krytyczny.

–Liczby! – zażądał Borowski.

–Lepiej, żebyście tego nie wiedzieli – melancholijnie odparł Andrew.

Jeszcze jedna salwa Ziemiaków poszła w przestrzeń.

–Jak ominiemy tego głupa, szefie? – zapytał ZDO, najwyraźniej mając na myśli „Starka”.

–Nie będziemy go omijali – wycodził Raszyn. – Ściśniemy go i złamiemy. Kto nie rozumie, objaśniam. Słuchajcie mnie wszyscy! Megadestroyery mają pewien konstrukcyjny feler. Dziesięć minut ognia zaporowego i wysiada system naprowadzania. Wszystko jasne? Uszkodzić tej chujowiny nie damy rady. Ale zamknąć jej pysk na pewno. Potem spokojnie wylądujemy.

Dziesięć minut pod takim ogniem... – pomyślała Ive. – Cóż, może ktoś się uratuje. Ale nie my. My mamy reaktor... Och...

Odruchowo wykonała unik.

–Straciliśmy destroyer – zameldował Borowski.

–Jeszcze dwa battleshipy – powiedział admirał. – Potem będzie już z górki.

–Doganiają nas fightersy.

–W dupie. Nie zdążą. Werner! Andriej! Dasz nam dwadzieścia minut?

–Osiemnaście, Oleg Igoriewicz. Tylko osiemnaście.

–Nie chcę tracić okrętu – wymamrotał Raszyn. – Bo czym polecimy na Obcych?

–Niech pan przestanie pieprzyć, driver! – eksplodował ZDO. – Bez okrętu jesteśmy załatwieni! Wskoczmy w moduły, to nas w nich rozstrzelają! A jeśli nie rozstrzelają, to gdzie wylądujemy? Prosto w dyrektorskie łapy! I pod ścianę. Mnie i pana na pewno. Pozostali też nie będą narzekać, że za mało dostali.

–Wyluzuj, Jean Paul – ugodowo mruknął admirał. – Jesteś na służbie, co by nie mówić.

–Scout neutrali wszedł na wskazany mu kurs – zameldował łącznościowiec.

–Cieszę się za Abe'a – warknął Borowski. – Przynajmniej ten przeżyje, fiut cwany. Ale i tak go aresztują...

–Nasz Abe jest nie do wykończenia – pokręcił głową Raszyn, powtarzając te słowa nie wiadomo który już raz.

Dwa ocalałe z walki cruisery Grupy F natknęły się na zwarty ogień „Starka” i zaczęły wykonywać wymyślny taniec pośród tęczyowych błysków. Na twarz Candy wypłynął uśmiech. Wszystko dokoła wydało jej się nagle snem. Po raz pierwszy w życiu kapitan-porucznik Ivetta Kendall tak naprawdę zrozumiała, czym się zajmuje.

Przez wszystkie poprzednie lata, od chwili wstąpienia na uczelnię, Ive tylko się bawiła. Te zabawy czasem przynosiły kontuzje i psychiczne traumy. Ale i tak to, co w tej chwili pokazywał jej komputer, nie istniało. Ani jaskrawe eksplozje, ani ostre jak brzytwa wielobarwne promienie, ani piękne bojowe barwy okrętów. To wszystko było fikcją wpakowaną w pamięć maszyny, usłudze wyprowadzaną przez nią na ekran tylko po to chyba, żeby człowiek podejmujący decyzje nie cierpiał z powodu braku danych. Kolorowanie, wyostrzanie, konturowanie, markery oraz biegające cyferki

miały przecież tylko ułatwiać i przyspieszać wchłanianie danych. Tak naprawdę kosmiczna walka wyglądała surowo, bezbarwnie, sucho, ponuro, okrutnie. Ale specjalnie dla takich jak Iwe ktoś mądry zmienił wojnę w miłą dla oka kolorowanąkę.

Myśl o tym była przykra. Przykro umierać za scenografię.

Tymczasem „Stark” zwrócił całą swą uwagę na cruisery, a pozostałe przy życiu ziemskie battleshipy na całego waliły w zbliżające się okręty buntowników.

„Skoczek” stracił jeden dziobowy promiennik i dwa małe działa burtowe. Zaczęły wysiadać przeciążone systemy chłodzenia, przez co wewnątrz okrętu powietrze osiągnęło temperaturę pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Nigdy jeszcze SOB „Paul Atrydes” nie przeżywał takich długotrwałych przeciążeń bojowych, i to z niesprawnym reaktorem.

–Straciliśmy destroyer – znów powiedział Borowski.

–Widzę – odparł Raszyn.

–Jest jeszcze meldunek tekstowy. *Prowadzony przez nas okręt prosi o zezwolenie wycofania się z boju. Wysiadł system, szefie. Już wcześniej miał kłopoty z elektroniką. A...* Nie, już o nic nie prosi.

–Widzę, Jean Paul.

Jeden z cruiserów, wykreślając precelki dokoła rzygającego płomieniami „Starka”, zaczął zwalniać.

–Temu też się przegrzał reaktor.

–Dziwne, że nie rozwalił nas pierwszy wybuch. Nie próbowałeś podliczyć mocy?

–Wysadzili wszystkie bomby, jakie tylko mogli znaleźć.

–Nienawidzę Marsjan! – ryknął admirał. – Tak wszystko było idealnie obliczone...

–Oni przecież chcieli nam pomóc, szefie...

–Kto ci to powiedział?

–Tak mi się wydaje.

–Akurat!

Mocno pokiereszowane cruisery i dwa na pół żywe destroyery wycinały hołubce dokoła dwóch wielkich ziemskich planetolotów. Najpierw Ziemianin zaczął rzygać parą z licznych szczelin. Potem zapłonął i wyrzucił moduły awaryjne mały buntownik.

I nagle rufa jeszcze jednego Ziemianina zajęła się ogniem.

–Trafiłem! – darł się Fox. – Widział pan, szefie? Trafiłem mu w...

Rufa battleshipa zaczęła purpurowieć.

–Do tyłu! – krzyknął Raszyn. – W tył, żeby tak twoją mać, w ty-y-y!!!!

Ostatni destroyer Grupy F nie zdążył wycofać się na odpowiednią odległość od eksplodującego przeciwnika. Mętnoczerwony obłok zasnuł obie jednostki.

–Koniec – powiedział admirał beznamiętnym głosem. – Jeszcze dziesięć minut i koniec. Maks piętnaście. Candy! Idziemy pomóc naszym.

–Nie mamy piętnastu minut. Nawet dziesięciu – wtrącił się przez interkom Werner. – Albo katapultuję reaktor za pięć minut, albo za nic nie odpowiadam.

–A jakby dać mu chwilkę odsapnąć? – zapytał Borowski.

–Bez sensu. To bolesne, co panu powiem, ale on już wybucha. Można powiedzieć, że trzymam go w rękach i dmucham jak na gorącą kartoszkę.

–A co z tobą tam? – jakby przypomniawszy sobie coś ważnego, zapytał ZDO. Widocznie, jak i każdemu do tej chwili, wydawało mu się, że tam, gdzie gospodarzy Werner, wszystko musi być cacy. – Ile rentgenów załapałeś?

–Betka, jestem w ciężkim skafandrze – odparł Andrew. – Tu już dawno mam pustkę. Inaczej nie ochłodziłbym tej zabawki.

–Jaki stopień przegrzania, *Andriej*? – ostrożnym tonem znów odezwał się do niego Jean Paul, po raz pierwszy używając rosyjskiego imienia Wenera.

–Dwieście trzydzieści.

–Czyli powinniśmy byli eksplodować trzydzieści procent temu?

–W próżni pociągnie nawet do dwustu pięćdziesięciu. Ale to ma swoje minusy. Nie mogę dokładnie określić momentu, kiedy palnik pójdzie w diabły.

–Potrzebujemy jeszcze dwóch minut lotu do rozpoczęcia pracy ze „Starkiem” – sucho rzuciła Ive. – Przypuśćmy, że wyląduję na tym, co jest w zasobnikach, to nie problem. Ale przy „Starku” będę potrzebowała całej mocy, i to na długo. Zdecydujcie się w końcu na coś, panowie.

–Ja też będę potrzebował całej mocy – wtrącił Fox. – Ca-łej! Słyszysz, Andy?

–Słyszę – ponuro potwierdził technik.

–Możemy zaczynać? – zapytał Raszyn, wracając ze swojego taktycznego daleka. – Jest nas trzech, ale to chyba tylko czasowo.

–Dobra – powiedział Werner. – Idziemy powalczyć. Zapomnijcie wszystko, co powiedziałem. Zatłuczcie gada.

–Słyszeliście?! – zapytał admirał z takim zapałem, jakby mu darowano życie. Zresztą trochę tak było. – Wy-ko-nać! Zatłuc gada!!!

–Scout neutrali prosi „Starka” o otwarcie śluzy – zameldowało radio. – Mówi, że się boi. Chce przeczekać. Zgodzili się.

–Nie wiem, co Abe wymyślił – wymamrotał Borowski – ale niepotrzebnie to robi.

W tym czasie Andrew dosłownie tonął we własnym pocie wewnątrz kombinezonu. Temperatura przestrzeni, choć bliska zeru absolutnemu, już na poziomie poszycia zmieniała się w dodatnią, a wewnątrz sekcji reaktora sporo metalowego sprzętu było lśniąca kałużą. Gdyby Werner nie wpadł na ryzykowny eksperyment z rozszczelnieniem, „Skoczek” eksplodowałby ponad pół godziny temu. Ale technik zdawał sobie sprawę, jak blisko śmierci jest Grupa F, i chciał dać Raszynowi tyle szans, ile mógł i potrafił. Dlatego reaktor działał już poza granicą możliwości. Andrew nie potrafił wyliczyć, jak długo jeszcze wytrzyma, ale wiedział, że musi działać. Gdyby reaktor nie decydował w tej chwili o życiu lub śmierci, Werner z przyjemnością poradziłby Raszynowi wskoczyć do modułu awaryjnego i sam ruszyłby tam za nim. Tyle że od tego, czy ocaleje „Skoczek” i czy jego dowódca wyjdzie z boju zwycięsko, zależało bardzo wiele, zbyt wiele. Poza tym wyrzut w modułach oznaczał dla załogi natychmiastowe uwięzienie. I równie niechybną salwę plutonu egzekucyjnego – co najmniej dla zdrajców ojczyzny: Uspienskiego, Borowskiego, Kendall i Foxa. A może i dla reszty. Zresztą z tej listy najbardziej obchodziła go Ive. To, co robił w tej chwili, robił dla niej.

Dlatego „Skoczek” po prostu musiał zdławić ogień „Starka” i przebić się w stronę Rosji. Tam, gdzie buntownicy długo jeszcze nie będą wykryci. A gdy już ich wykryją, odwieżą do Europy z honorami. Dlatego ten przeklęty reaktor musiał wytrzymać jeszcze kwadrans.

Pod warunkiem, że SOB „Paul Atrydes” nie zostanie wcześniej śmiertelnie zraniony.

I jeśli „Starkowi” pod wpływem przeciążenia nie wysiądzie system sterowania ogniem.

I jeśli nie wysiądą nerwy master-nawigator Kendall. W jej rękach było już nie tylko życie Wenera, ale całej załogi.

Trzy cruisery, niemal niewidoczne na tle gigantycznego cielska „Starka”, dziobały jego porty armatnie i szybko odskakiwały. Dokoła samobójców uwijały się fightery, ale Raszyn polecił nie zwracać na nie uwagi. Zresztą stado tych drobnych jednostek starało się trzymać z daleka, odkąd co najmniej dziesięć z nich rozbiło się o burty atakujących, nie wyrządzając im specjalnej szkody.

Upływała siódma minuta walki, kiedy jeden z cruiserów, ten, któremu już wcześniej nawalał napęd, stracił sterowanie.

–Och, teraz się zacznie... – szepnął Borowski, wciągając głowę w ramiona. – Niechby przynajmniej wbił się w niego czy co...

„Stark” wystrzelił i trafił. Był to potworny widok. Po okręcie nie został praktycznie żaden ślad. Silna i dobrze chroniona jak na swoją klasę jednostka rozpadła się w pył.

–Pracujemy, chłopcy i dziewczynki... – mamrotał Raszyn. – Pracujemy...

„Stark” kilka razy haniebnie spudłował, jakby palnął bez celowania. Przerwy między salwami giganta wydłużały się coraz bardziej.

–Słabnie, gadzina! – warknął zadowolony admirał. – Candy, bliżej, bliżej do niego!

–Jak tam, siostró? – zawołał ze stanowiska ogniowego Fox.

–Trzymam się – wycedziła przez zęby Ive. Czasem wzrok jej mętniał i tylko wysiłkiem woli udawało jej się rozpędzać przesłaniającą spojrzenie mgłę. Kendall była zmęczona, do tego bardzo nie podobał jej się głos, jakim o temperaturze reaktora meldował Werner. Był za bardzo spokojny. Przesadnie. Ive wystarczająco dobrze знаła swojego Andy’ego, by to wyczuć. Zwykle żywy i bezpośredni, teraz stał się nagle bardzo skoncentrowany i nawet trochę jakby nie z tego świata.

Monitor diagnostyki części rufowej na jej pulpicie był martwy. Zdalna kontrola reaktora przestała funkcjonować. Tylko dzięki działaniom Andrew skomplikowana maszyna nie zaczęła jeszcze żyć własnym życiem. I była jeszcze jedna rzecz, co do której w Ive zaczęły się dopiero rodzić mętne przypuszczenia, ale z braku czasu nie mogła ich sprawdzić – jeśli nie ma kontroli zdalnej, a tylko ręczna, to znaczy...

–Nie spać! – wrzasnął jej nad uchem admirał. – Walnie z szóstego portu za dziesięć sekund. Osiem... Siedem...

Łu-bu-dub! Pudło.

–Zuch. I trzymaj się nadal z dala od rufy. On tylko czeka, żebyśmy się połakomili na zwierciadła.

–W porządku, sir.

–Candy, słoneczko, jeszcze trochę. Jak będzie trzeba, to ja sam wyląduję.

–Jestem OK, sir.

–Uwaga! – usłyszeli w słuchawkach głos Wenera.

Powiedział to cicho, ale tak, że Iwe poczuła spazm w gardle.

–Jeszcze ociupinka, *Andriej!* – jęknął admirał. – Kropelka!!!

–Za sześćdziesiąt sekund reaktor wybuchnie. Proszę o pozwolenie katapultowania reaktora.

Raszyn zawył i obiema rękami z całej siły walnął w pulpit, rozbijając szybkę jednego z monitorów.

–Koniec... – syknął, uderzając głową w szklane kruszywo. – Koniec...

–Rozumiem – powiedział Andrew i nieoczekiwanie zachichotał. – Iwe, kochanie, przechodź na zasobniki. I jeszcze jedno, kochanie...

–Zabraniam!!! – ryknął dowódca, unosząc głowę do sufitu, jakby chciał poprosić o coś Boga, w którego nie wierzył. – Poruczniku Wener, zabraniam panu!

Borowski wyciągnął rękę, zamierzając widocznie chwycić admirała za ramię, ale nie sięgnął.

–Christoff, przejmij sterowanie – szepnęła Candy. W końcu zrozumiała, dlaczego Raszyn zachowuje się jak wariat. I co chciał jej powiedzieć Andrew.

–A co jeszcze? – zapytał Wener z lekkim zdziwieniem w głosie. – Czego oczekiwaliście, szczerze mówiąc?

–Nie wiem! – krzyknął admirał. – Nie wiem!!! Wymyśl coś! Idiota! Dupek! Zabiję cię!

–Proszę się zamknąć, szefie – poprosiła Iwe pozbawionym emocji głosem. – Słyszę cię, *Andriej.*

–Byłem szczęśliwy z tobą, kochana. Taki szczęśliwy... Bardzo cię kocham.

–Ja też cię kocham, do szaleństwa – powiedziała Candy, czując, jak uszczelka maski wchłania jej łzy. – Bardzo. Zawsze.

„Skoczkiem” szarpnęło – to Christoff uchylił się przed salwą, ale zrobił to nie tak

zręcznie jak Kendall.

–Zwrot! – wychrypiał Raszyn. – Rufą do „Starka”!

–Sprytny ruch, szefie – pochwalił admirała Werner. – Kochanie! Wybacz, że tak wyszło. Nie dało się inaczej. No, życzę wszystkim szczęścia. Aktywuję wyrzut. Iwe!

–Tak... – wykrztusiła, z trudem pokonując czop w gardle.

–Kocham cię.

Na rufie coś trzasnęło, pękło, wybuchło i cruiser stanął dęba.

–Przejmuję sterowanie! – krzyknął Raszyn. – Trzymajcie się! Daję pełną moc!

Okręt odskoczył od „Starka” z takim impetem, że na SDO wszystkim pociemniało w oczach. A potem cruiser jakby został przeszyty błyskawicą. Z sufitu runął wodospad ognistych iskier, elektronika wysiadła całkowicie. „Skoczek” oślepił i jak niesterowalny bąk pognał w przestrzeń.

–Wprowadzam ostatnią rezerwę bezpieczników – wymamrotał ktoś w interkomie.

–Nie zdążył – ponuro zameldował Fox. – Widziałem. „Stark” rozwalił nasz reaktor, zanim ten zbliżył się dostatecznie. Ale oni tam, jak sądzę, też nie mają lekko.

W pomieszczeniu zapłonęły światła. Wszyscy odwrócili się do ekranu i zobaczyli, jak na „Starka” nadlatuje ognisty huragan, a megadestroyer odpełza na napędzie awaryjnym. Drugi cruiser, który ucierpiał mniej niż „Skoczek”, odważnie pakował się olbrzymowi pod ogon, ryzykując, że spłonie w ogniu wydechu, gdyby gigant ruszył do przodu. Albo że zostanie rozniesiony w pył, jeśli potwór zdoła uruchomić baterie rufowe.

–Wiej, głupku! – zażądał admirał, z trudem wyrównując swój okręt.

W tym momencie „Stark” wystrzelił z baterii rufowych i szaleńczo odważny cruiser zmienił się w kulę płomieni.

–Do zwrotu! – polecił Raszyn. – Artyleria, jak działa?

–Staram się jak mogę, sir! – raźnie odpowiedział Fox.

–Szefie, niech mi pan da pokierować – cicho poprosiła Iwe.

–W życiu! – odparł admirał, odgadując jej zamiysł.

–Szefie! – Candy sięgnęła do pulpitu, ale Raszyn ją wyprzedził. Otworzył panel pod

swoimi stopami, coś tam przełączył i deska rozdzielcza Ive nagle umarła.

–Musimy to zrobić! – ryknął dowódca. – W przeciwnym wypadku wszystko to o kant potłuc!

Kendall odpięła pasy, wstała. Wydawało jej się to szaleństwem, ale i tak było jej wszystko jedno. Cruiser skakał w przestrzeni niczym prawdziwy skoczek pustynny. A Ive, czepiając się czego tylko mogła, ruszyła do wyjścia z SDO.

Borowski poluzował pasy i gdy Candy mijala jego stanowisko, wyciągnął rękę, by mocno uderzyć ją kantem dłoni po kolanach. Dziewczyna straciła równowagę, zwała się na plecy, po czym uderzywszy hełmem o podłokietnik fotela, złamała go i znieruchomiła.

–Długo nie wytrzyma – powiedział Raszyn.

I nikt nie wiedział, co miał na myśli.

* * *

–Gotowe? – zapytał commander Fein. – No to miej nas w opiece, Panie! Ech, porucznik Ripley, kochana dziewczyna, wybac mi, gwałcicielowi, nie można inaczej. Johny... Jedziemy!!!

Scout wypadł z długiej sztolni na burcie megadestroyera jak korek z wstrząśniętej butelki szampana.

–Dokąd niesie tego idiotę? – zapytał dowódca olbrzyma swojego zastępcę. – Najpierw prosił o zgodę na wejście do naszej śluzy, żeby mu smród nogi...

–Tak sobie myślę, panie wiceadmirał, że ten neutral ze strachu zwariował ostatecznie. Przecież słyszał go pan, miałem wrażenie, że jest jakiś szurnięty...

–No to w dupę z nim! – machnął ręką dowódca. – Szykujmy się do manewru abordażowego. Spróbujemy wziąć tych głupków żywcem. Energii w zasobnikach wystarczy im na dziesięć minut, potem są nasi...

–Panie wiceadmirał, sir! – krzyknął zaniepokojony nawigator. – Proszę popatrzeć!

–Gdzie?

–Proszę patrzeć! – powtórzył oficer, powiększając obraz w tym sektorze ekranu, po którym rwał na całego ozdobiony wenusjańskimi herbami scout Feina. – Nie wiem, dokąd zmierza ten cymbał, ale zgubił gdzieś swój reaktor!

–Gdzie?! – chórem zapytali dowódca i zastępcę.

–Foxtrot Whisky! Foxtrot Whisky! – ryknął znajomy głos na fali awaryjnej. – Foxtrot Alfa Bravo! Foxtrot Alfa Bravo!

–Masz ci neutrala... – mruknął wiceadmirał. – Co on chce przez to powiedzieć? FW, a potem FAB... Co by to mogło znaczyć? No i gdzie ten jego reaktor?

I nagle zrozumiał.

–Co-o??! – zapytał własnych myśli, a po chwili zaczął krzyżeć: – Przedmuch służby głównej! Natychmiast przedmuchać służbę główną! Przedmuchać służbę główną natychmiast, to rozkaz, taka wasza... A-a-a-a!!!

Zanim jednak jego krzyk ogłuszył zaskoczoną załogę, na SDO „Skoczka” Borowski przyglądał się z niedowierzaniem manewrom scouta.

–A oto i nasz Abe! – zawołał naraz. – Widzicie?

–Głosowy komunikat na fali awaryjnej, sir! – usłyszał. – Przekazuje scout neutrali! Ostrzeżenie dla Grupy F! Grupa F, wszyscy zwrot! Sir...

Raszyn, nie zastanawiając się, rzucił okrętem w niewyobrażalnie ostry wiraż.

–Źle widać, szefie... – wychrypiął z tyłu przygnieciony przeciążeniem Christoff. – Proszę popatrzeć, mnie się wydaje, że on nie ma reaktora...

–Najważniejsze, czy się domyślił, żeby zaspawać im zewnętrzny luk... – wykrztusił ZDO.

„Stark” nagle huknął z głównego kalibru, ale nie do „Skoczka”, tylko do scouta Feina. Zwiadowca widocznie oczekiwał takiego przejawu wdzięczności i wykonał mistrzowski unik.

–To za ciebie, *Andriej* – szepnął Raszyn, wyciskając z okrętu wszystko, do czego jednostka była jeszcze zdolna. – To za ciebie, mój drogi... Technicy! – przypomniał sobie. – Zaraz znowu walnie! Jeśli chcecie trafić do domu, musicie urodzić jeszcze jeden komplet bezpieczników!

Stanowisko Dowodzenia Okrętem zalał zimny biały blask. Ale ułamek sekundy przed tym, jak ekrany kolejny raz zgasły, komputer zdążył ukazać astronautom zachwycający widok uchwycony przez sensory rufowe.

Megadestroyer „Erick John Stark” rozpadał się na dwie połowy.

*** * * Raszyn, Fein i Borowski siedzieli na betonowej tamie oddzielającej jezioro od miasta. Gdzieś daleko dudnił, wbijając pale, młot parowy. To de Ville odbudowywał**

swoją cegielnię.

Na brzegu rozlokowane było miasteczko namiotowe. A na skraju ziemi, przy horyzoncie, widniał obły, garbaty korpus pokaleczonego „Skoczka”, radioaktywnego i ostatecznie pozbawionego możliwości ruchu.

Cała trójka astronautów miała niezdrowo opalone twarze, a ruchy spowolnione i nieprecyzyjne. Tak wyglądał teraz każdy z tych szczęściarzy, którzy uszli z życiem z walki nad Ziemią. Przez ostatnią dobę załogi wyjadły cały przeciwpopromienny arsenał doktora Epsteina i szykowały się do szturm na rezerwy chemii doktora Lloyda.

Triumfujący Essex, uwolniony przez lud z więzienia, obiecał przybyć skoro świt. Kontradmirał miał jednak pełne ręce roboty, usiłując wyrwać się z chciwych łap nowego rządu tymczasowego Wujka Gunnara, któremu wprawdzie sam się poddał, ale to nie zmieniło jego planów zdekapitowania wraz z Dyrektorami również admirała Königa. Fakt, był on w tej chwili bardzo potrzebny w dziele budowy nowej floty, ale Tylek nie ufał mu ani trochę.

–Obawiam się, że straci to dziecko – powiedział naraz Raszyn, patrząc przez ciemne okulary na wolno idącą brzegiem samotną postać.

–Essex jutro przyleci, zabierze ją do kliniki. Doc powiada, że będzie dobrze.

–No nie wiem, Jean Paul, nie wiem... To było cholernie niesprawiedliwe...

–Ja bym na pańskim miejscu też poleciał.

–Teraz nie mogę – mruknął dowódca, opierając się łokciami o kolana, a na dłoniach opierając głowę. – Nie dadzą mi tam spokoju, a mnie upiornie chce się odpocząć. Już nie mam sił do niczego.

–To przez leki, *driver*. Mamy teraz idiotyczną przemianę materii. Ze mnie rano taki kawał strontu wypadł, że mało muszli nie rozwalił.

–Zazdroszczę – uśmiechnął się Fein. – Tobie hemoroidy nie przeszkadzają...

–Akurat, nie przeszkadzają!

–Panie admirale, sir! – odezwał się ktoś za ich plecami. Raszyn przekręcił głowę, jednym okiem zerknął na zbliżającego się astronautę. Był to technik di Lanza. W ręku trzymał jakieś białe zawiniątko.

–Proszę o pozwolenie zameldowania... – zaczął di Lanza, ale zaraz rozkaszał się na

długą chwilę. Dowódca skinął głową. Technik przez jakiś czas chrypiał, potem odwrócił się, splunął i znowu stanął na baczność.

–Wyluzuj, Ettore – poradził mu Borowski. – Będziecie teraz codziennie mieli styczność z admirałem. Przyzwyczajajcie się.

–Tak jest, sir. Melduję, że dezaktywacja okrętu posuwa się zgodnie z rozkładem. Do dostawy części zapasowych mamy piętnaście godzin. Proszę o pozwolenie...

–Jak zdrowie? – przerwał mu Raszyn.

Technik znowu odkaszlnął.

–Dziękuję, sir. Lepiej. Doc powiada, że za dwa tygodnie będę w normie. Myśmy siedzieli w centralnym rdzeniu, prawie nas, można tak powiedzieć, nie ruszyło.

–Proszę posłuchać, Ettore... Ciągle nie mogę pozbyć się myśli... Proszę mnie oświecić jako specjalista. Czy naprawdę nie było żadnego innego wyjścia?

–Ma pan na myśli porucznika Wenera, sir? Proszę o wybaczenie, ale nie było. Wyrzucić reaktor można tylko ręcznie. Przecież nawet nie mógł nim sterować, bo całe zdalne sterowanie zerwało... Chcieliśmy ciągnąć losy, ale porucznik już wyszedł na rufę i zamknął za sobą luk.

–Ot i masz swojego farciarza Andy'ego – powiedział Fein. – Cały Rosjanin...

–Rozumie pan, sir – ciągnął di Lanza. – My też cały czas o tym myślimy. Oczywiście, porucznik mógł przeciągnąć przewód od inicjalizatora katapulty do wnętrza i zostać za grodzią. Ale wtedy by nie mógł kontrolować pracy systemu. Okręt eksplodowałby po piątej, góra szóstej minucie. A porucznik go przetrzymał, sam pan wie ile... Poza tym gródź była przesunięta, luk zaklinował się na amen. Jakby nawet się rozmyślił, to i tak nie mógł wrócić. Ale on się nie rozmyślił, sir. Ja tak rozumiem, że porucznik od razu wszystko sobie zaplanował, jak tylko zobaczył, że straciliśmy kontrolę nad reaktorem... Widzi pan, sir...

–Tak, tak, Ettore, słucham pana.

–Mieliśmy ogromne szczęście, że to był właśnie porucznik Werner – z błyszczącymi oczami mówił technik. – Gdyby na jego miejscu był ktoś inny... Pewnie by zaktywował wyrzut od razu, kiedy odnotował przegrzanie. A Werner świetnie się znał na taktyce walki. Oczywiście, miał pana, to jasne... No i miał swój kontrolny monitor podłączony do procesora marszowego. I Andy... czyli porucznik Werner, sir, on ze swojego posterunku patrzył, dokąd leci okręt i co się dzieje dokoła. I nam tłumaczył. A kiedy ta przeklęta bomba wybuchła, on zbladł cały, powiedział coś po rosyjsku i

poszedł do reaktora. Czyli wiedział, co należy robić, żeby uratować okręt. I wiedział, że ten okręt musi zachować zdolność bojową do samego końca.

–Tak – przyznał Raszyn. – Ja go tak nauczyłem. Ech...

–Szefie, pan się domyślał od początku, jak to się skończy? – zapytał Borowski.

–Obawiam się, że tak... – Admirał zacisnął wargi i odwrócił wzrok.

–Niech się pan tak nie przejmuje. Andy wiedział, co robi. Ratował ją. – Pierwszy oficer kiwnął głową w stronę Ive, która odeszła na koniec tamy i tam mechanicznie jak robot ciskała kamyki do wody.

–Rozumiem, Jean Paul. Rozumiem, że ją uratował. A my jego nie.

–Mam już was, Rosjan, dość – powiedział Borowski i stękając, podniósł się z trawy. – Jak już wykończymy Obcych, pojedę gdzieś, gdzie was nie ma. A jak zobaczę jakiś ruski pysk, będę strzelał.

–Panie admirale, sir – znów zaczął di Lanza. – Ja właściwie... Proszę popatrzeć. To znaleźliśmy w rzeczach porucznika. To jest chyba coś dla pana.

Raszyn wyciągnął rękę i wziął zawiniątko. Był to kawałek prześcieradła gęsto zapisany czarnym grafitem.

–Tak, po rosyjsku – rzekł zdziwiony Raszyn. – Dzięki, Ettore. Jeśli znajdę tu coś dotyczącego pana, na pewno przekażę.

–Nie trzeba – pokręcił głową technik i nagle twarz mu się wykrzywiła. – Ja i tak codziennie płaczę. Jak go sobie przypomnę, to łzy... Przepraszam. Mogę odejść?

–Tak – zezwolił admirał, wpatrując się w starannie wykreślone drukowane litery. Andrew pisał starannie i wyraźnie, widocznie bez pośpiechu obmyślając każde słowo. Raszyn zaczął czytać.

Drogi Olegu Igoriewiczu! Nie wiem, kiedy otrzyma Pan mój list. Nawet jeszcze nie zdecydowałem, czy w ogóle go przekażę. To znaczy – podrzucę. Może piszę to nie tyle dla Pana, co dla siebie.

Przez dwadzieścia lat uważałem Pana za swojego nauczyciela. Oczywiście, nasze stosunki układały się różnie. Ale zawsze pamiętałem, jaką rolę odegrał Pan w moim życiu. I teraz chcę Panu za to gorąco podziękować. A przy okazji przeprosić. Ponieważ muszę odejść.

Mam nadzieję, że uda mi się położyć ten list na Pańskim biurku, kiedy rozbijemy

Obcych. Wtedy nie będzie już Panu potrzebny technik Werner. A człowiek Werner musi Pana porzucić. To będzie dla mnie straszna strata, ale mogę za to winić tylko siebie. Chodzi o to, Olegu Igorowiczu, że dostałem się do załogi „Skoczka” przy pomocy zdrady. To, co opowiadałem Panu o swoich niepowodzeniach na dole, to prawda tylko po części. Najważniejsze zataiłem. Pamięta Pan pewnie te smutne okoliczności, z których wyciągnął mnie pan na górę. Niestety, Olegu Igorowiczu, to wszystko było zmanipulowane. Usunął Pan z pokładu sabotażystę, a zamiast niego podsunięto Panu innego. Tym razem takiego, któremu Pan ufał.

Długo by można było opowiadać, jak szantażowały mnie specsłużby. Najważniejsze, że w pewnej chwili niemal zrobiłem to, czego ode mnie chcieli.

Strasznie się zaplątałem, szefie. Zaplątałem się sam w sobie, nie rozumiałem, po co żyję. Obrzydła mi wojna. To też wykorzystwały bezpieczeniaki. Podsycili moją nienawiść do wojny. I okazało się, że można ją skierować również przeciwko Panu.

Ja nie zdjąłem blokad, które założył mój poprzednik, ja tylko je odłączyłem. Zdecydowałem, że zabawię się w Pana Boga, zostawiwszy sobie prawo wyboru, jaką drogą pójdę ja sam i Pan. Najpierw wydawało mi się, że tym sposobem będę mógł Pana obronić, ustrzec przed pewną zgubą, do której prowadziła wojna z Ziemianami. Na dobrą sprawę, to właśnie był hak bezpieczeniaków na mnie.

Ale teraz mi się wydaje, że po prostu podświadomie chciałem się zemścić za to, że kiedyś odwrócił się Pan ode mnie. Mimo że Pan mnie nie zdradził. A ja postąpiłem jak zazdrosna dziewczyna i dokonałem podłego czynu w stosunku do Pana. Nieważne, że tylko w myślach. To i tak potworne. Niestety, nie od razu to zrozumiałem. Czasem wydaje mi się, że lepiej, gdybym w ogóle nie wszedł do Pana na pokład. Ale to paradoks – właśnie na „Paulu Atrydzie” znalazłem to, czego mi brakowało na dole.

Z nienawiści wyleczył mnie Pan i Pańska załoga. Zrozumiałem, że nie jestem sam na tym świecie. Jestem gotów iść za Panem. I – co najważniejsze – wierzyć, że Pan na pewno nigdy nie pchnie mnie do haniebnego czynu.

Dlaczego wszcząłem targi ze swym sumieniem? Pewnie to było zwyczajne tchórzostwo. I nie wiedziałem, po co żyję. Dlatego nie mogłem od razu przyznać się Panu, że prowadzę podwójną grę. A najgorsze jest to, że teraz, kiedy jestem innym człowiekiem, jeszcze trudniej jest mi o tym mówić. Nawet w liście. A prosto w oczy – po prostu się nie da. Wyobrażam sobie, jak Pan na mnie popatrzy. A Pan potrafi zabić spojrzeniem, kiedy tak naprawdę chce Pan tylko uczyńić lekki wyrzut.

Kiedy spotkałem Candy, urodziłem się na nowo. Stałem się inny, wyzbyłem się złości. Jest mi dobrze. Ale właśnie dlatego nie mogę zostać w Pańskiej załodze, kiedy skończy się wojna. Przykre, bo to najlepsza załoga w moim życiu i pewnie

najlepsza załoga Słonecznego. Ale nie da się inaczej. Oglądając się wstecz, rozumiem, że mojej winy nie da się niczym odkupić. Nawet jeśli Pan powie, że wszystko w porządku – ja sam sobie nigdy nie wybaczę. I to, co zrobiłem (a dokładniej, nie zrobiłem), w żadnym stopniu nie pomniejsza mojej winy wobec Pana. Nigdy nie sądziłem, że człowieka może do tego stopnia pokąsać sumienie.

Napisałem to i poczułem, że się oczyściłem. Zawsze lubiłem skarżyć się i wyplakiwać Panu, proszę o wybaczenie. Teraz mam Candy i skarżę się jej. Wie Pan, czasem mi się wydaje, że ona jest Pańską córką. Jesteście do siebie w jakiś sposób podobni. Może dlatego, że oboje – i ona, i ja – jesteśmy pana wychowankami? I to, że pokochaliśmy się, to też w jakimś stopniu zasługa Pańskiego wielkiego serca. Jaka szkoda, że nie potrafiłem wziąć od Pana tego najważniejszego – umiejętności bycia wiernym sobie. Zdradziłem siebie i popełniłem straszliwy błąd. Nie jestem w stanie o tym zapomnieć. Dlatego odchodzę.

Mam nadzieję, że Candy mnie zrozumie, jej też zamierzam zostawić list. Może zrozumie, wybaczyć nie da rady. Ona kocha flotę, kocha latanie i Pana, oczywiście. To jej życie. Życie, które ja mogłem przerwać. Proszę się o nią zatroszczyć. Wiem, że na początku będzie jej ciężko. Pewnie mógłbym nic nie mówić. Ale już dłużej nie mogę – albo zrzucę ten balast z duszy, albo zwariuję. Pamięć o moim postępkach i tak już mnie doprowadza do rozpaczki. Po prostu muszę opowiedzieć najdroższym mi osobom o tym, jak ich zdradziłem.

Ale prosto w oczy... Nie mam siły.

Za wszystko trzeba płacić, tak, nauczycielu? Pan to wie. Dlatego nigdy się Pan nie mocije z sumieniem. I nie pozwala na to innym. Wiele lat uczył mnie Pan najpierw myśleć, potem działać. Pamiętam pańską wypowiedź: „Zanim popełnisz błąd, pomyśl, czy to nie będzie fatalny błąd”. Niestety, źle opanowałem lekcję. Szkoda.

Szkoda, że Candy jest astronautą do szpiku kości. Jej miłość do mnie jest wielka, ale nie zna i nie chce znać innego życia. Nie tak dawno wyjaśniła mi to bardzo wyraziście. A ja przecież splunąłem w samo jądro tego, na czym to życie polega. Załoga to rodzina, a ja

miałem za pazuchą dla niej kamień. A to, że okazał się potwornie ciężki, nie odkupi mojej winy.

Mimo wszystko jestem szczęśliwy. Dowiedziałem się, dlaczego warto żyć. Okazuje się, że to takie proste...

Tu tekst się urywał. Raszyn poobracał kawałek tkaniny w rękę, ale nie znalazł już ani słowa. Widocznie Andrew nie zdążył napisać, na czym polega sens życia. Po prostu nie zdążył.

–Proszę wziąć chusteczkę, *driver* – gdzieś z daleka odezwał się Borowski. – Co tam mamy?

Admirał pochwycił podany mu kwadracik miękkiego papieru, wytarł oczy, wysmarkał nos. Potem starannie złożył list i schował go za pazuchą.

–Najlepsza załoga Słonecznego... – powiedział cicho.

–To niby my? I słusznie – skinął głową Borowski. – A co jeszcze?

–Testament. – Admirał podniósł wzrok. – A wy, panowie, tego nie widzieliście. Tak?

–Znowu te rosyjskie wykrętasy – westchnął pierwszy ońcer. – Abrahamie! Wstawaj. Idziemy, brachu, na zabieg.

–I powiedzcie di Lanzie, że tego listu nie było – tonem rozkazu, w starym, dobrym Raszynowskim stylu, oświadczył dowódca. – Jean Paul, sprawdź, kto z techników coś wie, i też każ zapomnieć. Szczerze mówiąc, najchętniej zastrzeliłbym wszystkich, żeby nie było przecieku, ale chyba się starzeję...

–Zdrowieje – wyjaśnił Borowski stojącemu z wytrzeszczonymi gałami Feinowi. – Ale o co chodzi, *driver*? Skąd takie utajnienie? Niech pan coś powie, przynajmniej ogólnie?

–Ciebie też bym zabił... – wystękał admirał, z widocznym trudem podnosząc się i prostując.

–Będzie żył! – radośnie zawołał ZDO. – Taka jest moja diagnoza. *Driver*, jakże się cieszę! Bo już mnie pan wykończył tym swoim kwękaniem...

–Jeszcze cię wykończę wojowaniem – obiecał mu Raszyn. – No, walcie, woje, na swoją wieczorną lewatywkę!

–Zostawić trochę dla pana? – zakpił Borowski.

–I to dużą porcję – skinął głową dowódca, po czym pomaszerował w stronę, gdzie Ive usiadła na ciepłym od słońca betonie. – Najlepsza załoga Słonecznego... – mamrotał, idąc. – Najlepsza załoga Słonecznego... No tak, *Andriej*, to prawda. I ty, głupi, wcale nie byłeś w niej na ostatnim miejscu. Och, jaka szkoda...

Candy uśmiechnęła się na widok admirała. Uśmiech był delikatny, nieco jakby nie z tego świata. Raszyn usiadł obok i wbił posępne spojrzenie w wodę.

–Spakowałaś się? – zapytał. – Gdy przyleci Phil, będziesz miała mało czasu.

–Czasu... – w zamyśleniu powiedziała Ive. – Niezłą mamy ochronę

przeciwpromienną, prawda?

Stary dowódca popatrzył na nią, nie rozumiejąc, co dziewczyna ma na myśli.

–Tak jest, jak jest – powiedział szybko. – Zewnętrzne poszycie trzeba będzie zedrzeć i pochować. Im prędzej, tym lepiej. Straszliwa kupa roboty, łatwiej by było cały okręt wywalić. Widziałaś, jak promieniuje?

–Ciągle myślę o Andrew – wyjaśniła Candy. – Jaką dawkę złapał, jak pan sądzi?

–Gdzie? – nerwowo mruknął admirał, odsuwając się. Oczywiście, miewał do czynienia z nerwowymi przypadkami, ale jawnych wariatów ciągle i nadal się wstydził.

Biedna dziewczyna - pomyślał. – I ciebie wojna w końcu uderzyła. Chlasnęła w najczulsze miejsce. Jaka szkoda...

–Gdzie złapał?

–W łapie – powiedziała Ive, wskazując palcem okręt. I znowu na jej twarz wypłynął uśmiech – nieśmiały, jakby pełen poczucia winy.

Raszyn odwrócił się tak gwałtownie, jak tylko pozwalało mu zdrowie. „Skoczek” wyglądał w tej chwili dość dziwnie. Zamiast mocnej opływowej rufy w tylnej części okrętu miał tam rozwinięty pęk. We wszystkie strony sterczały łapy – konsole, które jeszcze do tej pory trzymały na amen sekcję reaktora.

–Miał taki głos, kiedy się zegnał... Nie zauważył pan, szefie? Jakby szedł albo się gdzieś czołgał. Wie pan, ja dziś cały dzień przesiedziałam nad schematem okrętu. W sekcji reaktora są takie szczeliny, po których można wyjść prosto na łapy. A w samych łapach też są sztolnie...

Andrew pracował w ciężkim skafandrze – przypomniał sobie Raszyn. – Cholernie niezwrotny, ale cały z ołowiu. I co jeszcze? Termoizolacja czterowarstwowa. Egzoszkielet. Z jaką prędkością mógł się poruszać? Na uczelni robiliśmy zawody w bieganiu w takich skafandrach. Mnie się nie udało. Dobra, a szerokość sztolni kablowej w łapie? Chwila... Ciekawe, kto z nas jest większym świrem: ja czy Candy?

–Mocno się pokłóciliście? – zapytał.

–Jestem idiotka – powiedziała Ive. – Kretynka i tyle. Po prostu nie mogłam zrozumieć, że jesteśmy różni i... No i że on ma prawo być takim, jakim jest. No... A on, moim zdaniem, śmiertelnie się obraził.

–Śmiertelnie... – niczym echo powtórzył admirał, rozważając coś. – Śmiertelnie...

–Byłam głupia, ale co mam teraz zrobić, zastrzelić się?! Nie rozumiałam, że on jest taki delikatny...

–Yhy...

–Co yhyV. – wypaliła Candy, zapominając, że Raszyn jest jednak trzygwiazdkowym admirałem.

–Mówię, że chłopak zawsze szybko kumał w krytycznych sytuacjach – wyjaśnił dowódca.

Wstał, podparł się pod boki i nachmurzył. Iwe również się podniosła.

–A przy tym ma po prostu zwierzęcy instynkt samozachowawczy – rozważał na głos Raszyn, nie zauważając, że mówi o Andrew już w czasie teraźniejszym.

–Aa...

–Be! – Admirał wyciągnął z kołnierza mikrofon. – A ty, Ivetto, rzeczywiście jesteś głupia jak rzadko. Gdybym to ja był twoim ojcem, spralbym cię na kwaśne jabłko! Miałaś chłopca z bogatą przeszłością, trzeba go było chronić! A ten... Skąd on mi się zwałił na głowę, były wariat i były kryminalista! Gdzie go mam teraz szukać, co? Delikatna i czuła dusza, żeby go w te, nazad i dogłębniej!... A może się tam przekręcił? Przecież to już doba!

Candy z rękami w kieszeniach demonstracyjnie odwróciła się do niego plecami.

–Borowski! – ryknął Raszyn do mikrofonu. – Uwaga! Alert dla wszystkich, którzy mogą się poruszać! I do rufy! Przeszukać mi wszystkie zakątki, gdzie może zmieścić się człowiek! Zajrzeć do każdej dziurki! Może on stracił przytomność albo coś innego... Koniecznie popatrzcie w łapach, może tam się wala!

–Kto? – zapytał oszołomiony pierwszy oficer.

–Przecież porucznik Werner, jego mać! – wrzasnął admirał.

Przez chwilę Borowski milczał, nie dowierzając.

–To, oczywiście, nie jest moja sprawa – zaczął – ale wydaje mi się...

–Wy-ko-nać! – wyszczekał Raszyn i przełączył się na inny zakres. Wziął kilka głębokich wdechów, żeby wrócić do normy. Potem powiedział już spokojniej:

–Uspienski wzywa de Ville'a. Zgłoś się, Wiktorze. Pilna sprawa.

–Tak? – odezwał się starosta.

–Nie masz tam przypadkiem moich ludzi?

–Na razie nie spotkałem. Ale pomysł jest niezły! – ucieszył się de Ville. – Właśnie sobie pomyślałem, że się tak objają w obozie bez zajęcia. A mnie...

–Wiktor, ja poważnie.

–Nie, chyba nie mam.

–Nikogo nie zauważyliście?

–A co, dezercerzy?

–Niezupełnie. Po prostu mógł sobie pójść na spacer pewien technik. Pamiętasz go. *Andriej*, taki rozczochrany, z kitką.

–I z rogami... Nie, dowódco, nie było go tu.

–A gdzie jest doktor Lloyd?

–Wczoraj wieczorem wsiadł do swojego pudła i pojechał do Nowogrodu. Stało się to nagle, jakby wpadł na jakiś pomysł. Wiadomo, uczony!

–Aha... – powiedział admirał. – Dzięki, Wiktorze.

–Da pan ludzi?

–Jacy to ludzie? Drużyna kalek. Na razie nie mogę, wszyscy chorzy. Do widzenia.

Ive z zaciśniętymi ustami spacerowała tam i z powrotem po brzegu. Radio w jej kieszeni mruczało wieloma głosami. To dyżurna wachta przyodziana w skafandry, żeby nie załapać zbędnego rentgena, przeczesywała rufę „Skoczka”.

–Nowogród... – westchnął Raszyn. – Nie pojedę. Nudzi mnie to już.

–Co znowu? – zapytała oschłym tonem Candy.

–Nie wiem. Jakieś wstrętne te miejsca.

–Sumienie dręczy? – smętnie uśmiechnęła się Ive.

–Skąd ci to przyszło do głowy? – wyszczerzył zęby dowódca. – I w ogóle kim ty jesteś, żeby pytać? Ja nie mam i nigdy nie miałem sumienia! Jestem admirałem, jasne?

Potyając się i mamrocząc coś ze złością pod nosem, pomaszerował do obozu.

Przystanął jeszcze w połowie drogi i przez ramię rzucił Ive ponure spojrzenie.

–Polecisz za nim! – krzyknął. – Właśnie ty! Jak się podleczysz, od razu bierz kuter i leć! Sama go przegapiłaś, to sama teraz szukaj! Koniec! I odczepcie się ode mnie ze swoimi problemami! Zarabialiście mnie tym! Masz, czytaj, smakuj! – Cisnął jej pod nogi gęsto zapisaną białą szmatę. – Czuły jest, patrzcie go! Nie czuły, a czub! I-dio-ta! Neuraste-nik!!!

Ive wyjęła ręce z kieszeni i rzuciła się podnosić list.

–Najlepsza załoga Słonecznego – wydzierał się nieopodal admirał. – Nędznicy! Krwio pijcy! Śmierci mojej się wam zachciało, tak?!

Candy zaczęła gładzić prześcieradło zapisane dziwnymi literami. Widziała, czuła w nich rękę Andy ego, ale co chciał powiedzieć, mogła się tylko domyślać. No i czy naprawdę chciała wiedzieć? Może lepiej było poprzestać na tym, co pamiętała, co wspólnie przeżyli na „Skoczku”, w tych najpiękniejszych chwilach jej życia. Jednak z listu mogła poznać Andrew jeszcze bliżej...

Spojrzała za odchodzącym admirałem, który mógłby odcyfrować dla niej te niemal już zapomniane znaki, ale jego postać dawno zniknęła między obozowymi namiotami. Tylko ciągle było słyhać, jak wydziera się tam na podwładnych. Ive słyszała jednak, że jego głos już nie miał takiego złego brzmienia jak jeszcze przed chwilą.

–Kocham cię, Andy – powiedziała cicho, przytulając prześcieradło. Miała wrażenie, że czuje na nim zapach ukochanego, a przynajmniej chciała w to wierzyć.

Koniec

SŁOWNIK

Tu Czytelnik odnajdzie m.in. wyjaśnienia, kim był właściwie ów „Skoczek”, którego imieniem nazwano okręt flagowy Grupy F, albo dlaczego admirał Raszyn cytuje Nostradamusa.

Alt, Jason din - profesjonalny hazardzista w znacznej mierze zawdzięczający powodzenie w grze zdolnościom ekstrasensa. Pewnego razu zgodził się zagrać cudzymi pieniędzmi dla podziału wygranej. Zmuszony do ucieczki znalazł się na planecie Pyrrus, słynącej z trudnych warunków życia (dwukrotna grawitacja, wrogo nastawiona fauna, jadowita flora). Wygrane pieniądze przeznaczone były na zakup uzbrojenia do walki z otaczającym środowiskiem. Nieszablonowy intelekt i zdolności organizatorskie din Alta pozwoliły mu nie tylko przeżyć na Pyrrusie, ale radykalnie zmienić tryb życia miejscowej społeczności, co doprowadziło do obniżenia naporu biosfery na osiedla ludzkie. Później zmontował z Pyrrian grupę najemników i stanąwszy na jej czele, wziął udział w szeregu awanturnicznych wypraw. Więcej o din Alcie: H. Harrison „Planeta śmierci” i inne.

Attack Force - Grupa F. Wzmocniona brygada planetolotów przeznaczona do przechwytywania jednostek i blokady powierzchni planet wewnątrz Układu Słonecznego. Przed drugą kampanią marsjańską AF była powiększona poprzez dołączenie do niej kilku WMO-105 (patrz: MEGADESTROYER). Liczba jednostek bojowych AF nigdy nie przekraczała 50. Przez lata pierwszej kampanii marsjańskiej AF z powodu złego dowodzenia i narzucania brygadzie niewłaściwych dla niej funkcji bombardujących straciła załogi 28 średnich i 31 lekkich jednostek. Charakterystyczne cechy późniejszej taktyki AF – dokładne uderzenie, zdolność do prowadzenia walki mimo przewagi ogniowej przeciwnika, szybkie przemieszczanie sił. Podczas drugiej kampanii marsjańskiej AF nie utraciła żadnej załogi z wyjątkiem częściowych strat w wyniku dywersji na WOB-103 „Enterprise”.

Atrydes, Paul - Imperator Paul Muad'Dib. Genialny prekognita. Urodzony w II w. jedenastego tysiąclecia na planecie Kaladan. W wieku 15 lat wraz z rodzicami przeniósł się na

Arrakis (Diunę), gdzie spędził większą część swego życia. Zwyciężył walki rodów o kontrolę nad odkrywkami przyprawy (wielofunkcyjny narkotyk, ważny element systemu dalekiej łączności) i ogłosił się Imperatorem. Ugasił totalny dżihad – religijną wojnę, w toku której stał się władcą absolutnym zasiedlonej przez ludzi części Wszechświata, i zmusił wszystkich do pokoju. Znany także jako Mahdi (Prorok). Podczas wstąpienia do plemienia Fremenów otrzymał imię Usul i Paul Muad'Dib. Muad'Dib – w jednym z wariantów przekładu – to mysz kangurowa, arrakiański

skoczek pustynny. Tym można wytłumaczyć frywolne traktowanie imienia A. przez załogę SOB „Paul Atrydes”. Więcej: F. Herbert „Diuna” i dalsze powieści. W postaci filmową u D. Lyncha wcielił się Kyle MacLachlan, a u J. Harrisona – Alec Newman.

Battleship - ciężki planetolot, kosmiczny statek bojowy posiadający znaczną moc bojową, tzw. WOB (wielki okręt bojowy). Przeznaczony do ogniowego osłaniania operacji desantowych, swobodnego działania, niszczenia małych, średnich i wielkich okrętów. Całkowicie montowany jest tylko w dokach orbitalnych. Zazwyczaj eskortowany przez grupę scoutów i fighterów średniego promienia rażenia, dla których jednocześnie spełnia rolę bazy zaopatrzeniowo-remontowej. Jest nieaerodynamiczny, swobodnie manewruje tylko w próżni. W opisywanej rzeczywistości B. w większości pochodziły ze zmodernizowanej serii 104, posiadającej na wyposażeniu silniejsze uzbrojenie i mającej praktycznie nieograniczony zasięg w obrębie Układu Słonecznego.

Cruiser - średni planetolot, kosmiczny statek bojowy dysponujący znaczną mocą ognia, tzw. SOB (średni okręt bojowy), inaczej *setka*. Przeznaczony do osłony i wsparcia WOB, rajdów, służby patrolowej, niszczenia małych i średnich okrętów. Z powodu stosunkowo niewielkich gabarytów możliwy jest montaż w powierzchniowych stocznicach. Aerodynamiczny, mobilny, posiada unikatową dynamikę rozpędu i hamowania, zdolny do startu i lądowania na powierzchni planety bez zewnętrznego naprowadzania. W opisywanych wydarzeniach uczestniczyły z reguły C. serii 100, tworzyły one uderzeniowe jądro Grupy F. Z powodu wyjątkowych zdolności manewrowych właśnie okręt takiego typu (SOB „Paul Atrydes”) był okrętem flagowym admirała O. Uspienskiego (Raszyna).

Crusher - superciężki planetolot, kosmiczna jednostka bombardująca, tzw. WOB (Wielki Okręt Bojowy). Projekt C. został wykonany na zamówienie admiralicji bezpośrednio przed pierwszą kampanią marsjańską jako odpowiedź na zapotrzebowanie na klasyczny bombowiec do działań na powierzchni. Crushery były przeznaczone do niszczenia punktów ogniowych i mobilnych sił wroga na powierzchni, także ogniowej osłony operacji desantowych. Zdolny do uderzeń raketowo-bombowych i artyleryjskich na wielkich obszarach. Montowany wyłącznie w stocznicach orbitalnych. Mało ruchliwy, niezdolny do

wejścia w atmosferę. Zazwyczaj wymaga osłony przed wrogimi fighterami (patrz: **Fighter**). Z reguły eskortowany przez grupę scoutów i fighterów oraz kilka destroyerów. W opisywanym okresie ziemską flotą była w posiadaniu nie więcej niż pięciu C. serii 107, wszystkie były rozbijane i przygotowywane do przebudowy na komercyjne statki towarowe.

Dekard, Rick – emerytowany policjant, *bladerunner* (łowca androidów). Zajmował się odstrzałem nielegalnie przenikających na Ziemię sztucznych ludzi (replikantów). Zasłynął z polowania w 2019 roku, kiedy celem D. stała się czwórka replikantów serii

Nexus-6. W toku siłowych działań D. nie tylko znajdował się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, ale zmuszony był również do rozstrzygnięcia poważnych kwestii moralnych. Przeczytaj „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach?” P.K. Dicka lub obejrzyj film R. Scotta „Bladerunner”, przedstawiające różne, a raczej skrajnie przeciwne interpretacje wydarzeń. Na ekranie w postać D. wcielił się Harrison Ford.

Destroyer - planetolot o klasę niżej od cruisera, średni okręt bojowy, tzw. SOB, inaczej *dziwiątka*. Uniwersalna jednostka myśliwsko-szturmowa. Zwykle działa w kluczu trzech jednostek. Aerodynamiczny, zdolny do startu i lądowania na powierzchni planety, wyposażony w silne uzbrojenie raketowo-artyleryjskie. D. serii od 90 do 99 wykorzystywane były chętnie zarówno przez Ziemię, jak i przez Marsa.

Driver - nie tylko ang. *kierowca*, ale też nieoficjalny tytuł grzecznościowy, wyrażająca szacunek forma zwracania się do dowódcy we flocie. Sugeruje wysokie kompetencje i zdolność do beznamiętnego stawiania oporu w sytuacjach na pierwszy rzut oka nie do pokonania.

Ensign - stopień wojskowy, który w US Navy, a także w „Star Trek” odpowiada polskiemu podporucznikowi.

Fighter - myśliwiec, lekki planetolot, kosmiczna jednostka bojowa, tzw. MOB (mały okręt bojowy). Uzbrojenie raketowo-torpedowe i artyleryjskie. Trudny do trafienia z powodu małych gabarytów i dużej zwrotności. Przeznaczony do zwalczania i niszczenia okrętów dowolnego typu. Zdolny do szturmowania powierzchni. Brak modułów awaryjnych. F. zwykle działają w eskadrach po 10 i więcej jednostek tego samego typu. Często dodawany jest do eskorty crushera, megadestroyera, battleshipa. Grupa F podczas pierwszej kampanii marsjańskiej była zasilona dwiema eskadrami F. serii 75. W toku działań bojowych udowodniona została stosunkowo niska efektywność F. podczas przechwytywania i w operacjach patrolowych. Później admirał O. Uspienski przekazał swoje F. do eskortowania floty desantowej i bombardującej.

Gorbowski (Gorbowskij) Leonid - dowódca gwiazdolotu desantowego, Tropiciel, potem członek Kokonu-1 i Rady Światowej, ekspert w dziedzinie wyszukiwania śladów działalności niezemskiego intelektu. Jeden z najbardziej szanowanych liderów światowej wspólnoty XXII w. Więcej o G. patrz: A. Strugacki, B. Strugacki „Południe, XXII wiek”, „Daleka Tęcza”, „Koniec akcji Arka”, „Fale gaszą wiatr” i inne. Najpełniejszą informację o życiu i działalności G. zawierają specjalne badania grupy „Ludeny”, niejednokrotnie publikowane w postaci informacji uzupełniającej do późniejszych wydań Strugackich (antologia „Światy braci Strugackich” i in.).

Gordon, John - weteran II wojny światowej, szeregowy urzędnik. Właśnie z nim nawiązał kontakt człowiek z odległej przyszłości, który opracował system temporalnych podróży. W wyniku wymiany umysłów G. znalazł się w ciele księcia

wielkiego pseudomonarchicznego mocarstwa. Mimo minimalnej wiedzy o otaczającym go świecie, trafiwszy w środek wojennego konfliktu, dzięki cudom swego męstwa i sprytu godnie zastąpił księcia i zagwarantował swojej armii wielką wiktoryę. Brał aktywny udział w działaniach bojowych, po których nastąpił trwały pokój. Pisał o nim E. Hamilton („The Star Kings”, 1949; „Return to the Stars”, 1967), jednak polskiemu czytelnikowi John Gordon nadal pozostaje nieznany, w przeciwieństwie do np. Flasha Gordona.

Kotłowanina – żargonowe ogólne określenie grupy powiązanych ze sobą lokalnych wojen na gruncie etnicznym i religijnym mających miejsce w 1. połowie XXI w. na terenie Europy, w basenie Morza Śródziemnego, strefie Zatoki Perskiej, a także w azjatyckiej części Rosji. Termin oficjalny: trzecia wojna światowa.

Megadestroyer - superciężki bojowy planetolot, tzw. WMO (wielki multifunkcyjny okręt). Zdolny do wykonywania wszelkich zadań bojowych niewymagających wchodzenia w atmosferę. Mobilna baza fighterów i scoutów, arsenał-tankowiec, bombowiec, kosmiczny fort, okręt sztabowy. Trudny do uszkodzenia z powierzchni globu, praktycznie nie do uszkodzenia w otwartym kosmosie. Montowany wyłącznie w stocznjach orbitalnych, nieprzystosowany do lądowania na planetach. W składzie Grupy F w opisywanym okresie znajdowały się tylko dwa M. serii 105, jeden z nich wykorzystywany był w charakterze ruchomego sztabu.

Moskwa nie wierzy Łzom - tytuł jednego z najbardziej znanych i docenianych do dziś filmów radzieckich (wyróżniony m.in. Oscarem), a zarazem pochodzącej z niego piosenki. Choć został nakręcony w 1979 r., to dzięki olbrzymiej liczbie kopii dotrwał do czasów opisywanych w „Najlepszej załodze Słonecznego”.

Nostradamus, Michel (wł.: Michel de Nostre-Dame) – francuski medyk, astrolog i alchemik. Genialny jasnowidz. Ur. 14.12.1503 r. Pochodził z bogatej prowansalskiej rodziny żydowskiej, która w 1053 r. przeszła na katolicyzm. Doktor medycyny, przez rok także wykładał ją na uniwersytecie w Montpellier. Swój dar jasnowidzenia dedykował Bogu. Obliczenia i interpretacje astrologiczne służyły za potwierdzenie prawdziwości tego daru. Po wydaniu w 1555 r. pierwszej serii proroczych czterowierszy został zaproszony na dwór Henryka II. Niejednokrotnie udzielał konsultacji koronowanym głowom. Od 1560 r. był nadwornym medykiem Karola IX. Przepowiedział datę własnej śmierci (noc z 1 na 2.07.1566 r.). Prace jasnowidza N. to 12 *centurii* i szereg innych przepowiedni. Interpretacja tekstów jest trudna, ponieważ N. przerwał łańcuch czasowej kolejności swych czterowierszy, ale zgodnie z posłaniem N. do syna Cezara istnieje słowo-klucz, przy pomocy którego ten ciąg może być odtworzony. Rekonstrukcja nie została jednak dokończona. Większość przepowiedni N. się spełniła, a przynajmniej tak uważają bohaterowie „Najlepszej załogi Słonecznego”. N. szczegółowo opisał przebieg wydarzeń Kotłowaniny i w ogólnych zarysach – Północy.

Obcy (Alien) - ogólna nazwa nieziemskiego rozumu. Z reguły stosowana w negatywnym znaczeniu.

Pmx - nawigator floty handlowej. Słynący z unikatowej psychicznej wytrzymałości w połączeniu ze skłonnościami do niestandardowych i efektywnych rozwiązań. Posiadał olbrzymi potencjał przetrwania w sytuacjach krytycznego obciążenia psychiki. Niejednokrotnie przejawiał te cechy podczas wykonywania nieprzystających profesji obowiązków. Szczegółowo o P. patrz: S. Lem „Opowieści o pilocie Pirxie”.

Północ – żargonowy termin określający globalną wojnę jądrową rozpoczętą w 2400 r. i następujące po niej wydarzenia. Impulsem do wybuchu P. stała się militarna ekspansja zza Uralu na Europę. Głównym elementem destrukcyjnym P. stała się trwająca dziesięciolecia zima jądrowa, degradacja biosfery i śmierć 90-95% ludzkiej populacji.

Rada Dyrektorów – wybieralny organ władzy zwierzchniej na Ziemi.

Rey, Lock von – nawigator amator, pochodził z rodu kupieckiego posiadającego wielkie wpływy w federacji Plejad. Ur. na planecie Ark w 3148 r. Uczestniczył w okrutnej konkurencyjnej walce von Reyów z Red-Shift Ltd. o zdobycie komercyjnych ilości illirionu (superpaliwo, pierwiastek ciężki). Produkcja własnych silników illirionowych dawała federacji Plejad nadzieję na uwolnienie się od dyktatu Ziemi i Red-Shift. W krytycznej sytuacji R. zdecydował się na ryzykowny eksperyment: w 3172 r. na żaglowym gwiazdolocie

„RUH” wystartował z kosmodromu Gehenny-3 (układ gwiazdny Smoka, Tryton), dotarł do punktu rodzenia się Nowej i przeszedłszy przez wybuch, zaczerpnął żaglami tworzącego się w toroidalnej strukturze Nowej illirionu. Ponieważ jednostka była sterowana przez bezpośrednie łącze z układem nerwowym nawigatorów, zbliżenie się do miejsca powstawania Nowej groziło załodze utratą wzroku. W ostatniej chwili R. przemocą odłączył nawigatorów od sensorów statku i pilotował go samotnie. R. zdobył siedem ton illirionu, osiągnął swój cel i oślepl. Bohaterski czyn R. opisał w powieści „Nova” S.R. Delany Jr., jeden z nielicznych czarnoskórych autorów sf.

Ripley, Helen - porucznik, zastępca dowódcy holownika „Nostromo”. Holownik odebrał sygnał SOS z planety LB-426 i odkrył na jej powierzchni nieziemski gwiazdolot oraz jaja-inkubatory z larwami agresywnych Obcych. W wyniku tego kontaktu z załogi „Nostromo” przeżyła tylko R. Wysadziwszy w powietrze holownik, uratowała się w module awaryjnym i 57 lat przebywała w anabiozie, dryfując ku Ziemi. Ponieważ w tym czasie na LB-426 została założona ziemská kolonia, raport R. uznano za błędny. R. została pozbawiona stopnia i atestów, pracowała jako operator dźwigu w portowych dokach. Pod warunkiem przywrócenia dobrego imienia i

kwalfikacji zgodziła się wziąć udział w ekspedycji ratunkowej na LB-426, kiedy łączność z kolonistami została niespodziewanie zerwana. Po zetknięciu się z Alienami na statek – poza Ripley – powrócili tylko dwaj ludzie i android. Na pokład przeniknęła jednak także (później zgładzona) królowa Obcych i zdążyła znieść kilka jaj. Atak embrionów spowodował awarię na statku; automatycznie odstrzelony moduł awaryjny wodował na Fiurinie-161, gdzie R. popełniła samobójstwo. Więcej o R. patrz: film fab. „Obcy – ósmy pasażer Nostromo” i kontynuacje: „Obcy 2, 3, 4” oraz nowelizacje scenariuszy. W postać R. na ekranie wcieliła się Sigourney Weaver.

Robocza Strefa - na okrętach bojowych klasy od destroyera w górę: strefa, w której podtrzymywana jest sztuczna grawitacja.

Rocannon, Gaveral - etnograf, specjalista od spraw kultur wysokorozwiniętych społeczeństw. Kierownik pierwszej ekspedycji etnograficznej na Fomalhaut II (później Rocannon) w 321 r. (wg kalendarza Ligi Wszystkich Światów). W wyniku ataku wrogich Lidze sił stracił cały stan osobowy ekspedycji. Wraz z przyjaznymi aborygenami pokonał niezbadane ziemie, wykrył tajną bazę powstańców i naprowadził na nią bombowce Ligi. Resztę życia spędził na zamku Breygna wśród mieszkańców badanej przez siebie planety. Więcej w: U.K. Le Guin „Świat Rocannonna”, a także wzmianki w innych utworach.

Strefa Zero-G - dowolna część okrętu, w której panuje nieważkość.

Scout - lekki planetolot, bojowy okręt zwiadowczo-patrołowy, tzw. BOZP, inaczej *ósemka*. Pozbawiony uzbrojenia, rekompensuje to fantastyczną zdolnością manewrową, dynamiką rozpędu i hamowania oraz dużym zasięgiem. Przeznaczony do optycznego i elektronicznego zwiadu taktycznego. Nie posiada na wyposażeniu modułów awaryjnych. Aerodynamiczny, zdolny do lądowania i startu z powierzchni globów, również z atmosferą. Często dodawany do eskorty crusherów, megadestroyerów, battleshipów. Zwiad Grupy F liczył do 10 scoutów serii 88.

Sieć – globalny ziemski system interaktywnej komunikacji.

Sistership - jednostka identyczna konstrukcyjnie z inną. Z reguły dwa sistershipy montowane są w stocznicach równolegle.

Skoczek - żargonowy wariant nazwy SOB-100 „Paul Atrydes”. Szczegółowo o pochodzeniu nazwy patrz: Atrydes, Paul.

Skywalker, Luke - pilot myśliwca, rycerz Jedi, aktywny uczestnik, potem jeden z liderów powstańczego ruchu w czasach sprawowania rządów przez Imperatora Palpatine’a. Syn Anakina Skywalkera, bardziej znanego jako Darth Vader. Uczestnik dywersyjnych rajdów na pierwszą i drugą Gwiazdę Śmierci. Szczegółowo o S. patrz: „Gwiezdne wojny 1, 2, 3”, nowelizacje i sequele. Wcielenie ekranowe postaci – Mark

Hammil.

Solo, Han - pilot jednostki towarowej „Sokół Millenium”, zawodowy przemytnik. Z woli przypadku wciągnięty w konflikt z Imperium Galaktycznym po stronie powstańców. Uczestnik dywersyjnych rajdów na pierwszą i drugą Gwiazdę Śmierci (w drugim przypadku – lider grupy naziemnej). Bliski przyjaciel L. Skywalkera. Ukochany księżniczki Lei (senator Lea Organa, Aldebaran). Szczegółowo o S. patrz: cykl filmowy „Gwiezdne wojny”, nowelizacje scenariuszy i ich sequele. Wcielenie ekranowe postaci – Harrison Ford.

Stark, Erick John - żołnierz najemnik, badacz. Urodzony na Merkurym. Podczas wyprawy ratunkowej został wciągnięty przypadkowo w proces gwałtownych przemian politycznych i społecznych na obcej planecie. Stał się jednym z przywódców miejscowego powstania. Postać S. stworzyła L. Brackett w pisany od lat czterdziestych cyklu „Erick John Stark”, choć tę autorkę *licznych pulp fictions* bardziej znamy ze scenariuszy filmowych, m.in. do „Imperium kontratakuje”.

Synagoga, bezpłodna... - Raszyn cytuje tu czterowiersz Nostradamusa (patrz: Nostradamus) 8,45 przepowiadający utworzenie państwa Izrael i zaostrzenie sytuacji na Bliskim Wschodzie. Pełny tekst w przekładzie Andrzeja Wasewicza:

*Synagoga - bezpłodna i bez pożytku -znajdzie ojczyznę między niewiernymi.
Babilon podetnie skrzydła córce prześladowania, która jest godna litości i smutna.*

Śmoc - parodystyczny wariant Mocy w komedii M. Brooksa „Kosmiczne jaja”.

Wiggin, Andrew (Ender) - głównodowodzący wojskowo-kosmicznymi siłami Ziemi w okresie walk z rasą Robali. Odbił szkolenie jako dziecko. Będąc przekonany, że zdaje egzamin końcowy na symulatorze, w rzeczywistości zdalnie kierował prawdziwym starciem, zwyciężając ostatecznie wroga. Więcej w: O.S. Card „Gra Endera” i dalsze powieści.

Zebranie Akcjonariuszy - coroczna globalna telekonferencja z udziałem wszystkich posiadaczy akcji, czyli aktywnych Ziemi.

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2010-11-27

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/